

# *London Julia*

## *Desperate Debutantes 03*

### *Jak omamić wicehrabiego*

*Panna Phoebe Fairchild wykazuje nadzwyczajny talent do projektowania i szycia strojów. Świadoma, że wytworne towarzystwo potępiłoby jej zajęcie, sprzedaje ręcznie szyte kreacje pod przybranym nazwiskiem "Madame Dupree". Sytuacja się komplikuje, gdy Madame zostaje zaproszona do posiadłości wicehrabiego Summerfield, by zaprojektować suknie balowe dla jego sióstr. Tam arystokrata składa pięknej projektantce propozycję, by została jego kochanką...*

Prolog

***Bedfordshire, Anglia 1822***

William Darby, wicehrabia Summerfield, baron Ivers, ostatnią milę do Wentworth pokonał galopem. List od sekretarza jego ojca, który trzymał za pazuchą, nosił ślady piasku egipskiej pustyni, przesiąknięty był zapachem soli - pamiątki z przeprawy przez Morze Śródziemne - i przetarty na zgięciach od ciągłego czytania.

*Hrabia doznał okropnego ataku apopleksji i jest sparaliżowany. Jest Pan potrzebny w domu, sir.*

Odkąd Will przed sześcioma laty opuścił Wentworth Hałł, żeby udać się w podróż po Europie, otrzymał od ojca wiele listów.

Hrabia sam namawiał swego nieumiejącego usiedzieć w miejscu dwudziestodwuletniego syna do wyjazdu, zanim młodzieniec bez reszty będzie musiał poświęcić się obowiązkom.

W pierwszych listach hrabia wyrażał radość, że Will odwiedził tyle nowych miejsc i przeżył tak wiele przygód. Młodzieniec skrzętnie je opisywał w cotygodniowych relacjach wysyłanych do domu.

Podróż miała trwać dwa lata, lecz się przedłużyła - zamiast, jak oczekiwano, wrócić do domu, Will pojechał do Indii, i wówczas ton listów ojca uległ zmianie. Chociaż opowieści syna wciąż sprawiały mu przyjemność, coraz częściej swemu dziedzicowi

przypominał, że jako przyszły hrabia Bedford ma obowiązki wobec rodziny, i prosił go o rychły powrót.

Will za każdym razem odpisywał, że wkrótce wróci, i zawsze miał taki zamiar. Jednak wkrótce spotykał kolejnego podróżnika, który karmił jego żądzę przygód opowieściami o Himalajach albo o poszukiwaniu skarbów w Afryce, i Will ponownie wyruszał w dalszą drogę.

W ciągu ostatnich dwóch lat w listach ojca zachęta przeplatała się z błaganiami, by syn powrócił do domu, ożenił się i spłodził dziedzica, zanim będzie za późno i nim hrabia pożegna się z tym światem. Ojciec wyrażał pragnienie utulenia w ramionach wnuka. Will był przekonany, że spełni to oczekiwanie, ale uważał, iż ma jeszcze na to mnóstwo czasu.

Wtedy nadszedł ów list od pana Carsdale'a, sekretarza hrabiego. Został dostarczony Willowi do beduińskiego namiotu przez jego wiernego służącego, Addisona, który stał u boku Willa od jego osiemnastych urodzin i podróżował z nim po całym świecie.

Addison przybył z Kairu pociągiem. Wokół głowy owinał kefiję\*; ubranie i twarz miał czerwone od wszechobecnego piasku.

Kiedy Will przeczytał list, natychmiast opuścił Egipt. Dotarł nad morze i zarezerwował miejsce na statku, który płynął przez Cieśninę Gibraltarską. Przeprawę niemal przypłacił życiem, gdyż kliper się rozbił. Przedostanie się na angielski brzeg zajęło wicehrabiemu trzy miesiące. Kolejny tydzień poświęcił na zakup konia i wysłanie swoich rzeczy oraz Addisona do Wentworth Hall, a następne siedem dni jechał przez zalaną deszczem angielską prowincję.

W końcu Will na grzbiecie Fergususa - swego walijskiego wierzchowca - po wielu trudach zbliżał się drogą do okazałego dworu, który przez wieki był rodzinną po-

**\*Kefija - tradycyjne arabskie nakrycie głowy; kawałek materiału, który nosi się m.in. w postaci turbanu.**

siadłością Darbych. Widok budynku wzbudził w młodzieńcu ciepłe uczucia. Wzniesiony na planie litery H, czteropiętrowy, porośnięty był tu i ówdzie bluszczem. Rzędy wysokich na dwa metry okien wychodziły na las, park i pola, na których pasły się owce i bydło.

Will zatrzymał się na podjeździe, zaskoczony, że nie czeka na niego żaden służący czy stajenny. Zsiadł z Fergusa, zarzucił sobie pelerynę na ramię i sięgnął do kieszeni po list. Ściskając go w dłoni, kilkoma susami pokonał schody prowadzące do podwójnych drzwi frontowych, otworzył je i wszedł do środka.

Hol był pusty. Całkowicie pusty - bez mebli i jakichkolwiek elementów wystroju. Pozostawiono jedynie kilka dużych obrazów przedstawiających mityczne sceny. Will wszedł na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się apartamenty rodziny. Jednak kiedy tam dotarł, nie mógł pojąć tego, co widzi. Na podłodze leżało połamane krzesło. Dywan pokrywały porozrzucane papiery, jakby rozwiane przez wiatr, i duża czarna plama, najwyraźniej powstała na skutek działania ognia. Wosk ze świec umieszczonych w kinkietach ściennych spłynął po jedwabnych tapetach na podłogę, gdzie zastygł.

Zdumiony Will szedł dalej, zatrzymując się w kolejnych pomieszczeniach i odkrywając, że są w podobnym stanie. Panował w nich zaduch, jakby od miesięcy ich nie wietrzono. W saloniku porozrzucano śmieci i książki oraz, co dziwne, damskie pantofle. W głównym salonie natomiast zastał na podłodze kule do gry w kręgle i kawałki rozbitego wazonu.

W końcu dotarł do biblioteki. W tym pomieszczeniu książki zostały usunięte z półek i ułożone na stertach na parkiecie. Na grubej warstwie kurzu tamże widać było ślady stóp.

Will powoli obrócił się wokół własnej osi, przyglądając się wszystkiemu uważnie i usiłując coś z tego zrozumieć. Gdy spojrział w kierunku kominka, obok którego

leżała sterta koców, kątem oka dostrzegł podnoszącą się z szezlonga postać. Była to młoda kobieta, którą on najwyraźniej obudził. Wstała i zamrugła. Miała na sobie za małą, dość podniszczoną suknię. Włosy upięła w dziwaczny węzeł z tyłu głowy, a błękitne oczy stanowiły jedyny kolorowy akcent w jej bladej twarzy. Wydała się Willowi znajoma.

- Alice?

Kobieta nie odpowiedziała, ale był pewien, że oto stoi przed nim jego siostra. Kiedy opuszczał dom, miała jedenaście lat i była wtedy chucherkiem, które wszędzie za nim chodziło i zamęczało niekończącymi się pytaniami albo błaganiami, by zabrał ją na przejażdżkę lub pograł z nią w piłkę.

- Kto tu jest? - rozległ się ochryply męski głos, przerywając ciszę.

Wyglądało na to, że to, co wydawało się Willowi stertą koców, w rzeczywistości było kolejną osobą, która uniosła się na łokciach, przewracając przy tym pustą szklanę, i spojrzała w kierunku przybysza.

- Sądzę, że to nasz brat - odezwała się niepewnie Alice, przyglądając się niespodziewanemu gościowi z zaciekawieniem.

- Kto? - spytał młody mężczyzna, z trudem wstając z podłogi.

Poły koszuli wisiały mu do kolan, spodnie miał całe w kurzu, włosy w nieładzie, a jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost.

- Joshua - powiedział Will, patrząc na niewiele młodszego od siebie brata. Chłopak liczył zaledwie czternaście lat w dniu, gdy Will wyjechał. - Nie poznajesz mnie?

- Will, co tutaj robisz? - spytał Joshua, przyglądając się uważnie młodzieńcowi. - Kto po ciebie posłał?

- Nie dostaliście moich listów? Gdzie są wszyscy? Gdzie jest służba?

Joshua machnął dłonią.

- Odeszli. Nie płacono im od wieków. Zostali tylko Farley i kucharka.

- I Jacobs, lokaj, który zajmuje się ojcem - dodała Alice, wciąż przyglądając się uważnie Willowi. Stała onieśmielona, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. - Zamierzasz tutaj zostać?

- Zapewniam cię, że nie będziesz chciał - odezwał się chłopak. Zrobił krok, zachwiał się i przewrócił butelkę z bursztynowym płynem, który rozlał się na podłogę i stertę koców, na której wcześniej spał. Ani on, ani Alice nie zwrócili na to uwagi.

To wszystko było nie w porządku. Absolutnie nie w porządku.

- Gdzie jest ojciec? - spytał Will w nagłym przypiływie paniki.

- Ojciec? Gdzie mógłby być? - spytał Joshua. - W swoim apartamencie, oczywiście.

Will nie miał odwagi spytać o dwójkę najmłodszego rodzeństwa, Rogera i Jane. Po prostu odwrócił się i wyszedł z biblioteki. Jego kroki współgrały z gwałtownym biciem jego serca. Idąc pospiesznie do głównych apartamentów, uświadomił sobie swoje przewinienie. Zbyt długo przebywał poza domem. Zapukał głośno do drzwi i już miał chwycić za klamkę, kiedy te nagle się otworzyły. Olbrzymi mężczyzna w koszuli i kamizelce popatrzył na Willa podejrzliwie.

- Coś ty za jeden?

- Jestem Summerfield, syn hrabiego. Gdzie mój ojciec?

Mężczyzna otworzył szeroko oczy, ale skinąwszy głową, uchylił drzwi szerzej.

- Tutaj, milordzie - powiedział, wskazując ręką.

Will przeszedł obok niego. W pokoju unosił się zapach maści i dymu; tylko w jednym oknie zasłony nie zostały zaciągnięte, więc w pokoju panował półmrok. Jednak było wystarczająco jasno, by mógł dostrzec ojca.

- Dobry Boże - szepnął z przerażeniem.

Hrabia siedział na wózku inwalidzkim. Nogi okryte miał kocem, a ręce, najwyraźniej bezwładne, skrzyżowano mu na udach. Głowa opadała nienaturalnie na jedną stronę.

Jednak kiedy Will podszedł bliżej, hrabia Bedford uniósł wzrok i w jego szarych załzawionych oczach młodzieniec dostrzegł błysk, który świadczył o tym, że ojciec go rozpoznał.

- Tato...

Hrabia poruszył wargami, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, i Will uświadomił sobie, że ojciec nie może mówić. Serce syna pękało z rozpacz. Wciąż ściskając w dłoniach list, ukląkł i przytulił policzek do kościstego kolana starca.

Zrozumiał - zbyt długo nie było go w domu i teraz żadne przeprosiny nie pomogą. Nigdy.

Rozdział pierwszy

*Londyn, trzy miesiące później*

Na tyłach eleganckiego butików z sukniami pani Ramsey przy Bond Street, lady Phoebe Fairchild stała wśród tuzina sukien z chińskiego jedwabiu, aksamitu, satyny i muślinu, podczas gdy pani Ramsey spokojnie tłumaczyła, że jej reputacja, przyszłość jej sklepu z sukniami, a nawet całe życie zależy od tego, czy Phoebe będzie umiała szyć.

Kiedy wysoka i przeraźliwie chuda kobieta skończyła, lady Fairchild osłupiała. Nie umiała znaleźć odpowiedniego słowa ani uszczypliwej riposty.

- Jeśli nie jest pani w stanie zrobić tego, o co proszę, lady Phoebe - powiedziała pani Ramsey - będę musiała opowiedzieć o wszystkim w towarzystwie.

Phoebe głośno wciągnęła powietrze. - *Madame*, to szantaż!

Pani Ramsey uśmiechnęła się, ukazując rząd małych zębów.

- Szantaż to mocno powiedziane... madame Dupree. - Wysoko uniosła jedną brew, pozwalając, by jej słowa odpowiednio wybrzmiały.

Phoebe nie była w stanie myśleć. Szycie sukien - właśnie to, o czym chciała opowiedzieć pani Ramsey - było zamiarem, który rozważała już dwa lata temu wraz z siostrą Avą i kuzynką Greer. Pomysł na własny interes zrodził się z desperacji spowodowanej przedwczesną śmier-



cią matki Phoebe i Avy, lady Downey. Ich ojczym, lord Downey, przywłaszczył sobie należny im spadek i jasno dał do zrozumienia, że zamierza wydać je za pierwszych mężczyzn, którzy akurat się nawiną. Dziewczęta szybko sobie uświadomiły, że potrzebują pieniędzy, aby uniknąć takiego losu. Ava postanowiła wyjść dobrze za mąż, Greer miała podobne plany, a Phoebe... cóż, Phoebe umiała posługiwać się igłą.

Zawsze miała do tego talent i z przyjemnością szyła suknie dla siebie, Avy i kuzynki albo poprawiała te, które kupiły w ekskluzywnych sklepach przy Bond Street. Takich jak ten. Wiosną tego roku, kiedy zmarła jej matka, Phoebe pomyślała: a może by tak wziąć suknie z jej szafy i przerobić na piękne kreacje balowe, które można będzie sprzedać? Ava i Greer zgodziły się - przyniosłoby im to tak bardzo potrzebny przychód.

Był tylko jeden mały problem: gdyby zaczęła szyć suknie, w towarzystwie pomyślano by, że jest zdesperowana - co, oczywiście, było prawdą. Szybko odwrócono by się od zdesperowanych debutantek, a ich szanse na świetlaną przyszłość spadłyby do zera.

Wymyśliły więc samotną krawcową - madame Dupree - i pokazały jej prace pani Ramsey. Twierdziły, że francuska krawcowa była rozchwytywana w Paryżu, ale, niestety, po tragicznym wypadku powozu okulała i była oszpecona, dlatego nie mogła i nie chciała pokazywać się w towarzystwie. Phoebe zaproponowała łaskawie, że będzie łączniczką między panią Ramsey a madame Dupree. Jeśli pani Ramsey poda dokładne wymiary swoich klientek, *madame* uszyje suknie, z których damy będą niezmiernie zadowolone.

Wydawało się to idealnym podstępem i, jak się zdawało, działało bez zarzutu. Przez dwa lata.

Do dzisiaj.

Do dzisiaj bowiem Phoebe nie wiedziała, iż pani Ramsey podejrzewa, że to ona jest madame Dupree.

Najwyraźniej właścicielka sklepu domyślała się tego od jakiegoś czasu, ponieważ kiedy dziewczyna przyniosła pewnego popołudnia dwie suknie, pani Ramsey zamknęła za nią drzwi sklepu, po czym spytała, czy mogłaby zorganizować spotkanie z ową francuską krawcową.

W tym momencie Phoebe po raz pierwszy się zaniepokoiła.

- Och, bardzo mi przykro, pani Ramsey. Obawiam się, że to niemożliwe - odparła najuprzejmiej, jak umiała.

- Po takim czasie? - spytała wyniośle pani Ramsey. - Chyba już mi zaufała? Mam dla niej bardzo intratną posadę. Panią najwyraźniej akceptuje bez problemu. Jak pani sądzi, dlaczego tak się dzieje? Phoebe była tak zdenerwowana, że nie odpowiedziała. Nie mogła przypomnieć sobie sytuacji, w której pani Ramsey byłaby nieuprzejma - ale teraz kobieta skrzyżowała kościste ramiona na płaskich piersiach, zmrużyła oczy i powiedziała:

- Dobrze wiem, co pani ukrywa, i wszystkim opowiem o pani podstępie.

- Co ukrywam? - powtórzyła Phoebe z nerwowym śmiechem, a niepokojące przeczucie stawało się coraz silniejsze. - Zapewniam panią, że zamierzam jedynie dostarczyć pani dwie suknie zamówione u madame Dupree.

- A gdzie dokładnie madame Dupree kupuje materiał? A może także i to załatwia pani za tę biedną oszpeconą kobietę?

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Phoebe zupełnie nie umiała kłamać i zaczęła się przeraźliwie jąkać, aż w końcu pani Ramsey przerwała jej brutalnie i postawiła ultimatum: albo Phoebe przyjmie zamówienie lorda Summerfielda z Bedfordshire na ogromną liczbę sukien i innych części garderoby, albo pani Ramsey ujawni światu jej oszustwo.

Wyglądało na to, że ten lord Summerfield - Phoebe nigdy wcześniej nie słyszała tego nazwiska - był synem

niedomagającego hrabiego Bedforda. Młodzian wrócił niedawno z zagranicy i odkrył, iż jego siostry nie zostały wprowadzone do towarzystwa. Zamówił więc dla nich nową garderobę i obiecał krawcowej premię, jeśli suknie będą gotowe do jesieni: dwa tysiące funtów. Dwa tysiące funtów. Pani Ramsey aż pokraśniała z radości, wymawiając tę sumę, i jasno dała do zrozumienia, że nie pozwoli, by taka kwota przeszła jej koło nosa tylko dlatego, iż Phoebe wymyśliła sobie madame Dupree. Już obiecała lordowi Summerfield, że za dwa tygodnie wyśle francuską krawcową do Wentworth Hall, żeby uszyła kreacje, których pani Ramsey nie miała w sklepie.

Jedynym problemem był oczywiście fakt, że madame Dupree nie istniała.

Jednak Phoebe upierała się, że nie pojedzie do Bedfordshire jako czyjaś służąca.

- Doprawdy? - warknęła pani Ramsey. - Nie wydaje mi się, aby pani szanowną rodzinę ucieszył taki skandal, zwłaszcza w świetle kariery niektórych jej członków. Mam rację?

Phoebe wciągnęła powietrze. Pani Ramsey mówiła oczywiście o tym, czego Ava i Greer obawiały się najbardziej, kiedy usiłowały przekonać Phoebe, by skończyła z szyciem sukien. Ponieważ obie miały już mężów, i to zamożnych, nie potrzebowały więcej pieniędzy. Ich mężowie, lord Middleton i lord Radnor, niezwykle się przejęli działalnością swych żon na rzecz Dobroczynnego Towarzystwa Dam wspierającego kobiety żyjące w nędzy. Middleton i Radnor przygotowali i zaproponowali reformy mające na celu zapewnienie podstawowych praw kobietom zmuszonym do pracy zarobkowej.

Jednakże przeciwnicy reform postrzegali je jako przyzwolenie na inne niedopuszczalne przywileje dla kobiet, jak na przykład prawo wyborcze.

Ujawnienie oszustwa Phoebe źle wróżyłoby jej szwagrom i mogło powstrzymać reformy, które usiłowali przeforsować w parlamencie.

- Nie zrobi pani tego! - zawołała lady Fairchild. - Jest pani kobietą interesu, pani Ramsey! Może pani wiele zyskać, jeśli te reformy zostaną przeprowadzone!

- Ale mogę też zarobić dwa tysiące funtów, dostając prowizję od lorda Summerfielda - warknęła. - To roczny przychód!

Phoebe zupełnie nie poznawała tej kobiety. Upierała się przy swoim, jakby szatan w nią wstąpił.

\* \* \*

Lady Phoebe Fairchild niedawno przeprowadziła się z domu ojczyma do znacznie większego i okazalszego domu siostry, Avy.

Po bezsennej nocy, podczas której nie znalazła wyjścia ze swojej opłakanej sytuacji, postanowiła porozmawiać z siostrą. Znalazła ją w garderobie, gdzie Ava spędzała czas z synkiem, dziewięciomiesięcznym Jonathanem. Towarzyszyły jej kuzynka, Greer, nowa lady Radnor i księżna Powys, która pieszczotliwie przemawiała do swojego chrześniaka.

Obie kobiety spojrzały na sińce pod oczami Phoebe oraz krzywo zapięte guziki jej sukni i od razu wiedziały, że coś się stało.

Cała trójka usiadła na podłodze. Jonathan raczkował między nimi, a Phoebe wyznała im straszną prawdę.

- Kochane biedactwo! - zawołała Greer. - Ta zdrada nie ujdzie tej okropnej kobiecie na sucho. Nie przejmuj się, Phoebe, coś wymyślimy.

Ostatnia niezamężna córka zmarłej lady Downey - Phoebe była przekonana, że tak właśnie mówiono o niej w towarzystwie - szczerze w to wątpiła.

- Wiedziałam, że to niebezpieczna zabawa - załkała Ava, markiza Middleton. - Żyjesz marzeniami, nie zastanawiając się nad tym, co nastąpi, gdy marzenia staną się rzeczywistością. Co my teraz zrobimy? To będzie potworny skandal! Są tacy, którzy tylko czekają, żeby wydarzyło się coś podobnego. A jeśli się wydarzy, to nawet lord Stanhope cię nie zechce.
- Co? - krzyknęła Phoebe. - Tylko o to ci chodzi? Mówiłam ci setki razy, Avo, że nie chcę wychodzić za mąż za lorda Stanhope'a.
- Tak, ale moim obowiązkiem jako twojej siostry i przyjaciółki jest pomóc ci znaleźć męża, i traktuję ten obowiązek bardzo poważnie.
- To nie jest twój obowiązek, a poza tym powinnaś zrozumieć, że jeśli jakiejś pannie przez cztery sezony nikt się nie oświadczył, to naciskanie na to tylko pogarsza jej sytuację.
- Cztery! - zawołała Greer. - Naprawdę aż tyle?
- Cztery - potwierdziła Ava. - Podczas pierwszego sezonu jako najmłodsza z trzech niezamężnych córek Fairchilda była trzecia w kolejce. Podczas drugiego sezonu zmarła mama i byłyśmy w żałobie, prawda? W trzecim sezonie nie miałyśmy pieniędzy, żeby odpowiednio bywała w towarzystwie...
- Nie wspominając o skandalu, który wywołałaś, uganiając się za markizem - przypomniała jej Phoebe.
- No tak, skandal - odparła nonszalancko Ava.
- A podczas czwartego sezonu Greer podążyła tym samym śladem i wróciła do Londynu jako żona trudnego do zdobycia księcia Powys, ku zaskoczeniu wszystkich zresztą, a ja urodziłam moje maleństwo.
- To cztery - powiedziała Greer, kiwając w zamyśleniu głową. - Zadziwiające. Dobrze, że Stanhope prawdopodobnie się oświadczy.
- Dlaczego? Ponieważ jestem bliska staropanieństwa?
- sapnęła Phoebe. - Powtarzam jeszcze raz, nie przyjmę

oświadczyn Stanhope'a, i nie mów mi, że to jest jeden z najlepszych przyjaciół Middletona. On jest ubogi i szuka jakiejś fortuny, z którą mógłby się ożenić. - Pocałowała Jonathana w policzek, a mały pociągnął ją za koleczek.

- Czego się spodziewasz? - spytała Ava. - Jak mamy wydać cię za męża, skoro nie chcesz pojawiać się w towarzystwie?

- To nieprawda - zaprzeczyła Phoebe, chociaż wiedziała, że siostra ma rację. Nie obchodziło jej londyńskie towarzystwo. Zawsze tak było. W czasach dzieciństwa w Bingley Hall Phoebe była szczęśliwsza, zajmując się malowaniem i szyciem, niż bywając na towarzyskich spotkaniach, co tak bardzo uwielbiały Ava i Greer.

Zgoda, jej pierwszy sezon okazał się ekscytujący, ale teraz uważała, że rutyna towarzysząca każdemu kolejnemu jest męcząca. Wszyscy ci tak zwani dżentelmeni najwyraźniej sądzili, iż powinna uważać ich za pociągających tylko dlatego, że są kawalerami. Jeśli któremuś z nich poświęciła trochę więcej uwagi, natychmiast pojawiały się plotki, że lady Phoebe Fairchild liczy na małżeństwo z tym a tym dżentelmenem.

Co więcej, im była starsza - obecnie miała dwadzieścia dwa lata - tym nudniejsze wydawały jej się rozmowy z obcymi ludźmi na przyjęciach. Nie mogła w spokoju znieść siedzenia na kanapach z tuzinem niezamężnych debiutantek, które marzyły wyłącznie o tym, by zdobyć męża. Czuła się wówczas spętana niczym krzew, którego gałęzie splątały się z innymi krzewami i nie można ich rozplątać.

- Jesteś taka uparta - odezwała się Ava - a przecież wyjątkowo piękna, znacznie piękniejsza ode mnie. Spójrz na swoje śliczne jasne włosy. Moje są w takim banalnym odcieniu. A twoje oczy? Mają tak niespotykany niebieski kolor. I jesteś zdecydowanie zgrabniejsza od Greer, która przecież ma w sobie walijską krew...

- Wypraszam sobie! - odezwała się Greer, kładąc dłoń na swoich kruczoczarnych włosach.
  - Jesteś zgrabna, Greer - powiedziała ze zniecierpliwieniem Ava - ale Phoebe zawsze uważana była za najzgrabniejszą z nas. Naprawdę można przypuszczać, że gdyby tylko prezentowała w towarzystwie miłe usposobienie, natychmiast otrzymałaby z sześć propozycji małżeństwa.
  - Dziękuję, Avo. Nie miałam pojęcia, że jestem taka zgrabna, a jednocześnie taka ponura.
  - Dobrze wiesz, o co mi chodzi.
  - Nie wiem. Moje pojawienie się w towarzystwie ma niewiele wspólnego z groźbami pani Ramsey.
  - Ona ma rację - odezwała się Greer. - Co tak naprawdę może zrobić pani Ramsey? Sądzę, że niewiele.
  - Och, wydaje mi się, że całkiem sporo - powiedziała ponuro Phoebe. - Zamierza zdobyć dwa tysiące funtów i jest zdecydowana zrealizować zamówienie Summerfielda bez względu na to, jaką cenę ja za to zapłacę.
  - Kim jest lord Summerfield? - spytała Greer. - Nie słyszałam o nim.
- Phoebe wzruszyła ramionami.
- Wiem tylko, że mieszka w Bedfordshire, w miejscu zwanym Wentworth Hall. Jego rodzina rzadko wyjeżdża ze wsi, a jego siostry nie zostały wprowadzone do towarzystwa.
  - Czy ona naprawdę oczekuje, że lady Phoebe Fairchild pojedzie do... do tego prowincjonalnego miejsca jako madame Dupree i będzie szyc ubrania jak jakaś zwykła szwaczka? - zawołała Ava.
  - Tak - odparła zdecydowanym tonem Phoebe.
  - Cóż za paskudna, żałosna kobieta! - dodała gniewnie Greer.
- Im dłużej rozmawiały, tym bardziej były przekonane, że nie ma sposobu, aby odmówić pani Ramsey, nie narażając przy tym na szwank reputacji Phoebe oraz pracy

Radnora i Middletona w parlamencie na rzecz ubogich kobiet.

Tak straszne konsekwencje były bardzo poważnym argumentem.

Ale jak mogła spełnić żądanie pani Ramsey i utrzymać swój sekret w tajemnicy? Będzie musiała przynajmniej zachować dla siebie prawdziwą tożsamość.

W końcu wspólnie doszły do wniosku, że Phoebe nie ma innego wyjścia, jak udawać w Bedfordshire kogoś, kim nie jest.

Parlament zakończył pracę i wszyscy uciekali przed londyńskimi upałami na wieś, by wrócić dopiero późną jesienią.

Kobiety ustaliły, że nikt z ich znajomych nie pochodził z Bedfordshire ani nie planował się tam udać.

W tym hrabstwie mogło znać Phoebe zaledwie kilka osób, ale ona żadnej z nich nigdy nie została oficjalnie przedstawiona. Trzeba było tu wymienić podstarzałego hrabiego Huntington, zdecydowanie zbyt niedołęznego, aby przyjmował gości, oraz rodzinę Russellów zamieszkałą w Woburn Abbey, która lato spędzała we Francji. Nie należało też zapominać o osławionej lady Holland, której londyńskie przyjęcia były legendarne. Co prawda miała dom w Bedfordshire, ale Ava dowiedziała się od lady Purnam - serdecznej przyjaciółki matki - że lady Holland pozostanie aż do jesieni w Eastbourne. Ryzyko, że Phoebe spotka na tym odludziu kogoś znajomego, było zatem naprawdę niewielkie.

Należało rozważyć jeszcze jeden problem - status Phoebe.

- Wdowa - zaproponowała Ava.

- Jak zmarł jej mąż? - spytała Greer.

- Nie mam pojęcia - odparła Ava, wzruszywszy ramionami, w których tuliła synka. - Jak zazwyczaj umierają mężczyźni? Spadł z konia albo coś takiego.



- Nie sądzę, żeby wielu mężczyzn ginęło w wyniku upadku z konia - powiedziała oschle Greer. - Może jakaś wyniszczająca choroba. To wystarczy, żeby nie zadawano pytań.
- Dobrze więc, a skąd pochodzę? - spytała Phoebe.
- Z wrzosowisk, na północ od Newcastle - odparła natychmiast Greer. - Nikt stamtąd nie pochodzi. To miejsce jest praktycznie niezamieszkane.
- I nie możesz być zbyt rozmarzona, Phoebe - ostrzegła ją stanowczo Ava. - Dobrze wiesz, że potrafisz być bardzo nieroztropna, kiedy zaczynasz bujać w obłokach.
- Wypraszam sobie, nie jestem nieroztropna - zaproponowała Phoebe.
- Nie, ale pozwalasz, żeby fantazje zagłuszyły twój zdrowy rozsądek.
- To absurd! Nic takiego nie ma miejsca!
- Masz dość bujną wyobraźnię - dodała życzliwie Greer. - Musisz uważać, żeby nie dać się jej ponieść. Jeśli ten plan ma wypalić, musisz skoncentrować się na pracy i swojej fałszywej tożsamości. Phoebe cmoknęła.
- Szczerze mówiąc, przy takiej ilości sukien, których wykonanie zleciła mi pani Ramsey, nie będzie czasu na sen, a co dopiero na marzenia czy rozmowy. Cóż mogłoby się nie udać?

## Rozdział drugi

Tkaniny, których Phoebe potrzebowała do uszycia sukien, zostały wysłane wozem zaprzężonym w muła, w pewien pogodny piątek, kiedy nad Londynem zawisł ciężki odór ścieków.

W następny poniedziałek Phoebe wyjechała o świcie publicznym dyliżansem, wciśnięta między przysadzistego mężczyznę, który cały czas ocierał kropelki potu ze skroni, i pogrążoną we śnie kobietę, której głowa opadała na ramię Phoebe.

Nie tak to sobie wyobrażała. Oczyma duszy widziała siebie podróżującą powozem, tajemniczą i egzotyczną wybawicielkę, niosącą wraz ze swoimi sukniami obietnicę odmiany losu wielu biednym kobietom. Za sprawą swej urody i wspaniałych kreacji wpadłyby w wir romansów i towarzyskich intryg, a madame Dupree miałyby satysfakcję, że spełniła dobry uczynek.

Z pewnością nie wyobrażała sobie tak przykrych okoliczności podróży jak te, których doświadczała. Po dwunastu koszmarnych godzinach dotarła do Greenhill, malowniczej wioski, w której bielone chaty pokryte były strzechą, a w oknach pyszniły się kolorowe wiosenne kwiaty w zielonych skrzynkach. W powietrzu unosił się słodki zapach jaśminu - było to urocze, sielankowe miejsce, takie, w którym Phoebe chętnie by zamieszkała. Od razu poprawił jej się humor - teraz mogła wyobrazić

sobie, jak pielęgnuje każdego ranka kwiaty przed chatą, potem maluje, czyta albo szyje - robi wszystko, na cokolwiek ma akurat ochotę.

Ava i Greer przyjeżdżałyby z Londynu i...

Nie. Nie chata. Mieszkałyby w czymś większym. I miałyby przynajmniej jednego służącego.

Tak czy siak, była niezmiernie szczęśliwa, że mogła wreszcie wysiąść z powozu w tej małej uroczej wiosce. Nakazano jej tutaj czekać na powóz z Wentworth Hall.

Obolała po długiej podróży, położyła sobie dłoń na plecach i wygięła się do tyłu.

- Madame Dupree?

Obróciła się gwałtownie i zobaczyła młodego mężczyznę. Był niski i nienagannie ubrany, a kiedy zdjął kapelusz, Phoebe ujrzała parę niespotykane spiczastych uszu.

- Bardzo miło mi panią poznać, *madame*. Nazywam się Addison, wysłano mnie po panią z Wentworth Hall. - Skłonił się tak nisko, że Phoebe mogła widzieć idealnie okrągłą łysinę na czubku jego głowy. - Proszę wybaczyć, że mojemu francuskiemu daleko do doskonałości, ale niech mi wolno będzie powiedzieć: *Enchante, madame*.

- Och, dziękuję - odparła Phoebe po angielsku. Nie przypuszczała, że ktoś zechce mówić do niej po francusku. - Ale ja jestem Angielką, *sir*. - Pan Addison wyglądał na zaskoczonego. - Mój mąż był Francuzem.

- Ach. Bardzo dobrze, *madame* - powiedział pan Addison, pochylając głowę. - Proszę iść za mną, wóz stoi nieopodal.

Wóz?

Mężczyzna wskazał na kufer, który miała ze sobą; umieścił go sobie na ramieniu i mrugnął do Phoebe.

- Tędy - odezwał się i dziarskim krokiem ruszył za róg pobliskiego budynku.

Phoebe szybko podążyła za nim. Wkrótce zasiadła na ławeczce wozu między dwoma mężczyznami.

W trakcie podróży do Wentworth Hall

pan Addison zadał sobie trud, by zwrócić jej uwagę na urocze miejsca, które mijali. Phoebe uznała, że okolica jest piękna, zwłaszcza w świetle zachodzącego słońca. Połacie żółtego rzepaku pokrywały pola otaczające wieś. W oddali widać było pasące się na wzgórzach owce i bydło, a kiedy zbliżyli się do lasu, pan Addison wskazał na stado siedmiu czy ośmiu koni pasących się w pobliżu ruin starej zagrody. Gdy powóz podjechał bliżej, zwierzęta uciekły.

- Dzikie konie - powiedział mężczyzna. - Czasami można natknąć się na nie w okolicach dworu, ale płoszą się, jeśli za bardzo się do nich zbliżyć. Nikomu nie udało się zagonić ich do zagrody, odkąd przeniosły się w tę okolice, żeby się rozmnożyć.

Dzikie konie! Cóż mogło być bardziej ekscytującego lub egzotycznego! A do tego były piękne - gniade, z białymi skarpetkami, smukłe i wysokie. Jej zadanie stawało się coraz bardziej pociągające. Madame Phoebe Dupree, projektantka eleganckiej odzieży i poskramiaczka dzikich koni. .

Wóz toczył się wśród sosen i dębów, których gałęzie wznosiły się wysoko ponad głowami podróżujących. Wkrótce koła zaturkotały na starym kamiennym moście w pobliżu jakichś ruin, po czym wóz zaczął toczyć się w górę, drogą wokół wzgórza. Kiedy znaleźli się na szczycie, ich oczom ukazał się Wenworth Hall, i Phoebe zaniemówiła zaskoczona tym widokiem.

Bo widok był zaiste wspaniały: czteropiętrowy budynek z co najmniej tuzinem kominów usytuowany w porośniętej bujną roślinnością dolinie.

Skęcili, przejechali przez kamienną bramę obok - także kamiennej - stróżówki, a potem dotarli do okrągłego podjazdu otaczającego dużą fontannę i trawnik, po którym kroczyły dwa pawie. W oddali widać było niewielką kamienną altanę i małe jeziorko, a na nim kilka łabędzi.

Był to piękny, sielankowy widok, który powinien znaleźć się na obrazie zdobiącym jakiś wspaniały salon. Przypominał Phoebe o Bingley Hall, gdzie spędziła najszcześniejsze chwile swojego dzieciństwa. Od dawna miała nadzieję, że kiedyś znowu zamieszka na wsi. Wyobrażała sobie dzieci - pragnęła mieć sporą gromadkę

- i zwierzęta, i różne leśne ścieżki, które można by odkrywać, i zachwycające widoki, które można by szkicować i malować.

- Rodzina Darbych rezyduje w Wentworth Hall od ponad dwustu lat. Posiadłość została wybudowana po koniec szesnastego wieku dla pierwszego hrabiego Bedford - powiedział Addison. - Był faworytem królowej Elżbiety.

- Robi wrażenie.

- Jego lordowska mość właśnie wprowadza kilka poważnych udogodnień - odezwał się z dumą Addison.

- Kiedy skończy renowację domu, nie będzie wspanialszej posiadłości w okolicy.

Phoebe dała się ponieść wyobraźni - była panią tego wspaniałego domu, która w sukni ozdobionej kryształowymi koralikami dopasowanymi do koralików na pantofelkach, stała na progu, witając przybywających gości. Wydawałaby uroczę przyjęcia z muzyką, grami i kolacjami podawanymi na tarasie. Podejrzewała, że dom miał jakiś taras. Każdy wielki dom miał taras.

Wóz zatrzymał się przed domem. Pan Addison zsiadł pierwszy, wziął spod ławki pudełko i postawił je na ziemi, po czym pomógł zejść Phoebe, a w tym czasie dwóch służących otworzyło drzwi wejściowe i pospiesznie ruszyło schodami w dół. Kiedy Phoebe stanęła na ziemi, wóz odjechał, pozostawiając za sobą tumany kurzu. Phoebe zakaszlała i machnęła ręką, żeby odgonić od siebie pył.

- Tędy, madame Dupree - powiedział pan Addison. Phoebe spojrzała na dom. Spodziewała się, że w środku zobaczy mnóstwo wspaniałych obrazów, francuskich

mebli i belgijskich dywanów. Tak, z pewnością spędzi tutaj przyjemnie czas. To piękne otoczenie będzie inspirować ją do stworzenia wspaniałych kreacji.

Ruszyła za panem Addisonem, ale kiedy wchodzili po szerokich kamiennych schodach prowadzących do drzwi wejściowych, zatrzymał ich przerażający, mrozący krew w żyłach krzyk. Chwilę później na zewnątrz wybiegła młoda kobieta z rozpuszczonymi włosami. Jej suknia poplamiona była na wysokości ud i kolan.

- Utnę ci głowę, Roger - wrzasnęła. - Wbiję ją na pal przy bramie! Will! Will! - zapiszczała, mijając Phoebe na schodach.

Zszokowana Phoebe obserwowała, jak dziewczyna wybiegła na spotkanie zbliżającemu się szybko jeźdźcowi. Jeździec zahamował gwałtownie i klnąc, zawrócił konia.

- Will! Musisz tu przyjść! - zawołała błagalnie dziewczyna, zupełnie nieświadoma katastrofy, której przed chwilą uniknęła.

Jeździec spojrział w prawo; Phoebe przez ułamek sekundy popatrzyła w jego brązowozielone oczy, po czym mężczyzna odwrócił wzrok.

Phoebe nigdy nie widziała mężczyzny, który siedziałby na koniu tak jak on. Zwinnie zeskoczył na ziemię i podszedł do długowłosej dziewczyny, położył dłoń na jej ramieniu i powiedział coś, co usłyszała tylko ona.

Dziewczyna nagle odwróciła się i zerknęła na Phoebe.

- Proszę o wybaczenie, *madame*.

Nie wiedząc, co zrobić lub powiedzieć, Phoebe dygnęła.

Mężczyzna objął długowłosą ramieniem i ruszył z nią przed siebie, zatrzymując się na schodach, gdzie stała lady Fairchild. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i muskularną, atletyczną sylwetkę. Ścisnął ramię swej młodej towarzyszki, która po chwili wbiegła do budynku, a potem spojrział na Addisona.

- Każ przynieść pocztę do mojego pokoju.

- Oczywiście, jaśnie panie. Niech mi będzie wolno, milordzie, przedstawić krawcową, madame Dupree.

Postawny młodzieniec przeniósł wzrok na Phoebe; zauważyła, że jego oczy były bardziej zielone niż brązowe i miały złote plamki - te kolory przywodziły jej na myśl jesień. Odziany był bardzo szykownie - miał na sobie płaszcz do konnej jazdy, który idealnie opinał jego sylwetkę, krawat, wsunięty pod haftowaną kamizelkę, i wypolerowane na wysoki połysk wellingtony. Nie nosił nakrycia głowy, a słońce zostawiło w jego złotych włosach białe pasemka. Jego gładko ogolona twarz była opalona. Choć ubierał się jak większość mężczyzn, było w nim coś, co zupełnie nie przypominało dżentelmenów, których spotykała w Londynie. Ani gdziekolwiek indziej.

Ten mężczyzna sprawiał, że Phoebe brakowało tchu w piersiach.

Bardzo się starała nie gapić na niego jak niemądre dziecko, ale nie była w stanie oderwać wzroku.

- Witam. - Odwrócił się w stronę konia, nie czekając na odpowiedź.

- Prawdę powiedziawszy, jaśnie panie - odezwała się Phoebe - jestem stylistką.

Stojący obok niej Addison spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, a końcówki jego uszu zaczerwieniły się. Summerfield spojrzał na nią przez ramię.

- Słucham?

Phoebe uśmiechnęła się promiennie.

- Jestem stylistką. Krawcowa szyje, a ja projektuję stroje.

Summerfield odwrócił się do niej. Wyglądał na trochę zaskoczonego.

- Dziękuję za informację - odezwał się głębokim głosem z delikatnym akcentem, którego Phoebe nie mogła zidentyfikować. - Nie wiedziałem.

- Nie spodziewałam się, że będzie pan wiedział - odparła bezceremonialnie.

- Ach - powiedział i jeszcze raz się jej przyjrzał. - Witamy w Wentworth Hall, madame Dupree. Addison zaprowadzi panią do jej pokoi. - Przeniósł wzrok na Addisona, po czym znowu się odwrócił i dosiadł konia.

Ruszył galopem i zdecydowanie zbyt szybko zniknął za rogiem budynku.

Addison odchrząknął; Phoebe uświadomiła sobie, że patrzy za Summerfieldem, i zarumieniła się.

- Tędy, proszę - powiedział i poprowadził ją do domu. W sam środek chaosu.

Remont, o którym mówił Addison, trwał w najlepsze. Widząc w holu rusztowanie, Phoebe spojrzała w górę, gdzie malowano sufit. Na marmurowej podłodze leżały wielkie pasy materiału. Addison przedstawił ją lokajowi, panu Farleyowi, który bezzwłocznie zaprowadził lady Fairchild do jej pokoi. Gdy wspinali się na trzecie piętro, na każdej kondygnacji słychać było odgłosy piłowania i walenia młotkiem, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

W tym momencie Phoebe usłyszała trzaśnięcie drzwiami i podniesione głosy. Najwyraźniej pan Farley także to usłyszał, ponieważ przyspieszył kroku i podniósł głos, wskazując różne rzeczy w domu i ostrzegając ją, by uważała, gdzie stąpa, gdyż wszędzie porozrzucone były narzędzia i wiadra, a meble zostały przesunięte na środek korytarza.

- Remont został zakończony we wschodnim skrzydle, gdzie mieszka rodzina - wyjaśnił Farley, kiedy przeciskali się obok drabiny. - A prace w zachodnim skrzydle powinny się skończyć na początku przyszłego roku.

Dotarli do ostatniego odcinka schodów, które były tu znacznie węższe niż wcześniej. Phoebe domyśliła się, że pokoje na najwyższym piętrze przeznaczone są dla służby, do której będzie się zaliczała przez następne sześć albo osiem tygodni.



Po prawej stronie znajdował się rząd zamkniętych drzwi. Po lewej było tylko dwoje drzwi. Farley wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył pierwsze z nich.

Kiedy weszła do pokoju, jej serce ścisnęło się pod wpływem rozczarowania. Nie takiego pomieszczenia spodziewała się jako francuska stylistka. Była to niewielka sypialnia z wąskim łóżkiem w rogu, przykrytym wypłowiałą narzutą. Znajdowały się tam również kominek, komoda i mała toaletka. Ze ścian łuszczyła się farba; drewniana podłoga była stara i porysowana.

- Pracownia - powiedział Farley, podchodząc do znajdujących się w sypialni drzwi. Wchodziło się przez nie do sąsiedniego pokoju.

Jej pracownia pokryta była grubą warstwą kurzu, co oznaczało, że od dawna jej nie używano. W pomieszczeniu stało kilka połamanych mebli. Tkaniny i przybory do szycia, które wcześniej przysłała pani Ramsey, rzucono na chybił trafił w kąt pokoju. Ktoś przynajmniej pomyślał, żeby pod spód podłożyć płótno, by chronić materiały przed zabrudzeniem. Tak samo jak i w innych pokojach, tu także farba odchodziła ze ścian, a na suficie widać było zacieki.

Jednak pokój znajdował się na końcu skrzydła i we frontowej części domu, więc na trzech ścianach były wysokie prawie na dwa metry okna. Phoebe zrobiła krok ponad gruzem, żeby wyrzeć przez okno. Oparła dłoń o framugę i pochyliła się do przodu. Przez okno widać było bujną zieleń, barwny ogród i podjazd.

- Jutro pani Turner, gospodyni, przyniesie pani wiadro wody i ług, a także ścierki i szczotkę na kiju - poinformował ją Farley.

- Och? - odezwała się Phoebe, marszcząc z zakłopotaniem brwi. - To znaczy...?

- Niebawem służący rozpali w kominku - kontynuował Farley, najwyraźniej mając na myśli to, czego się

obawiała. Spodziewano się, że sama posprząta te pokoje. - Czy coś jeszcze?

- Nie, dziękuję - odparła trochę poirytowana.

Uklonił się i zostawił ją samą.

Phoebe stała przez chwilę bez ruchu. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie sławną stylistkę we wspaniale urządzonej pracowni. Westchnąwszy, otworzyła oczy, ściągnęła rękawiczki i rzuciła je razem z czepkiem i torebką na stare krzesło. Rozejrzała się. Pomyślała, że doprowadzenie obu tych pomieszczeń do porządku będzie wymagało sporo pracy. I wyglądało na to, że będzie musiała podołać temu sama. Chyba powinna w jakiś sposób okiełznać swoje fantazje.

Podeszła do zachodniego okna i spojrzała na malujący się za nim w świetle zachodzącego słońca wspaniały widok. Zobaczyła falujące zielone trawniki, rozległe ogrody i las w oddali. Uśmiechnęła się, przenosząc wzrok na przystrzyżoną trawę tuż pod oknami i wyobraziła sobie, jak by to było stąpać po niej boso.

Przed domem pojawiły się dwie osoby. Jedną z nich był siedzący na wózku inwalidzkim starszy mężczyzna z przerzedzonymi siwymi włosami. Nogi miał przykryte kocem, a ręce skrzyżowano mu na kolanach. Osobą, która pchała wózek przez trawnik, był Summerfield - rozpoznała jego płaszcz do konnej jazdy.

Mężczyźni zatrzymali się przy fontannie i obserwowali zachodzące za las słońce, pozostając tam aż do zmroku.

### Rozdział trzeci

Nikt nie pomyślał o tym, żeby przynieść Phoebe jakąś kolację, a ponieważ nie miała pojęcia, czy wypadało poszukać pożywienia na własną rękę, poszła do łóżka wcześniej i z pustym żołądkiem. Jakiś czas później obudziły ją podniesione głosy dobiegające przez przewód kominowy. Usiadła gwałtownie na łóżku i wpatrywała się w ciemność, wyteżając słuch. Kłóciło się co najmniej dwóch mężczyzn, a jakaś kobieta płakała.

Zaszokowała ją ta kłótnia. Phoebe położyła się, naciągnęła kołdrę pod brodę i przykryła głowę poduszką, żeby nie słyszeć głosów. I usiłowała zasnąć. Ale było to niemożliwe - kłótnia trwała aż do rana.

Dziewczyna miała wrażenie, że prawie wcale nie spała.

Nagle wstrząsnął nią ogłuszający odgłos uderzeń młotka. Kiedy rozległ się pierwszy głuchy stukot, zerwała się z łóżka, głośno wciągając powietrze.

Była bardzo zagniewana, kiedy się myła i ubierała. Było tak wcześnie! Kto zaczyna pracę o tak nieludzkiej godzinie?

Zastanowiła się, kiedy ktoś przyniesie jej ług i wodę. Albo coś do jedzenia, na Boga. Może mogłaby się przejść. Lubiła spacerować - odzyskiwała wtedy jasność myślenia. Bóg raczy wiedzieć, kiedy nadarzy jej się okazja do spaceru, gdy już zacznie pracować.

Wzięła szal i wyszła z pokoju.

Wyszła na zewnątrz, otuliła się szalem i ruszyła w stronę, w którą wczoraj odjechał wicehrabia, za róg domu. W pewnym miejscu ścieżka rozwidlała się - najwyraźniej ta po lewej prowadziła do stajni, ale ta po prawej wiodła przez kutą furtkę do najbardziej okazałego ogrodu, jaki zdarzyło jej się widzieć. Szła powoli, a tren jej bladożółtej sukni nasiąkał rosą. Ścieżka biegła do kolejnej furtki, za którą znajdował się trawnik. Panowała całkowita cisza, nie było słychać nawet najlżejszego podmuchu wiatru. Phoebe poczuła zapach wody i ryb, i ruszyła w stronę, skąd dochodził.

Wystraszyło ją nagle końskie prychnięcie. Zamarła, wstrzymując oddech. Chwilę jej zajęło, nim zdołała dostrzec coś we mgle. To było stado koni. Przywodziły na myśl duchy.

Wypuściła powietrze z płuc. Stała bez ruchu, obserwując zwierzęta i słuchając chrzęstu trawy w ich pyskach. Ciepło końskich ciał rozpraszało mgłę, i wtedy uświadomiła sobie, że widziała je już wczoraj. Były to wspaniałe stworzenia, duże, piękne i pełne gracji. Pasły się niespiesznie przy ścieżce w odległości kilkunastu metrów od miejsca, w którym stała.

Jako dziecko świetnie jeździła wierzchem. Teraz rzadko miała po temu okazję, jednak wciąż czuła wielką sympatię do tych zwierząt i miała ogromną ochotę ich dotknąć. Z mocno bijącym sercem ostrożnie ruszyła do przodu. Wyobraziła sobie siebie jadącą latem po łąkach na grzbiecie największego z ogierów - tego samego, który nagle podniósł głowę i zastrzygł uszami. Widział ją doskonale, jednak zupełnie nie przejmował się jej obecnością i opuścił łeb, by znowu skubać trawę. Ostrożnie zrobiła kolejny krok. Dwa konie się odsunęły, ale ten jeden - największy, gniady - został na miejscu, najwyraźniej zadowolony ze smakowitego śniadania. Pragnęła dotknąć jego jedwabistej grzywy, pogłodzić długą szyję i pysk, i odruchowo wyciągnęła rękę.

Zignorował ją, a wręcz odwrócił się nieznacznie, jakby nie chciał jej widzieć.

Wtem zauważyła coś kątem oka. Obróciła ostrożnie głowę i spostrzegła stojącego zaledwie kilka metrów dalej Summerfielda. Od razu podniósł palec do ust, dając jej znak, żeby była cicho, i skinął głową na ogiera, przyglądając mu się uważnie i jednocześnie bezszelestnie podchodząc do dziewczyny.

Zatrzymał się za jej plecami. Jakimś cudem Phoebe udało się zachować spokój, chociaż czuła, że mężczyzna stoi zbyt blisko. Jej suknia ocierała się o jego nogi. Przeszedł ją dreszcz; Summerfield chwycił ją za łokieć, jakby chcąc ją podtrzymać, potem przesunął dłoń do jej nadgarstka i zacisnął na nim palce. Powoli uniósł do góry rękę dziewczyny, wewnętrzną stroną dłoni zwracając ku górze. Jej ramię płonęło, a skóra wydawała się skwierczeć w miejscu, w którym mężczyzna jej dotykał. Wtem położył coś Phoebe na dłoni i zacisnął na tym jej palce. Drugim ramieniem objął ją w talii, przyciągając do swojego torsu.

Och, dobry Boże, czuła całą sobą każdy centymetr jego umięśnionego ciała, a jego ciepły oddech na swoim uchu, i krew szybciej zaczęła krążyć jej w żyłach. Zerknęła na ramię, które ją obejmowało - miał duże dłonie, a z boku nadgarstka widać było dziwne znamię, grubą czarną linię, która wyłaniała się spod mankietu.

Wciąż trzymając ją za rękę, Summerfield pchnął ją lekko do przodu i ruszył zaraz za nią, jakby zamierzał z nią zatańczyć.

Wielki rudy koń uniósł głowę i utkwił spojrzenie w Phoebe. Wytrzymała jego wzrok, podtrzymywana żelaznym uściskiem Summerfielda.

Nozdrza konia rozszerzyły się i zwierzę popatrzyło na jej dłoń. Phoebe pospiesznie odsłoniła to, co tam trzymała. Summerfield znowu delikatnie popchnął ją

do przodu. Wtedy koń całkowicie zwrócił się w jej stronę, przyglądając się im obojgu, po czym potrząsnął łbem, rzucił grzywą i ruszył do przodu. Summerfield mocniej ścisnął dziewczynę w pasie; nie wiedziała, co było dla niej bardziej podniecające - to, że trzymał ją w ten sposób, czy to, że ten olbrzymi, dziki koń szedł wprost na nią.

Gdy do niej podszedł, wsunął pysk w jej dłoń i chwycił, jak zdążyła zauważyć, daktyle. Z trudem powstrzymywała chichot. Koń zjadł owoce, po czym znowu wcisnął nozdrza w jej rękę w poszukiwaniu kolejnych smakołyków. Kiedy uniósł głowę i zbliżył nos do jej twarzy, myślała, że wybuchnie niepohamowanym śmiechem.

Cofnęła się, ale Summerfield stał za nią murem. Pogłaskał ją uspokajająco po ramieniu, jednocześnie wyciągając drugą rękę do konia. Niestety ogier nie miał dzisiaj ochoty być dotykany, więc odsunawszy łeb od dłoni Summerfielda, z gracją pokłusował do dwóch kompanów ze stada. Dwa mniejsze konie ruszyły za nim i cała trójka popędziła brzegiem jeziora, ginąc we mgle.

Mimo to Summerfield jej nie wypuszczał z uścisku.

- Proszę wybaczyć moją poufałość - powiedział niskim głosem wprost do jej ucha. - Nie chciałem jedynie, by coś się pani stało. - Dopiero teraz zabrał rękę i z zalem się odsunął, a Phoebe od razu poczuła na plecach chłód.

Mężczyzna spojrzał na jej promienny uśmiech i nagle sam się uśmiechnął.

- Nie jestem bojaźliwa - powiedziała Phoebe w radosnym uniesieniu, przypominając sobie, że jest madame Dupree. - Prawdę mówiąc, niewiele rzeczy może mnie wystraszyć. Koni zdecydowanie się nie boję.

- Och? Aż taka jest pani odważna? - Był wyraźnie rozbawiony.

- Hm. - Zerknęła na miejsce, gdzie przed chwilą stał ogier. - Jest piękny.

- To prawda - odparł Summerfield i przyjrzał jej się uważnie. - Proszę mi wybaczyć, madame Dupree, ale jeśli nie boi się pani dzikiego rumaka, to czego się pani boi, jeśli wolno spytać?

Dzikich, nieokiełznanych mężczyzn. Mężczyzn, którzy emanują męskością i siłą. Kiedy nie odpowiedziała, spojrział jej prosto w oczy.

- Czy boi się pani mnie?

Mogła sobie wyobrazić, że kobiety w całej Anglii rozpływały się z rozkoszy, kiedy tylko na nie spojrział.

- Pana? Nie! - odparła z uśmiechem, który miał ukryć zmieszanie. - Och, nie! Ani trochę... - Urwała i zerknęła na niego. - Chyba że... powinienam?

Kącik jego ust uniósł się nieznacznie w uśmiechu.

- To chyba zależy od tego, co taka piękna młoda kobieta jak pani uzna za groźne w mężczyźnie.

Dobry Boże, on z nią flirtował. Czowała zabawne łaskotanie w brzuchu i piersiach, a jej dłonie zwilgotniały.

Chyba wyczuł, jak działał na nią jego uśmiech, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przypomina mi pani moje siostry - odezwał się. - One też niczego się nie boją. Może powinna pani wrócić do pracy nad ich garderobą. Zna pani powrotną drogę do domu?

- Ja? Tak. Tak, oczywiście.

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnął się, dotknął dłonią czoła i Phoebe dostrzegła tę dziwną wijącą się czarną linię na jego nadgarstku.

Zdecydowanym krokiem odszedł w tę samą stronę, w którą pobiegły konie.

Patrzyła za nim, mocniej otuliwszy się szalem. Kiedy zniknął jej z oczu, westchnęła.

- Och, madame Dupree - mruknęła do siebie i z ociąganiem zawróciła do domu.

\* \* \*

Kilka godzin później Will spotkał się w Greenhill z przyjacielem z dzieciństwa, Henrym Ellisonem. Kiedy Will wrócił z zagranicy, czuł się tu niemal jak w obcym kraju - wszystko było inne niż zapamiętał, a to, co zapamiętał, uwierało go jak źle skrojony płaszcz. Ale Henry go odnalazł i był szczerze uradowany, że po tylu latach znowu go zobaczył. Urósł kilka centymetrów, a jego niegdyś gęste brązowe włosy teraz zaczęły się przerzedzać. Jednak niebieskie oczy i radosny uśmiech pozostały takie same. Nalegał, żeby pomóc Willowi ponownie wejść w środowisko angielskiego ziemiaństwa. Był jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miał William.

Spotkali się w pubie na piwie. Henry był w wyśmienitym nastroju. Dopiero co wrócił z Londynu, gdzie ostatnio spędzał dużo czasu. Mieszkała tam kobieta, która najwyraźniej bardzo mu się podobała, i nawet niespecjalnie mu przeszkadzało, że jest mężatką. Nigdy nie był specjalnie wybredny, jeśli chodziło o płeć piękną. Szczerze mówiąc, Will również.

Kiedy Will podawał dwa szylingi kelnerce, Henry zerknął na wystający spod mankietu tatuaż.

- Obnosiłeś się z tym, co? - spytał, nim upił łyk piwa.

- Z czym? - spytał Will, spoglądając na swoją rękę. - Z tym? - Wskazał na tatuaż.

- Tak, z tym. Udało ci się zgorszyć moją drogą matkę.

- Jak to? - spytał Will, ponieważ nie widział matki Henry'ego od czasu ostatniej wizyty w kościele na mszy -jakiś miesiąc lub więcej temu.

Henry pochylił się nad stołem.

- Lordzie Summerfield, nie wiesz, że całe hrabstwo mówi o twoim tatuażu? - wyszeptał głośno. -

Podobno podwinąłeś rękawy, żeby pomóc jakiemuś biedakowi zmienić koło w wozie, a teraz wszyscy są niezmiernie podekscytowani tym kawałkiem węża, który wystaje z twojego rękawa.



Will nieznacznie podciągnął rękaw i popatrzył na rysunek. W noc, kiedy go wytatuował, był gościem w pałacu indyjskiego księcia. Miał tak długie włosy, że związywał je w kucyk skórzanym rzemieniem i ubierał się w *dhoti kurta*, długą szatę noszoną przez indyjskich dżentelmenów. W trakcie wieczoru uraczył się fajką *hookah*, którą poczęstował go książę, i w jakiś czas po tym - wspomnienia były trochę zamazane - zgodził się, by zrobiono mu tatuaż.

- Ten wąż wiję się wokół starożytnego hinduskiego symbolu pokoju i dobrobytu - odezwał się.

Podniósł wzrok na Henry'ego. - To sztuka.

- To diabelstwo - odparł radośnie Henry. - O tym właśnie przekonuje moją matkę pani MacDonald, żona wikarego.

- Diabelstwo?

- Diabelstwo. Ale możesz być pewien, że stanąłem w twojej obronie. - Henry mrugnął i wypił kolejny łyk piwa.

- Co to znaczy, że stanąłeś w mojej obronie? - spytał Will, ściągając brwi.

- Kiedy panie zaczęły cię obgadywać - powiedział bez troski Henry. - Przyjaciółki mojej matki. Były w jej pokoju, omawiając jakąś kościelną imprezę - nie bardzo wiem jaką, bo takie tematy mnie nudzą i natychmiast przestaję słuchać - ale kiedy poruszono temat twojego nadgarstka i panie zaczęły rzucać takie słowa jak poganin, po prostu musiałem wkroczyć.

- I co powiedziałeś?

Henry z brzękiem odstawił kufel.

- A jak sądzisz, mój dobry przyjacielu? Powiedziałem im, że rzeczywiście jesteś poganinem! - odparł i roześmiał się. - Co miałem powiedzieć? Całe to gadanie o twojej podróży duchowej... Przez ciebie bałem się o własną duszę!

- Ostatnią rzeczą, jakiej powinna obawiać się twoja dusza, jest gadanie o mojej podróży duchowej - powiedział Will z cierpkim uśmiechem. - Sądzę, że twojej duszy bardziej szkodzi twój potajemny romans z panią Montaine.

- Uważaj! - szepnął Henry i rozejrzał się po zatłoczonym barze, żeby sprawdzić, czy ktoś to słyszał. Uspokojony, wyszczerzył do Willa zęby w uśmiechu. - Wiesz, Summerfield, muszę przedstawić cię jej siostrze...

- Raczej nie - odparł William i dopił resztkę piwa. - Mam wystarczająco dużo roboty z moimi braćmi i siostrami. A skoro o tym mowa, to powinienem już wracać do domu. Bóg raczy wiedzieć, jakich zniszczeń dokonali dzisiejszego popołudnia.

- Och, do diabła, napij się jeszcze piwa. Jeśli nikomu nie stała się krzywda, to możesz sobie na to pozwolić.

Will został, ale czuł się niezręcznie. Chyba po prostu już nie bardzo wiedział, jak wpasować się w wiejskie życie. Za długo go tu nie było, zbyt wiele przeżył, żeby tak po prostu zacząć w miejscu, w którym wyjechał.

Odkąd przekroczył próg Wentworth Hall po sześcioletniej nieobecności, czuł się jak ryba pozbawiona wody. Nie dało się ukryć, że był innym człowiekiem. Nie miał jednak pewności, kim się stał.

## Rozdział czwarty

Gdy Phoebe została przedstawiona w kuchni i dostała ciepły posiłek, pan Addison poinformował ją, iż lady Alice i lady Jane obecnie przebywają z wizytą u swojej starszej kuzynki w Leicestershire i wrócą dopiero za dwa dni, więc Phoebe powinna wykorzystać wolny czas na posprzątanie i zorganizowanie pracowni.

- Czy ktoś mógłby mi pomóc? - spytała ponuro. Addison był wyraźnie zaskoczony jej pytaniem.

- Wyszorować podłogę? - zapytał, jakby nie mógł uwierzyć.

- Och, dobrze - odezwała się Phoebe trochę rozdrażniona. - Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Wyszorowała podłogi, wymiotła pajęczyny z kątów i umyła okna. Znalazła lokaja, Billy'ego, który zabrał z pokoju połamane meble. A od Farleya, kamerdynera, wydebiła długi stół do pracy i trzy krzesła.

Praca była bardzo wyczerpująca fizycznie - dotychczas nie miała pojęcia, jak ciężko haruje służba.

Była tak zmęczona, że swoje pokoje opuszczała jedynie z powodu obiadu i porannego spaceru.

Każdego ranka spotykała dzikie konie, ale choć bardzo starała się do nich zbliżyć, one zawsze uciekały.

Często myślała o Summerfieldzie. Jakoś nie mogła wyrzucić go z pamięci. Cudowne uczucie, które jej towarzyszyło, gdy tak bardzo się do niej zbliżył, i jego zupeł-

ny brak zainteresowania konwenansami były niesamowicie intrygujące. Rozmyślała o jego przystojnej twarzy, frapujących oczach, silnych dłoniach i tej tajemniczej czarnej linii na nadgarstku. Jeszcze żaden mężczyzna nie zrobił na niej takiego wrażenia - a zdarzało się, że różni mężczyźni jej imponowali: służący, kiedy miała dwanaście lat, pan Fran Byers, syn wikarego, który zaciągnął się do armii, i lord Lithgow, którego podziwiała z oddali, ponieważ był, niestety, szczęśliwie żonaty.

Jednak Summerfield zapadł jej w serce jak żaden inny-

Pracując w swoich pokojach na najwyższym piętrze Wentworth Hall, Phoebe mogła widzieć, kto wchodzi i wychodzi, a ruch był znaczny. Poza Summerfieldem - który pędził na koniu bez kapelusza, pochylony jakby był na wyścigach - Phoebe dostrzegła jeszcze dwóch mężczyzn. Ponieważ obaj byli podobnej postury i mieli takie same złote włosy jak Summerfield, podejrzewała, że byli rodziną. Pewnego razu usłyszała odgłosy kłótni i podeszła do okna, za którym zobaczyła Summerfielda spokojnie stojącego na podjeździe, podczas gdy towarzyszący mu wzburzony mężczyzna na coś pomstował.

Zauważyła, że w tym domu toczyło się sporo kłótni. Nie była w stanie od nich uciec - słyszała je przez przewód kominowy, a także mówili jej o nich służący, z którymi zaczęła się zaprzyjaźniać.

Pani Turner, gospodyni w Wentworth, była wesołą kobietą. Pierwszego dnia przyszła po południu do pokoju Phoebe z Friedą, pokojówką. Frieda, jak wyjaśniła pani Turner, miała pomagać Phoebe przy szyciu i innych rzeczach. Pokojówka uśmiechnęła się potulnie i niezdarnie dygnęła. Wyglądała na rówieśniczkę Phoebe. Jej szarobrązowe włosy wystawały spod podniszczzonego czepka, a ubrana była jak wszystkie pokojówki, w czarną suknię. Miała duże, wyraziste brązowe oczy w kształcie migdałów.

Kiedy pani Turner wyszła, Frieda natychmiast się ożywiła.

- Niech mnie szlag! - zaklęła, siadając bez pytania na jednym z krzesel. - Myślałam, że chciała mnie ukarać tym gadaniem o igłach. Powiem ci, że nic mnie nie obchodzą robótki ręczne.

- Och? - odezwała się Phoebe, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- O, całkiem ładne - powiedziała Frieda, przyglądając się belom materiału. - Wszystkie dla szczeniaków, co? Może uszczkniesz trochę dla nas?

Phoebe głośno wciągnęła powietrze. Zaskoczona Frieda roześmiała się i cmoknęła.

- Nigdy niczego sobie nie uszczknęłaś? Muszą ci nieźle płacić w Londynie, sądząc po twoich sukniach.

Phoebe spojrzała na suknię, którą sama sobie uszyła. Była w kolorze złotej pszenicy, jaka rosła w Broderick Abbey, wiejskiej posiadłości markiza Middletona.

- Nigdy niczego sobie nie zatrzymałam! I na pewno nie pozwolę uszczknąć niczego tutaj - powiedziała stanowczo, zapominając na moment, że nie była panią tego domu.

- Dobrze, dobrze - odparła pojednawczo Frieda.

- A więc pochodzisz z Londynu? - Wyciągnęła przed siebie nogi i położyła je na sąsiednim krześle. -

Byłam w Londynie - powiedziała i zaczęła recytować wszystko, co kiedykolwiek usłyszała o

Londynie. Większość z tych rzeczy potwierdziła się, gdy była w Londynie wraz z ojcem. Kiedy

Phoebe wreszcie nakłoniła Friedę, aby chwyciła za szciotkę - zrzucając nogi dziewczyny z krzesła

- ta zamiatając, nie przestała trajkotać o służącym imieniem Charles, w którym najwyraźniej była zadurzona, i którego dobrze znała.

Phoebe, zaszokowana i pochłonięta gadaniną Friedy, nigdy wcześniej nie słyszała, by kobieta tak swobodnie rozmawiała o swoim intymnym związku z mężczyzną.

Nawet Ava, która nie była nieśmiała w kwestiach dotyczących ciała, rumieniła się i zaczynała się jąkać, gdy wspominała o fizycznych kontaktach z mężem.

Ale nie Frieda - ta dziewczyna mówiła w taki sposób, jakby miała okazję poznać się z różnymi mężczyznami.

Na szczęście następnego dnia pojawiła się pani Turner, żeby pomóc przy sprzątanii. Dzięki temu Frieda była bardziej pomocna i mniej rozmowna.

Pani Turner bez skrepowania opowiadała o tym, co się dzieje w posiadłości. Phoebe bardzo polubiła tę pulchną kobietę. Miała pogodne usposobienie i była życzliwa, i właśnie od niej Phoebe dowiedziała się, że Summerfield przez ponad sześć lat podróżował w poszukiwaniu przygód.

- Jakich przygód? - spytała.

- Och, jak mówi pan Addison, wszelkich, które człowiek może przeżyć - odparła pani Turner. - Na przykład wspinaczka w Himalach.

- Himalach... chodzi pani o Himalaje?

- Tak, właśnie. I pływał po Morzu Śródziemnym na statku kupieckim, tak samo jak mój dziadek. Statek się rozbił. Niemal poszedł na dno. Ale jego lordowska mość uratował kilkunastu marynarzy. Addison mi o tym opowiadał.

Phoebe wpatrywała się w panią Turner z rosnącym zdumieniem.

- Och! I jeszcze wielbłądy! - kontynuowała pulchna kobieta. - Jechali na wielbłądach przez pustynię egipską, choć mieszkają tam ci różni barbarzyńcy, i to tylko po to, by zobaczyć jakieś ruiny czy coś takiego. - Prychnęła. - Jakbyśmy nie mieli tutaj wystarczająco dużo ruin do oglądania. Ale to w Indiach otrzymał symbol bestii.

- Co takiego? - spytała zauroczona Phoebe.

- Nie widziała pani tego, co? - Wskazała na swój nadgarstek. - W tym miejscu. Addison mówi, że to symbol z Indii. Uważam, że to okropne zrobić sobie coś takiego. To prawie jak świętokradztwo.

- Na miłość boską! - zawołała Frieda.

Phoebe nie uważała tego za świętokradztwo. Tatuaż był piękny. W jej głowie pojawił się obraz Summerfielda na szczycie góry albo za sterem statku, żeglującego po wzburzonych morzach i z narażeniem życia wyciągającego marynarzy z wody.

- Jego lordowska mość jest niezwykle ciekawy - powiedziała pani Turner. - Pojechałby do Chin, gdyby nie to, że stary hrabia zachorował.

- Długo już pani jest w Wentworth, co? - spytała Frieda.

- Aż wstyd się przyznać, jak długo - odparła wesoło pani Turner. - Poza tym rokiem, kiedy nie było tutaj żadnej służby. Ale wróciłam, jak tylko jaśnie pan poprosił, bo zostałam przyjęta do pracy jako pokojówka, tak jak ty, Friedo. - Na chwilę przerwała szorowanie ramy okiennej. - To był taki cudowny czas, kiedy jego lordowska mość był chłopcem i żyła jego matka. Jednak kiedy dorósł, trudno mu było usiedzieć w miejscu, jak to często bywa z młodymi mężczyznami. Stary hrabia pozwolił mu wyruszyć w podróż, powiedział, żeby się wyszumiał i wrócił. - Zapatrzyła się tęsknie w widok za oknem. - Wrócił do domu, to prawda, ale zdaje mi się, że jako zupełnie inny człowiek. Już nie jest taki jak my.

- Co to znaczy? - spytała Phoebe. - Jak kto?

- Jak ludzie ze wsi - odparła pani Turner. - Ale nie chcę przez to nic powiedzieć. Po prostu ma teraz inną wrażliwość, to wszystko. Zaszywa się w swoim pokoju z pamiątkami z podróży i nosi ten okropny naszyjnik pod krawatem.

- Może wciąż ma zamiłowanie do podróży - powiedziała Frieda. - Ale na jakiego przystojnego mężczyznę wyrósł, co? Przystojny jak diabli.

- Przystojny i do tego z taką fortuną, że stał się najbardziej pożądanym kawalerem, jaki mieszkał w tym hrabstwie od wieków - odezwała się pani Turner i obie z Friedą się roześmiały. - Daję słowo, że w życiu nie wi-

działam w Wentworth Hall takiego tłumu gości, jaki pojawił się tutaj od powrotu Summerfielda. Chyba w całej Anglii nie ma tylu niezamężnych młodych dam, ile obecnie jest w Bedfordshire. I zupełnie im nie przeszkadza, że on jest poganinem.

- A dlaczego miałyby im przeszkadzać? - spytała Frieda. - Majątek tego człowieka jest tak wielki, że bez trudu mu wybaczą jeden czy dwa tatuaże.

Kobiety znowu się roześmiały.

- Jak temu biedakowi uda się kiedykolwiek wybrać żonę spośród nich? - spytała pani Turner, wracając do szorowania ramy okiennej. - A bez wątpienia wybierze. Życzeniem umierającego starego hrabiego jest, aby syn się ożenił.

- Farley mówi, że on się nie ożeni, dopóki nie skończy się remont i lady Alice oraz lady Jane nie wyjdą za mąż, bo się obawia, że mogłyby przerazić jego świeżo poślubioną małżonkę na śmierć - dodała Frieda.

- Ach, te dwie! - odparła pani Turner. - A chłopcy? Ileż ta rodzina ma z nimi kłopotu! Uważam, że pan Joshua Darby jest za stary na to, by hasać tak jak hasa.

- Niezłe z niego ziółko. Słyszała pani, że nie chciał zapłacić długu karcianego? - szepnęła Frieda.

- Strasznie się kłóca - westchnęła pani Turner. - Lord Summerfield próbuje zrobić z Joshuy dżentelmena, ale... - zerknęła na Phoebe i nagle się wyprostowała. - Frieda - powiedziała stanowczo pani Turner. - Madame Dupree nie miała okazji poznać żadnego z nich i nie wypada źle o nich mówić.

- Dobrze - odparła wesoło Frieda. - Zadowolimy się myśleniem - powiedziała i się roześmiała, kiedy pani Turner spojrziała na nią surowo.

Ale było za późno - wyobraźnia Phoebe pracowała już na pełnych obrotach.



## Rozdział

Któregoś ranka, kiedy Phoebe w wysprzątej i dobrze zorganizowanej pracowni składała druciane formy mające posłużyć jej jako krawieckie manekiny, Addison poinformował ją, że lady Alice i lady Jane zostaną jej przedstawione o trzeciej po południu.

Przygotowując się do spotkania, Phoebe wykładała właśnie próbki materiałów przywiezione z Londynu, kiedy nagle usłyszała okropny rejwach w holu - nagły wrzask i łomot, które sprawiły, że pomyślała, iż komuś rzeczywiście dzieje się krzywda. Wybiegła z pokoju i w wąskim korytarzu zobaczyła, że młoda kobieta, którą widziała w dniu swojego przyjazdu, biła - biła! - młodego mężczyznę zawodzącego jak dziecko.

Phoebe podbiegła i chwyciła dziewczynę za rękę.

- Proszę przestać! - zawołała. - Co pani robi, na Boga? Proszę przestać, zanim stanie się komuś krzywda!

- Ona nie może mnie skrzywdzić! - wysapał gniewnie młody mężczyzna, uciekając na bezpieczną odległość. - Tata dowie się o tym, Jane! Zobaczysz! - ryknął, rzuciwszy się biegiem przez korytarz, a potem schodami w dół.

- Och tak, biegnij do taty! Co może zrobić przykuty do fotela? - krzyknęła za nim. Spojrzała na Phoebe oczami pełnymi łez i wyrwała rękę z jej uścisku. - Nienawidzę tego paskudnego Rogera, naprawdę - jęknęła.

- Lady Jane czy lady Alice?

- Jane.

- A paskudny Roger?

- Mój brat! Nie ma prawa grzebać w moich rzeczach!

- Oczywiście, że nie. Ale ty nie masz prawa go bić.

- A co pani do tego, czy ona go bije, czy nie? - spytał trzeci głos.

Phoebe zwróciła się w stronę, z której dobiegł. To musiała być Alice - była bardzo podobna do Jane, tylko trochę wyższa i szczuplejsza. Jej suknia była na nią za mała i, podobnie jak suknia jej młodszej siostry, niemodna.

Alice podeszła do Phoebe z ramionami skrzyżowanymi jakby w obronnym geście.

- Jesteś tylko krawcową, prawda? - spytała chłodno, zatrzymując się przed Phoebe. - Nie masz prawa odzywać się w ten sposób do mojej siostry. Mogłabym cię za to zwolnić.

Na szczęście, zanim Alice powiedziała coś jeszcze, na szczycie schodów pojawił się Addison.

- Aha, lady Alice, w końcu pani przyszła! - powiedział wesoło. - I jest także lady Jane. - Uśmiechnął się, ale Phoebe zauważyła, że wyraz jego oczu pozostał poważny. - Proszę o wybaczenie, madame Dupree. Jego lordowska mość chciał dokonać oficjalnej prezentacji, ale przyjmuje gości.

- Pana i panią Frederick - odezwała się Alice, przewracając oczami. - Jeśli sądzą, że ich Elizabeth ma jakieś szanse na poślubienie mojego brata, to są w błędzie.

- O tym zdecyduje jego lordowska mość - odparował Addison i wskazał ręką na pracownię. - Możemy?

Alice westchnęła, jakby poproszono ją, by wdrapała się na szubienicę, i z ociąganiem weszła do pokoju. Jane otrzepała suknie i podażyła za siostrą.

Uśmiech Addisona zbladł, gdy zobaczył rozerwany rękaw Jane i jej potargane włosy.

- Och, matko, lady Jane! Co się stało?

- Nic! - krzyknęła, otworzywszy szeroko oczy. - Dlaczego uważasz, że coś musiało się stać? - spytała, mijając go w drzwiach.

Addison popatrzył na Phoebe, która potrząsnęła głową. Phoebe zauważyła, że koniuszki jego uszu są zaczerwienione. Kiedy jednak znalazł się w pracowni, starał się robić wesołą minę. Dokonał oficjalnej prezentacji, a lady Alice Summerfield, zanim bez wdzięku opadła na krzesło, spytała Phoebe:

- Nie powinna pani dygnać?

Phoebe nie zamierzała przejmować się Alice, to było oczywiste, ale zmusiła się, żeby dygnać.

- Lady Alice i lady Jane szykują się do swojego debiutu - powiedział Addison z fałszywym entuzjazmem.

- Lady Alice ma osiemnaście lat, a lady Jane za dwa miesiące skończy siedemnaście.

- Wspaniały wiek na debiut - zauważyła Phoebe.

- Skąd pani może to wiedzieć? - spytała chłodno Alice. - Miała pani takie doświadczenia?

- Lady Dupree szyje suknie dla debiutantek, Alice

- powiedziała zadziornie Jane. Miała ciemnozłote włosy i zielone oczy, i była mniejsza i ładniejsza od siostry. A może tylko wydawała się ładniejsza, ponieważ częściej się uśmiechała.

- Nie czyni to z niej znawczyni - odparła z rozdrażnieniem Alice.

- Lady Alice - powiedział Addison - jego lordowska mość wyraźnie wam przykazał współpracować.

- Och, jego lordowska mość, jego lordowska mość!

- zawołała ze złością. - Ciągle mi coś nakazuje!

- Proszę nie zwracać na nią uwagi - odezwała się Jane z westchnieniem. - Jest zła, ponieważ...

- Cicho, Jane - warknęła jej siostra.

- Nie będę cicho. Mam takie samo prawo rozmawiać z lady Dupree jak ty.

- Madame Dupree, głupia.

- *Madame* oznacza to samo, co po angielsku *lady*
- odparła Jane.
- To nie to samo, to zupełnie coś innego, i dlatego nigdy nie znajdziesz męża, Jane, ponieważ jesteś głupia!
- Panienki! - zawołał Addison. - Błagam was! Alice zacisnęła usta.
- Jestem pewien, że madame Dupree nie może się doczekać, by zacząć pracę - odezwał się spokojniejszym tonem mężczyzna i spojrzał przeproszająco na Phoebe.
- Jego lordowska mość chciałby wiedzieć, czy czegoś będzie pani potrzebować, żeby móc tutaj wykonać swoją pracę.
- Miło z jego strony, że pozwolił mi korzystać z pomocy Friedy, *sir*.
- Bardzo dobrze - odparł Addison, cofając się w kierunku drzwi. - Jeśli to wszystko... - Przystąpił próg. Phoebe nie mogła go winić za ten odwrót; jednak gdy wyszedł, poczuła, że jest w mniejszości. Spojrzała z zażenowaniem na swoje podopieczne. Alice siedziała na krześle jak niewychowana wieśniaczka. Jane okręcała kosmyk włosów wokół palca niczym mała dziewczynka. Jak to możliwe, że córki hrabiego tak bardzo nie pasowały do towarzystwa?
- Bierzemy się do tego, madame Dupree? - warknęła Alice. - Mam lepsze rzeczy do roboty niż zdejmowanie miary.
- Na Boga, Alice, zawsze jesteś zła! - powiedziała naburmuszona Jane. - Jakbyś obwiniła madame Dupree, że przez nią nie możesz spotkać się z panem Hughesem. Alice natychmiast oblała się rumieńcem.
- Cicho bądź, Jane!
- Może was zmierzę - spróbowała się wtrącić Phoebe.
- Nie będę cicho - odparła wyniośle Jane, ignorując Phoebe i rzucając siostrze gniewne spojrzenie. - Alice kocha się w panu Hughesie - powiedziała wesoło. - Ale on jest synem kowala i Will mówi, że nie takiego męża

powinna mieć córka hrabiego, zwłaszcza jeśli jeszcze nie została przedstawiona w towarzystwie.

- Przysięgam, że cię uduszę, Jane! - krzyknęła Alice.

- To nie jest sprawa służby! Jane zaśmiała się szyderczo.

- Wszyscy służący o tym wiedzą, dlaczego ona miałaby nie wiedzieć?

- Która z was chciałaby być pierwsza? - spytała Phoebe, podnosząc sznurek, którym zamierzała je zmierzyć.

- Przynajmniej znalazł się mężczyzna, który uznał mnie za godną zainteresowania - warknęła Alice.

- Na ciebie panowie nie chcą nawet spojrzeć.

- To nieprawda - zaprzeczyła żarliwie Jane.

- Jakie suknie pani lubi, lady Alice? - spytała Phoebe, stając między nimi.

Jej pytanie najwyraźniej zaskoczyło Alice. Spojrzała na Phoebe, jakby ta była szalona.

- Żadne!

- To niewątpliwie daje mi wiele możliwości. Woli pani jedwab? Brokat? A może aksamit?

- Czy to nie pani zadanie?

- Ma pani całkowitą rację. Mogę panią zmierzyć?

- Pani wybaczy, madame Dupree - warknęła Alice.

- Rozmawiam teraz z Jane.

- Nie rozmawiasz, tylko wrzeszczysz - powiedziała Jane. - Tak samo jak wrzeszczałaś na Willa, kiedy powiedział ci, że nie możesz zobaczyć się z tym okropnym kowalem przed wyjazdem do domu kuzynki Mathilde w Leicestershire.

Alice sapnęła.

- Jak śmiesz, ty wstrętna, uparta, rozwydrzona smarkulo!

- No dobrze, dosyć tego! - zawołała Phoebe, spoglądając na obie dziewczyny. - Daję słowo, że nigdy nie widziałam, aby dwie damy tak okropnie się zachowywały! To nie miejsce i czas na wasze niemądre kłótnie, więc,

lady Alice, proszę stanąć spokojnie, żebym mogła panią zmierzyć.

Alice sapnęła i spojrzała na Phoebe.

- Jak pani śmie zwracać się do mnie w ten sposób?

- odezwała się ostro, zrywając się na równe nogi. - Jak pani śmie?

- Najwyraźniej nadszedł czas, żeby ktoś z panią porozmawiał - mruknęła Phoebe. - Proszę unieść ramiona, o tak - powiedziała, jednocześnie to demonstrując. Nie zamierzała dać się zastraszyć wyniosłej dziewczynie, zwłaszcza jeśli oznaczałoby to niepotrzebne przedłużanie tego spotkania.

- Musi pani mieć bardzo wysokie mniemanie o sobie, madame Dupree - warknęła Alice, rozkładając szeroko ramiona - żeby mówić do mnie, najstarszej córki hrabiego, tak protekcyjnym tonem!

Phoebe zignorowała ją i szybko zmierzyła jej ramiona, po czym odwróciła się i przyłożyła sznurek do drewnianej miarki. - Teraz talia - powiedziała energicznie.

- Mój brat na pewno dowie się o pani zachowaniu

- oznajmiła Alice, gdy Phoebe owinęła sznurek wokół jej pasa. - Nie zdziwię się, jeśli natychmiast panią zwolni.

Dobry Boże, co to było za piekło w tym domu?

- Będę mu za to wdzięczna - odparła, mierząc wzrost Alice. - Nigdy nie sądziłam, że przyjdzie mi znosić takie dziecinne zachowanie!

Najwyraźniej Alice obawiała się, że Phoebe rzeczywiście może być wdzięczna za zwolnienie, bo nie odezwała się już słowem, dopóki krawcowa nie skończyła z pomiarami.

Kiedy po zdjęciu miary z obu dziewcząt, madame Dupree zmusiła je, by obejrzały materiały, zamiast się kłócić, dowiedziała się, że Alice była szaleńczo zakochana w Rolandzie Hughesie, że zmorą życia Jane był jej brat Roger, i że ich drugi brat, Joshua, wiecznie przysparzał problemów hrabiemu Summerfield.

Właśnie zaczęły spierać się o kolory swoich sukni balowych, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Phoebe podniosła głowę, mając nadzieję, że to Addison albo Farley przyszedł je zabrać, ale był to Summerfield. Phoebe poczuła dziwne uderzenie gorąca. Nie była debiutantką i nie onieśmiałą jej obecność mężczyzny, a jednak tak się właśnie poczuła.

- Will! - zawołała radośnie Jane, podbiegając do niego. Summerfield pocałował Jane w policzek i podszedł

do stołu, żeby obejrzeć bele materiału.

Zerknął na Phoebe i uśmiechnął się do niej nieznacznie.

- Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, iż przeszkadzam, madame Dupree. Chciałem sam przedstawić pani moje siostry, jednak coś mnie zatrzymało.

- Zamierzasz oświadczyć się panie Frederick? - spytała pogodnie Jane. - Alice mówi, że tego nie zrobisz.

- Alice mówi wiele rzeczy - odparł, patrząc wymownie na starszą dziewczynę, która udawała, że zajęta jest oglądaniem jedwabiu. - A ty nie powinnaś pytać o takie rzeczy, Jane.

Phoebe zauważyła, że był nieskazitelnie ubrany, co nie powinno jej dziwić, zważywszy na to, jak skrupulatny w kwestiach garderoby był Addison. Brązowy surdut idealnie opinał ramiona wicehrabiego, a kamizelka podkreślała jego wąską talię. Czarne spodnie opinały jego nogi jak rękawiczka dłoń. Wszystko było świetnie skrojone.

Tak świetnie, że czuła, iż jej policzki płoną jeszcze bardziej.

Mężczyzna uniósł kawałek białego jedwabiu i dotykał go palcami; wtedy Phoebe zauważyła to, co pani Turner nazywała znakiem bestii. Dlaczego tak bardzo rozpalało to jej wyobraźnię?

- Całkiem ładny - powiedział zamyślony.

- Wybrałam biały na suknię balową - odezwała się Jane. - Lady Dupree mówi, że będzie pasował do moich włosów.

- Ach - odparł i znowu spojrzał na Phoebe.

Boże, te oczy. Kobieta mogła wpaść w poważne tarapaty, patrząc w nie zbyt długo. Phoebe przeniosła wzrok na bele materiału.

- Który wybrałaś, Alice? - spytał.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła rozdrażniona dziewczyna. - Niech krawcowa zdecyduje.

- Wybrała lawendowy jedwab - powiedziała Phoebe i uniosła kawałek materiału, żeby go obejrzał.

Zerknął na materiał, potem na Alice, i uśmiechnął się do siostry tak czule, że nawet Phoebe poczuła delikatne ukłucie w piersi.

- Wspaniały wybór. Będziesz pięknie wyglądać.

W Alice natychmiast zaszła zmiana. Może nie aż taka, żeby się uśmiechnęła, o nie - dziewczyna przyjęła sobie za punkt honoru, żeby się nie uśmiechać - ale wyraz jej twarzy nie był już tak skwaszony.

Summerfield obszedł stół, stanął przy Alice i pocałował ją w czubek głowy.

- Kiedy tu skończysz, Alice, chciałbym porozmawiać z tobą w bibliotece ojca.

- Czyżby kuzynka Mathilde napisała w liście coś o naszym zachowaniu? - spytała zjadliwie.

- Nie. Ale na pewno ją o nie zapytam.

Jane jęknęła, ale Alice odwróciła wzrok z nieznacznym uśmieszkiem.

- Kiedy skończysz - powtórzył i ponad głowę Alice zerknął na Phoebe. - Dziękuję, madame Dupree.

Oddał się, żeby mogła pani pracować.

Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju.

Alice i Jane poczekały, aż ucichną jego kroki.

- Coś narobiła, ty jędzo - syknęła Jane do siostry.

- Zupełnie nic - odburknęła Alice, zaczynając kolejną rundę awantury.

Kilka minut zajęło Phoebe, by nakłonić je do wyjścia, a kiedy wreszcie się oddaliły, oparła się plecami o drzwi i wzięła kilka głębokich oddechów.



Z przyjemnością powyrywałyby wszystkie włosy z głowy pani Ramsey. Z tymi dwiema zanosilo się na bardzo gorące lato.

\* \* \*

W tym samym czasie w Greenhill kilka pań zebrało się na popołudniową herbatę, żeby uczcić przybycie do hrabstwa lady Amandy Waters, szkockiej kuzynki panny Rebeki Callinghorn. Podobno lady Amanda zapragnęła zakosztować cieplejszego klimatu Bedford, jednak panna Caroline Fitzherbert wiedziała, że przyjechała, by dołączyć do młodych dam zabiegających o wicehrabiego. W pokoju nie było kobiety, która nie starałaby się o jego oświadczyzny dla córki, siostrzenicy bądź dla samej siebie.

I jakby na dowód tego, rozmowa zeszła na lorda Summerfielda.

Spekulowano, kto zdobędzie jego serce, jednak wyniosła lady Kealing natychmiast to przerwała.

- Moja Bertha nie będzie do wzięcia - powiedziała z prychnięciem. - Uważam, że jest w nim coś dziwnego.

- Martho, naprawdę - odezwała się matka Caroline. W przeciwieństwie do lady Kealing, ona bardzo chciałaby mieć go za zięcia. - Nigdy nie zrozumie, dlaczego niewielki tatuaż na męskim nadgarstku powoduje takie zamieszanie. To zupełnie nic nie mówi o jego charakterze.

- Ależ mówi, Lucy! - zaoponowała lady Kealing. - A poza tym nie chodzi tylko o ten koszmarne tatuaż. Mój mąż widział go którejs nocy stojącego na polu, gdzie często pasą się dzikie konie, i wpatrującego się w księżyc; poznał go po kolorze i długości włosów. Wyobraźcie sobie, dorosły mężczyzna samotnie stojący pośrodku pola i wpatrujący się w księżyc!

Panna Callinghorn i lady Amanda wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Czy patrzenie na księżyc jest przestępstwem? - zapytała matka Caroline.

- Oczywiście, że nie, Lucy - odparła lady Kealing, miażdżąc ją wzrokiem. - Ale musisz przyznać, że to dziwne. A jeśli chodzi o ten tatuaż na nadgarstku... Cóż. Wolałabym, aby moja córka nie wychodziła za mąż za dzikusa.

Matka Caroline poruszyła się na krześle i trochę zbyt głośno odstawiła filiżankę.

- Nie sądzę, aby dzikus uratował tych wszystkich marynarzy przed utonięciem - powiedziała z rozdrażnieniem. - Albo tak dobrze traktował biednego hrabiego. Bardzo się o niego troszczy.

- To prawda - pani Frederick skinęła głową. - Któregoś wieczoru Summerfield gościł u nas na kolacji i był bardzo miły dla moich dziewcząt. Bardzo grzeczny.

- Przechyliła głowę. - Jednak przyniósł bardzo dziwny trunek, żeby napić się z panem Frederickiem, przez co ten później chorował. Nie pamiętam nazwy tego napoju, ale powiedział, że pochodzi z Orientu.

- Nie jestem zaskoczona. Od tygodni nie był na mszy

- powiedziała ponuro lady Kealing i napiła się herbaty. Głupia kobieta, pomyślała Caroline. To najlepszy kawaler, jakiego widziano w tym hrabstwie od wieków. Kto mógłby mieć do niego pretensję o to, że pan Frederick ma słaby organizm? Kto mógłby twierdzić, że niechęć wicehrabiego do wysłuchiwanie wyjątkowo nudnych kazań wikarego świadczy przeciwko niemu? Szczerze mówiąc, ona uważała, że to całkiem rozsądne z jego strony.

- Skoro mowa o mszach - wtrąciła nieśmiało pani MacDonald - mąż prosił mnie o przekazanie pewnych wieści, które, mam nadzieję, przyjmiecie z zadowoleniem...

Gdy mówiła o kwestiach związanych z kościołem, Caroline spojrzała na Berthę. Podejrzywała, że matka nie chce, by córka brała udział w rywalizacji, ponieważ dziewczyna była zbyt nijaka, aby zwrócić na siebie uwagę kogoś takiego jak Summerfield. Nie, ktoś taki potrzebował kobiety bardziej urodziwej i inteligentniejszej, i Caroline wiedziała dokładnie, kto to powinien być.

## Rozdział szósty

Po długim i pracowitym dniu Phoebe wróciła do swojego pokoju, gdzie cały czas słyszała przez przewód kominowy zduszone odgłosy kłótni.

Następnego ranka zirytowana tym, iż o świcie obudziło ją stukanie młotkami, wstała, ubrała się i próbowała pracować, ale było to niemożliwe z powodu nieustającego hałasu. Czuła się tak źle, że wyszła z pokoju ze szkicownikiem pod pachą. Zatrzymała się w olbrzymim holu, żeby poprawić świeżo ścięte kwiaty, które ktoś bez ładu i składu wcisnął do wazonu, po czym udała się na dwór. Uniosła suknię i ruszyła wokół domu, a potem przez ogród w kierunku jeziora, do kamiennej altany, która została wzniesiona, jak podejrzewała, by w lecie pomieścić niewielką orkiestrę. Usiadła na kamiennej ławeczce przy murze i rozmyślając o lawendowej sukni dla Alice, zaczęła szkicować jodły, które wytyczały część alei prowadzącej do jeziora.

Przyglądając się drzewom, zauważyła na brzegu jeziora, ku swojemu zadowoleniu, lorda Summerfielda. Był tam też dziki koń.

Summerfield stał tyłem do niej całkowicie bez ruchu. Miał na sobie skórzane spodnie wetknięte w buty z cholewami i batystową koszulę, której poły wsunięte były w spodnie. Nie włożył kamizelki ani surduta, a kapelusz

leżał obok niego na ziemi. Jego ramiona były szersze niż zapamiętała.

Wyobraziła sobie jego umięśnione udo między swoimi nogami i westchnęła tęsknie, zanim przewróciła kartkę w szkicowniku.

Spróbowała narysować to, co ją w tej chwili tak pochłoneło.

Duży gniady ogier stojący kilka metrów od reszty stada przeżuwał świeżą trawę, ignorując Summerfielda, który powoli podniósł rękę i zrobił krok w kierunku zwierzęcia. Dwa stojące najbliżej konie spłoszyły się. Ale nie gniady o me - on nawet nie podniósł łba. Summerfield zrobił kolejny ostrożny krok i jeszcze jeden, aż w końcu jego dłoń znalazła się tuż pod końskim nosem. Wreszcie po chwili, która wydawała się wiecznością, ogier podniósł głowę i dotknął nosem ręki Summerfielda. Phoebe cicho sapnęła, gdy mężczyzna podszedł jeszcze bliżej i zaczął delikatnie głaskać gniadosza drugą ręką po grzywie i szyi, podczas gdy koń przeżuwał to co mężczyzna mu przyniósł. Było to magiczne - jakbyza-wierah znajomość.

I wtedy kolejny dziki koń podszedł bliżej, żeby powąchać wicehrabiego. A za nim podążyła żrebna klacz. Phoebe była zauroczona sceną, która rozgrywała się na jej oczach.

Kiedy z pobliskiego drzewa poderwało się stado ptaków, konie się spłoszyły i odbiegły, znikając za wzgórzem. Summerfield obserwował je, dopóki nie zniknęły mu z oczu, po czym pochylił się, podniósł kapelusz i odszedł ścieżką wiodącą przez las.

Phoebe spojrzała na swój szkic. Szybko dodała poranne cienie i drzewa. Był to bardzo pobeżny rysunek, ale udało jej się uchwycić magię. Magię męskiego ciała. Ze szkicu będzie wspaniały obraz - pomyślała. - Dziki mężczyzna oswajający dzikie konie.

Prawdę powiedziawszy, bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak oswaja też inne istoty. Dzieci. Smoki. Kobiety-

Zamknęła oczy i go zobaczyła - głaszczącego ją po włosach, jak to robił z końską grzywą. Ten obraz sprawił, że ogarnęło ją ciepło. Często miała takie myśli - zapewne częściej, niżby wypadało. Miała uczucie, że było to coś kusząco niebezpiecznego.

Westchnąwszy, otworzyła oczy, zamknęła szkicownik i ruszyła w stronę domu.

Kiedy Phoebe znalazła się w głównym holu, usłyszała damskie głosy, i zauważyła, że ktoś przesunął kwiaty, które przed wyjściem układała w wazonie. Ponieważ dwóch cieśli pracowało przy głównych schodach, wybrała inną drogę, by im nie przeszkadzać. Ta droga prowadziła przez korytarz, którego jeszcze nie widziała.

Korytarz został odnowiony. Farba na ścianach była świeża, a dywan zupełnie nowy. Przeszła obok otwartych drzwi. Pokój, który znajdował się za nimi, także został niedawno odmalowany, sądząc po zapachu terpentyny. Jednak to kolor zwrócił uwagę Phoebe. Pokój pomalowany został na grafitowo, a jej zdaniem ten odcień był zbyt ponury w pomieszczeniu, do którego prawie nie docierało słońce.

Wydawał się zdecydowanie za chłodny i wyjątkowo nieprzytulny jak na miejsce, w którym przyjmuje się gości.

Ponieważ w środku nikogo nie było, przeszła przez próg, żeby się rozejrzeć.

Meble zostały poustawiane bez ładu i składu: tam stół, tu otomana i dwa wyściełane krzesła przysunięte do ściany. Phoebe odsunęła otomanę spod drzwi, potem przesunęła bliżej niej stół i dwa krzesła stojące pod ścianą. Właśnie zastanawiała się nad usytuowaniem szafki, kiedy usłyszała czyjeś kroki, szybko więc chwyciła szkicownik i odwróciła się w stronę drzwi.

W progu stał jeden z braci Summerfielda, którego wcześniej widziała z okien swojej pracowni. Był w jej wieku, może trochę młodszy. Miał na sobie czarny surdut z doskonałego materiału, a jego twarz okalały krótko obcięte włosy, zgodnie z najnowszą modą. Był przystojnym mężczyzną - jednak nie tak przystojnym jak jego starszy brat. Uśmiechnął się ponuro na jej widok.

- A kogóż my tu mamy? - spytał, wchodząc do pokoju i przyglądając się jej otwarcie.

Jego zachowanie sprawiło, że się spięła; знаła ten wyraz twarzy, wiele razy patrzono na nią w taki sposób, i czuła się przez to bezbronna.

- Proszę, proszę - powiedział, błędząc wzrokiem po jej biuście. - Kim jest ta piękność błakająca się po Wentworth Hall, podczas gdy inne damy otaczają mojego brata? Nie znam pani - powiedział, utkwivszy oczy w jej twarzy.

- Słucham, *siń* - odezwała się Phoebe, dygnawszy.

- Nazywam się madame Dupree. Zostałam zatrudniona jako stylistka...

-Kto?

- Krawcowa.

Słyszając to, młodzian skrzywił się nieznacznie.

- Jest pani szwaczką? Sądziłem, że szwaczki to małe zgarbione staruszki o siwych włosach - powiedział i znowu spojrział na jej biust.

Phoebe mocniej otuliła się szalem.

- Gdzie jest pani mąż, madame Dupree? - spytał bezczelnie, unosząc wzrok. - Nie troszczy się o panią? Nie powinien pozwalać, żeby jego ślicznotka przyjeżdżała tutaj sama. Gdzie on jest?

Młody mężczyzna miał poważne braki w etykiecie

- dżentelmen nigdy nie wypytywałby jej tak otwarcie.

- Jestem wdową - odparła.

- Wdową? - Uśmiechnął się znacząco. - Wdowa to marzenie każdego mężczyzny, jak mówią, ponieważ nie

oczekuje małżeństwa ani zapłaty w zamian za swoje wdzięki.

Phoebe zbladła.

Jednak młody Darby tylko zachichotał i wskazał na jej szkicownik.

- Skoro jest pani szwaczka, co pani tutaj robi?

- Ach... - Rozejrzała się. - Tylko podziwiam.

- Co pani podziwia? Jest pani złodziejką?

- Oczywiście, że nie! - zawołała Phoebe. - Patrzyłam na meble.

- Dlaczego?

Phoebe rozważała, co odpowiedzieć, a nie mogąc wymyślić niczego odpowiedniego, w końcu wyznała prawdę.

- Meble były fatalnie poustawiane. Zaśmiał się zaskoczony.

- Słucham? Uniosła podbródek.

- Prawdę powiedziawszy, nie wyglądało to zbyt zachęcająco.

Znowu się roześmiał.

- Ciekawska z pani osóbka, nieprawdaż? Co tutaj pani ma?

- To... mój szkicownik.

- Szkicownik? I co takiego pani szkicowała, wdowo Dupree? Spójrzmy - powiedział, wyciągając rękę w kierunku zeszytu.

- Przepraszam, *sir*, ale wołałabym go nie pokazywać.

- Mało mnie to obchodzi, co pani by wołała - odparł od niechcienia, nakazując jej gestem, by oddała mu szkicownik.

- To sprawy osobiste.

Jego oczy pociemniały z gniewu.

- Mnie się nie odmawia, *madame*. Jestem synem hrabiego Bedford, a pani jest służącą w moim domu.

Zrobi pani to, co się pani każe, jeśli chce zachować swoją posadę. A teraz proszę mi to pokazać.



Była zaszokowana, że ktoś potraktował ją w tak niegrzeczny sposób. Ale przede wszystkim była wściekła.

- Nie, *sir* - odparła grzecznie, acz zdecydowanie, chociaż jej serce waliło jak oszalałe. - Wolałabym nie.

Warknąwszy, wyrwał jej zeszyt z rąk.

- Proszę przestać! - krzyknęła, próbując mu odebrać swoją własność. - To moje!

Mężczyzna otworzył szkicownik. I uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Proszę, proszę, powinienem...

Cokolwiek chciał powiedzieć, przepadło. Lord Summerfield nagle przebiegł tuż za nią i chwycił jej szkicownik. Nie słyszała, kiedy wszedł do pokoju, najwyraźniej jego brat również nie usłyszał. Lord, wyższy od brata, lepiej zbudowany i bardziej postawny, zmierzył młodego mężczyznę lodowatym wzrokiem.

- Joshua - wycedził przez zaciśnięte zęby - dama nie chce pokazywać swoich szkiców. Przepróż.

- Ona nie jest damą, tylko szwaczką, a poza tym to podejrzane, że weszła po pokoju...

- Joshua.

Rozkazujący ton głosu Summerfielda odniósł pożądany skutek. Młodzian przeniósł wściekły wzrok z wicehrabiego na Phoebe.

- Proszę o wybaczenie - powiedział szorstko.

- A teraz wyjdź.

Spoglądając gniewnie na brata, Joshua ruszył do drzwi, przeciskając się obok Phoebe.

Kiedy odszedł, Summerfield zamknął szkicownik, nie zaglądając do środka, i podał jej go.

- Bardzo panią przepraszam za niedopuszczalne zachowanie mojego brata - powiedział cierpko.

Phoebe skinęła głową.

- Dziękuję - odezwała się i mocno przycisnęła zeszyt do piersi.

Nie odezwał się, ale intensywnie się jej przyglądał. Jednak nie patrzył na nią w sposób, w jaki zazwyczaj robili to inni mężczyźni. W jego spojrzeniu nie było pożądania. Tylko ciekawość.

- Przepraszam - wyjąkała zdenerwowana. - Rzeczywiście nie powinnam tutaj być, ale zauważyłam...  
Rozejrzał się.

- Co pani zauważyła? - spytał.

- Nic takiego - odparła, mocniej przyciskając szkicownik.

- Coś na pewno - Spojrzał na nią pytająco.

Phoebe uniosła wzrok, po czym westchnęła. Niemądrze się zachowała, wchodząc tam, gdzie nie powinna. - Chodzi o kolor, jaśnie panie.

- Kolor? - Najwyraźniej nie zrozumiał.

- Pokój nie jest słoneczny, a szary kolor sprawi, że będzie się wydawał jeszcze chłodniejszy i ciemniejszy.

Popatrzył na ściany. -I... meble...

Zerknął na nią; zawahała się. -Tak...?-ponaglił.

- Jest ich niewiele. Może... przydałby się dywan - powiedziała. - I... sofa.

Summerfield spojrział na meble, które poprzestawiała, jakby dopiero teraz je zauważył.

Tymczasem ona zauważyła, że zmienił skórzane spodnie i batystową koszulę na ubiór bardziej odpowiedni dla wicehrabiego. Jednak krawat został pośpiesznie zawiązany i był przekrzywiony.

Mankiety koszuli wetknął w rękawy surduta, jakby także włożył ją w pośpiechu. Dziwny czarny znak na nadgarstku był jeszcze bardziej widoczny.

Lord nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do ubioru, ale efekt był dość poruszający - Phoebe równie dobrze mogła wyobrazić go sobie pokonującego góry i pływającego po morzach. Dobry Boże, nie była w stanie na nie-

go patrzeć, nie czerwieniąc się przy tym. Ale jak mogła temu zaradzić? Miał najbardziej niesamowite oczy, jakie kiedykolwiek widziała, a jego usta...

Spojrzał na nią nagle i zauważył, że mu się przygląda.

- Powinam... już iść - rzuciła szybko. - Dziękuję - dodała. Ale kiedy ruszyła do wyjścia, upuściła szkicownik. Uderzył o stół, po czym otworzył się i upadł na dywan. Głośno wciągnęła powietrze i natychmiast przykucnęła, żeby go podnieść. Niestety Summerfield był szybszy.

Serce Phoebe zaczęło bić szybciej.

- Ależ ze mnie niezdar! Dziękuję - dodała, wyciągając rękę po zeszyt.

Summerfield chciał go zamknąć. Obrócił go w dłoni i wtedy dostrzegł szkic. Zamarł.

Phoebe zapragnęła umrzeć. Ach, gdybyż po prostu otworzyła się ziemia i pochłonęła ją całą.

Kiedy Summerfield uniósł wzrok, jego oczy błyszczały z rozbawienia.

- Ach... stał tam pan - powiedziała, wskazując na okno - a ja... hm... szłam. I pan tam stał - powtórzyła. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, bredziła coś bez sensu. Zamilkła więc; nie wiedziała, co mogłaby jeszcze powiedzieć. Mogła sobie jedynie wyobrazić, co o niej myślał, teraz, kiedy odkrył, że pielęgnuje dziecinne zauroczenie. Nie była wyrafinowaną stylistką, którą zatrudnił. Westchnęła ze złością.

Summerfield uśmiechnął się nieznacznie.

- Niesamowicie wierne podobizny koni - powiedział, zamykając szkicownik. - Ale muszę przyznać, że nie oceniam obiektywnie swojego wizerunku, więc nie mogę stwierdzić, czy dobrze uchwyciła pani podobieństwo.

- Podobieństwo... jest niezwykle - bąknęła. Uśmiechnął się trochę szerzej.

- Często pani szkicuje niczego niepodejrzewające obiekty?

Wzięła zeszyt i spojrzała w roześmiane oczy Summerfielda.

- Prawdę powiedziawszy, chociaż to wyjątkowo niegrzeczne, muszę przyznać, że tak.

Tym razem William Darby, wicehrabia Summerfield, roześmiał się naprawdę głośno.

Dlaczego ziemia nie mogła otworzyć się w tej właśnie chwili i jej pochłonać?

- Jeśli pan pozwoli, jaśnie panie, to pójdę i zakopię się w jakiejś dziurze.

Jednak nie uszła daleko, ponieważ nagle w drzwiach stanął Farley, a podążające za nim trzy kobiety wyciągały szyje, żeby zajrzeć do salonu.

- Ach, tutaj pan jest, Summerfield - zawołała jedna z nich, machając ręką i przepychając się obok Far-leya.

- Pani Remington. Pani Donnelly. Pani MacDonald. Proszę, niech panie wejdą - odezwał się Will. -

Proszę wybaczyć moje spóźnienie na wycieczkę, miałem coś pilnego do załatwienia - dodał.

Musiał nakarmić dzikie konie, pomyślała Phoebe. Odsunęła się na bok i skinęła głową, kiedy kobiety weszły do pokoju. Zamierzała natychmiast wyjść i wziąć się do pracy, ale Farley stał w progu, niwecząc jej nadzieję na niezauważalne wymknięcie się.

- To niezmiernie miłe z pańskiej strony, że zechciał pan oprowadzić nas po posiadłości - powiedziała kobieta, którą Phoebe uznała za panią Remington. - To, co pan zrobił jest... jest... Cóż. Brakuje mi słów - rzekła z uśmiechem.

- Dziękuję.

- I ten pokój! - dodała radośnie. - Dość niesamowity, nieprawdaż?

- Niesamowite, jak jest nieładny - odezwała się jedna z kobiet.

Phoebe zdusiła sapnięcie.

- Słucham? - powiedział Summerfield zdezorientowany.
  - Och, nie chcę być nieuprzejma, jaśnie panie! Jestem pewna, że będzie uroczy tak jak pozostałe pokoje, kiedy skończy pan tu remont - odparła pogodnie kobieta.
  - Ale kolor jest potworny. No i te zasłony! - Potrząsnęła głową.
  - Przypominają raczej strój żałobny - powiedziała trzecia dama.
- Stojąca za nimi Phoebe zasłoniła sobie usta. Nie miały pojęcia, że pokój już został odnowiony. Gdyby spojrzały na twarz Summerfielda, natychmiast by się zorientowały. Wyglądał na bardzo zakłopotanego.
- Wszystko natychmiast będzie jak należy, gdy tylko przyłoży pan do tego swoją czarodziejską rękę! - oznajmiła zdecydowanie pani Remington, kiedy w końcu zauważyła jego zboląły wyraz twarzy.
  - Proszę mi wybaczyć, *madame*, ale już przyłożyłem tutaj swoją czarodziejską rękę. Sam nadzorowałem urządzenie tego pokoju.
- Ta uwaga sprawiła, że w pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo cicho.
- Ach... Jest... jest piękny - powiedziała pani Remington, desperacko usiłując wybrnąć z niezręcznej sytuacji. - Bardzo oryginalny, naprawdę. Czy urządzono go na egipską modłę? - spytała z nadzieją.
  - Nie - odparł Summerfield i spokojnie skrzyżował ręce za plecami, przywołując na usta wymuszony uśmiech.
  - Nie uważacie panie, że jest tu trochę gorąco? Proponuję, abyśmy wyszli na taras. Farley? Bądź łaskaw podać lemoniadę. I gdybyś mógł zaprowadzić panie na taras, a ja za chwilę dołączę.
  - Tak, jaśnie panie - odezwał się Farley, wskazując damom drzwi.
- Trzy kobiety wyszły, a każda po drodze starała się coś komplementować.

Kiedy zniknęły im z oczu, Summerfield spojrział na Phoebe, która wzięła głęboki oddech.

- Ja... ja właśnie zamierzałam - powiedziała i odwróciła się w stronę drzwi.

- Chwileczkę.

- Jaśnie panie?

- Jaki kolor? - spytał, wskazując na ściany. Rozejrzała się po pokoju.

- Maślana żółć.

- Dziękuję - powiedział i zaczął przyglądać się ścianom, podczas gdy Phoebe cicho wymknęła się na zewnątrz.

## Rozdział siódmy

Tego popołudnia Phoebe odbyła ze sobą dość poważną rozmowę. Musiała przestać myśleć o przystojnym lordzie Summerfieldzie, zanim całkowicie się zbłąźni. I przez następne kilka dni starała się tego trzymać. Niestety, Frieda jej to utrudniała. Dziewczyna całe dni spędzała przy oknie, donosząc o wizytach kolejnych gości. Wyglądało na to, że plotki krążące po domu były prawdziwe - nie brakowało zdesperowanych matek i umęczonych ojców rywalizujących ze sobą o względy Summerfielda. Kiedy Frieda nie informowała, kto przybył z wizytą albo że lord i jego bracia wyjechali w stosownych ubiorach, „żeby przyjrzeć się damom”, jej oczy niepokojąco błyszczały.

Frieda nie przestawała mówić o Charlesie, który ostatnio pozwolił sobie na trochę więcej, do czego tryskająca energią kobieta nie wstydziła się przyznać. Takie żywe obrazy bliskości kobiety i męczyzny sprawiały, że Phoebe jeszcze częściej rozmyślała o Summerfieldzie. Na nieszczęście dla Friedy, kiedy w końcu pozwoliła Charlesowi na więcej, on już nie był taki chętny, aby ją uwodzić. - Dlaczego - spytała, przyglądając się szwowi, który właśnie fastrygowała - mężczyźni zachowują się tak źle? Zgodziłam się z nim pójść, jak mnie prosił! Och, wiem, że nie powinnam, naprawdę, ale wiesz, jak to jest? Cza-

sami dziewczyna jest bezbronna, kiedy chłopak dotknie ją w odpowiedni sposób, prawda?

Phoebe nie odpowiedziała, tylko schowała się za drucianą formą sukni, na której upinała materiał.

Żałośnie mało wiedziała o takim dotykaniu.

Jeśli Frieda nie gawędziła, w pracowni przebywały Alice i Jane, i się kłóciły. Nie było dnia, żeby nie przyszły i nie wdały się w jakąś absurdalną awanturę o materiał czy fason. Phoebe nie mogła się doczekać, kiedy skończy pracę z tymi młodymi damami - nigdy nie spotkała bardziej niesfornych i nieokrzesanych dziewcząt. Nie można było o nich powiedzieć niczego dobrego.

Ale pomimo niestosownych myśli o Summerfieldzie, ciągłego trajkotania Friedy i ustawicznych mediacji między skłóconymi siostrami, w pierwszym tygodniu Phoebe zrobiła znaczne postępy w szyciu.

Jednak siódmego dnia cała jej ciężka praca o mało nie poszła na marne.

Zaczęło się od tego, że pani Turner przepaszająco ją poinformowała, iż Frieda będzie po południu potrzebna gdzie indziej. Powiedziała również Phoebe, że Summerfield tego ranka oznajmił, iż chce za tydzień wydać uroczystą kolację w Wentworth Hall na cześć państwa Remingtonów, ziemiańskiej rodziny, w tym dwóch nieżonatych synów.

- Liczy na to, że uda mu się wyswatać dziewczęta - powiedziała pani Turner, robiąc przy tym kwaśna minę, co oznaczało, że ona nie żywiła takich nadziei.

Phoebe również nie.

Godzinę później do pracowni wpadły Alice i Jane.

- Madame Dupree! - zawołała Jane. - Muszę mieć tę zieloną suknię gotową przed końcem tygodnia!

- Na Boga, Jane! - warknęła Alice, odpychając siostrę. - Ja jestem najstarsza! Proszę skończyć moją suknię, tę lawendową, i ten szal, który ma do niej pasować.

- Ja byłam pierwsza, Alice! - wrzasnęła Jane.



- Przestańcie obie! - zażądała Phoebe. - Nawet jeszcze nie zaczęłam pracować nad sukniami wieczorowymi! Nie dam rady ich uszyć przed końcem tygodnia, więc proponuję, abyście...

- Ale jedną zdaży pani uszyć, i niech to będzie moja! - warknęła Alice.

Jane zapiszczała i uderzyła siostrę. Phoebe natychmiast znalazła się między nimi, wyciągając ramiona, by dziewczęta nie rzuciły się sobie do gardeł.

- Nie uszyję ani jednej sukni, dopóki nie zaczniecie zachowywać się jak damy!

- Jak pani śmie nam mówić, jak się mamy zachowywać! - odezwała się wściekła Alice.

- Zapamiętajcie sobie, nie będzie miało znaczenia, co macie na sobie, jeśli wasze zachowanie pozostanie na tak niskim poziomie jak teraz! Żaden mężczyzna was nie zechce, żaden wam się nie oświadczy, bo żadna z was nie będzie na takie oświadczyzny zasługiwać!

Jane krzyknęła, Alice wyglądała na całkowicie zaszokowaną, a biedna Frieda była bliska omdlenia.

Alice szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Słucham? - odezwała się z wściekłością, zwracając się do Phoebe. - Och, z przyjemnością pozbawię cię pracy, ty głupia dziewczyno! Zapewniam, że nie znajdziesz posady w całym hrabstwie!

- Lady Alice, proszę mi wybaczyć, że to mówię - odgryzła się Phoebe - ale masz skłonność do zachowywania się w sposób, który sprawia, że nie wyglądasz zbyt ładnie.

- Dobry Boże, ty całkiem postradałaś zmysły! - pisnęła Alice.

Frieda z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami gwałtownie potakiwała.

- Chcę być tylko szczerą, żeby ci pomóc... - odezwała się Phoebe.

- Będzie lepiej, jak zaczniesz pakować swój kufer, madame Dupree - krzyknęła Alice drżącym głosem i wybiegła z pokoju.

Phoebe westchnęła i spojrzała na Jane. Ta wrosła w ziemię, jej dolna warga drżała, a do oczu napłynęły łzy. -Lady Jane...

- Nie! - dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową.

- To bardzo niemądre! Zachowuje się pani jak ktoś lepszy, a jest tylko służącą w tym domu! Mam nadzieję, że Will panią wyrzuci, bo zasługuje pani na to!

Odwróciła się na pięcie i pobiegła za siostrą. Phoebe poirytowana rzuciła materiał, który dotąd trzymała w dłoniach.

- Och, Phoebe! - odezwała się przełęczniona Frieda.

- On cię wyrzuci, to pewne!

- Nic mnie to nie obchodzi, Friedo! Te dwie młode kobiety chyba wypelzły spod jakiegoś kamienia. Nie zależy mi na tym, czy będą odpowiednio ubrane, czy me! Jeszcze nigdy nie spotkałam bardziej niewychowanych ludzi!

Oddychała ciężko. Jak mogła uwierzyć, że jej plan się uda? Prawdę powiedziawszy, w tej chwili mało ją to obchodziło. Wolała stać się pośmiewiskiem całego towarzystwa, niż znosić Alice czy Jane Darby.

- Jego lordowska mość odesłał brata Charliego za cos podobnego - odezwała się płaczliwie Frieda. - Och, Boże, dokąd pójdziesz?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - odparła wyniośle Phoebe. - Wszędzie będzie spokojniej niż w tym domu! - I po tych słowach przeszła do sąsiedniego pokoju, aby spakować swoje rzeczy.

Kiedy jakiś czas później przyszedł po nią ponury Farley, ubrana była w swój najlepszy strój podróży i miała spakowany kufer.

Farley zatrzymał się w drzwiach jej pokoju, obejrzał się szybko przez ramię, po czym wyszeptał:

- Co się stało?

- Stało się to, panie Farley, że te dwie młode damy są najbardziej niewychowanymi, nieokrzesanymi, nikczemnymi.

- Tak, tak, oczywiście - powiedział pospiesznie, znowu zerkając przez ramię, jakby spodziewał się, że w każdej chwili obie mogą się na niego rzucić. - Ale zrobiła coś pani którejś z nich? Kopnęła je pani w piszczel?

Phoebe zamrugła.

- Oczywiście, że nie! Czy twierdziły, że to zrobiłam? Nie, panie Farley! Po prostu próbowałam powstrzymać te małe dzikuski przed pobiciem się.

- Ale cały ten szloch... A pani nawet ich nie uderzyła? - spytał skonsternowany. Jednak szybko potrząsnął głową. - Teraz to nieważne. Jego lordowska mość natychmiast chce panią widzieć.

- Wybornie, bo muszę zamienić z nim słowo, zanim wyjadę - powiedziała stanowczo, po czym chwyciła czepek i wyszła.

Zbiegła po schodach przed Farleyem. Dogonił ją na podeście drugiego piętra i chwycił za ramię.

- Może przynajmniej powiem pani, gdzie pani znajdzie jego lordowską mość - zaproponował.

Phoebe machnęła ze zniecierpliwieniem ręką na Farleya, by pokazał jej drogę. Zaprowadził ją na parter we wschodnim skrzydle. Zatrzymał się przy gładkich mahoniowych drzwiach.

- Jedna rada, *madame*. Niech pani pozwoli mu mówić. Jak się wygada, to złość mu przejdzie.

- Dziękuję - powiedziała, ale nie zamierzała zdawać się na łaskę Summerfielda.

Farley zastukał cicho w drzwi, otworzył jedno skrzydło, wszedł do środka i oznajmił:

- Madame Dupree, jaśnie panie.

Phoebe nie czekała na jego wezwanie. Z wysoko uniesioną głową przeszła obok Farleya i weszła do wnętrza

gabinetu. Summerfield siedział za biurkiem, lecz wstał natychmiast, gdy ją zobaczył.

- Proszę sobie nie robić kłopotu, jaśnie panie - odezwała się dumnie Phoebe. - Nie chcę sprawiać panu problemów, ale nie mogę, w dobrej wierze, wyjechać i me powiedzieć panu, że nawet jeśli odzieje pan siostry w najelegantsze stroje, na jakie pana stać, nikt im się me oświadczy, ponieważ mają maniery małp.

Summerfield otworzył szeroko oczy.

- Małp? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Proszę o wybaczenie, ale nie mogę ująć tego grzeczniej - powiedziała Phoebe. - Ciągłe się kłóca, popychają się jak uliczne zbiry i ponadto są gburowate.

- Aha - odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć - odezwała się, nie mogąc nic wyczytać z wyrazu jego twarzy. Spodziewała się gniewu, irytacji, a on wyglądał na... rozbawionego. - Mówię to, jaśnie panie, żeby zaoszczędzić panu kłopotów. Jeśli wprowadzi pan te dwie młode kobiety do towarzystwa bez stosownych lekcji ogłady i etykiety, zarówno one, jak i pan staniecie się pośmiewiskiem całego hrabstwa - powiedziała, rozpościerając szeroko ramiona.

- Aż tak źle? - spytał.

- Obawiam się, że nawet gorzej - zawołała dramatycznie, i nieostrożnie upuściła czepek na krzesło. - Oby nigdy nie zabrał ich pan do Londynu, ponieważ zostaną żywcem pożarte przez śmietankę towarzyską.

Summerfield obszedł biurko i oparł się biodrem o jego róg, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

- Nie ma pan pojęcia, jakie rzeczy mówi się tam o niemiłych damach, *sir*.

- Madame Dupree - zaczął, ale Phoebe była zbyt pobudzona, żeby teraz przestać.

- Och, proszę nie strzepić języka po próżnicy, *sir* - odezwała się, po czym machnęła ręką i zaczęła krążyć po pokoju. - Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie

było równie naganne, i mam świadomość, iż ironią jest mówienie panu o zachowaniu pańskich sióstr, podczas gdy ja zachowywałam się równie niestosownie. Będę zawiedziona, jeśli nie zwolni mnie pan natychmiast. Dlatego pozwoliłam sobie od razu spakować swoje rzeczy. - Zamilkła, bez zastanowienia chwyciła drewnianą figurkę kucającego nagiego mężczyzny i szybko odstawiła ją z powrotem.

- *Madame...*

- Naprawdę, wciąż jeszcze drzę na myśl, że straciłam panowanie nad sobą - powiedziała, wyciągając przed siebie rękę, żeby mógł zobaczyć, jak drży, po czym szybko splotła dłonie, zszokowana tym, że rzeczywiście drżały. - Jestem gotowa ponieść konsekwencje. Powiedziałam wystarczająco dużo. Materiały oczywiście są pańskie i zostawiłam je w pracowni, którą był pan łaskaw mi udostępnić. Jestem pewna, że pani Ramsey będzie w stanie Szybko znaleźć inną stylistkę strojów. Otóż to. Jestem gotowa do wyjazdu.

Stała z dłońmi skrzyżowanymi na wysokości talii i wysoko uniesioną brodą. Przynajmniej zachowała się godnie w chwili upadku. Wyobrażała sobie siebie jako Joannę d'Arc stojącą w obliczu nieuniknionego i tragicznego losu.

Dlaczego więc milczał?

Summerfield podszedł do niej.

Phoebe, nie wiedząc, co zamierzał, cofnęła się.

- Bardzo przepraszam, że powiedziałam to wszystkim pańskim siostrom, ale nigdy wcześniej mnie tak jawnie nie sprowokowano, a prowokowano mnie już w życiu, ponieważ mam siostrę, która potrafi być bardzo władczą, i kuzynkę, która jest czasami niezmiernie wymagająca, i zapewniam pana, że niełatwo mnie obrazić.

- Tak sędzę - powiedział i położył dłoń na jej dłoniach, które mocno zaciskała przed sobą. Jego dotyk sprawił, że zadrżała.

- Och, naprawdę - odezwała się głośno. - Trzeba włożyć sporo wysiłku, żeby wyprowadzić mnie z równowagi...

- Madame Dupree - odezwał się spokojnym głosem - czy wolno mi coś powiedzieć?

Phoebe zamrugła. Spojrzała na jego rękę, na swoje małe dłonie i poczuła dziwny ucisk w piersiach. Było to doprawdy niesamowite, że mężczyzna mógł wydawać się tak pełen gracji i delikatności, ale jednocześnie emanować energią i siłą. Jego energia ją przytłaczała.

Nie chciała usłyszeć, co miał do powiedzenia, nie chciała słyszeć, jak ten intrygujący mężczyzna uświadamia jej, jak bardzo ośmieszyła się w jego obecności. Mimo to skinęła potakująco głową.

Summerfield pociągnął Phoebe za sobą, mocno chwyciwszy jedną jej dłoń, i zaprowadził na obitą jedwabiem kanapę, która wydawała się trochę nie na miejscu w tym urządzonym bardzo po męsku gabinecie.

Kiedy już usiadła, rozchylił poły surduta, zasiadł w fotelu naprzeciwko i powiedział:

- Madame Dupree, muszę powiedzieć otwarcie...

- Otóż to - bąknęła pod nosem, spodziewając się usłyszeć słowa potępienia.

- ...że nie zamierzam pani zwalniać.

Phoebe wstrzymała oddech. Pochyliła się, przyglądając mu się uważnie.

- Przepraszam, ale czy słyszy pan swoje słowa, jaśnie panie? Powinien mnie pan natychmiast odprawić.

- Może i powinienem - odparł z krzywym uśmiechem - ale nie jestem na to gotowy.

- Och, dobry Boże - mruknęła ze zniecierpliwieniem.

- Chociaż nie zgadzam się z pani opinią, iż moje siostry zachowują się jak małpy, jednak przyznaję, że czasami bywają trudne. Zważywszy na okoliczności, ufam, że zrobiła pani to, co zrobiłaby każda porządna osoba.

Phoebe popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Naprawdę?

- Jeśli może pani wstrzymać się chwilę z rezygnacją z pracy u mnie, chętnie opowiem coś pani o moich siostrach.

Nie mogła mu odmówić; jego oczy ją hipnotyzowały, sprawiały, iż pragnęła zostać w tym gabinecie, dopóki nie utraci resztek godności. Bezwiednie przesunęła palcem po szwie siedziska kanapy.

- Dobrze. Skoro pan musi.

- Dziękuję - powiedział. - Moja matka zmarła, rodząc Jane, i moje siostry nigdy nie zaznały matczynej miłości ani wsparcia. Sądzę, że to musiało być dla nich dość trudne.

To niewątpliwie dało jej do myślenia. Jej własna matka opuściła ją, gdy Phoebe miała dziewiętnaście lat, i brakowało jej matczynej rady.

- Oczywiście miały guwernantkę, ale chyba nie nadawała się do uczenia ich tych wszystkich rzeczy, które powinny wiedzieć o towarzystwie i obyczajności. - Summerfield spojrzał na Phoebe wymownie.

- To prawda, że moje siostry nie zostały odpowiednio przygotowane do pełnienia swoich ról w społeczeństwie. Szczerze mówiąc, do niedawna nie zdawałem sobie sprawy z ich kłopotliwej sytuacji. Jestem trochę starszy od mojego rodzeństwa, między mną a kolejnym dzieckiem jest siedem lat różnicy, a kilka ostatnich lat spędziłem za granicą. Kiedy wyjeżdżałem, mój ojciec cieszył się dobrym zdrowiem i panował nad wszystkim.

Kiedy mówił, na jego twarzy malował się żal - nieskrywany, od dawna odczuwany żal.

- Kiedy przebywałem za granicą, ojciec poważnie podupadł na zdrowiu. Miał udar mózgu i stracił panowanie nad swoim królestwem, jeśli można tak powiedzieć. Jego choroba sprawiła, że nie może mówić ani chodzić. Nie poczyniono żadnych zabezpieczeń dotyczących prowadzenia posiadłości, z wyjątkiem tych związanych z moim dziedziczeniem. Kiedy dotarłem do domu, było

za późno. Posiadłość popadła w ruinę, a moje rodzeństwo utrzymywało się z bardzo niewielkich środków. Ojciec rzadko opuszcza swój pokój i obawiam się, że jego czas na tym padole dobiega końca.

- Och, nie - powiedziała Phoebe. - To musi być dla pana straszne. Ja... rozumiem, jakie to trudne, ponieważ straciłam matkę zaledwie trzy lata temu.

Skinął poważnie głową.

- Dziękuję, to rzeczywiście jest trudne. Jednak chodzi mi o to, madame Dupree, że moje rodzeństwo musiało wychowywać się samo w trudnym okresie życia. Niestety nie wyszło im to na dobre; obawiam się, że nie cieszą się zbyt dobrą reputacją. Jeśli wierzyć sekretarzowi mojego ojca, nie są lubiani w Bedford.

- Och - szepnęła Phoebe.

Summerfield wstał nagle i splótł dłonie za plecami.

- Postaram się to wszystko zmienić, madame Dupree. Chcę, żeby moje siostry zostały odpowiednio wprowadzone do towarzystwa i dobrze wyszły za mąż, a moi bracia zmienili się w szanowanych dżentelmenów. Wiem, że dziewczęta są trudne, ale mam nadzieję, iż weźmie pani pod uwagę ich tragiczną sytuację, kiedy będzie pani z nimi pracować. Bardzo potrzebują ubrań, które tylko pani może dla nich uszyć.

- Ale... - Chciała go zadowolić, jednak wizja pracy choć przez jeszcze jedną chwilę z jego siostrami była koszmarna. - Obawiam się, że nie wiem, jak im pomóc - powiedziała.

- Sugeruję, aby okazywała im pani należyty szacunek, ale proszę im nie ustępować.

Okazywać tym dwóm chłopczycom szacunek? Phoebe potrząsnęła głową.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie nadaję się do tej pracy. To znaczy, przyjechałam tutaj pracować, ale nie mogę dokończyć dzieła, gdy zachowują się wobec mnie, i siebie nawzajem, tak niegrzecznie.



- Zgadza się - powiedział. - Ostrzegłem je obie, że jeśli znowu będą się źle zachowywać, przestanę się z nimi patyczkować. Proszę mi tylko powiedzieć, jeśli to się powtórzy.

Phoebe wciąż się wahała. Podejrzewała, iż jego groźby nic nie znaczyły dla tych dwóch dzikusek.

Ale Summerfield zauważył jej wahanie i pochylił się ku niej, zmuszając ją tym samym, by na niego spojrzała.

Popatrzył błagalnie.

- Pomoże mi pani, madame Dupree, prawda? - spytał, po czym przykucnął przed nią. - Rozumiem niektóre potrzeby kobiet - odezwał się niskim głosem, a jego wzrok niespiesznie powędrował od jej ust do piersi. - Ale są takie potrzeby, wobec których jestem całkowicie bezradny. - Spojrzał jej w oczy.

- Bardzo potrzebuję pani pomocy. Proszę.

Och, jak bezwstydnie ją uwodził! Phoebe nie mogła pohamować uśmiechu. Nie była naiwną debiutantką, którą mógłby urokiem osobistym nakłonić do wykonania jego polecenia - jednak tym razem urok osobisty mężczyzny odniósł pożądany skutek.

Westchnęła, poirytowana własną słabością, i odsunęła się od niego.

- Dobrze, jasnie panie. Spróbuję.

Uśmiechnął się szeroko, a ona poczuła przechodzącą przez ciało falę ciepła.

- Wspaniale. A co do uroczystej kolacji na cześć państwa Remingtonów w przyszłym tygodniu, to mam nadzieję, że skończy pani dwie suknie dla Alice i Jane, prawda?

- Słucham? Nie, *sir!* To niemożliwe...

- Jestem pewien, że da pani radę - powiedział, podnosząc się i podając jej rękę, by mogła wstać.

- To jest niemożliwe - upierała się. Nie puścił jej dłoni.

- Jestem przekonany, że wcale nie niemożliwe - odparł z uśmiechem. - Niemożliwe jest to, by Alice i Jane nie mogły zaprezentować się z jak najlepszej strony.

- Nie mogę, panie - powiedziała zdecydowanie Phoebe, próbując uwolnić dłoń. - Pokojówka, która mi pomagała, została oddelegowana do innych obowiązków. W takiej sytuacji...

Wbił wzrok w jej usta.

- Dwie suknie, madame Dupree. I nie zgadzam się na mniej. Pani Ramsey zapewniała, że będzie pani wykonywać moje polecenia.

Wyrwała dłoń z uścisku.

- Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę niczego obiecać. Z jego gardła wydobył się zduszony śmiech; spojrzał

na jej płaszcz i dotknął guzika znajdującego się tuż pod szyją.

- Dwie suknie, madame Dupree. Phoebe nie mogła oddychać.

- Dobrze więc. Proszę w takim razie pozwolić mi wrócić do pracy i przystąpić do wypełniania pańskiego rozkazu.

Uśmiechnął się.

- Może pani odejść. Życzę miłego popołudnia, *madame*.

- Już prawie wieczór - rzekła i przeszła tak blisko niego, że w innych okolicznościach można by to uznać za zbyt śmiałość.

Zapomniała o czepku, zapomniała o wszystkim, poza jego oczami i nierozsądnym uczuciem ulgi, że nie musiała wyjeżdżać z Wentworth Hall.

\* \*\*

Ta krawcowa go intrygowała.

Will patrzył za nią, pożerając ją wzrokiem. Och, tak, intrygowała go i pociągała - była oazą pośrodku towarzyskiej pustyni. Tego ranka, gdy pokazywał jej dzikie stado koni, zauważył miękkie krągłości jej ciała. Patrząc

na jej długie, przerzucone przez jedno ramię włosy, na pozbawioną makijażu twarz, pomyślał, że rzadkością są kobiety tak naturalnie piękne. Była czarująca. Tak bardzo, że czuł rodzące się w nim pożądanie.

Jednak aż do tego popołudnia nie zauważył, jak bardzo była oszałamiająca. Może sprawiły to jej nieokiełznane loki koloru kukurydzy, zebrane w skromną fryzurkę. A może delikatny rumieniec na jej policzkach, kiedy dotknął guzika jej płaszcza. A może największe i najbardziej niespotykane zielononiebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział.

Lub też chodziło o to, że nie traktowała go z uniżonym szacunkiem, jak większość ludzi, lecz z pewnością siebie, której nie spotkał u żadnej kobiety, odkąd wrócił do Anglii.

Szczerze mówiąc, uważał, że to interesujące, iż taka dama pracuje jako krawcowa. Była pełna gracji, eleganckiego piękna, którego każdy mężczyzna chciałby zakosztować. Willowi przyszło do głowy, że jakiś bogaty dżentelmen mógłby ją wziąć sobie za kochankę lub żonę i pozwolić jej życie wygodnie i spokojnie.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, na zielone wzgórza.

Fakt, że pracowała jako krawcowa pod jego dachem, był swego rodzaju błogosławieństwem w momencie, w którym bardzo takiego błogosławieństwa potrzebował.

Nie podejrzewał, jak trudno mu będzie wrócić do szlacheckiego stylu życia po tylu latach spędzonych za granicą. Na angielskiej wsi wszystko toczyło się niebywale wolno, a ponadto niezmiernie ciążyły mu obyczajowe ograniczenia związane z jego pozycją. Nie był tym samym człowiekiem, który wiele lat temu opuścił Wentworth Hall. Jego doświadczenia otworzyły przed nim całkowicie inny świat, pełen nowych pomysłów i możliwości. Ten świat zdecydowanie się zawęził od czasu jego

powrotu. Chociaż otaczali go ludzie, czuł się bardzo samotny. Tęsknił za ruchem, za czymś, co by sprawiło, że jego krew zaczęłaby żywiej krążyć.

Chciał kochać się z kobietą. Pragnął tego. Pogłaskał palcami małego egipskiego skarabeusza, którego nosił na szyi i który miał mu pomóc wznieść się ponad potrzeby ciała.

Od powrotu do Wentworth Hall bardzo się starał zachowywać tak, jak tego od niego oczekiwano. Jego obowiązkiem wobec ojca i rodu było ożenić się, spłodzić dziedzica, a wcześniej trzymać swojego członka w spodniach i unikać skandalu. A on ten obowiązek traktował bardzo poważnie. Ojciec dopilnował, aby Will miał okazję poznać życie. Teraz spełni to życzenie i znajdzie odpowiednią kandydatkę na żonę w nieprzebranym tłumie niezamężnych kobiet w Bedfordshire. Będzie ją adorował, ożeni się i da ojcu wnuka, którego ten tak bardzo pragnął trzymać w ramionach.

Wypełnienie tego obowiązku trwało dłużej, niż Will planował. Nie wiedział, jak trudnym zadaniem okaże się znalezienie kobiety, którą mógłby wyobrazić sobie u swego boku. Nie był z kobietą, odkąd opuścił Kair. Nie łudził się, że uda mu się w tym zakątku Anglii znaleźć taką, prócz dziwki, z którą mógłby pójść do łóżka, a jego pragnienie z każdym dniem stawało się coraz większe.

Wzrosło jeszcze bardziej podczas rozmowy z madame Dupree. Kiedy opowiadała o jego zwariowanych siostrach, on obserwował, jak chodzi po pokoju, z irytacją wymachując rękami, i wyobrażał ją sobie leżącą pod nim nago z wpół przymkniętymi oczami, rozchylonymi wargami, przyjmującą go w siebie.

Pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia; to Addison przyniósł jego rękawiczki i płaszcz. Will miał spotkać się z Henrym Ellisonem na obiedzie w domu Bernarda Fortenberry'ego, ojca trzech niezamężnych córek. Wsunął skarabeusza za koszulę.

- Jak wyglądam, Addison? - spytał, poddając się inspekcji służącego.

Addison utrzymywał, że oznaką prawdziwego dżentelmena był jego nienaganny strój - jeszcze jedna umiejętność, o której Will zapomniał, przez lata nosząc skórzane spodnie i batystowe koszule.

Addison poprawił mu krawat.

- Gotowe, milordzie. Wspaniale, jak zwykle. Will uśmiechnął się i włożył rękawiczkę.

- A przy okazji, co możesz mi powiedzieć o madame Dupree?

- Wdowa, milordzie. Jej mąż był Francuzem. Ona jest Angielką.

Tego domyślił się sam.

- Jakaś rodzina?

- Wspominała o siostrze i kuzynce, które mieszkają na wrzosowiskach na północ od Alnwick.

- Na wrzosowiskach? - Wydało mu się to dziwne. Północ kraju była raczej niezamieszкана i panował tam dość ostry klimat; madame Dupree wydawała się zbyt wytworna na takie warunki. - Kiedy owdowiała? - spytał, pozwalając Addisonowi przytrzymać swój płaszcz.

- Nie jestem pewien, *sir*, ale nie nosi już żałoby. To oznaczałoby dwa lata albo więcej. Mam się dowiedzieć?

- Możesz - odparł. Poczł lekkie uderzenie gorąca. Młoda wdowa, nienosząca już żałoby, może być równie spragniona męskiego dotyku jak mężczyzna kobiety. - Im prędzej, tym lepiej.

- Tak, milordzie - rzekł Addison.

Szczerze mówiąc, Will nie czuł się tak radośnie od wielu miesięcy. Uśmiechnął się do Addisona.

- Nie czekaj na mnie. Jestem pewien, że pan Fortenberry będzie mi długo opowiadał o osiągnięciach swoich córek, a potem zapewne Henry zabierze mnie na jakąś partyjkę brydża.

- Oczywiście - odparł Addison.

Podniósł zapomniany przez madame Dupree czepek.

- Zostaw - powiedział Will. - Sam jej go oddam. Czubki uszu Addisona zaróżowiły się.

- Dla bezpieczeństwa odłożę to tutaj - odezwał się, i ostrożnie położył czepek na półce przy drzwiach, po czym ukłonił się nisko Willowi wychodzącemu na kolejne nudne spotkanie.

## Rozdział ósmy

Odkąd Summerfield zarządził, że Phoebe ma zaprojektować i uszyć dwie wieczorowe suknie na uroczystą kolację, dziewczyna pracowała od świtu do nocy. W ciągu trzech dni udało jej się skończyć projekt i wykroić dwie suknie, i chociaż Alice i Jane często jej przeszkadzały, razem z Friedą zaczęły już żmudną pracę zszywania wszystkich kawałków.

Jednak nie było już czasu, żeby przyozdobić suknie haftem, więc Phoebe postanowiła posłużyć się maleńkimi kokardkami. Siedziała pół nocy, żeby je zrobić, a potem wstała o świcie, by obszyć nimi dół sukni Alice.

Sama ubierała się w tym czasie w prostą suknię, a włosy splatała w warkocz.

- Rozchorujesz się, jeśli nie będziesz jadła - zbesztła ją pani Turner. Przyniosła jej jajko na twardo i gorącą czekoladę, ale Phoebe nie tknęła jedzenia.

Kiedy około jedenastej usłyszała pukanie do drzwi, pomyślała, że to Frieda.

- Proszę! - zawołała. - Ach, tak się cieszę, że przyszedłeś. Palce mi zdrętwiały, a zostały mi jeszcze do przyszycia te cztery piekielne wstążeczki. - Przykucnęła i spojrzała na efekt swojej pracy. Całkiem ładny.

Kiedy Frieda nie odpowiedziała, Phoebe pochyliła się w prawo, żeby wyjrzeć zza sukni. Dobry Boże, to był Summerfield!

Pisnęła i niezdarnie wstała - ale nogi jej zdrętwiały od kucania i nieznacznie się zachwiała. Szybko odzyskała równowagę, otrzepała kolana i bezskutecznie usiłowała wygładzić niesforne kosmyki włosów.

- Proszę o wybaczenie, *sir*, ale nie spodziewałam się... - powiedziała z niepokojem, zdejmując długi fartuch, w który wpinała szpilki i igły, i rzucając go na krzesło.

- Przyszedłem oddać pani czepek - odezwał się Will i podał jej go. - Zostawiła go pani trzy dni temu w moim gabinecie.

- Och. Dziękuję. - Dziwne, pomyślała, że się fatygował, zamiast podać go przez służącego.

Summerfield nagle wszedł głębiej do pokoju, kierując się ku leżącej na stole sukni Jane.

- Która z moich sióstr będzie ją nosić? - spytał.

- Jane... mam nadzieję - odparła Phoebe, wznosząc wzrok ku niebu.

Wczoraj dziewczyna narzekała na bladozielony kolor, chociaż Phoebe zapewniała ją, że wspaniale pasował do jej karnacji.

Summerfield przez chwilę przyglądał się sukni, po czym odwrócił się do Phoebe. Omiótł ją wzrokiem, ale najdłużej zatrzymał się na jej wargach. Podał jej czepek.

- Proszę.

- Dziękuję - powiedziała i uśmiechnęła się niezbyt pewnie, wyciągając dłoń po zgubę. - Jest pan bardzo miły.

Ale nagle Summerfield mocniej zacisnął dłoń na czepku i nie puścił go. Przeniósł wzrok na górę jej sukni.

- Ma pani jakieś imię, madame Dupree? Poczwała, jak niemal natychmiast krew odpływa jej z twarzy, i doznała nieprzyjemnego uczucia, że jej głupia gra została odkryta. Skąd mógłby wiedzieć? Pani Ramsey, oczywiście! Powiedziała mu ta podła kobieta!

Czekał na odpowiedź.



- To znaczy? - spytała ostrożnie, bacznie wypatrując jakiegoś znaku, że wiedział, kim była. Uśmiechnął się zaskoczony.
- To znaczy, że madame Dupree brzmi tak... oficjalnie. Pomyślałem, że jest może jakieś imię, którym mógłbym się do pani zwracać.
- Phoebe pociągnęła za czepek, ale on mocno go trzymał.
- Chodzi panu o... imię? - spytała podejrzliwie. Uśmiechnął się szerzej.
- Czy zawsze jest pani taka przekorna? Imię, madame Dupree. Imię, którym zwraca się do pani siostra.
- Phoebe.
- Phoebe - powiedział i skinął głową. - Pasuje do pani. Stała tak blisko niego, że mogła policzyć włosy w jego bokobrodach, poczuć ciepło jego ciała. Znowu pociągnęła za czepek, ale on uparcie go nie puszczał, uśmiechając się przy tym szelmowsko.
- Przyznam, Phoebe, że trudno jest docenić pani pracę, jeśli nie opina ona kobiecych kształtów. Jego oczy, jak zauważyła, przybrały ciepły zielony kolor. Chwyciła tasiemki czepka i mocno za nie pociągnęła.
- Suknia lady Alice jest na stojaku, tuż za panem, *sir*.
- Nie o tę suknię mi chodzi - odparł i zrobił krok w jej stronę.
- Dobrze - rzekła Phoebe. - Jeśli odda mi pan czepek - powiedziała - poproszę lady Jane, i będzie mógł pan obejrzeć suknię na niej.
- Nie na Jane - powiedział, najwyraźniej czerpiąc przyjemność z nieoddawania jej własności. - Na pani.
- Ale... ale ta suknia została uszyta na lady Jane. Nie na mnie.
- Wygląda na to, że ma pani podobną figurę - powiedział, jawnie przesuwając wzrokiem po jej ciele.
- Zapewniam pana, że tak nie jest. Jest wiele różnic.
- Jest pani niewątpliwie najbardziej upartą służącą, jaka kiedykolwiek zamieszkiwała Wentworth Hall. Pani fi-

gura jest wystarczająco podobna i zapewniam panią, Phoebe, że zdecydowanie bardziej docenię tę suknię na pani niż na mojej siostrze Jane. Niechże pani ją przywdzieje, żebym mógł ocenić jej przydatność. Phoebe zamarła, czując narastające oburzenie.

- Przydatność? - odezwała się, niemal dławiąc się tym słowem. - Została zaprojektowana zgodnie z najnowszą londyńską modą...

- Mało mnie to obchodzi. - Zbliżył się jeszcze bardziej, uśmiechając się do niej w taki sposób, że czuła, jakby przypiekano ją od wewnątrz. - Chcę cię zobaczyć w tej sukni. Włóż ją. - Mówił, jak mężczyzna, który przyzwyczajony był do wydawania ludziom poleceń.

Phoebe spojrzała na suknię.

- Teraz.

Chociaż on przyzwyczajony był do wydawania poleceń, Phoebe nie była przyzwyczajona do ich otrzymywania.

- A jeśli tego nie zrobię? - spytała śmiało. Summerfield podniósł brew.

- Może chce pani, żebym jej pomógł się przebrać? Och, Boże! Na samą myśl o tym serce zamarło jej w piersi.

- Nie zrobiłby pan tego. Wzruszył nieznacznie ramionami.

- Robiłem już gorsze rzeczy. Jej serce znowu zamarło.

- Włóż ją pani, jeśli zależy pani na posadzie tutaj -dodał.

W jej głowie pojawiło się milion odpowiedzi - tak wiele, że natychmiast zapomniała, iż była w tym domu służącą i musiała go słuchać. Z trudem przełknęła słowa, które cisnęły jej się na usta, i spojrzała na suknię.

Summerfield puścił czepek i odsunął się. Phoebe rzuciła swoje nakrycie głowy na stół i spojrzawszy z wściekłością na Summerfielda, złapała suknię. Przeszła za je-

dwabny parawan, który wczoraj przyniósł służący. Słyszała, że mężczyzna chodzi po pokoju.

Zatrzymał się gdzieś w pobliżu i zapytał:

- Skąd pani pochodzi, Phoebe?

- Z Lon... z Northumberland.

- Z jakiej konkretnej wsi?

Zamarła, wpatrując się w parawan. Wsi? Przeklęty pomysł Greer z wrzosowiskami. Phoebe przez chwilę nie była w stanie przypomnieć sobie nazwy ani jednej wsi w Anglii! Mocno zacisnęła powieki i spróbowała przywołać w myślach mapę, którą razem z Greer i Avą studiowały, kiedy wymyślały fałszywą tożsamość dla Phoebe.

- Berwick-upon-Tweed - odparła jakby nigdy nic, bo nagle ta nazwa przysła jej do głowy.

- Berwick-upon-Tweed? - Wydawał się zaskoczony. - A więc pani ojciec był... rybakiem?

Jezu, rybakiem? Phoebe chwyciła suknię Jane i wsunęła ją przez głowę.

- Nie pamiętam go za dobrze. - Było to bliskie prawdy, jej ojciec zmarł, kiedy miała zaledwie siedem lat.

Zapięła guziczki najlepiej jak umiała, ale nie była w stanie dosięgnąć tych pośrodku pleców. Nie miało to zresztą znaczenia, ponieważ jej piersi były większe niż piersi Jane - zdecydowanie większe.

-Już?

To pytanie ją zaskoczyło, ponieważ stał tuż za parawanem.

- Ach... - Opuściła ręce i spojrzała w dół. Dekolt sukni był dla niej zdecydowanie za ciasny - biust niemal z niego wyskakiwał.

- Wychodzi pani, madame Dupree?

- Nie pasuje na mnie - powiedziała, przyglądając się dekoltowi. - Jane jest ode mnie mniejsza.

- Proszę mi się pokazać.

- Naprawdę na mnie nie pasuje.

- Jest pani w negliżu?

- Nie! Ale naprawdę muszę...

Krzyknęła, kiedy Summerfield nagle odsunął parawan, oparł się o niego jednym ramieniem i bezwstydnie jej się przyglądał.

- Panie! - zaoponowała zdecydowanie. - Wypraszam sobie!

Summerfield zignorował ją. Pożerał wzrokiem każdy fragment bladozielonej sukni. W końcu, skinąwszy z akceptacją głową, odsunął się i pociągnął Phoebe za sobą.

Phoebe nie ruszyła się.

- Proszę tu podejść - odezwał się ze zniecierpliwieniem i gestem dłoni nakazał jej ruszyć naprzód. Zatrzymała się pośrodku pracowni.

- Tak - mruknął i powoli obszedł ją dookoła, przyglądając się z każdej strony, podczas gdy twarz Phoebe płonęła. Kiedy w końcu stanął na wprost niej, spojrzał jej głęboko w oczy. - Piękna - powiedział. - Brylant najczystszej wody.

Nie mówił o sukni.

- Jednak sądzę, że można wprowadzić jedną poprawkę, kiedy Jane będzie ją nosić - dodał słodko.

- Ta suknia jest idealna - powiedziała Phoebe, unosząc podbródek. - Cóż można w niej poprawić?

- Gorset. - Jakby od niechcienia przesunął palcami po jej skórze tuż ponad linią dekolту. - Jest za bardzo wycięty.

Jego dotyk ją oszołomił, jednak jednego była pewna - dekolт sukni jest idealny.

- Mogę pana zapewnić, że będzie doskonale pasował na lady Jane.

- Jest za głęboki - powtórzył i musnął kłykciami pagórki jej piersi. - Kiedy mężczyzna widzi piękną kobietę w sukni z tak głębokim dekoltem, nie może oderwać wzroku od jej ciała i przepelnia go pragnienie, żeby jej dotknąć. - Powtórzył pieszczotę, ale tym razem nie spuszczał wzroku z jej oczu. - To nie jest właściwe dla Jane.

Skóra Phoebe płonęła, a ciśnienie w pokoju stało się nie do zniesienia. Jego dotyk nie przypominał niczego, co dotychczas знаła -pozostawił po sobie niezatarty ślad. Wyobraziła sobie jego śniadą dłoń na swojej białej piersi, jego usta na swoim sutku. W normalnych warunkach takie myśli wprawiłyby ją w zakłopotanie, jednak z jakiegoś niewyjaśnionego powodu teraz ją ośmieliły. Ośmieliły madame Dupree, która nie miała nic do stracenia. Phoebe instynktownie wiedziała, że jeśli ulegnie, on pochłonie ją jak cukierek.

Uśmiechnęła się z rezerwą.

- Jeśli mężczyznę przepelnia takie pragnienie na widok kobiety, to zapewne nie jest dżentelmenem i nie będzie przebywać w towarzystwie pańskiej siostry.

Summerfield posłał jej szelmowski uśmiech i od niechcienia jeszcze raz pogładził jej skórę, zanim dotknął opadający na jej biust pukiel włosów.

- A w pani towarzystwie? Dżentelmen zachowuje się przyzwoicie w towarzystwie kobiety, ale mężczyzna wie, jak ją zaspokoić. Podejrzewam, że nie zapomniała pani różnicy między mężczyzną a dżentelmenem.

Jeszcze nikt nie mówił do niej w tak zuchwały sposób, i z pewnością żaden mężczyzna nie rozniecił w niej takiego żaru. Niepohamowane pragnienie szukało w niej drogi ujścia.

Jednak Phoebe się nie poddawała.

- Uważa pan, że jest jedynym mężczyzną, który potrafi tak przekonująco mówić? Że nie mam pojęcia, w jaki sposób mężczyźni będą chcieli mnie uwieść? Sądzi pan, że zadrzę i omdleję w pańskie ramiona?

- Wręcz przeciwnie. Sądzę, że pani rozkwitnie. Przeszedł ją dreszcz.

- Kwiat zerwany z winorośli uschnie i porwie go byle podmuch wiatru, gdy tylko przeminie jego urok. Uniósł brew i uśmiechnął się.

- Nie, jeśli się o niego odpowiednio zadba.

Gwałtowny odgłos otwieranych drzwi sprawił, że jej serce drgnęło. Natychmiast odskoczyła od Summerfielda. Usłyszała zaskoczone sapnięcie Friedy, a potem:

- Przepraszam, jaśnie panie!

Przez chwilę Phoebe była pewna, że zemdleje ze wstydu. Nie zdołała spojrzeć na dziewczynę. Jednak kiedy to w końcu zrobiła, dostrzegła, że Frieda gapi się na nich oboje.

Summerfield tylko się uśmiechnął.

- Nic nie szkodzi, Friedo. - Po raz ostatni obrzucił Phoebe gorącym spojrzeniem, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. - Madame Dupree potrzebuje twojej pomocy.

- Tak, *sir* - powiedziała pokojówka, dygając. Summerfield przeszedł obok niej, nie oglądając się za siebie.

Natychmiast po jego wyjściu Phoebe schowała się za parawanem. Frieda zamknęła drzwi za lordem i podbiegła do parawanu, odsunęła go i uśmiechnąwszy się szeroko, zapiszczała:

- Co, na Boga?

- Po prostu... po prostu połóż to na stole - odparła z irytacją Phoebe, podając jej suknię Jane. - I cokolwiek sobie wyobrażasz, to nie był mój pomysł.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła Frieda z prychnięciem. Wzięła suknię i przyłożyła ją do siebie, podziwiając się w lustrze. - Szkoda, że na mnie tak nie patrzył. Aż dziewczyna ma ochotę paść na plecy i zadrzeć nogi do sufitu, co? Jesteś śliczna - dodała w zamyśleniu. - Śliczna jak z obrazka. Wcale się nie dziwię, że wpadłaś mu w oko. - Położyła suknię Jane na stole i wygładziła ją. - Ale obawiam się, że lady Jane wylądowałyby w zakładzie dla obłąkanych, gdyby się dowiedziała, że miałaś na sobie jej kreację. Na twoim miejscu bym uważała.

Phoebe pomyślała, że jeszcze nie słyszała lepszej rady.

## Rozdział dziewiąty

Dziwne napięcie, które wywołał w niej Summerfield, nie mijało; jeszcze długo po jego wyjściu Phoebe czuła się spięta i rozdrażniona, niemal na granicy zapierającego dech w piersiach szaleństwa. Summerfield nie różnił się od innych dżentelmenów, których spotkała, ale żaden nie pociągał jej tak jak on. Cóż, rzadko zachowywała się tak śmiało w kontaktach z mężczyzną.

Lord Stanhope, bliski przyjaciel jej szwagra, któregoś wieczoru rozbawił ją przy partii wista. Następnego ranka Ava oznajmiła, iż ona i Middleton uważają, że Phoebe i Stanhope tworzyliby idealną parę.

W związku z tym Phoebe unikała flirtów z dżentelmenami. A kiedy lord Stanhope lub jakiś inny dżentelmen zerknął na nią pożądliwie, robiła się niespokojna. Jednak kiedy patrzył tak na nią Summerfield, miała wrażenie, jakby fale jego pożądania rozbijały się o nią, podmywając piasek spod jej stóp.

Jej wyobraźnia rozpalona była przez to, że mogła być tutaj kimś, kim naprawdę nie jest. Nikt nie będzie próbował jej wyswatać tylko dlatego, że się do kogoś uśmiechnęła. Przez kilka ostatnich tygodni, które spędziła w Wentworth Hall, całe jej życie było fikcją. Mogła wyobrażać sobie, że jest owdowiałą madame Dupree. A kiedy skończy szyc suknie, madame Dupree i jej fan-

tazje po prostu znikną. Francuska stylistka wróci do Francji albo umrze. Oczywiście tragicznie, w jakimś strasznym wypadku - może powóz spadnie z mostu do Tamizy w czasie przyływu i uwięziona w środku madame Dupree pójdzie na dno... Cóż.

O okolicznościach pomyśli później, a w międzyczasie lady Phoebe Fairchild wróci jesienią do Londynu, do wszystkich ograniczeń towarzyskich i zasad przyzwoitości, które od zawsze rządziły jej życiem.

Gdzie podział się jej kompas moralny? Jakiego pokroju kobieta marzyła o romansie z mężczyzną, który nie był jej mężem? Ale też jaka kobieta odmówiłaby sobie przyjemności, którą inne kobiety uważały najwyraźniej za coś oczywistego? A poza tym, na Boga, nie planowała pójść z nim do łóżka - to mogłoby nieść ze sobą wiele konsekwencji, nawet przy jej fałszywej tożsamości. Ale odrobina gorącego flirtu? Och, tak, to by się jej podobało.

Phoebe zastanawiała się, co powiedziała by jej matka, gdyby знаła jej myśli. Zawsze uwielbiała przyjęcia, flirty i towarzyskie spotkania. Nawet w Bingley Hall, choć zakochana była w ojcu Phoebe, zainteresowanie innych mężczyzn sprawiało jej przyjemność.

Phoebe przypomniała sobie pewne popołudnie, kiedy matka pozwoliła jej, Avie i Greer włożyć swoje najlepsze kreacje i bawić się. Miały na sobie jej kapelusze, buty i biżuterię oraz jedwabne suknie, które matka musiała dla córek odpowiednio upiąć. Krążyły za mamą po wielkim salonie, udając, że są damami z towarzystwa.

- Nigdy nie możecie okazywać, że zależy wam na zainteresowaniu mężczyzny, moje kochane - instruowała je rozbawiona mama. - Ponieważ panowie lubią myśleć, że to oni się za nami uganiają. Musicie więc pozwolić tym biedakom w to wierzyć.

- Ale jak mamy sprawić, żeby w to uwierzyli? - spytała Ava, zmarszczywszy w skupieniu brwi.



- Wystarczy, że się do nich uśmiechniesz. Popatrz na mnie. - Zrobiła kilka kroków, zatrzymała się i posłała córce zalotny uśmiezek, po czym ruszyła przed siebie. Zatrzymała się kilka kroków dalej. - Widzicie? - spytała. - Jeśli uśmiechniecie się do nich tak jak ja teraz do was, będą chodzić za wami jak szczenięta.

- Ale czy przez cały czas mają chodzić jak szczenięta?

- To pytanie zadała Greer, która miała niepokonowaną potrzebę zrozumienia zasad obowiązujących we wszystkich aspektach życia.

- Jeśli zaczniecie się uśmiechać jak wasza matka

- rozległ się cichy męski głos - będą za wami chodzić, dopóki was nie złapią, a kiedy was złapią, to was zjedzą.

Wszystkie cztery obróciły spojrzały w stronę autora tej wypowiedzi. Ku uciesze dziewcząt w progu oparty o framugę stał ich ojciec i ze skrzyżowanymi ramionami obserwował, jak paradują po pokoju niczym stado gęsi.

Do dzisiaj Phoebe pamiętała, jak twarz matki rozjaśniła się na jego widok.

- Kochanie, dlaczego mówisz takie rzeczy? Przez ciebie będą miały koszmary! - powiedziała i podeszła do męża, żeby pocałować go w usta.

- A ty nauczysz je, jak bezlitośnie drażnić mężczyzn

- odparł z uśmiechem, dotykając palcem wskazującym czubka jej nosa.

Roześmiała się.

- To są dziewczęta, Robercie. Nie uczę ich niczego, do czego nie zostały stworzone - powiedziała i mrugnęła do niego.

Phoebe nigdy nie zapomiała, jak czule patrzył na żonę.

Pragnęła doświadczyć kiedyś tak czulego spojrzenia. Pragnęła męża, który uwielbiałby ją tak samo, jak jej ojciec uwielbiał matkę.

\* \* \*

Wczesnym rankiem obudziło ją ćwierkanie ptaków za oknem. W jej głowie wciąż kłębiły się myśli o Summerfieldzie. Wcześniej zaczęła pracę, mając nadzieję, że w ten sposób ucieknie od tych rozważań.

Kiedy Frieda o wpół do jedenastej dotarła do pracowni, poinformowała Phoebe, że Alice i Jane jeszcze nie wstały, w związku z tym przymiarka będzie dopiero po obiedzie.

Niezadowolona panna Fairchild zostawiła Friedę, żeby dokończyła suknię Jane, a sama wzięła szkicownik i wyszła na zewnątrz, by popracować nad projektami pozostałych sukien.

Dzień był ciepły; Phoebe z radością skorzystała z dobrodziejstwa altany. Naszkicowała dwie kreacje dla Alice, które, miała nadzieję, będą przeciwwagą dla jej posępnego wyrazu twarzy, kiedy usłyszała ciężki tętent kopyt. Gdy obejrzała się za siebie, dostrzegła Summerfielda i jego brata Rogera pędzących konno przez szeroki trawnik.

Konie gnały łeb w łeb. Wierzchowiec Summerfielda był wyższy i silniejszy niż Rogera, lecz jego koń wydawał się z kolei bardziej zwinny.

William Darby nagle skręcił w prawo. Roger krzyknął; ogier jego brata przeskoczył przez żywopłot i wylądował w jeziorze, rozpryskując wodę.

Wciągnąwszy głośno powietrze, Phoebe zerwała się na równe nogi, obserwując z podziwem, jak Summerfield płynie na koniu wzdłuż brzegu, podczas gdy Roger pędził dookoła żywopłotu i kępy zarośli.

Kiedy Summerfield wyłonił się z wody w mokrym ubraniu, na wierzchowcu ociekającym wodą, wyprzedził brata o dwie długości, po czym zniknął za stajniami.

Phoebe z powrotem usiadła na ławce. Było to niesamowite i całkowicie brawurowe.

Minęła godzina, nim wróciła do domu, przechodząc przez ogród. Ponieważ był bardzo duży, każdego dnia wybierała inną ścieżkę. Zatrzymała się, żeby popatrzeć na cisowy żywopłot, któremu nadano kształt smoka. A idąc wzdłuż smoczego ogona, wpadła na mężczyznę na wózku inwalidzkim.

Hrabia.

Kilka metrów dalej stał dość postawny służący, który rozmawiał z kimś, kogo Phoebe nie widziała.

Hrabia miał głowę przekrzywioną pod dziwnym kątem, ale patrzył wprost na lady Fairchild.

- Dzień dobry - powiedziała, dygając.

Hrabia uniósł palec i w tej samej chwili służący zauważył Phoebe. Odwróciwszy się w jej stronę, szybko skończył rozmowę.

- Przepraszam - odezwała się, zamierzając odejść.

- Madame Dupree? - Zza żywopłotu wyszedł Summerfield. Pod pachą trzymał kapelusz, a w dłoniach szpicrutę. Ubranie nadal miał wilgotne.

- Jaśnie panie, proszę o wybaczenie. Nie wiedziałam.

- Oczywiście, że nie. Proszę wybaczyć mój ubiór. Dziś rano brałem udział w wyścigu.

- Tak... widziałam.

- Naprawdę? - spytał, wyraźnie z tego zadowolony. - Roger wciąż jest w stajni. Grozi, że nie wyjdzie, dopóki nie przyznam, że oszukiwałem.

- A oszukiwał pan? - spytała. Służący spojrział na nią przelękniony. Jednak Summerfield tylko się roześmiał.

- Absolutnie. Założyliśmy się o to, kto będzie pierwszy w stajni. Nie było powiedziane, w jaki sposób mamy tego dokonać. Uważa pani, że nie powinienem ścigać się przez jezioro?

- Było to trochę nieodpowiedzialne - przyznała z uśmiechem.

Służący jeszcze szerzej otworzył oczy.

- Czasami bycie nieodpowiedzialnym sprawia niesamowitą radość - odparł Summerfield, mrugnawszy do niej i zrobiwszy krok naprzód. - Niech mi będzie wolno przedstawić pani mojego ojca, hrabiego Bedford - powiedział i położył dłoń na ramieniu starszego mężczyzny.

Głowa hrabiego nie poruszyła się, ale widział ją bardzo dobrze. Znowu dygnęła.

- Jak się pan miewa, jaśnie panie?

- Ojczy, to jest madame Dupree. Została zatrudniona, aby wykonać suknie dla Alice i Jane. - Zerknął na Phoebe. - Dobrze, że przyjechała.

Te słowa sprawiły, że Phoebe uśmiechnęła się promiennie.

- Postanowiłem zaprosić na dwa tygodnie gości, a ukoronowaniem ich pobytu u nas stanie się bal, i wierzę, że Alice i Jane będą się wspaniale prezentować dzięki zdolnym rękóm madame Dupree. -

Spojrzał na Phoebe. - Goście zaczną się zjeżdżać pod koniec przyszłego tygodnia. Obawiam się, że później moglibyśmy bezpowrotnie stracić niektórych kawalerów, którzy wyjadą na sezon do Londynu.

- Ale miesiąc nie wystarczy, by uszyć wszystkie suknie, które pan zamówił.

- Jestem pewien, że pani się uda - odparł grzecznie, acz z naciskiem.

Phoebe zmusiła się do pogodnego uśmiechu.

- Nie wiem, dlaczego jest pan tego pewien, *sir*, skoro nigdy wcześniej nie szył pan sukni.

Służący rozdziawił usta. Summerfield się uśmiechnął.

- Jestem pewien, madame Dupree, ponieważ jest pani niesamowicie utalentowaną kobietą.

Cóż. I tyle. Zerknęła na hrabiego, który wciąż na nią patrzył.

- Chciałbym, madame Dupree, aby jutro towarzyszyła pani moim siostróm w Greenhill. Uświadomiły mi, że

potrzebują różności, przy których zakupie może pomóc wyłącznie kobieta.

Phoebe bez wątpienia miała coś lepszego do roboty niż krążyć z Alice i Jane po sklepie, jeśli miała skończyć wszystkie suknie na czas, ale mogła jedynie potaknąć, wciąż gorączkowo rozmyślając o tym, co musi być zrobione, jeśli garderoba dziewcząt ma być gotowa do końca przyszłego miesiąca. I o tym, że nazwał ją niesamowicie utalentowaną.

- Przed wyjazdem proszę porozmawiać z Addisonem, a on dopilnuje, żebyście miały wystarczająco...

- Jaśnie panie!

Mężczyzna, którego Phoebe nigdy wcześniej nie widziała, biegł ku nim ze wzrokiem utkwionym w Summer-fieldzie, zupełnie nie zwracając uwagi na innych.

- Pan Carsdale? - powiedział Summerfield, wyraźnie zaskoczony. - Co się, u licha, stało?

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie - powiedział zdyszany - ale rano pojawiły się pewne kłopoty.

- Jakie kłopoty?

Mężczyzna spojrział nieufnie na Phoebe.

- Joshua - szepnął.

Phoebe zauważyła, że Summerfield mocniej ścisnął szpicrutę.

- Proszę pójść ze mną do garderoby, żebym mógł się przebrać - powiedział i spojrział na ojca. - Nie wolno ci się denerwować - rzekł, uściskawszy ramię staruszka. Natychmiast ruszył w stronę domu, a nieznajomy podążył tuż za nim.

Phoebe spojrzała na hrabiego, potem na służącego.

- Mogę jakoś pomóc?

- Nie, *madame* - odparł postawny mężczyzna. - Jego lordowska mość i ja całkiem dobrze sobie radzimy, prawda, milordzie? - spytał i sprawnie przechylił wózek lekko w tył, zawrócił nim i niespiesznie zaczął popychać go przez ogród.

## Rozdział dziesiąty

Will nie był w stanie zrozumieć, dlaczego Joshua chciał zniszczyć własną reputację, dobre imię rodziny, a także swoje życie.

- Nie wiem, jaka była stawka - powiedział cicho pan Carsdale, sekretarz jego ojca, żeby Addison nie mógł usłyszeć. Ale ten kręcił się w pobliżu i Will był pewien, że nie umknęło mu ani jedno słowo. - Pokrzywdzony dżentelmen i jego towarzysze zabrali pańskiego brata i jadą do Wentworth Hall, żeby otrzymać od pana zadośćuczynienie.

Cholera jasna! Will odwrócił się do lustra, żeby zawiązać krawat, i pomyślał o ojcu, który wprawdzie nie był w stanie mówić ani pisać, ale wszystko doskonale rozumiał - zwłaszcza to, że Joshua oszukiwał w pokera, grając

o wysoką stawkę. Głupiec. Nieodpowiedzialny głupiec. Kiedy ojciec się o tym dowie - a dowie się na pewno,

ponieważ nie można było przed nim ukrywać czegoś tak poważnego - nie będzie w stanie tego znieść.

Will bardzo ubolewał nad tym, że nie potrafi wszystkiego

i wszystkich doprowadzić do porządku. Najbardziej na świecie pragnął zapewnić ojca, że nie przybył za późno, że rodzina Darbych przetrwa, ciesząc się powszechnym szacunkiem. Jednak każdy dzień przynosił coś, co powalało go na łopatki i kazało myśleć, że jego rodzina nigdy nie wróci do dawnej świetności.

A teraz przyłapano Joshuę na oszustwie. Oszustwie! To niewyobrażalne. Jego brat, wychowywany na dżentelmena i świetnie wykształcony, nie był lepszy od zwykłego złodzieja.

- Czego chcą ci ludzie, poza głową chłopaka? - spytał Will z pozornym spokojem.

- Chyba pokrycia długu, jasnie panie. Przynajmniej mieli jakąś cenę.

- Jak pan sądzi, ile to może być?

- Pięćdziesiąt funtów powinno wystarczyć.

Will niemal się zakrztusił, słysząc tak ogromną sumę. Kiedy pojawił się Addison z czystym surdudem, Will włożył go i poprawił rękawy koszuli. Takie delikatne sytuacje go denerwowały. W Egipcie czy Indiach załatwiłby to całkiem inaczej - zgodziłby się na publiczną chłostę lub coś podobnego. Joshua bez wątpienia zasłużył sobie na karę. Ale tutaj musiał postępować ostrożnie, mówić i działać z największym taktem, bo inaczej mógłby tylko pogorszyć sytuację.

- Cóż, panie Carsdale - rzekł spokojnie - chodźmy do salonu, żeby stawić czoło temu nieszczęściu.

\* \* \*

Pół godziny później mężczyźni przybyli, prowadząc ze sobą Joshuę, który wszedł za Farleyem do gabinetu hrabiego z aroganckim wyrazem twarzy. Will rozpoznał tylko jednego z mężczyzn, pana Aimesa, bezczelnego młodego człowieka, który znany był z porywczego charakteru.

Summerfield stał przy kominku, oparłszy jedno ramię o jego półkę.

- Panowie - odezwał się jakby nigdy nic i spojrzał chłodno na Joshuę.

- Lordzie Summerfield, z wielką przykrością muszę poinformować, iż pański brat jest oskarżony o oszukiwa-

nie podczas gry w karty - powiedział pan Aimes, pomijając jakiegokolwiek powitanie.

- To bardzo niegodziwe oskarżenie, *sir* - odparł spokojnie Will. - Mam nadzieję, że jest pan w stanie to udowodnić.

- Jesteśmy świadkami, *sir* - odezwał się kolejny mężczyzna, pochylając głowę. - Pan James, do usług. Widziałem, jak pana brat znaczył kartę.

- Ja także, panie - rzekł trzeci mężczyzna. - Nazywam się Phillip Batencourt. Kiedy sprawdziłem talie kart, odkryłem, że kilka było znaczonych.

Will zerknął na brata.

- Znaczyłeś karty, Joshua? Joshua prychnął.

- Czy to sąd? Oczekujesz, że sam siebie obciążę?

- Oczekuję, że zaprzeczysz - odparł spokojnie Will. Jednak jego serce waliło jak oszalałe.

Joshua wzruszył ramionami i leniwie opadł na krzesło, po czym skrzyżował nogi. Włosy miał w nieładzie, kołnierzyk przekrzywiony. Wyglądał jak człowiek, który całą noc nie spał. Jego lekceważenie i obojętność były oburzające.

- Czego ode mnie oczekujecie? - Will zmusił się, żeby zadać to pytanie.

- Satysfakcji.

- Sugeruje pan, że bym był sekundantem mojego brata podczas pojedynku?

Na te słowa Joshua uniósł głowę; patrzył z niepokojem to na Willa, to na pana Aimesa.

- Miałem nadzieję, że uda nam się uniknąć takiego nieszczęścia, ale jeśli odmówi pan zadośćuczynienia, będę musiał żądać takiej satysfakcji.

Will kątem oka spojrzął na Joshuę i wzruszył ramionami.

- To powszechnie stosowana metoda w przypadku takiego przestępstwa - rzekł obojętnie.



Pan Aimes wyglądał na zaskoczonego.

- Z pewnością uda się nam dojść do porozumienia.

- Dobrze - powiedział Will, usiłując nie okazywać pogardy.

Podszedł do francuskiego sekretarzyka, otworzył go i wyciągnął księgę.

- Może - rzekł, zanurzając pióro w kałamarzu i szybko wypisując czek na pięćdziesiąt funtów - to załatwi sprawę. - Posypał papier odrobiną piasku, po czym wysuszył i podał panu Aimesowi. - Jestem wdzięczny, że zwrócił pan moją uwagę na zachowanie brata. Jeśli będzie to dla pana jakimś pocieszeniem, to pragnę zapewnić, iż zostanie on odpowiednio surowo potraktowany.

Pan Aimes zaskoczony kwotą podniósł wzrok.

- Sądzę, że to wystarczy.

- Wyświadczyliscie wielką grzeczność mojemu niedomagającemu ojcu, ściągając Joshuę do domu i pozwalając nam się tym zająć - powiedział Will. - Macie moje słowo, że nasza rodzina zajmie się tą sprawą najdyskretniej jak to możliwe, i ufam, że panowie odwdzięczycie się mojemu ojcu tym samym.

Pan Aimes wyciągnął do Summerfielda rękę.

- Ma pan moje słowo.

- Dziękuję - odparł Will. - Farley, odprowadź panów - poprosił lokaja, który starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Począł, aż mężczyźni wyjdą, a Farley zatrząśnie za nimi drzwi, i dopiero wtedy spojrzął na Joshuę, który wstał, unikając jego wzroku.

- Cóż, jeśli zostało to załatwione...

Will chwycił go za ramię. Zauważył jego pozbawiony skruchy wyraz twarzy i nie mógł się powstrzymać. Uderzył brata w szczękę, posyłając go tym ciosem na podłogę. Joshua krzyknął, dotknął dłonią policzka. Jego twarz przybrała morderczy wyraz; podniósł się niezdarnie i rzucił się na Willa z pięściami.

Jednak ten był większy i silniejszy od brata, chwycił go za ręce i odepchnął; Joshua przewrócił się na krzesło. Po krótkiej walce Will przycisnął brata do podłogi. Patrzył na niego z wściekłością, podczas gdy chłopak usiłował bezskutecznie go z siebie zrzucić.

- Dlaczego? - spytał ostro Will, podniósłszy się. - Jak mogłeś tak splamić honor ojca?

Joshua niezdarnie wstał i wzruszył ramionami.

- Nie lubię przegrywać.

- Co się z tobą, do diabła, dzieje? Chcesz wylądować na szubienicy?

- Podobałoby ci się, co?

Will doskoczył do brata, mając ochotę go udusić. Joshua chciał uciec, ale William złapał go i popchnął na ścianę, przewracając przy tym gerydon\* z marmurowym blatem.

- Jeśli jeszcze raz splamisz dobre imię tej rodziny, to przysięgam, że sam cię powieszę. Jeśli przyniesiesz wstyd ojcu, siostrom, naszemu nazwisku! - powiedział gniewnie. - Nie wiem, dlaczego chcesz sam siebie zniszczyć, ale zapewniam cię, że jesteś na najlepszej drodze ku temu!

- Co cię to obchodzi? - wrzasnął młodzian. Patrząc wściekle na starszego brata, poprawił surdut i odezwał się gwałtownie: - Moje życie to nie twoja sprawa, Summerfield! Byliśmy szczęśliwi, dopóki nie wróciłeś i nie zacząłeś wszystkiego zmieniać!

- Co ty, do cholery, mówisz?

- Nikt cię nie prosił, żebyś wracał - odezwał się zjadliwie Joshua.

- To ci przeszkadza? Nie podoba ci się, że jestem znów w domu?

- Ty mi się nie podobasz, tak. Nie masz prawa po tak długiej nieobecności rozstawiać nas po kątach, jakbyśmy byli nikim.

**\* Maty stolik na jednej nodze lub narożny, trójkątny na trzech, bądź słupek - na kwiaty, ozdobne naczynia itp.**

- Nikogo nie rozstawiałem po kątach.
  - Byłem tutaj najstarszy! - wybuchnął Joshua. - To ja dbałem o nasze rodzeństwo i ojca!
  - Panował tu nieopisany chaos, kiedy wróciłem! - ryknął Will. - Czy tak właśnie według ciebie należy dbać o wszystko?
  - Zrobiłem, co można było w tych okolicznościach! Fundusze były zamrożone dla ciebie, ale ty wałęsałeś się Bóg wie gdzie, podczas gdy my nie mieliśmy grosza! A kiedy wróciłeś, nie okazałeś mi najmniejszej wdzięczności! Nigdy nie zapytałeś, jak sobie radziliśmy! Odsunąłeś mnie, gdy tylko przekroczyłeś próg domu!
- Nagle wszystko stało się dla Willa jasne: zaczęło do niego docierać, jaki popełnił błąd. Wrócił z przekonaniem, że Joshua wciąż był małym chłopcem. Trudno go za to winić - to miejsce było w opłakanym stanie, a Joshua cieszył się złą sławą hazardzisty i dziwkarza. Co gorsza, ciągał ze sobą Rogera, a Alice i Jane były potwornie zaniedbane.
- Nie, Will dostrzegł jedynie zniszczenie, kiedy wrócił do domu. Nigdy tak naprawdę nie dostrzegł rodzeństwa. Nagle zrozumiał, jak wielki błąd popełnił.
- Może masz rację - przyznał. - Może rzeczywiście cię nie doceniłem.
  - Nie mów mi o docenianiu, Summerfield! Jestem synem hrabiego Bedford i nie muszę prosić cię o zgodę, żeby żyć!
  - Uważaj, co mówisz - odparł cicho Will. - Może i jesteś jego synem, ale ja jestem jego dziedzicem. Nie ty. Twoje utrzymanie pewnego dnia będzie zależeć ode mnie. Oczy Joshuy pociemniały.
  - Grozisz mi?
  - Ostrzegam. Zachowuj się jak dżentelmen, a nie będzie między nami nieporozumień. Jeśli wciąż będziesz kradł i się łajdaczył, zostaniesz odcięty od pieniędzy i wy-

rzucony z domu, zapamiętaj to sobie. Nie jestem w stanie zmienić tego, co stało się z tatą, ani tego, co działo się tutaj, zanim wróciłem. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś już więcej nie kalał tej rodziny.

Gdyby wzrok zabijał, Will padłby już martwy.

- Czy wolno mi odejść, jaśnie panie? - spytał Joshua, a w jego głosie słychać było głęboką kpinę. - Wolno mi spać? Sikać? - Odwrócił się z odrazą i wyszedł z pokoju, nim Will zdążył odpowiedzieć. Summerfield poczuł się całkowicie zdruzgotany; opadł na kanapę, chowając twarz w dłoniach. Nie był na to przygotowany - niecałe trzy miesiące temu wrócił do domu do schorowanego ojca, ale nie spodziewał się, że będzie musiał go zastępować.

Nie wiedział, jak zastąpić ojca. Rzeczy, które jemu wydawały się oczywiste, nie były oczywiste dla jego rodzeństwa. Nie mógł udawać, że jest dla nich rodzicem czy opiekunem - przerażali go. Nie miał zielonego pojęcia, jak zmienić ich zachowanie, a ilekroć próbował, spotykał się z oporem i niechęcią. Joshua był w tym buncie najwytrwalszy. Zachowywał się tak, jakby naprawdę chciał zawisnąć na szubienicy, a Will nie wiedział, jak go powstrzymać. Joshua i Roger nie mieli w życiu żadnego celu, i Will bardzo się starał, żeby im zapewnić odpowiednie zajęcia - Joshua mógłby zostać oficerem marynarki i dzięki temu zobaczyć świat. Dla Rogera myślał o karierze duchownego i własnym probostwie. Obaj wyśmiali jego propozycje. Will westchnął ciężko i spojrzał w górę, utkwivszy wzrok w bogato zdobionym sztukaterią suficie. Wiele by dał za radę ojca.

To dziwne, pomyślał, być wśród bliskich i czuć się tak potwornie samotnym. Marzył jedynie o tym, by ktoś go pocieszył, powiedział ciepłe słowo i czule pogłaskał. Kiedy w jego głowie pojawił się obraz ślicznej twarzy Phoebe Dupree, nawet nie mrugnął. Obraz jej nagiej,

poruszającej się pod nim, nie byi z pewnością pocieszeniem, o które mu chodziło, ale bez wątpienia takiego właśnie pocieszenia pragnęło jego ciało. Zamknął oczy i wyobraził sobie madame Dupree tańczącą w welonach, jak to widział w Lewancie\*. Wyobraził sobie, jak kołysze biodrami, a jej oczy błyszczą pożądaniem, gdy zrzuca z siebie welony, powoli odsłaniając przed nim swoje ciało. Na samą myśl o tym doznał erekcji. Wyciągnął zza koszuli skarabeusza i potarł go kciukiem. Ale to nie zdało się na nic - nic nie wymaże tego obrazu, dopóki nie zaspokoi się sam w najbardziej prymitywny sposób.

Niestety to również nie ukoilo jego zniecierpliwienia. Po południu poddał się pragnieniom swego ciała i wysłał pokojówkę do pracowni Phoebe z informacją, że chce ją widzieć we wschodnim salonie. Nie miał pojęcia, co zrobi, gdy ona przyjdzie; po prostu musiał ją zobaczyć.

Jego nastrój zmienił się w chwili, gdy weszła do pokoju - od razu poczuł się lepiej. Phoebe miała na sobie niebieską suknię wykończoną bielą, która sprawiała, że jej oczy stały się jeszcze bardziej wyraziste.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Chciał mnie pan widzieć?

- Tak - odparł i wolno przeszedł na środek pokoju. Rozejrzał się po szarych ścianach i ciemnoczerwonych zasłonach. - Co pani sądzi o tym pokoju?

- Słucham?

- Ten pokój, madame Dupree. Jak się pani podoba?

Rozejrzała się; kiedy ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się ścianom, zasłonom, sufitowi, Will podziwiał linię jej smukłej szyi.

- Nawet... mi się podoba - powiedziała, zerkając na niego z ukosa.

**\*Pochodzące z włoskiego określenie krajów leżących na wschodnim, azjatyckim wybrzeżu Morza Śródziemnego.**

- Madame Dupree - odezwał się z kpiącym uśmiechem - wcześniej nie była pani tak powściągliwa w wyrażaniu swoich opinii. Zapewniam panią, że nie zrani pani moich uczuć. Potrzebuję pomocy.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym westchnęła.

- Szczerze?

- Szczerze.

- Wygląda jak mauzoleum.

Skinął głową. Nie mógł oderwać oczu od jej pełnych ust. Zarumieniła się.

- Szary kolor sprawia, że pokój wydaje się zimny - powiedziała i ruszyła na mały obchód. Will prawie jej nie słyszał. Szedł za nią, wdychając zapach lawendy i podziwiając kołysanie jej bioder. Pragnął ich dotykać i przytrzymać je, kiedy będzie w nią wchodził.

- Na przykład ta drewniana kanapa - odezwała się.

- Obicie sprawiłoby, że byłaby wygodniejsza. I dywan - jaśniejszy odcień zdecydowanie ociepliby pokój.

-Aha.

Odwróciła się i na coś wskazała - malowidło, porcelanowy bibelot, nie miał pojęcia - bo podziwiał maleńkie loczki na jej karku i gęste blond włosy upięte w fantazyjny węzeł.

Podeszła do zasłon, podczas gdy Will zachwycił się idealnie gładką skórą jej dekoltu. Nagle odwróciła się do niego.

- Może coś bardziej... - Zamilkła. Przymrużyła oczy.

- Przepraszam, ale czy pan mnie słucha? Zamrugał.

- Tak, oczywiście.

- Doprawdy? - Skrzyżowała ramiona. - Zgadza się pan więc z moją opinią na temat zasłon.

- Oczywiście.

- Wspaniale! Sądziłam, że może być pan przeciwny bambusowi.

- Bambusowi? - powtórzył zaskoczony.

- W ogóle pan nie słuchał - obruszyła się. -Ja...

- Zaprzeczanie nic panu nie pomoże - odparła sztywno.

Will podejrzewał, że tak właśnie było, i uśmiechnął się. Pod wpływem impulsu podniósł dłoń i pogłaskał jej ucho.

- Ma pani rację, madame Dupree. Przyznaję, że ciężko mi myśleć o zasłonach, kiedy nad wyraz elegancka kobieta stoi tak blisko mnie.

Phoebe trochę szerzej otworzyła oczy. Nagle między nimi pojawiło się napięcie.

- O co panu chodzi? - spytała cicho.

Will nie mógł się pohamować. Dotknął palcami jej warg. Phoebe gwałtownie odskoczyła do tyłu.

- Kogoś mi pani przypomina - powiedział. - Pewną Amerykankę w Indiach.

- Amerykankę?

- Jej mąż zmarł w czasie podróży po Indiach, i postanowiła tam zostać, zamiast wracać samotnie do domu. Można powiedzieć, że była kobietą z pewnym doświadczeniem.

Phoebe wstrzymała oddech; jej piersi zafalowały.

- A co to ma wspólnego ze mną? - spytała podejrzliwie.

- Była samotna.

- Ja nie jestem samotna.

- Nosila sari.

- Co takiego?

- Sari - powtórzył. - To długi kawałek materiału, który owija się tutaj - powiedział, palcem rysując linię wzdłuż jej ramienia i między piersiami. - I tutaj - dodał, ciągnąc niewidzialną linię w dół do jej talii, i wokół brzucha. Phoebe ani na moment nie odrywała wzroku od jego oczu. Czuł, jak jej oddech gwałtownie przyspieszył.

- Siadała w taki sposób - powiedział - że tkanina rozchyłała się o tutaj. - Przesunął palcem wzdłuż jej brzucha niemal do kości łonowej. - I tutaj - dodał, ponownie dotykając jej piersi.

Phoebe rozchyliła wargi.

- A dlaczego właśnie ona - wykrztusiła - przywodzi panu na myśl mnie?

Will spojrzał na jej usta, małeńki nosek. Dotknął dłonią jej szyi; miała taką ciepłą skórę.

- Chyba tylko dlatego, że wyobraziłem sobie panią w tym sari.

Phoebe nagle odsunęła się w bok.

- Czy także w Indiach nauczył się pan czerpać przyjemność z uwodzenia pracowników? - powiedziała ostro, stając za krzesłem i odgradzając się nim od Willa.

- Nie. Ale moja przyjemność byłaby większa, gdyby pragnienie uwiedzenia było obopólne.

Jej policzki poczerwieniały; przesunęła palcami wzdłuż oparcia krzesła.

- Nie jest obopólne. Jeśli chce pan poznać moją opinię na temat tego pokoju, chętnie ją panu przedstawię. Ale muszę przypomnieć, że mam sporo roboty.

- Oczywiście. Dziękuję za pani pomoc, madame Dupree.

- Czy to wszystko? - Skupiona była na jego ustach, a dłoń, jak zauważył, mocno zacisnęła na oparciu krzesła, na którym się wsparła.

Summerfield uśmiechnął się nieznacznie i skrzyżował ręce za plecami.

- Na razie.

Nie powiedziała już nic więcej, tylko uciekła z salonu. Wtedy Will uświadomił sobie, że osiągnął jedynie to, iż jeszcze bardziej jej zapragnął.



## Rozdział jedenasty

Alice bardzo się starała udawać, że nie obchodzi jej uroczysta kolacja, jednak Phoebe dobrze wiedziała, że dziewczyna była tak samo podekscytowana jak Jane, która sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować ze swojej idealnie skrojonej sukni.

Phoebe była dumna ze swoich kreacji. Nie miała czasu, żeby je odpowiednio przyozdobić - zwłaszcza po tych niedorzecznościach w salonie, które sprawiły, że później mogła jedynie patrzeć przez okno przez kolejną godzinę - ale ukoronowaniem bladozielonej sukni Jane była jedwabna różowa szarfa. Z kolei suknię Alice z atłasu w kolorze lawendy zdobiły ręcznie wykonane różyczki. Panna wyglądała uroczo i bardzo kobieco, co Phoebe przy pierwszym spotkaniu wydawało się wręcz niemożliwe. Jane w czasie ostatniej przymiarki, obserwując tren swojej sukni, ciągle szczebiotała o rodzinie Remingtonów. Tak naprawdę niewiele o nich wiedziała poza tym, co mówiono na ich temat w Greenhill.

Zastanawiała się też, co będzie myśleć lokalna szlachta o tym, że Remingtonowie zostali zaproszeni na kolację do Wentworth Hall. Ostatnia kwestia wywołała jej sprzeczkę z Alice, która uważała, że nikogo nie obejdzie, czy jedli kolację w Wentworth Hall, czy też przy świńskim korycie, a nawet jeżeli, Jane i tak się o tym nie dowie.

- Mylisz się - odparła wyniośle Jane. - Mówi się, że to dość poważne wydarzenie dla Remingtonów.

- Gdzie to słyszałaś? - spytała Alice, podejrzliwie mrużąc oczy.

Siostra odwróciła się od niej tyłem i udawała, że przygląda się sukni w lustrze.

- Nie muszę ci mówić.

Alice prychnęła. Nawet jeśli była zadowolona ze swojej kreacji, Phoebe była ostatnią osobą, która by się o tym od niej dowiedziała. Jednak sama domyśliła się odczuć starszej z sióstr, gdyż ta długo podziwiała się przed lustrem, obracając się w prawo i w lewo. Poza tym martwiła się, że nie znajdą w Greenhill wstążek do włosów, które pasowałyby do odcienia materiału. Phoebe ją zapewniła, że znajdą.

Gdy wyjeżdżały po południu do Greenhill, Addison podał lady Fairchild małą portmonetkę.

- Jasnie pan daje to pani, żeby mogła pani kupić wszystko, co będzie potrzebne jego siostjom - powiedział. Zamilkł i spojrzał na dwie młode kobiety na podjeździe. - I prosi, żeby miała pani na nie oko.

- Ja? Nie jestem niania, *sir!* - powiedziała zdegustowana Phoebe, chowając portmonetkę do kieszeni.

W pierwszym sklepie, który odwiedziły w Greenhill, sprzedawano bieliznę. Alice i Jane chichotały jak małe dziewczynki, oglądając delikatne koszulki i gorsety, i podziwiając hafty na doskonałej gatunkowo bawełnie. Kiedy poczyniły już odpowiednie zakupy, przeniosły się do kolejnego sklepu, w którym nabyły wstążki do włosów w różnych kolorach, podczas gdy Frieda stała na zewnątrz, ziewając i szurając butami o krawężnik.

Ostatni był szewc. W witrynie wystawił eleganckie pantofelki i solidne buty. Piszcząc z radości, Jane weszła do środka, ciągnąc za sobą Friedę.

- Poczekam tutaj - powiedziała Alice do Phoebe. Phoebe spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie chcesz popatrzeć na buty?

Alice spojrzała tęsknie na parę błękitnych jedwabnych pantofelków na wystawie - tych samych, które podziwiała Phoebe - i potrząsnęła głową.

- Mam dużo butów.

Szczerze powiedziawszy, Phoebe widziała Alice tylko w jednej parze i uważała, że dziewczyna robi głupio, jeśli nie skorzysta z okazji. Uśmiechnęła się więc pogodnie i powiedziała:

- Dobrze - i weszła do środka za Jane, żeby się rozejrzeć. Jednak kilka chwil później zauważyła, że Alice zniknęła.

Ponieważ Jane była zajęta, Phoebe wyszła na zewnątrz. Rozejrzała się, lecz Alice nigdzie nie było widać. Teraz serce lady Fairchild zaczęło bić szybciej. Obawiała się tego, co może zrobić ta szalona dziewczyna - dotychczas nie zachowywała się jak młoda, dobrze ułożona dama.

Phoebe nieco dalej zauważyła kuźnię.

Otwarta była na przestrzał. W środku palił się ogień, ale w pobliżu nie było żywego ducha. Przylegała do drewnianej stodoły, gdzie, jak domyślała się Phoebe, konie czekały na podkucie oraz gdzie trzymano narzędzia. Kiedy skręciła za róg, dostrzegła wąską przestrzeń między stodołą a stojącym za nią budynkiem.

Nie chciała tam zaglądać, ale nogi same ją poprowadziły. Kiedy znalazła się w alejce, z trudem powstrzymała okrzyk wzburzenia. Zastała tam Alice w ramionach mężczyzny, który, jak podejrzewała, był panem Hughesem. Całowali się namiętnie; jego dłonie spoczywały na piersiach dziewczyny, a jej wsunięte były w jego włosy.

W przyпіlywie paniki Phoebe zawołała:

- Lady Alice!

Jej głos wystraszył Alice niemal tak samo, jak pana Hughesa, który drgnął i gwałtownie odskoczył od ukochanej.

Kiedy Alice zorientowała się, kto ją nakrył, prychnęła ze złością.

- Jak pani śmie? - zawołała. - Odpowie pani za szpiegowanie, madame Dupree, i kara będzie całkiem surowa!

- Może powinnaś iść - powiedział pan Hughes i popchnął Alice w stronę Phoebe, przyglądając jej się nieufnie.

- Nie przejmuj się nią, Rolandzie! - odezwała się dziewczyna miękko, proszącym głosem. - To tylko służąca. Zajmę się nią.

- Będzie lepiej, jak pójdiesz - powtórzył i odsunął się od niej.

Alice uświadomiła sobie, że zamierzał ją tutaj zostawić, i wyglądała na przestraszoną.

- Roland! Proszę, nie złość się! Nie miałam pojęcia, że ta baba będzie mnie śledzić. To głupia krawcowa, i daję ci słowo, że ją stłukę, jeśli piśnie komuś o tym choć słówko!

- Idź już - powiedział z ponurym wyrazem twarzy mężczyzna. - Nie widzisz, że w ten sposób tylko pogarszasz sytuację? - Odwrócił się gwałtownie i wszedł w głąb wąskiej alei.

- Rolandzie! - zawołała za nim Alice. - Rolandzie!

Ale on odszedł. Kiedy dotarło do niej, że ją tutaj zostawił, odwróciła się z taką wściekłością w oczach, że Phoebe naprawdę się jej wystraszyła. Nie wiedziała, co Alice zamierzała zrobić, ale na pewno nie spodziewała się, że dziewczyna podniesie rękę i wymierzy jej policzek.

Gdy to się stało, lady Fairchild krzyknęła i zachwiała się, dotykając twarzy obleczoną w rękawiczkę dłonią. Nigdy w życiu nie została uderzona. Nigdy! Była tak zszokowana, że zaniemówiła i nie mogła się poruszyć. Phoebe miała pewność, że gdyby w tym momencie nie pojawiła się Frieda, Alice uderzyłaby ją jeszcze raz.

- Lady Alice! - zawołała Frieda, podbiegając do Phoebe.

Przez krótką chwilę dziewczyna wyglądała na zmieszaną. Ale nagle znowu wpadła w gniew i jak burza przebiegła obok nich.

- Wyjeżdżamy! - oznajmiła i podeszła do powozu.

- Niech to szlag! - szepnęła ze strachem Frieda. Odsunęła dłoń Phoebe od policzka i zmarkotniała.

- Na Boga, co zrobisz?

- Jest ślad? Frieda potaknęła.

- Powiesz jaśnie panu, tak? Nie może jej to ująć na sucho. Nie znoszę takich, którzy biją - powiedziała.

- Dlatego zawsze będę wdzięczna pani Turner, że dała mi pracę, naprawdę. Moja poprzednia pani biła nas za każdym razem, gdy nawinęliśmy się jej pod rękę.

Phoebe spojrzała na Friedę.

- Dama cię biła?

- Tak, ilekroć jej odbijało - odparła Frieda, biorąc lady Fairchild pod ramię. - Kiedyś tak bardzo pobiła Nanny Bentely, że biedaczka nie mogła pracować przez dwa dni.

Dobry Boże - co jeszcze musieli znosić służący? Za moment Phoebe będzie musiała na przykład znieść podróż powozem z Alice.

- Chodźmy więc - odezwała się uspokajająco Frieda.

- Pani Turner będzie wiedziała, co trzeba zrobić.

Ale Phoebe też dobrze wiedziała, co trzeba zrobić

- Alice rozpaczliwie potrzebowała dyscypliny, a ona rozpaczliwie pragnęła wrócić do domu.

Kiedy wyszły zza kuźni, zobaczyła stojącą przed zakładem szewskim Jane z paczką pod pachą i czepkiem nonszalancko trzymanym w dłoni.

- Tu jesteście! - zawołała poirytowana, zwracając na siebie uwagę kilku osób na ulicy. - Wszędzie was szukałam! - krzyknęła, idąc w ich stronę. - Co tam robiłyście? Dlaczego mnie zostawiłyście?

- Chciałyśmy się przewietrzyć - odparła Frieda z fałszywym rozbawieniem w głosie.

- Za kuźnią? - zapytała Jane, podejrzliwie przyglądając się Phoebe. Przeniosła wzrok na budynek i jej oczy rozbłysły z zadowolenia. - Czy Alice tam jest?

- Nie - odpowiedziała Phoebe. - Jest w powozie. Jeśli już kupiłaś, co chciałaś, lady Jane, powinnyśmy...

- Co to takiego? - przerwała jej Jane, przyglądając się Phoebe uważnie. - Wygląda, jakby ktoś panią uderzył.

- Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, wydała stłumiony okrzyk. - Dobry Boże. Alice panią uderzyła, tak?

- krzyknęła, niemal podekscytowana tym odkryciem.

- O Boże! Ta straszna dziewczyna! Nie może tak po prostu bić ludzi!

Jane nie miała pojęcia, co to jest dyskrecja.

- Chodźmy, lady Jane, proszę - powiedziała Phoebe, kładąc dłoń na jej łokciu i próbując zmusić ją do ruszenia się z miejsca, zanim całe Greenhill dowie się, że Alice ją uderzyła.

- Jest okropna i nie obchodzi mnie, że jest moją siostrą! - oznajmiła głośno dziewczyna, ale przynajmniej ruszyła się z miejsca. - Nikt się jej nigdy nie oświadczy, bo ma taki paskudny charakter!

Phoebe zdecydowanie popchnęła Jane w kierunku powozu. Czekający na nich służący szybko otworzył drzwi; kiedy to zrobił, Phoebe usłyszała łkanie Alice.

Jane radośnie wsiadła jako pierwsza i rzuciła z uśmiechem:

- Dobrze ci tak, ty paskudna smarkulo!

Służący położył rękę na ramieniu Phoebe. Kiedy na niego spojrzała, jego wzrok padł na ślad na jej twarzy, i mężczyzna ze złością potrząsnął głową.

- Paskudny - wyszeptał. - Wszystko w porządku?

- Tak. - Lady Fairchild uśmiechnęła się dziarsko i pozwoliła, żeby pomógł jej wsiąść do powozu. Ale wcale nie było w porządku. Czowała się dezorientowana. Jej mały wyimaginowany świat się rozpadał.

To uderzenie sprawi-

ło, że *znalazła* się na obcym gruncie i nie była w stanie dłużej udawać madame Dupree. W powozie Phoebe usiadła naprzeciwko Alice, która nawet na nią nie spojrzała. Tego było za wiele. Uderzyła ją, a teraz tchórzyła? Przez całą długą podróż powrotną Phoebe nie spuszczała z Alice wzroku, podczas gdy Jane trajkotała, że jej brat z pewnością zamknie głupią siostrzyczkę w domu wariatów, a Frieda z niepokojem zerknęła to na jedną, to na drugą, nerwowo skubiąc skraj rękawa. A Alice ani na moment nie podniosła wzroku, siedziała tylko wciśnięta w poduchy, a jej dolna warga leciutko drżała. Dopiero gdy powóz zatrzymał się na podjeździe, spojrzała błagalnie na Jane.

- Jane... daj mi słowo, że mu nie powiesz - jęknęła.

- A dlaczego? - spytała wyniośle Jane. - Jesteś okropna. Zaslugujesz na to, żeby zostać starą panną.

- Proszę, nie mów mu! - jęknęła Alice.

- Nie wiem, czy powiem, czy nie - odparła z wyższością Jane, i przecisnęła się obok Alice do wyjścia, a jej groźba zawisała w powietrzu.

Alice kątem oka zerknęła na Phoebe.

- Nie powie mu pani. - Było to bardziej pytanie niż stwierdzenie, dziecinna próba zastraszenia służącej.

- Doprawdy? - spytała cicho Phoebe. Alice usiadła gwałtownie:

- Bardzo przepraszam, madame Dupree! Nie wiem, co we mnie wstąpiło! Byłam taka wściekła... i nie chciałam pani uderzyć, przysięgam, że nie chciałam! Wybacz mi pani? Proszę powiedzieć, że mi pani wybacz!

Phoebe nie umiała wybaczyć, wciąż czując na policzku pieczenie od uderzenia. Zerknęła na Friedę, która obserwowała je obie z takim samym zainteresowaniem, z jakim obserwowałyby bawiącego się w Covent Garden szczeniaka.

- Friedo, możesz poczekać na zewnątrz?

Frieda zamrugła.

- Tak - odparła z ociąganiem.

Kiedy wyszła, Alice też ruszyła do wyjścia, ale Phoebe zagroziła jej wyjście ręką.

- Jedną chwileczkę, lady Alice. -Co?

Lady Fairchild pochyliła się ku niej i niskim głosem powiedziała:

- Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, oddam ci, przysięgam. Nie sądź, że tak mi zależy na pracy tutaj, że będę znosić podobne traktowanie.

Alice szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę mi przykro - powiedziała, a po policzku popłynęła jej łza. - Nigdy wcześniej nie uderzyłam nikogo. Nie mam żadnego usprawiedliwienia poza takim, że się zdenerwowałam. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo mój brat nie lubi Rolanda.

Phoebe mogła to sobie bardzo dobrze wyobrazić. Kiedy miała dwanaście lat, zakochała się w Brianie, służącym. Był szykowny i przystojny, uśmiechał się, kiedy z nim flirtowała i śmiał się z jej niemądrych żartów. Jej matkę tak wystraszyło zauroczenie Phoebe, że odesłała Briana.

- To nie jest wytłumaczenie - powiedziała cicho Phoebe.

- Tak, tak, wiem - odparła Alice, ocierając kolejne łzy. - Zapewniam panią, że nie jestem tak zatwardziała, żeby tego nie rozumieć. Ale nie umiem wyrazić swoich uczuć do Rolanda.

Phoebe westchnęła.

- Uważaj na niego, Alice. Dziewczyna spuściła wzrok i skinęła głową. Phoebe położyła dłoń na jej kolanie.

- Musisz wiedzieć, że jeśli w jakikolwiek sposób zostaniesz skompromitowana, jego lordowska mość będzie zmuszony podjąć odpowiednie kroki. Za dużo ryzykujesz.

Alice pociągnęła nosem.



- Łatwo pani mówić. Pani jest piękna. Widziałam, jak mężczyźni na panią patrzą, i może być pani pewna, że nie patrzą tak na mnie. Wkrótce zostanę przehandlowana na jakiegoś fagasowi, który będzie się uśmiechał do mojej sakiewki i krzywił na widok mojej twarzy. - Spojrzała na Phoebe błagalnym wzrokiem. - Dlaczego więc nie wolno mi przynajmniej raz poczuć smaku miłości?

- Twój przyszły mąż może cię kochać - powiedziała Phoebe, ale Alice nie wyglądała na przekonaną.

- Nie wiem, jak to się odbywa w pani świecie, madame Dupree, ale w moim miłość rzadko ma coś wspólnego z łączeniem fortun. Roland był jedynym, który ze mną zatańczył na balu dożynkowym zeszłej jesieni. Tylko on okazał mi dobroć, podczas gdy inni śmiali się ze mnie i Jane, i robili okropne uwagi na temat naszej garderoby... - Zamilkła i wyjrzała przez okno. - I wtedy Will wrócił do domu i wszystko zniszczył! Kocham pana Hughesa, a on kocha mnie, i to może być jedyny moment w moim życiu, kiedy wolno mi coś takiego przeżyć.

Nagle wstała i wyszła z powozu, zanim Phoebe zdążyła otworzyć usta.

Z ociąganiem podążyła za Alice, kierując się prosto do swoich dwóch małych pokoików na najwyższym piętrze. Kiedy zamknęła za sobą drzwi i przesunęła zasuwę, rzuciła kapelusz przez pokój i zakrywając usta dłonią, zacisnęła mocno powieki, żeby powstrzymać łzy upokorzenia.

## Rozdział dwunasty

Jane zazwyczaj z przyjemnością opowiadała Willowi o wszystkim, co zrobiło jej rodzeństwo, a co mogło przysporzyć im kłopotów, i tego wieczoru nie było inaczej. Przy kolacji radośnie opowiedziała Willowi o wszystkim, co wydarzyło się w Greenhill, począwszy od wstążek i butów, które kupiła, poprzez spotkanie Alice z uczniem kowala, a skończywszy na tym, że Alice uderzyła Phoebe.

Will nie wierzył własnym uszom. Nie wierzył, że w jego żyłach i w żyłach ludzi, którzy siedzieli przy stole jego ojca, płynęła ta sama krew.

Wpatrywał się w Alice, próbując zrozumieć, jak mogła tak otwarcie mu się przeciwstawić i zachować tak okropnie. Usiłował sobie wyobrazić, jak mogła kogokolwiek uderzyć, tym bardziej służącą, dla której, ze względu na pochodzenie, powinna być przykładem i źródłem poczucia bezpieczeństwa.

Był tak zrozpaczony, że nie mógł dokończyć posiłku. Popatrzył na siedzącą przy stole czwórkę najbardziej niewychowanych, nierozsądnych młodych ludzi w całej Anglii, i poczuł ucisk w żołądku.

W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin Joshua oszukiwał podczas gry w karty, Alice obściskała się z pomocnikiem kowala w jakiejś bocznej alejce i uderzyła madame Dupree, Jane aż promieniała szczęściem, mogąc mu o tym powie-

dzieć, a Roger wciąż się dąsał, ponieważ rano przegrał z nim wyścig. Ogólnie rzecz biorąc, był to wyjątkowo zły okres w Wentworth Hall.

Will z odrazą rzucił lnianą serwetkę na stół, odsunął talerz i gwałtownie wstał.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co takiego działo się tutaj przez ostatnie kilka lat, że staliście się najbardziej niewychowanymi ludźmi w całym Bedfordshire - powiedział. - Nie wiem również, w jaki sposób wasza reputacja i przyszłość mogłyby zostać uratowane

- dodał i wyszedł z pokoju, a jego rodzeństwo patrzyło za nim z otwartymi ustami.

Wszedł do zielonego salonu, zatrzasnął za sobą drzwi i nalał sobie solidną porcję whisky. Zdjął surdut, poluzował krawat, żeby móc swobodnie oddychać. Wściekłość, rozczarowanie i odraza sprawiły, że jego serce zaczęło szybciej bić, więc wychyliwszy trunek, stał, zaciskając dłonie na krawędziach kredensu, i usiłował się uspokoić. W jego głowie kłębiły się setki ponurych myśli.

Phoebe Dupree była piękną kobietą, która musiała znosić barbarzyńskie zachowanie jego siostry. Nie umiał sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógłby ją uderzyć, tym bardziej Alice.

Jeśli wierzyć Jane, powinien obawiać się najgorszego. Podbitego oka. A może, przerażona, już wyjechała z Wentworth Hall. Kto by ją za to winił?

Nie mógł dłużej wytrzymać, odstawił więc szklanekę z whisky i wyszedł z pokoju. Pokonywał po dwa stopnie naraz, aż znalazł się na najwyższym piętrze. Nie zatrzymywał się, dopóki nie dotarł do drzwi. Zastukał w nie zdecydowanie.

- Dziękuję, Farley, proszę, zostaw tacę na zewnątrz

- odezwała się słabo lady Fairchild.

- To nie Farley, to Summerfield. Proszę otworzyć. Nastąpiła długa cisza.

- Nie czuję się dobrze, *sir*. Proszę mi wybaczyć.

Oparł dłonie o framugę.

- Proszę otworzyć drzwi, Phoebe. Wiem, co zrobiła Alice. Po prostu... po prostu proszę otworzyć. Minęło kilka chwil; sądził, że się nie doczeka. Ale wtedy rozległ się zgrzyt klucza w zamku i drzwi rozwarły się ze skrzypnięciem.

Will popchnął je dłonią i otworzył na oścież. Phoebe wcale się nie kładła. Jej suknia - z cudownie szeleszczącego różowego materiału - była odpowiednia do kolacji. Nie patrzyła mu prosto w oczy, nieznacznie przekrzywiła głowę i utkwiała wzrok w podłodze.

Willowi serce ścisnęło się z żalu - nie był w stanie na to patrzeć.

- Phoebe... - zaczął, ale nie mógł wykrztusić ani słowa więcej. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mogłoby naprawić upokorzenie, na jakie naraziła ją jego siostra.

W obronnym geście Phoebe skrzyżowała ramiona w talii i odwróciła się od niego, przechodząc w głąb pokoju. Will poszedł za nią, ale znowu odwróciła głowę. Chwycił dłonią jej podbródek i zmusił, by pokazała mu twarz.

Widok siniaka na kości policzkowej sprawił, że Will gwałtownie wciągnął powietrze; Phoebe wzdrygnęła się i odsunęła od niego.

- Dobry Boże - wydusił z siebie, nie wiedząc, co mógłby powiedzieć.

Jednak natychmiast pomyślał o obsydianie w swoim apartamencie. Był to kamień, który znalazł na Krecie i który posiadał właściwości lecznicze. Wiedział, że tak było - nieraz go na sobie sprawdził.

- Proszę poczekać - powiedział krótko i wyszedł z pokoju.

Wrócił kwadrans później. Siedziała w oknie, wpatrując się w czerń nocy. Kiedy wszedł, nieznacznie odwróciła głowę.

- Wrócił pan - powiedziała bez entuzjazmu.
  - Oczywiście. - Podeszedł do okna i usiadł obok niej. - Dlaczego pani do mnie nie przysłała?
  - Nie wiem - odparła, wzruszając od niechcenia ramionami. - Bałam się, że może pan coś zrobić Alice.
  - Alice? - powtórzył z niedowierzaniem. - Daję słowo, że cokolwiek jej zrobię, nie będzie to wystarczająco przykre w tej sytuacji.
  - Proszę - powiedziała, potrząsając głową. - Powinien pan współczuć Alice, a nie nią pogardzać.
- Will był tak zdumiony, że znów nie mógł wydusić z siebie słowa. Głowił się, jakim zrzędzeniem losu zwykła szwaczka miała więcej gracji i klasy, niż Alice będzie mieć kiedykolwiek. I kiedy spojrział w te jasne oczy, usiłował zrozumieć, dlaczego ta kobieta uważała, iż Alice zasługuje na choćby odrobinę współczucia.
- Chyba wyczuła jego konsternację, bo powiedziała szczerze:
- Alice jest... jest zgubiona, *sir*. Ten mężczyzna, którego darzy tak wielkim uczuciem...
  - Kował - odezwał się z dezaprobatą.
  - Kował, niemniej mężczyzna - dodała szybko. - Mężczyzna, który okazał jej zainteresowanie, jakkolwiek niestosowne, i to w momencie, w którym Alice najbardziej tego potrzebowała.
- Will cofnął się zaskoczony.
- Skąd pani to wie? Powiedziała to pani?
  - Nie! Oczywiście, że nie - odparła Phoebe, potrząsając głową. - Nie może znieść mojej obecności. Ale... ale rozumiem jej obawy. Wiem tak samo jak ona, że niebawem zostanie dla niej wybrany mąż, co będzie miało więcej wspólnego z jej majątkiem niż z miłością. Nic dziwnego, że szuka potwierdzenia siebie jako kobiety.
  - Potwierdzenia? - powtórzył z niedowierzaniem, usiłując zrozumieć słowa Phoebe.

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Wstała nagle, odchodząc od niego o parę kroków.

- Tak, potwierdzenia. Alice nie jest taka jak inne młode kobiety o podobnej pozycji społecznej. Nie jest pewna, czy mężczyzna uzna ją za pociągającą bez jej fortuny i rodziny.

Takie rozmowy na temat potwierdzenia i pożądanego były Summerfieldowi obce, a ponieważ dotyczyły Alice, czuł się tym bardziej niezręcznie.

Phoebe spojrzała na niego przez ramię; chyba musiał sprawiać wrażenie, że jej nie wierzy, bo powiedziała spokojnie:

- Sytuacja inaczej wygląda w przypadku mężczyzn. Oni mogą swobodnie badać granice przyzwoitości w sposób, który dla kobiet jest zakazany.

- Czy Alice bada granice przyzwoitości, narażając na szwank swoją cześć z tym kowalem? Albo uderzając panią? - spytał zniecierpliwiony, odzyskując panowanie nad sobą. - Bo muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem.

- Jestem... - Phoebe zamilkła i na moment uniosła wzrok ku górze. - Jestem zdumiona, że mnie uderzyła - powiedziała cicho. - Zaszokowana, zbulwersowana i zasmucona. Niemniej, rozumiem ją. Pańska siostra i ja jesteśmy w podobnym wieku, *sir*. Tak bardzo się ode mnie nie różni.

Will pokręcił głową.

- I tutaj się pani myli - odparł stanowczo. - Jest pani zupełnie inna niż Alice. - Prawdę powiedziawszy, pomyślał, prawdopodobnie ona różni się od wszystkich kobiet, które znał. Z pewnością nie umiał wyobrazić sobie, żeby jakaś inna angielska dama z taką gracją wybaczyła Alice. Nie znał drugiej, która byłaby równie delikatna, ale jednocześnie tak silna, jak Phoebe.

Spojrzał na ślad, który Alice pozostawiła na twarzy Phoebe. Znowu spróbowała się odwrócić, ale powstrzy-

mał ją, delikatnie kładąc dwa palce w miejscu, w którym był siniak.

Skrzywiła się nieznacznie, ale wytrzymała jego spojrzenie, gdy przesunął palce po jej policzku, wzdłuż linii szczęki, a potem lekko unióśł jej podbródek. Wolną ręką wyciągnął ze swojej kieszeni kamień.

- Oto jest, stare lekarstwo na pani ranę.

- To kamień.

- Starożytni Grecy wierzyli, że ma uzdrowicielską moc. Sprawi, że siniak zniknie. Mogę?

- Wierzy pan w takie rzeczy? - spytała, ale zwróciła ku niemu twarz.

- Wierzę, że w naszym wszechświecie jest wiele zagadek. - Przyłożył kamień do jej policzka; nie drgnęła.

- Jak dowiedział się pan o tym kamieniu? - spytała.

- Odebrałem go złodziejowi - odparł jakby nigdy nic, cały czas delikatnie pocierając kamieniem jej policzek. - Byłem na Krecie, kiedy złapałem na gorącym uczynku mężczyznę próbującego ukraść mi konia. Zagroziłem mu, że go powieszę.

Słyszając to, Phoebe drgnęła.

- To była tylko groźba, *madame*. Nawet gdybym zamierzał ją spełnić, nie miałem sznura. Ale on mi uwierzył i w zamian za swoje życie oddał mi konia i kilka innych rzeczy, które uważał za cenne.

Kamień był jedną z nich.

- Chyba powinnam być wdzięczna, że za swoje życie nie ofiarował monety.

Will zaśmiał się i spojrzał jej w oczy. Była piękna. Znowu poczuł budzący się w nim znajomy żar.

Skarabeusz, którego nosił na szyi, był nic niewart, a przecież sporo za niego zapłacił.

- Mogę spytać... co to za znak na pańskim nadgarstku? Przerwał swoje lecznicze zabiegi i spojrzał na swoją

rękę. Podwinął rękaw tak, żeby mogła zobaczyć cały tatuaż.

- To stary hinduski symbol oznaczający pokój i dobrobyt.

Phoebe wciągnęła powietrze i pochyliła głowę.

- Mogę dotknąć?

- Oczywiście - odparł, unosząc rękę.

Jej palce musnęły delikatnie jego skórę. Poczuł dziwny dreszcz. Przesunęła dwoma palcami wzdłuż tatuażu. Will był bliski eksplozji - jej delikatny dotyk doprowadzał go do szaleństwa.

- Jest piękny - powiedziała cicho.

To go zaskoczyło. Spodziewał się, że będzie zbulwersowana jak wszyscy w Bedfordshire.

- Podoba się pani? - spytał niepewnie.

- Och, tak - powiedziała, i uniosła wzrok. - Lubię sztukę. - Znowu spojrzała na jego ramię, przesuając palcami wzdłuż linii. - Zrobienie czegoś takiego na skórze musiało być bardzo trudne.

- Tak - odparł cicho.

- Szkoda, że nie mam okazji oglądać więcej takich dzieł. - Zabrała palce i ponownie na niego spojrzała. Jej oczy błyszczały; oczarowała go i urzekła. Zdrowy rozsądek go opuścił. Położył jedną dłoń na jej szyi, a drugą na odkrytym ramieniu, jednocześnie pogrążając się w pożądaniu.

- Jesteś niesamowita - wyszeptał. - Przepraszam, Phoebe. Przepraszam za swoją siostrę. - Pochylił się i wargami dotknął jej policzka w miejscu, które chwilę wcześniej pocierał obsydianem. Phoebe złapała płytki oddech, ale nie poruszyła się. - I za siebie - powiedział, dotykając wargami drugiego policzka. Miała ciepłą i gładką skórę; wyczuł delikatny zapach bzu, po czym przysunął się do niej bliżej.

Jako mężczyzna mógł odeprzeć większość fizycznych zagrożeń, jednak zawsze ulegał potędze kobiecej urody. Nie był w stanie się jej oprzeć i pod wpływem impulsu dotknął ustami jej ust. Nie poruszyła się, ale wyczuł że się



przysunęła. Całując ją, gładził jej szyję i ramię, i jednocześnie walczył z pragnieniem, by natychmiast ją osiąść.

Delikatnie położyła dłoń na jego torsie. Kiedy uniósł głowę, napotkał jej błyszczące spojrzenie, i Phoebe cicho spytała:

- Czy zamierza pan wykorzystać tę przykrą okoliczność i mnie uwieść?

- Szczere przeprosiny mogą cię uwieść? - odparł, głaszcząc jej ramię.

- Nie. Jestem tym zmęczona.

Powinien poczuć się urażony, ale, o dziwo, jej słowa jeszcze bardziej go zdopingowały.

- Mogę to naprawić - odezwał się poważnie, omiatając wzrokiem jej twarz i chwytając ją za ramiona.

- Pozwól mi to naprawić.

- Proszę pozwolić mi się położyć. Chcę spać i zapomnieć o tym, co się stało. Chcę jak najszybciej skończyć moją pracę tutaj i wrócić do Londynu.

Na samą myśl, że ona wyjedzie, Will poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Dopiero co zaczął doceniać skarb, który znalazł się pod jego dachem. Kim była? Jak jej się udało w tak krótkim czasie tak całkowicie zaprzątnąć jego myśli? Czy chodziło wyłącznie o pożądanie, które nim zawładnęło, o pragnienie pójścia do łóżka z kobietą?

Cokolwiek to było, doprowadzało go do szaleństwa. Pragnął namiętnie ją całować, poczuć w ramionach jej smukłe ciało. Był boleśnie świadomy, że takie myśli kłóciły się z jego obowiązkami i zasadami. Miał na głowie rodzeństwo, ojca i poszukiwanie żony - przysiągł sobie i ojcu, że załatwi to najszybciej, jak to tylko możliwe.

Jednak w ciągu tygodnia pożądanie wymknęło mu się spod kontroli, pozbawiając go zapału do poszukiwań. Nie były mu potrzebne komplikacje związane z romansowaniem ze służącą, bez względu na to, jak bardzo tego pragnął.

Phoebe miała rację - im szybciej skończy pracę i wróci do Londynu, tym lepiej dla nich obojga. Chyba czytała w jego myślach - delikatnie zacisnęła palce na jego nadgarstku i zdjęła jego dłoń ze swojego ramienia.

- Dobranoc, *sir*. Will cofnął się o krok.

- Dobranoc, Phoebe - odparł. Spojrzawszy po raz ostatni na siniak na jej twarzy, schował ręce do kieszeni, żeby ponownie jej nie dotknąć. - Proszę zatrzymać kamień - powiedział. - I potrzeb nim rano policzek. Siniak zniknie. - Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju, żeby nie zrobić czegoś, czego potem bardzo by żałował.

\* \* \*

Jak co wieczór, poszedł do sypialni ojca.

Za radą doktora każdy dzień lorda Bedforda wyglądał dokładnie tak samo. Budzono go o świcie, ubierano i, jeśli pogoda dopisywała, zabierano do ogrodu. Po śniadaniu zawożono go do zielonego salonu, gdzie wózek stawiano przy oknie, a na kolanach hrabiego kładziono książkę.

Po obiedzie ojciec odbywał kolejną rundę po ogrodzie, po czym przewożono go do oranżerii, gdzie było przyjemne popołudniowe słońce, mnóstwo roślin i drzewek pomarańczy. Will zazwyczaj o siedemnastej wypijał z ojcem herbatę i opowiadał mu, co wydarzyło się w ciągu dnia. Lekarz nie wierzył, że hrabia go rozumie, ale Will wiedział, że tak było. Mieli własną metodę porozumiewania się - ojciec unosił palec, gdy chciał powiedzieć tak, a dwa, gdy nie.

Poza tym hrabia wodził zaczerwienionymi oczami za każdym ruchem ręki syna. Rozumiał Willa.

Wieczorem przed pójściem do łóżka, Will sprawdzał, czy u ojca wszystko w porządku. Dzisiaj ojciec siedział

przed kominkiem; Jacobs, jego służący, przygotowywał mu łóżko.

- Dobry wieczór - powiedział Will i pochylił się, żeby pocałować różowy czubek łysej głowy ojca, zanim usiadł w fotelu naprzeciwko staruszka. Podążył za jego wzrokiem i spojrzał na swój rozwiązany krawat. Uśmiechnął się i jednym pociągnięciem ściągnął krawat z szyi. - To był męczący wieczór. Hrabia spojrzał na twarz Willa, a ten nagle wstał i podszedł do kominka, unikając zaciekawionego wzroku ojca.

- Miałem trudną sprawę do załatwienia - odezwał się i przez chwilę patrzył na swoją dłoń. - Słowo daję, nie mam pojęcia, jak dotrzeć do mojego rodzeństwa. Sprawiają wrażenie, jakby zależało im wyłącznie na wywoływaniu skandali i zrujnowaniu sobie życia.

Starzec intensywnie się w niego wpatrywał.

- Szkoda, że nie wiem, jak ty radziłeś sobie ze mną, ojczu. Wiem, że na pewno przysparzałem ci kłopotów. Tak bardzo chciałem doświadczyć życia, nieprawdaż? Gdyby nie twoja mądrość i cierpliwość...

W tym momencie Will się zastanowił. Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Nagle uświadomił sobie, że jego ojciec rozumiał złość, jaką mogły wywoływać w synu ograniczenia związane z jego pozycją, i kiedy Will był młody, dał mu wolność, której syn potrzebował. Nigdy nie zapomniał, co hrabia powiedział w dniu, w którym zaproponował Willowi podróż życia: „Lata obowiązków są przed tobą, synu. Skorzystaj z okazji, która się nadarza”. I Will właśnie to zrobił, a kiedy wrócił do Anglii, był gotów podjąć obowiązki związane ze swoim tytułem i rolą dziedzica.

Być może jego bracia i siostry odczuwali podobną złość. Do czasu jego powrotu byli w Wentworth Hall niemal więźniami, nad którymi nikt nie miał pieczy i których nikt nie wprowadził w świat. Bez prawnego dostępu

do rodzinnych zasobów zdziczeli w tym dziwnym odosobnieniu. Bez wątpienia Will po swoim powrocie nie pomógł im; najwyżej doprowadził do punktu, w którym stali się jeszcze bardziej zniecierpliwieni i rozgoryczeni. Will odwrócił się nagle i uśmiechnął do ojca.

- Przekonałeś mnie, że przyjęcie to doskonały pomysł - powiedział. - Prawdę mówiąc, najlepiej wprowadzić ich do towarzystwa, przedstawiając ich osobiście.

Dopilnuje, żeby jego rodzeństwo przez dwa tygodnie miało kontakt ze śmietanką towarzyską, czego ukoronowaniem będzie wielki bal. Pomoże im wejść w kręgi miejscowej arystokracji i szlachty, jednocześnie mając ich cały czas na oku. Znowu spojrzał na ojca.

- Teraz już wiem na pewno, co mam zrobić. Ojciec zamrugał.

Drzwi otworzyły się; wszedł Jacobs.

- Mam pomóc hrabiemu się położyć, milordzie?

- Tak - odparł Will i czule uściskał ramię ojca, czując ulgę, że ten paskudny dzień dobiega końca. - Zobaczymy się rano i opowiem ci o swoich planach. Dobranoc.

## Rozdział trzynasty

Caroline Fitzherbert po raz pierwszy zobaczyła lorda Summerfielda zaraz po jego powrocie z Egiptu. Od pierwszej chwili wiedziała, że to mężczyzna, którego poślubi. Był przystojny, niesamowicie męski i, jeśli wierzyć informacjom jej matki, całkiem bogaty. Plotki o upadku rodziny Darbych okazały się wyłącznie plotkami. Wyglądało na to, że prawne zawilości nie pozwalały młodym Darbym korzystać z rodzinnych pieniędzy. Ich fortuna, na szczęście, pozostała nietknięta.

Summerfield wiódł ekscytujące życie - o wiele bardziej ekscytujące niż życie jakiegokolwiek innego dżentelmena w Bedfordshire, tego Caroline była pewna.

Ale Caroline była też bystra - wiedziała, że wszystkie niezamężne damy w Bedfordshire rywalizowały o uwagę wicehrabiego. Robiły z siebie kompletne idiotki, potykając się o siebie nawzajem, byle znaleźć się na jego drodze.

Caroline natomiast bardzo ostrożnie rozgrywała tę partię.

Kiedy jej ojciec z radością oznajmił, że pojawiła się możliwość, by została przedstawiona wicehrabiemu, Caroline odmówiła, wyprowadzając tym ojca z równowagi. Wkrótce matka zaczęła ją błagać, żeby się jednak zgodziła, wyniszczając jej, dlaczego byłby idealnym mężem - tak jakby Caroline sama tego nie wiedziała. A mimo to odmówiła. Uznała, iż jeśli zostanie przedstawiona wice-

hrabiemu zbyt wcześnie, będzie tylko kolejną twarzą w masie innych.

Moment, w którym zostanie mu przedstawiona, musiał być bardzo dobrze wybrany - gdy Summerfield uwierzy, że poznał już wszystkie panny w Bedfordshire.

Kiedy Caroline uznała, że nadszedł ten moment, zgodziła się. Ojciec z radością złożył lordowi Summerfieldowi obowiązkową wizytę. Will i jego brat, Joshua, ten z ponurym spojrzeniem, złożyli rewizytę, zapraszając rodzinę na obiad. I oto dzisiaj, nareszcie, Caroline i jej rodzice byli gośćmi w Wentworth Hall.

Niestety, spodziewała się, że będzie również obecne okropne rodzeństwo Summerfielda. Nalegała, aby rodzice zostawili jej dwóch młodszych braci w domu, ponieważ mogliby tylko przeszkadzać. Wolałyby, żeby Alice i Jane zostały wysłane do zakonu, by tam wieść smutne życie, jednak siedziały na kanapie, z dłońmi złożonymi na kolanach, ubrane chyba w nowe suknie, ponieważ wyglądały bardziej elegancko niż kiedykolwiek. Szczerze mówiąc, trochę pozazdrościła Alice jej kreacji. Jane była bardzo głośna i gadatliwa, Alice zaś przygnębiona, ale przecież całe hrabstwo wiedziało o jej zupełnie niezrozumiałym zauroczeniu Rolandem Hughesem - nie wspominając o niestosownych z nim spotkaniach, zanim Summerfield wrócił i położył temu kres. Alice Darby była niewiele lepsza od ładaczniczki. Bracia Willa, Joshua i Roger, wyglądali na znudzonych towarzystwem. Wyjątkiem był moment, w którym Caroline zauważyła, że Joshua jej się przygląda - a intensywność jego spojrzenia ją zaskoczyła.

Ojciec Caroline szczycił się tym, że umie rozmawiać z każdym, i całą rodzinę Summerfieldów zajął opowieścią o dziku, którego tropił przez dwa lata, nim ustrzelił go w trakcie ostatniego sezonu łowieckiego. Podczas gdy ojciec mówił, Caroline rozglądała się po pokoju i rozmyślała, co by w nim zmieniła, gdyby była panią tego domu.

Wszyscy w Greenhill wiedzieli, że Summerfield właśnie przeprowadzał generalny remont. Zatrudniono stolarzy, malarzy i różnych innych rzemieślników. W tym pokoju widać było efekty - dywan był nowy i gruby, zasłony czyste i wyprasowane. Krzesło, na którym siedziała, najwyraźniej miało nową tapicerkę, a okna tak lśniły czystością, że miało się wrażenie, iż wcale nie ma w nich szyb. Jednak pomieszczenie było zbyt ponure. Dominowały w nim ciemne kolory, a nie dało się zauważyć żadnych wzorów kwiatowych. Poza tym cały pokój szpeciła dziwna marmurowa statuetka przedstawiająca niemal nagą kobietę jadącą na słoniu. Prawdę powiedziawszy, kiedy ogłoszono, że obiad został podany, Caroline skorzystała z okazji, żeby przyjrzeć się statuetce bliżej.

Nie zdawała sobie sprawy, że Summerfield był obok, dopóki się nie odezwał.

- Podziwia pani jedno z moich ulubionych dzieł sztuki. Przysłano mi je z Indii.

- Jest raczej nieprzyzwoite - powiedziała. Summerfield uśmiechnął się do niej w taki sposób, że zawrzała w niej krew.

- Uważa pani, że kobiece ciało jest nieprzyzwoite?

- spytał cicho. - Uważam, że ona jest piękna. Caroline przełknęła ślinę.

- Zapewne uważa pan angielskie ubiory za nudne

- odparła, odchylając się do tyłu, żeby wyeksponować biust.

Summerfield roześmiał się i wyciągnął ramię.

- Ani trochę, panno Fitzherbert. Jestem wielkim wielbicielem wszystkiego, co ukazuje kobiece kształty. Możemy przejść do jadalni?

Poprowadził ją do salonu, w którym jej ojciec kontynuował wielowątkowe opowieści - teraz dotyczące jakichś końskich wyścigów - podczas obiadu, który składał się z pieczonych przepiórek i warzyw. Summerfield zadawał trafne pytania i wydawał się zainteresowany kon-

wersacją, natomiast Caroline odniosła wrażenie, że pan Joshua Darby jest bliski zaśnięcia i za chwilę wylądaje twarzą w talerzu zupy. W tym samym czasie Alice uznała, że musi nauczyć Jane używać widelca we właściwy sposób, czym Jane poczuła się wielce urażona.

Caroline nie była w stanie dłużej tego znosić, więc kiedy jej ojciec przerwał na moment, by zaczerpnąć powietrza, rzuciła:

- Czy to prawda, że uratował pan załogę statku przed utonięciem?

To pytanie najwyraźniej zaskoczyło Summerfielda. Siedzący naprzeciwko niej Joshua przewrócił oczami.

- Och, tak, opowiedz im o tym, Will! - zawołała Jane. - Uwielbiam ten fragment, gdy przykrywają cię fale.

Caroline była zbulwersowana. Jane sprawiała wrażenie, jakby cieszyło ją to, iż statek się rozbił.

- Jane - odezwał się spokojnie Summerfield, po czym zwrócił się do Caroline: - Nie, to nieprawda.

- Och. - Uświadomiła sobie, że jest bardzo rozczarowana.

- Udało mi się uratować tylko trzech mężczyzn - powiedział. - Niestety wielu, wielu zginęło.

- Naprawdę? - odezwał się jej ojciec. - Co się stało? Skrepowany Summerfield wzruszył ramionami.

- Dość gwałtowna burza w Cieśninie Gibraltarskiej. Statek został rzucony na rafę i kadłub przełamał się na pół. Na szczęście dla mnie na statku znajdowało się parę związanych beczek z winem. Swoje ocalenie zawdzięczam łutowi szczęścia, ponieważ jakimś cudem udało mi się wdrapać na te beczki.

Za pomocą pływających w wodzie szczątków statku wciągnąłem na beczki jeszcze trzech marynarzy. Rozpaczliwie próbowaliśmy dotrzeć do pozostałych, ale morze było bardzo wzburzone i zginęli.

- Ale... ale jak pan się uratował? - spytała Caroline, wstrzymując oddech.



- Dzięki towarzyszącemu okrętowi. Płynął nim mój służący, Addison. Znaleźli nas następnego ranka. To był tragiczny wypadek. - Uśmiechnął się. - Jak pani smakuje przepiórki? - spytał, grzecznie zmieniając temat.

Ale Caroline straciła apetyt. Wciąż na niego zerkała, wyobrażając go sobie wśród wzburzonych fal, ratującego życie biednych marynarzy. Było to nieprawdopodobnie ekscytujące.

Kiedy skończyli obiad i przeszli na taras, dwoje najmłodszych z rodzeństwa Darbych wkrótce opuściło towarzystwo i wróciło do środka. Ponieważ jej rodzice zajęci byli rozmową z lady Alice i Joshua, Caroline miała okazję porozmawiać z lordem Summerfieldem na osobności. Stali przy krawędzi tarasu. Spytał, czy korzystała ze słonecznej pogody. Odparła, że tak. Zauważyła, że długie letnie dni najbardziej cieszą amatorów konnych przejażdżek i spytała, czy jest takim samym miłośnikiem konnej jazdy jak jej ojciec.

- Tak - odparł. - A pani?

- Lubię konie... ale nie jeżdżę zbyt dobrze. - Spojrzała na niego. - Potrzebuję kogoś, kto by mnie tego nauczył.

Słyszając to, Summerfield uniósł brew.

- Nie jeździ pani zbyt dobrze... to wielka szkoda, ponieważ miałem nadzieję, że uda mi się namówić panią na obejrzenie dzikich koni, które czasami pasą się nieopodal.

Caroline miała ochotę plunąć sobie w brodę, ale zamiast tego uśmiechnęła się najbardziej zalotnie jak umiała.

- Żartuje pan ze mnie, *sir*. Słyszałam o dzikich koniach. To nieuchwytnie stado, nieprawdaż? O ile mi wiadomo, są tam teraz dwa żrebaki, ale nikomu jeszcze nie udało się do nich zbliżyć.

- Nikomu?

Uśmiechnął się w taki sposób, że Caroline poczuła się jak dziecko, które zupełnie nie radzi sobie z konwersacją.

- Znajomy mojego ojca, pan Higgins, jest doświadczonym koniarzem i twierdzi, że żaden człowiek nie zbliży się do nich na odległość mniejszą niż sto metrów - powiedziała prowokacyjnie.

Summerfield roześmiał się, lekko pochylając się w jej stronę. Jego oczy błyszczały i Caroline poczuła zabawne łaskotanie między nogami.

- Uwierz mi pani, jeśli powiem, że podszedłem na tyle blisko, iż mogłem ich dotknąć?

- Nie wiem - odparła z szelmowskim uśmiechem. - Musiałabym to zobaczyć.

- Wyzwanie, co? - Omiótł ją wzrokiem. - Nawet mi się to podoba. Nigdy nie unikam wyzwań.

Uśmiechnęła się skromnie, ale jej serce łomotało z radości, że powiedziała to, co należało.

- Domyślam się. Gdzie można zobaczyć te konie?

- Przychodzą nad jezioro - powiedział i spojrzał na ogród, jednocześnie wskazując ręką w tamtym kierunku. Jednak coś przykuło jego wzrok i zamilkł.

Caroline podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła w oddali kobietę. Przykucnęła przy krzaku róży, żeby naciąć kwiatów. Kapelusz zsunął jej się z głowy na plecy. Caroline zauważyła, że włosy miała tak jasne, iż niemal białe. Nie nosiła stroju służącej, tylko ładną różową dzienną suknię.

- Kto to? - spytała.

- Słucham? - spytał zaskoczony Summerfield.

- Ta kobieta - odparła Caroline, skinąwszy głową w jej kierunku. - To krewna?

- Ach, nie... to krawcowa - powiedział Summerfield i spojrzał na jezioro. - Tam, widzi pani altanę? - spytał, wskazując ręką. - Konie przychodzą tam rano na popas i żeby się napić.

- Widzę - odparła, ale patrzyła na kobietę w ogrodzie, która wstała i przyglądała się zawartości koszyka, podnosząc każdą różę z osobna. - To pewnie krawcowa, która uszyła te piękne suknie dla lady Alice i lady Jane.

- To ona - odpowiedział Summerfield, odwracając się plecami do widoku i kobiety w ogrodzie.
  - Te suknie są cudowne. Pańskie siostry mają prawdziwe szczęście. Krawcowa w Greenhill nie jest tak utalentowana.
  - Oto i jedna z sióstr - odezwał się Summerfield i wyciągnął rękę. Caroline zdusiła jęk rozczarowania, odwracając się z uroczym uśmiechem do lady Alice.
  - Właśnie mówiłam o pani sukni - powiedziała słodko. - Jest piękna. Alice, niemądra gąska, zarumieniła się gwałtownie i spuściła wzrok.
  - Dziękuję.
  - Prosiłam ojca, żeby zabrał mnie do Londynu, gdzie mogłabym skorzystać z usług doświadczonej krawcowej, ale on nigdzie nie chce wyjeżdżać z Bedfordshire.
  - My mamy doświadczoną krawcową - odezwała się Alice. - Może chciałaby pani ją poznać? Jest w ogrodzie.
  - Och, nie chciałabym się narzucać. Pospiesz się i idź, niemądra dziewczyno.
  - Zapewniam panią, że nie będzie się narzucać. Poślę służącego - zaproponowała Alice i odeszła. Caroline znowu uśmiechnęła się do Summerfielda.
  - Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko, *sir*.
  - Ależ skąd - odparł.
- Ale Caroline miała wrażenie, że było wręcz odwrotnie.

\* \* \*

Phoebe nawet nie zauważyła, że rodzina wyszła na taras, tak była pochłonięta poszukiwaniem idealnej róży mogącej posłużyć za wzór dla sukni, której projekt miała w głowie, a która kształtem przypominałaby właśnie ten kwiat. Przez kilka dni rzuciła się w wir pracy, próbując zapomnieć o ostatnich wydarzeniach. Wyglądało na to, że Alice całkowicie zapomniała o tym, że ją ude

rzyła. Była bardzo miła przez cały dzień, ale szybko zaczęła zachowywać się w dawnym stylu, gdy tylko się przekonała, że Phoebe nie ma do niej żalu. Ona i Jane często odwiedzały ją w pracowni, spekulując, kogo poślubi Summerfield, podczas gdy Phoebe i Frieda usiłowały pracować.

Jednak Alice i Jane były jak bawiące się dzieci, i Phoebe tylko od czasu do czasu unosiła głowę, żeby na nie popatrzeć. To, co nie dawało jej spokoju, to dotyk gładkiego kamienia na jej skórze - który jakimś cudem sprawił, że siniak rzeczywiście zniknął - i troska Summerfielda o nią. Chodziło o jego miękkie, ale natarczywe usta, smak jego warg, pieścotę palców na szyi. To był tylko dotyk i nic więcej, jednak nie dawał o sobie zapomnieć. Wciąż czuła ciepło jego warg i ten dziwny niepokój, który ją ogarniał, gdy był blisko.

Od tamtego wieczoru czekała, by znowu go zobaczyć - chociaż tylko zerknąć, by sobie przypomnieć, że to wszystko działa się naprawdę. Dni dłużyły się niemiłosiernie; była niespokojna i nie mogła długo usiedzieć w jednym miejscu.

Żeby nie myśleć - i nie tęsknić - pracowała niemal na okrągło, szkicowała i projektowała suknie, które chciała uszyć. Tego popołudnia zleciła Friedzie rutynowe szycie, sama pogrążając się w marzeniach o sukni, którą stworzy. Wtedy nagle Billy dźgnął ją palcem w plecy.

Phoebe drgnęła i podniosła głowę.

Billy się rozpromienił.

- Jesteś śliczna jak róża.

Cały czas ją adorował. Jasno dała mu do zrozumienia, że jego zainteresowanie jej pochlebia, ale go nie odwzajemnia. Ale to Billy'ego nie zniechęciło.

- Dzień dobry, Billy. Nie powinieneś gdzieś komuś pomagać? - spytała.

- Pomagam, kochanie - odparł. - Nie widziałaś mnie z nimi na tarasie?

Phoebe znowu spojrzała w górę, tym razem osłaniając dłonią oczy od słońca. Dobry Boże, nie zauważyła ich, więc się wyprostowała, dostrzegłszy Summerfielda, Jo-shuę i Alice oraz ich gości. Bezwiednie poprawiła włosy, potem szybko wygładziła suknię.

- Jego lordowska mość chce cię widzieć.

- Co? Czego może ode mnie chcieć?

- Skąd mam wiedzieć, kochanieńka? - spytał Billy, uśmiechając się do niej jeszcze szerzej. - A może zrobisz chłopakowi przyjemność i wybierzesz się ze mną w niedzielę na spacer?

- Billy - odparła Phoebe z irytacją i rzuciła w niego koszykiem kwiatów, trafiając go w brzuch. Była zaniepokojona, że ją wezwano, tym bardziej że spód sukni miała wilgotny od spacerowania po ogrodzie.

- Idź już. Lepiej, żeby nie czekali - powiedział Billy. Phoebe westchnęła, zdjęła jedną rękawiczkę i wrzuciła

ją do koszyka, który trzymał. Niemal udało się jej nie myśleć o Summerfieldzie, ale teraz te myśli wróciły ze zdwojoną siłą i poczuła, że płoną jej policzki. Była wyjątkowo bezbronna, zwłaszcza gdy zauważyła, że wicehrabia na nią patrzy.

- Nie wiedzą, że jestem zajęta? - spytała z rozdrażnieniem, ściągając drugą rękawiczkę i także wrzucając ją do koszyka.

- Ach, dziewczyno, chyba wystarczająco długo pracujesz dla wyższych sfer, by wiedzieć, że to ich nic nie obchodzi - odparł pogodnie Billy i skinął ręką, żeby szła przed nim.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła schodami na taras. Kiedy dotarła na szczyt, zobaczyła Alice.

Stosownie ubrana już nie wyglądała jak obszarpaniec czy dziwadło; nosiła się wręcz po królewsku.

- Lady Alice, ślicznie się pani prezentuje - powiedziała z przekonaniem Phoebe.

Alice się zarumieniła i spuściła wzrok.

- Dziękuję - odparła. - To piękna suknia.

Przeszli przez taras do Summerfielda i jego gości, którzy sprawiali wrażenie, jakby na coś czekali. Joshua siedział na kamiennej ławce z dala od pozostałych, ze wzrokiem utkwionym w młodej kobiecie o włosach koloru miodu i brązowych oczach, która stała obok Summerfielda. Jej rodzice - podobieństwo było oczywiste - przystanęli obok niej. Uśmiechali się tak, jakby udało im się zaaranżować małżeństwo córki z Summerfieldem.

Młoda kobieta posłała Phoebe wyrozumiały uśmiech a lady Fairchild dygnęła.

- Chciał mnie pan widzieć, jaśnie panie?

- Prawdę powiedziawszy... ja - odezwała się Alice.

- Panna Fitzherbert podziwiała moją suknię. Mogę przedstawić pani rodzinę Fitzherbertów? - spytała, i przedstawiła pana i panią Fitzherbert oraz ich córkę.

Gdy Phoebe witała się z nimi, zauważyła, że panna Fitzherbert przysunęła się do Summerfielda tak, że jej ramię dotykało jego rękawa.

- Jak się pani miewa? - spytała, obrzucając wzrokiem garderobę Phoebe.

- Dziękuję, dobrze. - Ich badawcze spojrzenia sprawiły, że poczuła się obnażona; w jej umyśle pojawiło się ziarno niepokoju, że ci ludzie wiedzą, kim jest naprawdę.

- Rzeczywiście podziwiałam uroczą suknię lady Alice

- odezwała się w końcu panna Fitzherbert. - Wspaniale się pani spisała, *madame*.

- Dziękuję.

Twarz Summerfielda nie zdradzała żadnych emocji, dłonie miał splecione za plecami i patrzył na Phoebe obojętnym wzrokiem. W niczym nie przypominał tego mężczyzny, który kilka dni temu spoglądał na nią z takim pożądaniem.

Panna Fitzherbert spojrzała na Phoebe chłodno.

- Co sądzisz, ojczyste? - spytała. - Madame Dupree jest krawcową. Może ją zatrudnimy, kiedy skończy pracę dla Summerfielda.

Powiedziała to w taki sposób, że Phoebe poczuła się jak mleczna krowa na targu.

- Przykro mi, panno Fitzherbert - odezwała się - ale kiedy skończę pracę tutaj, będę musiała wrócić do Londynu.

- Och? Na pewno uda się nam panią namówić, żeby pani została.

- Nie, obawiam się, że to niemożliwe.

Chyba że podano by jej głowę panny Fitzherbert na półmisku.

- Zapłacimy pani dobrą pensję z utrzymaniem i wyżywieniem - zaproponował pan Fitzherbert.

Phoebe uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, *sir*, ale mam inne zobowiązania.

- Jest pani pewna, że pani zobowiązań nie można przełożyć? - naciskał. - Jeśli powiedziałyby nam pani, kto ją zatrudnił, może udałoby się nam dojść do jakiegoś porozumienia.

- To bardzo poważne zobowiązania - zapewniła go Phoebe. - Chodzi o sprawy rodzinne.

- Och. Cóż - odezwała się panna Fitzherbert, od niechcienia wzruszając ramionami. Bez skrzepowania obrzuciła lady Fairchild chłodnym spojrzeniem, zatrzymując je na rąbku jej sukni. Skrzywiła się nieznacznie, po czym uniosła wzrok. - Może więc znajdzie pani sposób, by uszyć dla mnie strój do konnej jazdy podczas pani pobytu tutaj. Lord Summerfield zaprosił mnie na przejażdżkę, a ja niestety nie mam odpowiedniej sukni - powiedziała, posyłając mu zawstydzony uśmiech. - Jeśli lord Summerfield pozwoli, może mogłaby pani mi pomóc.

- Oczywiście - odezwał się Summerfield. Oczywiście? Czy jemu się wydawało, że ona brała stroje do jazdy konnej z nieba? Panna Fitzherbert uśmiechnęła się szerzej do Willa, po czym spojrzała na Phoebe, jakby właśnie ją pokonała.

Phoebe poczuła ukłucie zazdrości. W porządku, mieli wybrać się na konną przejażdżkę. Czego więcej chciała ta kobieta?

- Przejazdźka, co? - powiedział pan Fitzherbert. - Caroline nie jest miłośniczką konnej jazdy. Woli ławeczkę i woźnicę. - Zachichotał, zupełnie nie zauważając morderczego spojrzenia córki.

- Zapropnowałem, że pokażę panie Fitzherbert dzikie konie - wyjaśnił Summerfield.

Ukłucie zazdrości stało się dla Phoebe bolesnym doznaniem. Nie miała żadnego prawa do Summerfielda i koni, ale ogarnęło ją gwałtowne przekonanie, że on i konie byli jej własnością. Phoebe nie umiała się pohamować, spojrzała na Darby'ego z przyganą.

Odwzajemnił jej zuchwale spojrzenie i nieznacznie uniósł brew.

- Wciąż chodzi pani na poranne spacer, madame Dupree? - spytał, nie spuszczać wzroku, niewątpliwie myśląc o tym samym poranku, o którym myślała Phoebe.

- Kiedy tylko mogę. Jak pan wie, jestem bardzo zajęta.

- Widziała pani konie? - spytała panna Fitzherbert.

- Wiele razy. Są wspaniałe.

- Naprawdę wspaniałe - zgodził się Summerfield, wciąż patrząc na Phoebe.

- Musi więc pan przekonać madame Dupree, że strój do konnej jazdy jest mi niezbędny - zamruczała panna Fitzherbert, szturchając go ramieniem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam, panno Fitzherbert, ale jeszcze nie posiadam sztuki przekonywania kobiet do czegokolwiek - powiedział, na co panna Fitzherbert roześmiała się z uznaniem. - Ale porozmawiam z madame Dupree. Może uda jej się znaleźć czas na uszycie dla pani stroju. - I uśmiechnął się do panny Fitzherbert tak czarująco, że Phoebe z trudem powstrzymała jęk.



Dla niej nie miało znaczenia, kogo podziwiał, kogo zamierzał poślubić i wziąć sobie do łóżka. To była wyłącznie jego sprawa, jeśli chciał adorować taką zwykłą, prowincjonalną kobietę. Cóż to mogło obchodzić Phoebe? Była córką hrabiego, siostrą markizy i kuzynką księżnej. Miała lepsze perspektywy niż zwykły wicehrabia. Stanhope był hrabią! Jakże mogła być zazdrosna o tę nijaką, prowincjonalną, zacofaną dziewczynę i jej przekłety strój do konnej jazdy!

Szczerze mówiąc, nie mogła patrzeć, jak tych dwoje głupawo uśmiecha się do siebie. Jeśli chcieli pożerać się wzrokiem, niech przynajmniej nie zmuszają jej, żeby się temu przyglądała - i bez tego miała wystarczająco dużo pracy.

Trochę zbyt wyniośle powiedziała:

- Jeśli to wszystko, *sir*, wróć do swoich zajęć. Panna Fitzherbert wyglądała na zaskoczoną, ale jej ojciec się uśmiechnął.

- I takich służących lubię - powiedział życzliwie. - Chętnych do pracy.

Phoebe ze zniecierpliwieniem spojrzała na Summer-fielda. Miała wrażenie, że w kącikach jego ust pojawił się nieznaczny uśmiech.

- To wszystko, madame Dupree. Jeśli tak bardzo spieszy się pani do swoich obowiązków, może pani oczywiście odejść.

Dobry Boże, jak takie traktowanie z góry znosili prawdziwi służący?

Skinęła głową pannie Fitzherbert, która posłała jej taki uśmiech, iż Phoebe ścierpła skórę, po czym, jak posłuszna służąca, dygnęła przed Summer-fielem. Bez słowa odwróciła się i zeszła z tarasu, pamiętając o naukach matki, by zawsze chodzić z wysoko uniesioną głową.

## Rozdział czternasty

Will nie odwiedził Phoebe, żeby przekonać ją do uszycia stroju dla panny Fitzherbert; przez kolejne dwa dni ledwie miał czas odetchnąć, ponieważ kończyli przygotowania do uroczystej kolacji, którą zamierzał wydać na cześć Remingtonów. Henry orzekł, że byłaby to doskonała okazja, aby wy badać towarzystwo.

- Można spróbować - powiedział któregoś popołudnia. - Mieszkańcy Bedfordshire i tak nie mają nic lepszego do roboty.

Tak więc skromna kolacja, którą Will chciał wydać na cześć Remingtonów, przerodziła się w wysokiej rangi wydarzenie towarzyskie. Poza Remingtonami zaproszeni zostali także państwo Fitzherbert i Fortenberry - wraz z rodzicami pana Fortenberry - a także pastor MacDonald z rodziną. W sumie, wraz z gromadką Summerfielda, uzbierało się dwadzieścia sześć osób.

Można było sądzić, że rodzina Derbych nie czerpała specjalnej przyjemności z życia towarzyskiego - wszyscy siedzieli jak na szpilkach i złościли się na siebie nawzajem. Jednak z drugiej strony towarzystwo w Bedfordshire było idylliczne. Większość spotkań odbywała się przy popołudniowej herbatce, a głównym wydarzeniem sezonu stały się jesienne tańce dożynkowe. Naprawdę nie było tutaj odpowiedniego towarzystwa, a udawanie,

że jest inaczej, najwyraźniej wzbudzało w rodzinie Darbych najgorsze odruchy.

Will rzadko widywał Phoebe, ale dużo o niej rozmyślał. Podczas ostatniego spotkania odniósł wrażenie, że Phoebe chce, żeby zostawić ją w spokoju. I dobrze. Nawet nie próbował się zastanawiać, jak bardzo pragnie ją zobaczyć. Wmówił sobie, że brakowało mu jedynie dotyku kobiety, nic więcej. Powtarzał sobie, że ma obowiązki wobec swojej rodziny. Interesowanie się służącą nie było wskazane.

Trzymał więc się od niej z daleka i wcale jej nie widywał, z wyjątkiem poranków, kiedy podglądał ją przez okno w gabinecie, gdy spacerowała po ogrodzie ze szkicownikiem. Raz zauważył, że mu się przyglądała z okien swej pracowni, gdy wybierał się na konną przejażdżkę do Greenhill. Dotknął ręką kapelusza w geście powitania, a ona natychmiast się cofnęła w głąb pokoju. Tego dnia Will pędził konno jak szalony, czując się dziwnie wytracony z równowagi. Jednak szybko przestał o niej myśleć, ponieważ jechał z wizytą do Caroline Fitzherbert.

Panna Fitzherbert była jedyną niezamężną kobietą

- wśród wielu niezamężnych kobiet w Bedfordshire

- która wzbudziła jego zainteresowanie. Nie bardzo wiedział, co sprawiało, że różniła się od innych.

Była ładna i miła w obyciu, jak wszystkie te panny. Pochodziła ze szlachty, a jej wychowanie i sposób bycia czyniły z niej odpowiednią żonę dla hrabiego. Chyba lubił z nią rozmawiać, nawet jeśli były to płytkie pogawędki, które prowadzili w obecności jej rodziców. Jednak w jej ślicznych oczach dostrzegał pewną inteligencję, która go intrygowała.

Ponadto, kiedy powiedział o niej ojcu, ten podniósł palec, co Will uznał za znak, że staruszek akceptuje ten związek. Ojciec w żaden sposób nie reagował, kiedy Will wspominał o innych debiutantkach.

Podejrzewał, że Caroline Fitzherbert byłaby idealną żoną dla niego, ale wiedział również, że nie wzbudzała w nim żadnej namiętności. Był tym rozczarowany, ale podejrzewał - a raczej miał desperacką nadzieję - że z czasem pożądanie się pojawi. Nie wyobrażał sobie, że mógłby poślubić kobietę, której by zupełnie nie pragnął.

Szczerze mówiąc, obawiał się tego.

Nie czuł pożądania do żadnej kobiety, odkąd opuścił Ranię, ciemnooką piękność z Egiptu. Tylko że Ranią od najmłodszych lat była uczona tego, jak kusić mężczyzn i wzbudzać w nich gorącą namiętność. Wątpił jednak, żeby nadawała się na żonę.

Natomiast panna Fitzherbert być może nie wzbudzała w nim fizycznego pożądania, ale byłaby z niej dobra żona w każdym innym sensie. Na pewno pomogłaby mu z Alice i Jane - mogłaby nauczyć je dobrych manier, czego on nie potrafił. Może nawet udałoby się jej nakłonić Joshuę i Rogera do znalezienia sobie odpowiedniego zajęcia. Zwłaszcza Joshua wydawał się spokojniejszy w jej towarzystwie. To bez wątpienia miało znaczenie. A może nie?

Nikommu poza ojcem nie wspominał o swoich przemyśleniach dotyczących panny Fitzherbert; było na to jeszcze za wcześnie. Wcale nie miał pewności, czy nadawała się na panią Wentworth Hall.

Niemniej myśl o tym, że musi znaleźć odpowiednią żonę, towarzyszyła mu przez cały czas. Było hipokryzją pouczanie braci i siostr na temat ich obowiązków, podczas gdy samemu nie wypełniało się własnych.

Presja była tym większa, że nie wiedział, ile jeszcze życia zostało ojcu. Czas wrócić do domu, napisać do Willa. Czas się ożenić. Nic mnie tak nie ucieszy.

Summerfield postanowił odwiedzić pannę Fitzherbert. Spytał o obraz, który namalowała, a który wydawał się najwyżej poprawny, i z zainteresowaniem słuchał, kiedy pani Fitzherbert chwaliła charytatywną pracę cór-

ki dla parafii. Spacerował z nią po ogrodzie w jej posiadłości Floddington, i nawet zerwał dla niej różę. Obiecała, że zasuszy ją między kartkami Biblii. Opowiadała o pikniku planowanym przez kościół parafialny i wyraziła nadzieję, że on też tam będzie. Will uśmiechnął się, skrywając w ten sposób ziewnięcie, które w nim narastało, i zastanawiał się, czy jest coś bardziej otepiającego niż wysłuchiwanie w gorące popołudnie wywodów pastora MacDonalda. Nawet Henry nienawidził takich imprez.

- Są okropnie nudne - powiedział. - Zdecydowanie bardziej wolę Londyn. Jedź ze mną do Londynu, Summerfield. Będziemy się świetnie bawić.

- Wiesz, że nie mogę - odparł Will. - Trzymają mnie tutaj obowiązki.

- Twoje poświęcenie to szaleństwo albo przykład dla innych, jeszcze nie zdecydowałem - powiedział Henry z rozdrażnieniem.

Will również nie zdecydował. Tak naprawdę nie czuł nic. Pożegnawszy pannę Fitzherbert, wrócił do domu dłuższą drogą - przez las i aleją biegnącą wzdłuż odleglejszego końca posiadłości - tam, gdzie spodziewał się spotkać stado dzikich koni.

Wielki gniady ogier, którego Will nazwał Apollo, przyzwyczał się do jego częstej obecności, i Summerfield powoli zdobywał zaufanie jego i pozostałych koni. Gdy zdarzały się dni, w których rodzina przysparzała mu wyjątkowo dużo zmartwień, a Will czuł się całkowicie zagubiony, spotkanie ze stadem było jedynym radosnym momentem. Mógł poczuć się wreszcie sobą, a nie beużytecznym, nadętym prowincjonalnym lordem, którym się stawał.

Apollo zaczął akceptować dłoń Willa na swoim grzbiecie i pozwalał się głaskać. Will nawet zarzucił na niego derkę, żeby poczuł jej ciężar i powoli przyzwyczał się do siodła. Dzisiaj Will miał ze sobą wędzidło

treningowe, którego we dworze używano do trenowania źrebaków. Nie miał pojęcia, jak nakłonić Apolla, żeby wziął je do pyska, ale miał worek jabłek i był bardzo zdeterminowany.

Stado znajdowało się dokładnie tam, gdzie Will spodziewał się je spotkać, na niewielkiej polanie, na której zazwyczaj się pasło. Zauważył, że zniknął kolejny koń. W zeszłym tygodniu przepadły gdzieś klacz i jej źrebak; dzisiaj brakowało jednego źrebaka. Fergus prychnął i zarżał cicho, w ten sposób oznajmiając koniom swoje przybycie. Spłoszyły się; niektóre umknęły do lasu, ale Apollo powoli podniósł łeb i spojrzał na Willa. Jego nozdrza zadrżały.

- Spokojnie, staruszkule - powiedział Will, klepiąc Fergusa po szyi. Zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i sięgnął po sakwę przy siodle, w której miał jabłka i wędzidło. Przerzucił sobie sakwę przez ramię i ruszył przez łąkę.

Apollo rzucił głową i zaczął grzebać kopytem w ziemi, co wywołało głośne parsknięcie Fergusa.

Kiedy Will się zbliżył, Apollo zarżał głośno i znowu pogrzebał nogą, zanim wykonał gwałtowny ruch w kierunku Summerfielda, jakby chciał go wystraszyć.

- No już, już - powiedział cicho mężczyzna, a koń położył uszy. - No już.

Apollo opuścił łeb. Przez chwilę Will się spodziewał, że zostanie kopnięty i przefrunie przez polanę. Ale gniadosz go nie uderzył. Uniósł głowę i dotknął ręki Willa, sprawdzając, czy coś mu przyniósł. Godzinę później Will odjeżdżał z polany z szerokim uśmiechem na twarzy. Gniademu nie podobało się wędzidło, ale w końcu wziął je do pyska. Will sądził, że za dwa tygodnie uda mu się dosiąść rumaka.

Poprowadził Fergusa starą, rzadko uczęszczaną ścieżką przez las, skrótem do dworu, którego często używał jako chłopiec. Po jakimś czasie zaskoczony zauważył podążającego od dworu w jego kierunku jeźdźca. Rozpo-

znał w nim niezbyt rozgarniętego chłopaka z Greenhill, który często pracował w kuźni. Na widok Willa, chłopak ze zdziwienia szeroko otworzył oczy i mocniej naciągnął czapkę na czoło.

Ale oczywiście było za późno. Nikt spoza posiadłości nie używał tej ścieżki.

- Dzień dobry - powiedział Will, zatrzymując się.

- Dzień dobry, milordzie - odparł chłopak wyraźnie zmieszany.

- Frederick, prawda? - spytał Summerfield, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

- Tak. Frederick Mayhew, milordzie.

Will zerknął na ścieżkę, którą chłopak przyjechał, a potem przeniósł wzrok na Fredericka.

- Co się sprowadza do Wentworth? Frederick poruszył się w siodle.

- Przyjechałeś, żeby się ze mną zobaczyć? - spytał Will, doskonale wiedząc, że nie to było powodem wizyty chłopaka we dworze.

- Nie, milordzie - przyznał młody mężczyzna.

- Kogo więc odwiedzałeś?

Frederick zmarszczył brwi, a potem nagle się uśmiechnął, a w jego oczach pojawił się błysk.

- Przywiozłem wiadomość. Zapłacono mi, żebym dostarczył wiadomość. Nie byłem z wizytą, nie.

- Wiadomość dla kogo? - dążył Will.

To pytanie zbiło chłopaka z tropu. Uniósł dłoń i podrapał się po karku.

- Chodzi o to, milordzie, że nie mogę powiedzieć.

Wszystko ułożyło się w jedną całość. Summerfield nagle się wyprostował, przesywając chłopaka wzrokiem, aż ten się cofnął, jakby Will go uderzył.

- Czy dostarczyłeś wiadomość dla lady Alice Darby? Frederick nie musiał nic mówić - panika malująca się

na jego twarzy była wystarczająco wymowna. Willa ogarnęła wściekłość. Sięgał do kieszeni kamizelki.

- Ile zapłacił ci ten człowiek?

- Dwa pensy, milordzie.

Summerfield wyciągnął kilka monet i wybrał jedną, którą uniósł w dwóch palcach.

- Zapłacę ci tego szylinga, jeśli mi powiesz, jak często przywozisz listy do lady Alice.

Chłopak pobladł. Z trudem przełknął ślinę, wpatrując się w monetę.

- Jak często?

- Prawie wcale, milordzie, przysięgam! Z dziesięć razy, nie więcej, a czasami tylko odbierałem od niej list.

Dobry Boże, tego się obawiał. Rzucił Frederickowi monetę, którą ten sprawnie chwycił.

- Mam wiadomość dla pomocnika kowala - powiedział Will spokojnie. - Powiedz mu, że jeśli jeszcze raz się dowiem, że wysłał do Wentworth Hall wiadomość, osobiście dopilnuję, żeby kuźnia w Greenhill została zamknięta. Zapamiętasz?

- Tak, milordzie - powiedział Frederick i schował monetę do kieszeni.

- Jedź więc. I od razu mu to przekaż.

Frederick nie zwlekał. Spiął konia i popędził przed siebie.

Will nie od razu ruszył się z miejsca. Popatrzył na ścieżkę tam, gdzie skręcała i gdzie widać było fragment Wentworth Hall. A potem galopem pognął w stronę domu.



## Rozdział piętnasty

Słyszając pisk, Phoebe uniosła głowę tak szybko, że ukłuła się igłą w palec. Potem na schodach rozległo się dudnienie czyichś kroków.

- Dobry Boże, znowu? - jęknęła.

Frieda była dziś nieobecna. Phoebe przez cały ranek zajmowała się zszywaniem, ale pomyliła się, musiała wszystko spruć i zacząć od nowa. Wzrok miała zamglony, palce bolały ją od trzymania ciężkiego materiału, i nie miała nastroju, by rozsądzać kolejną kłótnię między Alice i Jane. Obie były całkowicie przerażone wieczornym przyjęciem.

Westchnąwszy, Phoebe wstała, wyprostowała zesztywniałe palce, i uświadomiła sobie, że poza lekkimi krokami słyszała także stukot ciężkich butów. Pisk - który brzmiał jak: „Nienawidzę cię!” - należało przypisać Alice. Lady Fairchild podejrzewała, że dziewczyna wrzeszczała na Rogera, który wydawał się czerpać przyjemność z dręczenia siostry.

Ruszyła do wyjścia, przygotowana na powitanie dwóch wcielonych diabłów i odesłanie ich prosto do piekła, ale zanim zdążyła dosięgnąć klamki, drzwi otworzyły się na oścież, niemal przygniatając ją do ściany, a do środka wpadła zapłakana Alice. Popędziła w kąt pokoju, żeby schować się za manekinem, na którym wisiała balowa suknia Jane.

Do pokoju za Alice wbiegł Summerfield, zatrzymując się tuż za progiem z ponurym wyrazem twarzy i wściekłym wzrokiem.

- Oddaj to, Alice - odezwał się ostro, wyciągając rękę. - Nie zniosę dłużej twojego nieposłuszeństwa!

- Nie zrobię tego! - krzyknęła dziewczyna, przyciskając coś do piersi. - Musisz mnie zabić i wyrwać to z moich rąk!

- Och, na miłość boską! - Summerfield ruszył do przodu. Ale Alice użyła manekina jak tarczy.

- Nie! - krzyknęła Phoebe i chwyciła go w pól. Summerfield odsunął ją wraz z formą na bok, a drugą rękę wyciągnął w kierunku Alice.

- Oddaj mi to!

Alice zaczęła szlochać i osunęła się na ziemię, odwracając się twarzą do ściany.

- Przestań! - ryknął Summerfield.

- Proszę przestać! - krzyknęła Phoebe, odpychając go.

Zaskoczony spojrział na lady Fairchild.

- Bez względu na powód waszej kłótni, nie pozwolę, żeby pan ją terroryzował!

Alice jeszcze bardziej się rozszlochała.

- Pani mi nie pozwoli? - ryknął Will.

- Nie będę znosić tak okropnego zachowania ani z pana, ani z jej strony! Nie jesteśmy dzikusami!

Był tak zaskoczony, że zaniemówił. Phoebe nie zwracała na niego uwagi; ukucnęła przy Alice i delikatnie położyła dłoń na jej plecach.

- O co chodzi? - spytała. - Co się stało?

- Powiem pani, co się stało - wyrzucił z siebie Summerfield. - Alice znowu mi się przeciwstawiła. Ona i ten przeklęty kowal przesyłają sobie liściki!

Dziewczyna zaczęła jeszcze bardziej zawodzić. Phoebe dostrzegła teraz, że to, co tak mocno przyciskała do piersi, to kawałek zgniecionego papieru welinowego.

- Och, lady Alice - westchnęła ze współczuciem. Alice uniosła głowę. Miała twarz zaczerwienioną od płaczu i mokre policzki.

- Nie oddam mu tego! - upierała się. - Może mnie zbić, ale i tak mu tego nie oddam! To moje!

- Oczywiście, że mu tego nie oddasz - powiedziała kojącym tonem Phoebe.

- Madame Dupree! - wrzasnął Summerfield. - To nie pani sprawa! Proszę się odsunąć, żebym mógł porozmawiać z siostrą!

Alice niezgrabnie wstała. Próbując uciec przed bratem, popchnęła manekin na wciąż klęczącą Phoebe. Ta uniosła ręce, żeby zasłonić głowę, i usłyszała łoskot spadających na podłogę różnych przedmiotów

- to Alice przebiegła przez pracownię.

- Wracaj! - wrzasnął Summerfield, po czym złapał Phoebe za ramię, podnosząc ją z podłogi.

- Nic pani nie jest? - spytał.

- Nic - odparła, odpychając jego ręce. Poruszył się, jakby miał ochotę pobiec za Alice, ale Phoebe chwyciła go za ramię. - Jaśnie panie! Nie ma pan serca? Nie może pan zabrać jej tego listu!

Summerfield zatrzymał się w pół kroku i oburzony spojrzał na młodą kobietę.

- Jest pani zaskakująco odważna, *madame!* Proszę uważać, jak się pani do mnie odzywa! Zwolnię panią za nierozsądne zachowanie!

- Moje nierozsądne zachowanie? - odpowiedziała ostro, czując ogarniającą ją wściekłość. - Wpada pan tutaj jak rozjuszony byk i oznajmia, że to ja zachowuję się nierozsądnie?

Zamrugął z niedowierzaniem.

- Madame Dupree, czy zdaje pani sobie sprawę, do kogo mówi?

- Och, bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, do kogo mówię, ale sądzę także, iż zapomniał pan, że jest bratem Alice!

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknął. Odwrócił się i spojrzał na Phoebe wściekłym wzrokiem. Stał tak blisko niej, że niemal wyczuwała emanujący z niego gniew.

- Nie wiem, co panią napadło, by tak niefrasobliwie się odzywać! Nie zależy pani na pracy tutaj? Na utrzymaniu? Zdaje sobie pani sprawę, że mogę sprawić, że nikt nigdy już pani nie zatrudni?

- Nigdy nie był pan zakochany, panie Summerfield? To pytanie najwyraźniej go zaskoczyło; cofnął się.

- Co takiego?

- Czy był pan kiedyś zakochany? - spytała ponownie. Sprawiał wrażenie, że zabrakło mu słów.

- Nie był pan - stwierdziła zdumiona.

- Cóż to może mieć wspólnego z pani zachowaniem?

- To nie ma nic wspólnego z moim zachowaniem, ale najwyraźniej ma wiele wspólnego z pańskim. - Powiedziawszy to, przeszła obok niego jakby nigdy nic. Obeszła dokoła manekin, żeby sprawdzić, czy suknia Jane nie ucierpiała.

- Można spytać, co dzięki temu pani odkryła, *madame*? - odezwał się szorstko.

- Ojej, teraz to oczywiste, że nigdy nie był pan zakochany. - Spojrzała na niego ze współczuciem. - To cudowne uczucie ekscytacji, które nas ogarnia, kiedy ta jedyna dla nas osoba wchodzi do pokoju - powiedziała, odwracając się ku niemu. - Żar, który rozpala ciało, gdy ukochana osoba nas dotknie. Wrażenie, że nie możemy oddychać - dodała, przyciskając dłonie do serca. - Kiedy ta osoba się uśmiecha, brak nam powietrza. Nie możemy nasycić się jej uśmiechem.

Summerfield zamrugał.

- Rozumie pan? Nigdy pan tego nie czuł, ponieważ inaczej okazałby pan siostrze choć odrobinę współczucia.

Wpatrywał się w nią, jakby usiłował zrozumieć jej słowa dotyczące współczucia.

Phoebe nagle olśniło.

- Och, Boże, pan nadal nie rozumie, prawda? - spytała ze śmiechem. - Alice jest zakochana w panu Hughe-sie.

Zszokowany, szeroko otworzył oczy.

- A pan Hughes jest zakochany w Alicel - dodała.

- Napisał do niej list miłosny, który zapewne jest bardzo osobisty i czuły. Nie został napisany do pana, więc czemu pan miałby go czytać? Nie powinien pan odbierać jej resztek godności i prywatności.

- Czy zachęcała ją pani do tego w jakikolwiek sposób?

- spytał ostro. - Popychała ją pani w ramiona pana Hughesa?

- Oczywiście, że nie - odparła Phoebe, krzyżując ramiona. - Przypomina pan sobie, że mnie spoliczkowała, kiedy jej to odradzałam?

Obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Cóż, skoro już skarciła mnie pani za oczywisty brak uczuć i pouczyła, jak mam postąpić w tej sytuacji, proszę pozwolić, że teraz ja czegoś panią nauczę, madame Dupree. Alice powinna wyjść za mąż, a w małżeństwie chodzi o ważniejsze rzeczy niż miłość.

To stwierdzenie nieoczekiwanie Phoebe rozsierdziło.

- Och, niech mnie pan oświeci, *sir!* O jakie ważniejsze rzeczy chodzi w małżeństwie?

- O dopasowanie partnerów. O bezpieczną przyszłość dla małżonków i zabezpieczenie przyszłości dzieciom.

- Och, tak, oczywiście - powiedziała Phoebe, odsuwając się od niego. - Majątki muszą do siebie pasować, a rodowód małżonków ma być gwarancją spłodzenia dziedzica godnego tytułu. A jeśli między dwojgiem skazanych na wspólną przyszłość ludzi zrodzi się uczucie, to będzie ono tylko miłym dodatkiem. Nie musi mi pan tłumaczyć zasad obowiązujących w towarzystwie. Moja matka już od kołyski powtarzała mi, że nie mogę oczekiwać niczego więcej ponad to, o czym pan wspomniał.

Will spojrział na Phoebe z zaciekawieniem i wtedy uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała.

- To znaczy, gdyby moja rodzina kiedykolwiek posiadała majątek.

- Nie znam pani położenia, ale musi pani przyznać, że pozycja Alice jest zupełnie inna niż pani.

Małżeństwo w naszych sferach jest ważniejsze właśnie dlatego, że stanowi połączenie fortun i tworzy polityczne przymierza. Nie chodzi i nigdy nie chodziło o miłość. A ci, którym się tak wydaje, doświadczą wielkiego rozczarowania.

Było to tak bezwzględne, tak cyniczne, że Phoebe, ku swojemu zaskoczeniu, poczuła napływające do oczu łzy.

- Tym większa strata dla pańskiej sfery - powiedziała i szybko odwróciła się do niego plecami, żeby nie zauważył łez. - To tragiczne, że pan najwyraźniej w to wierzy.

- A jakże pani może wierzyć, iż z miłości warto umierać - odparł z odrazą. - Co to jest? - Zrobił krok do przodu, pochylając głowę, żeby spojrzeć jej w twarz. Znowu się od niego odwróciła, ale Summerfield chwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie. - Dlaczego pani płacze? - spytał zakłopotany. - To, co powiedziałem, zupełnie nie dotyczy pani. Sądzę, że pani może umierać z miłości do woli.

Phoebe otarła z policzka łzę.

- Nikt z nas nie jest tak naprawdę wolny, czyż nie? - spytała.

Chwilę się nad tym zastanawiał.

- To prawda - odparł i opuszką kciuka otarł kolejną łzę na jej twarzy. - Sądzę, że nikt z nas nie jest do końca wolny, ponieważ inaczej nie musielibyśmy pragnąć tych, których nie możemy mieć.

Nie była pewna, czy mówił o sobie, czy o niej.

- Pragnienie tych, których nie możemy mieć, jest daremne - odezwała się ponuro Phoebe. - Dlatego niektórzy chwytają się każdej okazji, żeby zaznać szczęścia.

- A pani? - spytał z błyskiem w oczach, a Phoebe dojrzała w nich swoje własne pragnienie.

Miała zaciśnięte gardło.

- Chwytała się pani kiedykolwiek nadarzającej się okazji na szczęście? - spytał ją ponownie.

Phoebe potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

- Może to pytanie jest zbyt osobiste. Może we wspomnieniach coś urasta do rangi szczęścia, choć wcale tak wielkim szczęściem nie było. Być może pani mąż jest jedynie wyblakłym wspomnieniem.

- To nie w porządku!

- Proszę więc opowiedzieć mi o swoim szczęściu - powiedział, chwytając ją w pasie. - Proszę mnie rozbawić, zachęcić, przekonać, żebym pozwolił Alice na miłość.

- Dlaczego? - zapytała. - Ponieważ jest pan tak nieczuły, że nie może sobie tego sam wyobrazić?

- Och, ależ mogę - odparł, zawieszając wzrok na jej ustach. Nagle pochylił głowę i pocałował tę, którą trzymał w ramionach. Miał ciepły oddech i miękkie wargi.

Zanurzył ją w bezmiarze pożądania. W jej umyśle pojawił się milion myśli, gdy jego język splatał się z jej językiem. Tonęła. Miała wrażenie, że jakaś siła wciąga ją pod powierzchnię wody. Walcząc o oddech, z całych sił odepchnęła Summerfielda od siebie.

- Nie jestem pańską własnością - odezwała się ostro. - Proszę wyobrazić sobie swoje tak zwane szczęście z kimś innym.

- Zrobiłbym to... gdybym mógł wyrzucić z głowy pani obraz.

Omiótł ją wzrokiem, ale w jego oczach nie dostrzegła pożądania, które widziała wcześniej u innych mężczyzn. Nie, w jego oczach dostrzegła gorączkę - gorączkę, która i ją spalała od środka.

Phoebe nie wiedziała, co nią owładnęło. Może była to madame Dupree, która postanowiła skorzystać z okazji;

może sprawiły to te wszystkie lata, w czasie których właśnie tego pragnęła. A może była to jej szansa na szczęście. Jednak dotarło do niej, że on jej nie ciągnął pod wodę, lecz ratował ją przed utonięciem. Nagle chwyciła go za klapy surduta, przywarła do niego, po czym stanawszy na palcach, pocałowała. Otoczył ją ramieniem w talii, przyciągając mocno do siebie. Drugą ręką gładził jej szyję i policzek, podczas gdy jego usta umiejętnie pieściły jej wargi. Po jej ciele rozlewała się fala rozkoszy.

Phoebe odpowiedziała z całą siłą tłumionego przez lata pożądania. Najwyraźniej jej zachowanie go oczarowało; nagle mocniej ją objął, drugą dłonią przytrzymał jej głowę, a jego język z impetem wdarł się w jej spragnione usta. W miłosnym uniesieniu nie zauważyła, że jej włosy rozplątały się i teraz niesforne loki opadały na ramiona, a Summerfield wsunął w nie palce.

- A to, *madame*, pozostanie w mojej wyobraźni na lata - odezwał się pożądliwie.

Phoebe bezwstydnie przywarła do niego. Kiedy położył dłoń na jej piersi i zaczął pocierać kciukiem nabrzmiąły sutek, coś w jej łonie zadrżało. Miała wrażenie, jakby unosiła się ponad swoim ciałem, jakby ktoś inny doświadczał pieszczot jego warg, języka i dłoni.

Kiedy jęknęła z rozkoszy, Summerfield nagle popchnął ją na stół z taką siłą, że większość stojących tam rzeczy spadła na podłogę. Nie dbała o to; nie obchodziło jej nic poza tym, że jego dłonie obejmowały jej twarz. Przetaczały się przez nią tysiące maleńkich fal rozkoszy.

- Czy właśnie takiego szczęścia szukasz? - szepnął ochryple. - Powiedz, a dam ci je. - Opuścił głowę, całując jej dekolt, omiatając gorącym oddechem jej skórę i uwalniając z gorsetu jej piersi. Phoebe przeczeswała palcami jego włosy.

- Tylko rozpustnik mógłby pomylić szczęście z pożądaniem.



Rozkosz, jaką odczuła, gdy jego wargi zamknęły się na jej sutku, oszołomiła ją i nie była w stanie powstrzymać krzyku.

- A tylko głupiec usiłowałby rozdzielić te dwie rzeczy

- odparł żarliwie, nim wziął do ust jej drugą pierś. Phoebe głośno wciągnęła powietrze i mocno przycisnęła do siebie jego głowę.

- Rozkosz ciała i wieczne szczęście to dwie zupełnie różne rzeczy.

- Dobry Boże, kobieto, będziesz się teraz sprzeczać o detale? - powiedział zdyszany, po czym nagle dźwignął ją i położył na stole. Kładąc się na leżącej na plecach Phoebe, jedną rękę przesunął wzdłuż jej brzucha ku nagiej piersi, podczas gdy jego usta pieściły drugą pierś.

- Chodzi mi po głowie coś znacznie przyjemniejszego niż dyskusja.

Pożądanie, które zawładnęło ciałem Phoebe, sprawiło, że jej umysł przestał pracować. Przesunęła dłonie na jego umięśnione ramiona i plecy. Kiedy delikatnie ugryzł jej sutek, przeszedł ją gwałtowny dreszcz.

- Jesteś rozpustnikiem i uwodzicielem. Summerfield uniósł głowę. Miał rozpalony wzrok.

- W każdym calu. Ale udowodnij mi, że istnieje mężczyzna, który zachowałby się inaczej w obliczu tak niezrównanej piękności. Pragnę cię dotykać. Każdy centymetr twojego ciała. Chcę być w tobie. - Wodził wargami po jej szyi. - Wydaje mi się, że ty także tego pragniesz.

Rzeczywiście pragnęła tego, i to desperacko. Pozwoliła sobie pójść razem z nim ścieżką pożądania, dobrze wiedząc, że wkrótce dotrze do punktu, po którego przekroczeniu nie będzie już odwrotu. Nie chciała się zatrzymać. Jej pożądanie wymknęło się spod kontroli. Och, dobry Boże, cóż za rozkosz! Uniosła ręce ponad głowę, zrzucając materiał, linijki i nożyczki na podłogę. Pożądanie, które w niej narastało, za chwilę miało wybuchnąć.

Ale Summerfield nagle się zatrzymał. Phoebe jęknęła i otworzyła oczy. Patrzył na drzwi. I właśnie wtedy coś usłyszała. Głosy i kroki. Ktoś wchodził po schodach.

Szybko i bezszelestnie postawił Phoebe na równe nogi i pomógł ukryć piersi w gorsecie. Upięła włosy; ujął jej twarz w dłonie i po raz ostatni namiętnie ją pocałował, po czym przeszedł do jej sypialni obok.

Phoebe stała przy stole. Pożądanie wciąż w niej buzowało, a efekt jego pocałunków i dotyku nadal objawiał się pulsowaniem między nogami.

Kiedy pani Turner pojawiła się w drzwiach, szeroko otworzyła oczy, widząc bałagan.

- Dobry Boże, madame Dupree! Co tu się stało? - spytała, podczas gdy Frieda energicznie przeciskała się obok niej.

Phoebe zerknęła na porozrzucone po podłodze rzeczy, dopiero teraz dostrzegając nieporządek.

- A nie mówiłam, pani Turner? - spytała z triumfem Frieda. - Lady Alice ma dzisiaj zły humor!

Phoebe westchnęła, pozostawiając dwie kobiety w przekonaniu, że to Alice narobiła bałaganu. I zaczęła zbierać swoje rzeczy.

## Rozdział szesnasty

Oczarowany.

Will nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak całkowicie oczarowany. Nawet Ranią, chociaż była niezmiernie uwodzicielska, nie działała na niego tak jak Phoebe.

Minęło wiele godzin, a jego ciało wciąż reagowało na chwilę namiętności, którą przeżył, serce waliło jak młotem w oczekiwaniu, kiedy będzie mógł się w niej głęboko zanurzyć.

Z przykrością musiał stwierdzić, że jego determinacja, by być dobrym i porządnym człowiekiem, uleciała przez okno pod wpływem jednego ciepłego spojrzenia błękitnookiej piękności. Był zaskoczony i przerażony własną słabością, ale jeszcze bardziej tym całkowitym zauroczeniem.

Być może chodziło o jej wzruszający opis miłości. A może o to, że nigdy nie okazywała mu szczególnych względów. Cokolwiek to było, nie umiał przestać o niej myśleć. Był tak podekscytowany, że nie mógł nawet przebrać się do kolacji. Stał pośrodku garderoby z rękami na biodrach i rozmyślał, co dalej.

Niech diabli wezmą przekonania.

Był mężczyzną i Phoebe Dupree pociągała go fizycznie i emocjonalnie w taki sposób, w jaki nie pociągała go od dawna żadna kobieta, może nawet od czasu jego pierwszego zauroczenia.

Tak bardzo był zajęty rozmyślaniami o Phoebe, że na chwilę zapomniał o Alice. Postanowił posłuchać rady madame Dupree i pozwolić siostrze zatrzymać te przeklęte listy miłosne, ale ostrzegł ją przez zamknięte drzwi sypialni, że jeśli zamierza jeszcze raz spotkać się z panem Hughesem, on zakończy tę znajomość w sposób, który na pewno jej się nie spodoba. Nie wierzył w ich miłość. Wydawało mu się niedorzecznością używanie tego słowa wobec zauroczenia pomocnikiem kowala.

A w jego przypadku? Will nie był w stanie nazwać uczuć, które nim zawładnęły. Pożądanie? Obsesja? Zapatrzwszy się przed siebie, zapomniał o Addisonie, aż w końcu służący rzucił mu ponagląjące spojrzenie.

- O co chodzi? - spytał Will. - Zapomniałem o czymś?

- Nie, milordzie. Ale wydaje się pan spięty.

- Jak zwykle twoja powściągliwość jest godna podziwu. Nie znasz mojej siostry? Nie, Addison, nie jestem spięty. Mój brat oszukuje w karty, siostra na zbyt wiele sobie pozwala w miłostkach i jeszcze ta przeklęta krawcowa, która się tutaj płacze... - Zamilkł, zanim powiedział za dużo.

- Milordzie? Mogę zaproponować whisky, żeby trochę się pan uspokoił, nim zacznie pan witać gości?

- Świetny pomysł - odparł szorstko Will, odpychając dłoń Addisona od swojego krawata. - Może być podwójna.

- Nawiasem mówiąc - odezwał się Addison, jakby nigdy nic - popytałem dyskretnie o madame Dupree.

-I?

- Prawie nic o niej nie wiadomo.

- Nie wspominała o swojej rodzinie? Kochankach?

- Nic mi o tym nie wiadomo, milordzie. Will odwrócił się do lustra.

- Będę więc musiał sam się tego dowiedzieć - mruknął pod nosem.

Addison podał Willowi whisky - ten wychylił ją do dna, z płonną nadzieją, że ukoji jego rozedrganie. Tak się nie stało. Wciąż palił go wewnętrzny płomień, nawet kiedy witał gości. Wszyscy wydawali się mieć dobry humor, a jego rodzeństwo, o dziwo, zachowywało się bez zarzutu. Alice i Jane wyglądały ślicznie, i Will nie mógł się nadziwić ich przemianie. Suknia Jane z miękkiej zielonej tkaniny była ozdobiona jedynie różową szarfą poniżej gorsetu. Dół sukni pokrywała wspaniała koronka, co przydawało kreacji elegancji. Alice wyglądała jak całkowicie inna osoba. Włosy miała wysoko upięte i związane wstążkami, a lawendowa suknia podkreślała jej niezwykle kobiecą figurę, której Will wcześniej u niej nie zauważył. Jej odzienie było przepiękne - delikatne kwiaty zdobiły brzeg sukni i rękawy. Miała na sobie biżuterię z ametystów, która należała do jego matki. Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że Alice uśmiechnęła się uroczo, kiedy zaczął z nią rozmawiać Samuel Remington.

Summerfield nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział ją uśmiechniętą; nawet nie podejrzewał, że jej śmiech może przepelić jego serce takim ciepłem.

Roger miał, jak zauważył Will, naturalny talent do prowadzenia konwersacji i był urodzonym gospodarzem. Joshua, dla odmiany, stał ponury, jak to często miało miejsce. Chyba Will powinien być wdzięczny, że chłopak nie zaproponował nikomu partyjki wista ani nie rzucał niestosownych uwag. Świeżo odnowiona jadalnia była wystarczająco duża, żeby wszystkich pomieścić, zwłaszcza że młodszy goście zostali usadowieni przy mniejszych stolikach w rogach pokoju. A służba, choć większość pracowała u niego od niedawna, spisała się nad podziw dobrze.

Rozmowa przy stole bardzo się ożywiła, gdy pan Fortenberry zaczął opowiadać o ostatniej sesji parlamentu. Stanowczo przeciwstawiał się reformom, które lordowie

Radnor i Middleton próbowali przeforsować w Izbie Lordów, a które dałyby ubogim pracującym kobietom pewną ochronę. To, według pana Fortenberry'ego, zachęcałoby je do szukania nienaturalnych dla nich zajęć.

- Nienaturalnych? - zapytała pani Remington, ignorując grymas na twarzy męża. - Uważa pan, panie Fortenberry, że to mężczyźni powinni podejmować się tak nienaturalnych zajęć jak drobny handel czy krawiectwo?

- Kobieta powinna skoncentrować się na byciu matką i żoną. Może szyć ubrania dla swojej rodziny, jeśli ma po temu zdolności, ale bycie sprzedawczynią albo zawodową krawcową jest nienaturalne - zawołał pan Fortenberry, uderzając pięścią w stół.

- A co z tymi kobietami, które nie umieją szyć? Skąd mają wziąć ubrania?

- Moim zdaniem kobieta, która nie umie szyć, otrzymała kiepskie wykształcenie.

- Och, panie Fortenberry! To niedorzeczne! - rzuciła ostro pani Remington i przycisnęła dłonie do obfitego biustu, jakby chciała uspokoić wzburzone serce.

Na moment przy stole zapanowała cisza, ale wtedy Alice zaskoczyła Willa, mówiąc z uśmiechem:

- Cieszę się, że są krawcowe, które można zatrudnić, *sir*. Nawet nie chcę myśleć, co miałabym na sobie dziś wieczorem, gdybyśmy nie zatrudnili fachowej siły.

To stwierdzenie zostało przyjęte przez gości życzliwym śmiechem, przerwany przez dalsze wywody pana Fortenberry'ego, który twierdził, że jeśli kobiety otrzymają specjalne względy i będą mogły przyjmować męskie prace, to wkrótce mogą upomnieć się o prawa wyborcze. Pani Remington głośno zaoponowała, zapewniając, że kobiety nie interesują się czymś tak nieznośnie nużącym jak polityka. I kiedy rozmowa się ożywiła, bo wszyscy wygłaszali swoje opinie, Will zauważył na sobie wzrok panny Fitzherbert. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział

uśmiechem, jednocześnie zastanawiając się, czy kiedykolwiek walczyła o oddech z powodu namiętności.

Po kolacji panie udały się do bawialni, podczas gdy panowie zapalili cygara przy szklaneczkach porto.

- Mówię wam, że niedobrze jest przyznawać kobietom jakieś prawa czy przywileje - kontynuował pan Forten-berry. - W mgnieniu oka mężczyzna przestanie być nawet panem w swoim domu. Zostanie zmuszony przez prawo do tego, by dać żonie możliwość współdecydowania w kwestiach zarządzania majątkiem.

- Moja żona od dawna domaga się takiej możliwości - powiedział wesoło pan Remington.

Mężczyźni się roześmiali.

- A ty co o tym myślisz, Summerfield? - spytał pan Fortenberry, utkwivszy wzrok w Willu.

Summerfield myślał, że ta rozmowa jest nużąca. Chciał się ruszyć, popędzić konno i pozostać sam na sam ze swoimi myślami. Czuł się dziwnie rozbity; powietrze stawało się ciężkie, a on odczuwał przemożną chęć, by rozpiąć kołnierzyk koszuli.

- Jeszcze nie spotkałem kobiety, której bym się obawiał, *sir*.

Panowie wybuchnęli śmiechem.

- No, Summerfield. - rzekł Henry. - Nie masz zdania w tej kwestii? Sądzisz, że mógłbyś znieść kobietę rozzuchwaloną uzyskanymi prawami obywatelskimi?

Will uśmiechnął się do starego przyjaciela.

- Moja wyrozumiałość dla kobiet, z prawami obywatelskimi lub bez nich, jest zależna od ich urody.

Panowie znowu się roześmiali, ale pan Remington nie ustawał w wysiłkach, by przekonać pozostałych, że pracujące kobiety stanowią zagrożenie dla państwa.

Kiedy dżentelmeni wreszcie dołączyli do pań, przygotowano stoliki do wista, a także stół bilardowy.

Will obiecał panie Fitzherbert, że będzie jej partnerem w grze, ale kiedy podchodził do niej, nagle drogę zagroził mu Joshua.

- Panno Fitzherbert - powiedział, kłaniając się nisko. - Uczyni mi pani zaszczyt i zostanie moją partnerką do wista?

Panna Fitzherbert wyglądała na równie zaskoczoną propozycją Joshuy jak Will, i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Och. Cóż - rzekła, zerkając nerwowo na Willa. Joshua zignorował brata; stał z rękoma skrzyżowanymi za plecami i cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Tak... oczywiście, panie Darby - powiedziała w końcu.

- Wspaniale. Dziękuję - rzekł i podał jej ramię.

Rzucając Willowi kolejne bezradne spojrzenie, panna Fitzherbert położyła obleczone w rękawiczkę dłoń na przedramieniu młodzieńca i pozwoliła mu się poprowadzić.

Will, chociaż powinien, nie był zły na Joshuę, że ten zaprosił pannę Fitzherbert.

Uroczą młodą żonę pastora poprosiła, aby Will został jej partnerem do bilarda.

Rozegrali dwie partie, obie przegrywając z Henrym i rozentuzjasmowaną Jane. To była wina Willa - nie umiał się skoncentrować.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Henry, gdy służący przygotował stół do kolejnej partii. - Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zaskoczyłeś mnie wyśmienitymi umiejętnościami. Dzisiaj sprawiasz wrażenie, jakbyś nie umiał trafić w bilę.

- Za dużo wina - powiedział Will. Ale prawda była taka, że nie mógł przestać myśleć o Phoebe. Nie mógł zapomnieć jej smaku i wciąż słyszał jej żarliwe prośby w sprawie Alice.

Chyba porzucił wszystkie swoje dotychczasowe przekonania, ponieważ po kolejnej przegranej w bilard, zamiast przenieść się do stolika, gdzie grano w wista, przekazał panią MacDonald Henry'emu, poprosił jednego



z synów Remingtona, żeby został partnerem Jane

- na co biedna Jane bardzo pobladła - i oznajmił gościom, że na pewien czas musi ich opuścić, ponieważ chce życzyć ojcu dobrej nocy.

Podszedł do drzwi pokoju bilardowego, poinstruował dwóch służących, by dopilnowali, żeby kieliszki gości nie były puste, i wyszedł z pokoju. Minął piętro, na którym znajdowały się apartamenty domowników, w tym ojca, i poszedł dalej, na najwyższą kondygnację, gdzie znajdowały się pokoje służby i składziki.

Zauważył, że pracownia Phoebe jest zamknięta. Wyciągnął z kieszeni kamizelki zegarek. Było wpół do dwunastej. Na pewno już spała. Zawahał się, nie wiedząc, czy ją obudzić, czy nie.

Wtedy usłyszał jej głos. Śpiewała. To dodało mu odwagi. Nasłuchując, zastanawiał się, jak to możliwe, żeby ktoś aż tak fałszował.

Dobry Boże, słyszał miauczące koty, które brzmiały lepiej niż Phoebe Dupree.

*Niestety, kochany, złamałeś mi serce Tak brutalnie mnie porzucając A ja kochałam cię od dawna wielce, Dla siebie tylko cię mając.*

Kiedy zaczęła drugą zwrotkę, Will zapukał do drzwi, żeby ją powstrzymać.

Podziałało. Chwilę później otworzyła z uśmiechem, który zgasł, gdy tylko zobaczyła, kto stoi za drzwiami. Miała na sobie koszulę nocną, na którą założyła szlafrok, a rozpuszczone włosy opadały przez jedno ramię, jakby właśnie je czesała.

- Dobry wieczór - powiedział, opierając się o framugę.

- Milordzie! - Obróciła się gwałtownie, żeby pochwycić z krzesła kaszmirowy szal i mocno się nim otulić.

- Co pan tutaj robi? Czy coś się stało?

- Tak, coś się stało. Rozpaczliwie potrzebuję azylu. -Azylu?
- Niestety - odparł, wchodząc do jej pokoju - jestem beznadziejny, jeśli chodzi o obowiązki towarzyskie. Uważam, że są męczące i nużące. Wolałbym siedzieć w namiocie Beduina i słuchać masnawi .
- Czego?
- Baśni opowiedzianych w poetycki sposób.
- Ale powinien być pan z gośćmi - powiedziała, szybkim krokiem podchodząc do drzwi. Wyrzała na korytarz, po czym najwyraźniej uspokojona, że nikogo tam nie ma, zamknęła pokój i odwróciła się do Willa. - Jest pan gospodarzem - upomniała go, jakby mógł o tym zapomnieć.
- To godny ubolewania brak manier, przyznaję - odparł pogodnie i rozejrzał się po pokoju. - Nie zauważą mojej nieobecności, a poza tym nie opuściłem ich na długo. Słyszałem pani śpiew.
- Och. - Zarumieniła się nieznacznie i nagle się roześmiała. - Jestem niezbyt utalentowana. Niezbyt?
- Greer, moja kuzynka - pośpieszyła z wyjaśnieniem Phoebe - ma wyjątkowy talent muzyczny. Wygląda na to, że posiadała wszystkie talenty w rodzinie.
- Czy poza utalentowaną kuzynką ma pani jeszcze jakąś rodzinę?
- Wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.
- Rodzinę? - powtórzyła, jakby nie mogła sobie przypomnieć.
- Matkę? Ojca? Siostrę? Albo brata?
- Ach... - Spojrzała na swoje stopy. - Hmm. - Przesunęła palcami po włosach. - Cóż... kuzynkę, oczywiście - uniosła wzrok - tę, ach... utalentowaną muzycznie.

**\* Forma poetycka popularna w literaturach perskiej i tureckiej.**

- Chyba już ustaliliśmy, że ma pani kuzynkę.

- Tak. Cóż. Mam... mam siostrę. Nieznacznie wzruszyła ramionami.

Kiedy zrozumiał, że nie zamierzała powiedzieć nic więcej, zapytał:

- Ani matki, ani ojca?

- Zmarli - powiedziała szybko.

Czyżby ta młoda wdowa była sama na świecie?

- Jak dawno zmarł pani mąż? - spytał bez ogródek, robiąc krok w jej stronę.

Phoebe lekko się zaczerwieniła i ciasno skrzyżowała ręce na piersi.

- Przyszedł pan tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie?

- Nie - odparł szczerze. - Nie mogę powiedzieć, dlaczego przyszedłem. Szczerze mówiąc, usiłuję to zrozumieć, zadając te wszystkie pytania. Oświeci mnie pani?

Widział, jak to rozważała. Po chwili powiedziała:

- Ponad rok temu.

Wyglądała, jakby mówienie o tym przychodziło jej z trudem, ale Will, który dostrzegł jej niesforne loki, delikatny blask jej skóry i uroczy niekompletny strój, przekroczył pewną niewidzialną linię.

- Tęskni pani za nim? - spytał cicho, nie wiedząc, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć.

Utkwiła wzrok w podłodze.

- Ja... - Głos jej się załamał i nie dokończyła zdania.

Było oczywiste, że go opłakiwała, a on wykazał się wyjątkową bezduszością, pytając o to. Zrobił kolejny krok w jej stronę. Stał tak blisko, że czuł zapach jej perfum. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Ponad rok to długo, jeśli jest się samotnym, prawda?

Spojrzała na niego uważnie.

- Nie jestem samotna.

- Być może. Ale towarzystwo siostry czy kuzynki to marny substytut kochanka. Chociaż... może chce pani powiedzieć, że jest ktoś, kto grzeje pani łożo?

Zarumieniła się jeszcze bardziej.

- To... to bardzo osobista sprawa - wydukała.

Więc nie ma kochanka. Will był zadowolony, a jednocześnie zaskoczony. Jak to możliwe, że tak piękna wdowa nie miała romansu z jakimś wpływowym, bogatym mężczyzną albo nie wyszła ponownie za mąż? Czy żaden dżentelmen nie dostrzegł w niej tego piękna, które dostrzegł Will? Jak to możliwe?

- A pan jakie ma towarzystwo, sir? - spytała prowokacyjnie.

Uśmiechnął się.

- Swoje własne.

W odpowiedzi usłyszał prychnięcie i zobaczył zawadiackie potrząśnięcie głową. Ach, ta kobieta intrygowała go jak żadna inna dotychczas. Czuł niepokonaną potrzebę, by wszystkiego się o niej dowiedzieć, by słyszeć jej głos i śmiech, by widzieć, jak je, jeździ konno, czyta - cokolwiek robiła w ciągu dnia, on chciał być tego świadkiem.

Znowu się do niej zbliżył; stał już tak blisko, że musiała zadrzeć głowę, żeby na niego popatrzeć.

Wziął w dłoń kosmyk jej włosów i przesunął po nim palcem w dół, sycąc się jego miękkością.

- Pragnie pani dotyku mężczyzny? - spytał, końcem kosmyka przesuwając po jej ramieniu ku szyi, a potem po linii dekoltu aż do biustu. - Brakuje pani mężczyzny w łóżku?

Wydała stłumiony okrzyk.

- Dobry Boże, czy przy każdej sposobności będzie pan próbował mnie uwieść?

- Ależ, Phoebe - powiedział ze śmiechem, odgarniając jej włosy. - Nie jesteśmy niewiniątkami, ani pani, ani ja. Rozumiemy, jaka namiętność może istnieć między

kobietą i mężczyzną, a ponieważ oboje pozbawieni obecnie jesteśmy tej namiętności... może uda nam się osiągnąć zadowalające porozumienie.

Otworzyła szeroko oczy; jej piersi zafalowały. Will nachylił się i dotknął ustami jej skroni.

- Jeśli brakuje pani w łóżku mężczyzny... jestem do usług.

Słyszał, że wstrzymała oddech. Ujął jej podbródek, uniósł głowę i pocałował ją namiętnie, składając obietnicę tego, co ma nastąpić. Kiedy podniósł głowę, dostrzegł błyszczące oczy Phoebe.

- Jest pan zdeprawowany - wyrzuciła jednym tchem; policzki miała czerwone, a jej oczy błyszczały pożądaniem. - Co właściwie pan sugeruje? Że zapomnę o swojej cnocie dla pańskiej przyjemności?

- Nie - odparł i pocałował ją w drugą skroń. - Dla pani przyjemności. Wyjaśnijmy to sobie, *madame*... jeśli pani tego pragnie, dam pani więcej, niż można sobie wyobrazić.

Nie oddychała, nie poruszała się, tylko patrzyła mu w oczy.

Pocałował ją. Stała sztywno z mocno zaciśniętymi ustami. Kiedy już pomyślał, że najwyraźniej nie zamierzała rzucić się w jego ramiona i zgodzić na jego nedorzeczną propozycję, ona rozchyliła wargi.

Przepełniła go radość; wziął ją gwałtownie w ramiona. Trzymała ręce przyciśnięte do boków, nie dotykała go, ale odwzajemniała jego pocałunek, jej język splatał się z jego językiem, a piersi przywarły do jego torsu. Czuł, że robi się coraz twardszy, i otarł się o nią, by poczuła, jak bardzo jej pragnie.

W odpowiedzi jęknęła cicho. Jej dłonie błędziły po jego twarzy, barkach, ramionach. Całowała go jak kobieta, która od miesięcy tłumiała w sobie niezaspokojone pragnienie.

Kochałby się z nią natychmiast, gdyby nie to, że na dole czekali na niego goście. Dotknął dłonią jej policzka.

- Nigdy nie zgodzę się na tak niemoralne porozumienie - powiedziała bez tchu.

Will niemal się zaśmiał. Mrugnął do niej, dając do zrozumienia, iż wie, że będzie inaczej, po czym ją wypuścił z objęć. Podeszedł do drzwi i zatrzymał się, żeby po raz ostatni na nią spojrzeć.

Phoebe wpatrywała się w niego, jakby nie mogąc zdecydować, czy był mężczyzną, czy bestią.

- Nie zgodzę się - powtórzyła.

- Sądzę, że się zgodzisz - odparł i po raz ostatni rzucając okiem na jej niekompletny strój, dodał: - Albo umrę, próbując cię nakłonić, żebyś zmieniła zdanie. - I wyszedł, nim całkowicie postradał zmysły.

## Rozdział siedemnasty

To była najbardziej kusząca propozycja, jaką Phoebe kiedykolwiek usłyszała. Leżała w łóżku, patrząc przez okno i obserwując, jak smuga światła księżyca przesuwa się po podłodze. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak Summerfield jej dotykał, jak na nią patrzył - to wspomnienie wywoływało w niej dreszcz.

Kiedyś przyznała się matce, że sposób, w jaki niektórzy mężczyźni na nią patrzyli, sprawiał, iż czuła się obnażona. Była zawstydzona, jakby to ona w jakiś sposób prowokowała ich pożądanie.

- Och, kochanie - odparła ze współczuciem matka - jesteś piękną dziewczyną. Śmiem twierdzić, że żadna w towarzystwie nie jest piękniejsza od ciebie.

- Naprawdę, mamó? - spytała Phoebe, czując, że się rumieni.

- To prawda. A mężczyznom nic nie sprawia większej przyjemności niż patrzenie na piękną kobietę. Ale pewnego dnia jakiś mężczyzna popatrzy na ciebie nie pożądliwym, lecz rozgorączkowanym wzrokiem.

- Rozgorączkowanym! - powtórzyła Phoebe, przestając malować. - Będzie chory?

- Ani trochę! Chcę powiedzieć, że męskie pożądanie to głód ciała, pragnienie cielesnych przyjemności, co, w sprzyjających okolicznościach, jest całkiem przyjemne

- dodała z tajemniczym uśmiechem. - Ale rozgorączkowanie, Phoebe - rzekła, opadając na otomanę i ujmując w dłonie rękę córki - rozgorączkowanie, to całkiem inny rodzaj głodu. Kiedy mężczyzna patrzy na ciebie rozgorączkowanym wzrokiem, jest w nim żar, który spala go całego. Pragnie nie tylko twojego ciała, ale także twojego serca i duszy. Kiedy to zobaczysz, będziesz wiedzieć, ponieważ sama będziesz czuć w sobie gorączkę. - Mamo - jęknęła Phoebe.

Jej matka uwielbiała flirtowanie i kokietowanie. Często rozpływała się nad porywami serca. Phoebe uznała, że matka znowu wymyślała jakieś romantyczne historie i nie rozumiała jej problemu.

Jednak ostatniej nocy wydawało się jej, że widziała błysk tej gorączki, o której mówiła matka, w oczach Summerfielda. Co więcej, sama także czuła w sobie tę gorączkę.

Tak czy siak, jak mogłaby w ogóle brać pod uwagę jego propozycję? Jej reputacja byłaby zrujnowana. Elizabeth Montague kiedyś przechwalała się przed Phoebe i Avą, że miała kochanka na długo przed ślubem, a kiedy już wyszła za mąż, nie wybuchł żaden skandal. Ale Elizabeth nie musiała wcale mówić prawdy - Phoebe i Ava nieraz się nad tym zastanawiały. Phoebe kilkakrotnie widziała Elizabeth w towarzystwie pana Granta i wierzyła, że naprawdę byli kochankami; istniała między nimi jakaś zażyłość, która wskazywała na coś więcej niż tylko przyjaźń.

Z kolei panna Beverly Randall wdała się w romans z cieszącym się złą sławą rozpustnikiem, a skandal, który wybuchł, był całkiem poważny. Rodzina wysłała ją do Kornwalii, gdzie, o ile Phoebe było wiadomo, pozostawała aż do dziś.

Panna Randall bez wątpienia poniosła konsekwencje, i Phoebe byłaby głupia, wierząc, że jej to nie spotka.

Istniała tylko jedna drobna różnica - Phoebe miała coś, czego nie miały ani panna Randall, ani Elizabeth:



anonimowość. Wszyscy w Bedfordshire wiedzieli, że była wdową po Francuzie i została zatrudniona w Wentworth Hall na pewien czas. Mogła, gdyby całkowicie wyzbyła się moralności, wdać się w romans z mężczyzną i nikt by o tym nie wiedział...

Z wyjątkiem przyszłego męża.

Zakładając, że będzie jakiś przyszły mąż. A jeśli będzie, to przecież Phoebe w swoim życiu zdążyła już usłyszeć wiele sposobów na wyjaśnienie braku dziewictwa. Nie dla każdej kobiety było to bolesne doświadczenie. Ava mówiła, że poczuła tylko ukłucie, ale nic tak dramatycznego, jak słyszała od innych kobiet. Szczerze mówiąc, Phoebe słyszała o pewnej damie, która zdecydowanie twierdziła, że forsowne ćwiczenia - zwłaszcza jazda konna - mogły pozbawić kobietę dziewictwa równie łatwo jak mężczyzna.

Dobry Boże, czy naprawdę zastanawiała się nad jego propozycją?

Oczywiście, że nie! Nedorzecznością było udawać, że ją rozważa!

Tak, ale... ale naprawdę go pragnęła. Och, Boże, tak bardzo go pragnęła! Była w gorączce.

\* \* \*

Następnego ranka Will pojechał na Fergusie na wzgórze, gdzie wciąż stały ruiny zamku pierwszego hrabiego Bedford. Dzikie konie przeniosły się tam, bo mogły znaleźć miejsce na popas. Jak zwykle Fergus pierwszy zareagował na ich obecność, parskając, unosząc łeb i kładąc uszy. Pasły się tam, gdzie, jak Will podejrzewał, kiedyś znajdował się trawnik, w pobliżu krętego strumyka. Mały źrebak za bardzo oddalił się od matki i teraz widząc Willa, niezdarnie pogalopował do niej z powrotem.

Summerfield zeskoczył na ziemię, zdjął płaszcz, potem ściągnął z Fergusa siodło i zarzucił je sobie na ramię. Wolną ręką chwycił dodatkową sakwę, w której znajdowało się wędzidło, uzda i wodze.

Czuł się wspaniale i uśmiechnął się, kiedy Apollo parsknął na jego widok.

- Dzień dobry, ty cholernie piękna bestio - powiedział i upuścił torbę na ziemię.

Zdjął siodło z ramienia i uniósł je do góry, żeby Apollo mógł je powąchać. Koń był przyzwyczajony do widoku siodła, miał nawet okazję poczuć je na swym grzbiecie. Jednak dzisiaj Will zamierzał je przypasać.

Apollo powąchał siodło, potem opuścił łeb do sakwy w poszukiwaniu jabłek.

Zakładając popręg, Will przemawiał cicho do konia, ucząc go komend, których będzie musiał się nauczyć podczas ujeżdżania, jak „unieś łeb” albo „spokojnie”. Zapinając popręg, powiedział:

- Ciebie i mnie czeka długa droga, przyjacielu. Potrzeba trochę perswazji, ale wierzę, że szybko się zaprzyjaźnimy i nasza znajomość będzie trwała.

Apollo odwrócił łeb i spojrzał na Willa, przyglądając mu się podejrzliwie swoimi niesamowicie wielkimi brązowymi oczami, po czym parsknął i zaczął skubać trawę, podczas gdy Summerfield ostrożnie podciągał popręg.

\* \* \*

Tego popołudnia Jane była niesamowicie szczęśliwa, kręcąc się wokół własnej osi w niedokończonej sukni balowej, podziwiając jej fason i paplając o świeżo poznanym Johnie Remingtonie, którego uznała za najbardziej czarującego i przystojnego dżentelmena, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- A ty, Alice? - spytała Phoebe, gdy Jane zrobiła przerwę na oddech.

- Ona się nie odzywała, chyba że ktoś się do niej odezwał - powiedziała Jane.
  - To nieprawda. Długo rozmawiałam z Samuelem Remingtonem, ale ty zamęczałaś Johna swoją paplaniną i nie zauważyłaś. Rozmawiałam nawet z młodszym bratem Caroline Fitzherbert.
  - Och, on jest taki męczący! - poskarżyła się Jane.
  - I nie wyobrażam sobie, co mu powiedziałaś, ponieważ po rozmowie z tobą poprosił, żebym została jego partnerką do wista.
  - To nieprawda. Pan Fitzherbert zaproponował, żebyśmy wszyscy zmienili partnerów. Ty także, Jane. Jane wzruszyła ramionami i pociągnęła w dół gorset sukni. A Phoebe ponownie podciągnęła go do góry.
  - Mam nadzieję, że pan Remington przybędzie na nasze przyjęcie. Och, ależ mi się podoba ten pomysł z przyjęciem! To trochę tak, jakbyśmy należeli do wyższych sfer, nieprawdaż? Zawsze tego pragnęłam.
  - Proszę, Jane, nie ruszaj się - poprosiła ją Phoebe.
  - Nie mogę tego spać, kiedy tak się kręcisz.
  - Alice nie chce przyjęcia. Ona chce odejść i żyć za kuźnią z panem Hughesem.
  - Dlaczego mówisz takie okropne rzeczy? - spytała ze znużeniem Alice. - Bardzo się cieszę na to przyjęcie i na towarzystwo wielu rodzin.
  - I Fitzherbertów?
  - I Fitzherbertów, tak, oczywiście. Dlaczegoż miałabym się nie cieszyć?
- Jane zapiszczała z radości, omal nie przewracając przy tym Phoebe.
- A więc darzysz estymą pana Fitzherberta!
  - Nie darzę go estymą, ale chyba możemy założyć, że pewnego dnia dzięki małżeństwu stanie się naszym bratem.
- Alice przewróciła oczami i odwróciła się, żeby przyjrzeć się swojej sukni balowej, która wciąż wisiała na manekinie.

- Chyba chciałabym mieć ją obszytą perełkami, madame Dupree. Bardzo podobało mi się takie obszycie sukni panny Fitzherbert.

Niech ją Bóg broni, jeśli miałyby je ubierać na podobieństwo tej kobiety.

- Och! I pantofelki! Chcę mieć pantofelki wyszywane perełkami - dodała podekscytowana Jane.

Phoebe już miała jej powiedzieć, że zostało zbyt mało czasu, by wyszywać pantofelki, ale przerwało jej pojawienie się Addisona.

- Przepraszam, że przeszkadzam, *madame* - powiedział z ukłonem, po czym spojrzął na Alice i Jane. Jeśli czubki jego uszu były jakimś wskaźnikiem, wydawał się nieznacznie zakłopotany.

- Coś się stało, Addison? - spytała Phoebe.

- Nie, nie, oczywiście, że nie... Hmm... lady Alice... przywieziono dla pani prezent. Czeka na panią w głównym salonie.

Alice natychmiast puściła tkaninę, której się przyglądała.

- Prezent? Dla mnie? Od kogo?

- Nie wiem, jaśnie pani. Ale... załączono do niego liścik.

- A dla mnie, Addison? - spytała rozgorączkowana Jane. - Dla mnie nie ma prezentu?

- Przykro mi, ale nie ma, lady Jane.

- Ale... - Jane zamilkła i spojrzała na Alice. Alice wybiegła z pokoju, a siostra podążyła za nią. Phoebe potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do Addisona.

- Naprawdę nie wiesz, kto przysłał prezent?

- Och, wiem - odparł Addison, skrzywiwszy się. - Nikt. Wymyśliłem to.

- Addison! - zawołała ze śmiechem Phoebe. - Co cię opętało?

Spojrzął przez ramię i wszedł dalej.

- Mam dla pani wiadomość - powiedział i włożył rękę do wewnętrznej kieszeni surduta, z której wyciągnął niewielki, złożony kawałek papieru welinowego.

Phoebe wpatrywała się w liścik, ale nie wykonała żadnego gestu, żeby go wziąć.

- Jego lordowska mość kazał mi dać to pani i poczekać na odpowiedź - odezwał się Addison, podchodząc bliżej. - Błagam, proszę się pospieszyć, *madame*, bo kiedy lady Alice odkryje, że nie ma dla niej żadnego prezentu...

Miał racje. Phoebe wzięła papier i szybko go rozłożyła.

*Madame Dupree...*

Jego pismo było zamaszyste i duże.

*Zapraszam Panią dziś wieczór na kolację. Bardzo chciałbym kontynuować naszą rozmowę.*

Phoebe poczuła, że się czerwieni i zerknąwszy na Addisona, odwróciła się od niego nieznacznie.

*Pozwoliłem sobie w imieniu moich braci i sióstr przyjąć zaproszenie pastora. W związku z tym będę dziś podczas kolacji sam i Pani towarzystwo sprawi mi niezmierną przyjemność. Jeśli uczyni mi Pani zaszczyt i przyjmie moje zaproszenie, będę czekać w altanie o wpół do ósmej.*

W altanie? Phoebe znowu zerknęła na Addisona. Twarz biedaka poczerwieniała tak samo jak jego uszy.

- Madame Dupree, proszę napisać odpowiedź na odwrocie listu, a ja mu ją osobiście dostarczę.

Była zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek powiedzieć. Była zawstydzona, oszołomiona - marzenie o czymś a dążenie do spełnienia tego marzenia, to były dwie różne sprawy. Nie chciała, aby w tym domu wybuchł skandal. W jej

głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Odwróciła się, żeby poszukać na stole ołówka. W pośpiechu zrzuciła na podłogę nożyczki.

To było niedorzeczne. Dobrze wiedziała, dlaczego Summerfield zapraszał ją na kolację, ale nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć. Wiedziała, że cokolwiek napisze, może to zostać zinterpretowane na różne sposoby.

*Lordzie Summerfield - charakter pisma miała zamaszysty i lekki -Pańskapropozycja kolacji razi nie-taktem. Nie rozumiem, dlaczego prosi mnie Pan, abym ryzykowała swoją reputację, jedząc z Panem kolację na świeżym powietrzu w rozpadającej się altanie.*

Przerwała pisanie, przygryzła dolną wargę i postukała ołówkiem w stół. Mogła wyobrazić go sobie, jak stoi w swoim gabinecie i czeka na jej odpowiedź. Wyobrażała sobie jego smukłą sylwetkę, rozgorączkowane oczy, zmysłową linię warg. Niemal czuła te usta na swoich, jego ręce na swoim ciele.

Konieczność napisania odpowiedzi coraz bardziej jej ciążyła.

*Me mam w zwyczaju jadać kolacji na brudnych kamiennych ławach, zapewne w przeciwieństwie do Pana, dlatego też domyślam się, że zamierza Pan wykorzystać altanę w zupełnie innym celu.*

*Mme Dupree*

I już. Phoebe pospiesznie złożyła papier, by nie dać sobie szansy na zmianę zdania i dodanie, że jednak przyjdzie. Obróciła się i oddała liścik Addisonowi.

- Proszę to zanieść jego lordowskiej mości.

Addison szybko wsunął liścik do kieszeni na piersi. Ukłonił się.

- Miłego dnia, madame Dupree.

- Miłego dnia, Addison - zaszczębiotała w odpowiedzi, patrząc za nim, jak wychodził z pracowni.

Kiedy zniknął, Phoebe opadła na krzesło i wypuściła oddech, bo wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że go wstrzymywała.

Wciąż siedziała na krześle i patrzyła przez okno, wyobrażając sobie te wszystkie rzeczy, które mogłyby się wydarzyć, kiedy Addison wrócił. Wszedł i bez słowa podał jej papier welinowy.

- Znowu?

- Znowu.

Westchnawszy, Phoebe podniosła się z krzesła i sięgnęła po papier.

*Mme Dupree,*

*Bardzo mnie Pani krzywdzi, sugerując, że zamierzam „wykorzystać” altanę, by uwieść Panią. To zwykle miejsce spotkań rodzinnych. Miałem na myśli coś znacznie bardziej przyjemnego i niewinnego, coś, co pozwoliłoby wyrwać się Pani ze swoich małych pokoików i rozkoszować się letnim, wieczornym powietrzem. Nie ma tam „brudnych kamiennych ław”. Jeśli woli Pani spędzać czas ze swoimi manekinami, igłami i takimi tam, to oczywiście proszę bardzo. Jednakże Pani towarzystwo sprawiłoby mi wielką przyjemność, a jeśli sądzi Pani, że istnieje choćby najmniejsza szansa, że sprawiłoby przyjemność również Pani, to zapraszam ponownie na spotkanie w altanie o wpół do ósmej.*

*S.*

W głowie Phoebe kołatało się tysiąc myśli naraz - że nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż przyjęcie jego zaproszenia ani szybciej nie zniszczyło jej reputacji, że w jej oszustwie kryło się nieopisane niebezpieczeń-

stwo, że była głupsza niż Ava czy Greer mogłyby sobie kiedykolwiek wyobrazić, i że musi znaleźć odpowiednią kreację.

Jednak cały czas towarzyszyła jej i ta myśl, że po raz pierwszy w życiu - jeśli nie ostatni - mogła czuć tę gorączkę.

Wzięła do ręki ołówek.

*Panie,*

*Chyba uważa mnie Pan za bardzo naiwną, skoro sądzi, że dam się zwieść deklaracjom o uczciwych zamiarach. Uważam, że Pana gierki są bardzo niebezpieczne. Zważywszy na to wszystko, nie mogę spotkać się z Panem przed ósmą.*

*Mme D.*

Szybko złożyła papier i nerwowo podała go Addisonowi, nie mogąc spojrzeć mu w oczy. Addison uklonił się i wyszedł. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, Phoebe pobiegła do szafy, żeby poszukać odpowiedniej kreacji.

Nic. Nie miała nic takiego.

Ale wtedy zauważyła niebieską jedwabną suknię z długimi rękawami, którą miała na sobie na chrzcie swojego siostrzeńca Jonathana. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Przyniosła z pracowni nożyczki i odcięła rękawy.



## Rozdział osiemnasty

Kiedy kończył się ten długi letni dzień i słońce chyliło się ku zachodowi, Phoebe zbiegała ku ogrodowi jak kobieta spiesząca się na spotkanie z kochankiem. Widziała go czekającego na nią. Wyglądał... wspaniale. Był męski w sposób, który przyprawiał ją o ucisk w żołądku.

Postradała rozum, pozwoliła, żeby jej mózg zamienił się w sieczkę. Cóż ona, na miłość boską, wyprawiała? Drażniła smoka, oto co robiła. A on był niezwykle prawdziwy.

Summerfield miał na sobie czarny surdut i szare spodnie wetknięte w gumowce. Świetnie skrojone ubranie idealnie opinało jego szerokie barki i wąską talię. Wokół szyi zawiązał w fantazyjny węzeł jedwabny fular. Jego twarz okalały naturalnie falujące włosy, a kiedy Phoebe podeszła bliżej - z mocno bijącym sercem i wilgotnymi dłońmi - na jego wargach pojawił się uśmiech rozjaśniający całą twarz.

Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Niepokoiliła się o nową suknię, nieprzyzwoicie pozbawioną rękawów, jednak w ocenie Phoebe dość uroczą. Upięła wysoko włosy spinkami z kryształkami, które pasowały do kolczyków. Kiedy skończyła się ubierać, stanęła przed lustrem w pracowni i przyglądała się swojemu odbiciu, wyobrażając sobie, że jest kobietą z pewnym doświadczeniem.

Jednakże nie była taką kobietą. Udawała głupią, a z każdym dniem coraz bardziej popadała w szaleństwo. Mogła przyjąć fałszywą tożsamość i jej używać, mogła igrać z ogniem, który pochłonałby ją bez reszty, ale nie mogła zmienić siebie. Pod tą fasadą wciąż kryła się Phoebe, i ta Phoebe obawiała się, że jest mniej przebiegła, niż jej się wydawało.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemieniła się w aktorkę, a jej serce drżało z radości na myśl, że może zrzucić z siebie duszący obowiązek bycia przyzwoitą młodą damą.

Gdy podeszła bliżej, Summerfield zszedł po schodach altany. Zatrzymała się przed nim z cierpkim uśmiechem. Wyciągnął do niej rękę. Phoebe spojrzała na jego dłoń, na kuszący tatuaż na nadgarstku.

- Zgodziłam się tylko na kolację - powiedziała. Kąciki jego ust się uniosły.

- Ma pani moje słowo, że nie będę próbował pani uwieść.

Posłała mu diaboliczny uśmieszek madame Dupree. Podała mu dłoń. Natychmiast podniósł ją do ust i pocałował.

- Jest pani taka piękna. Przy każdym spotkaniu pani uroda coraz bardziej mnie zachwyca.

- Więc zaczyna się uwodzenie.

Uśmiechnął się szeroko i położył sobie jej dłoń na ramieniu, po czym przykrył ją swoją dłonią.

- Chodźmy więc, nim oskarży mnie pani o coś jeszcze.

- Dokąd? - spytała, zerkając na jezioro.

- To niespodzianka.

- Niespodzianka? - Roześmiała się. - Boję się pańskich niespodzianek, milordzie.

- Pani? Kobieta tak odważna, że nie lęka się dzikich koni? Nie, nie wierzę, że boi się pani moich niespodzianek. Raczej swojej reakcji.

Zaskakująco prawdziwe stwierdzenie.

- Bez obawy, *madame* - odezwał się z leniwym uśmiechem. - Moja niespodzianka będzie łagodna. Zadrżała na tę uwagę. Summerfield zaprowadził ją nad jezioro, a potem w wysokie trzciny. Gdy przedzierał się przez nie, nad głową Phoebe przeleciały olbrzymie ważki.

- Co dokładnie robimy? - spytała, odganiając jedną z ważek.

- Szukamy pani rydwanu - odparł zagadkowo, puścił jej rękę i zniknął w trzcinach.

Phoebe czekała, aż w końcu usłyszała plusk wody.

- Milordzie?

Chwilę później Summerfield wyłonił się z trzciny. -Tędy.

- Gdzie? - spytała, usiłując coś zobaczyć przez zarośla.

- Może zaufa mi pani choć trochę? Chodźmy, *madame Dupree* - powiedział, skinąwszy na nią ręką.

Phoebe zrobiła krok naprzód, unosząc suknię wysoko nad kostki, i zobaczyła na brzegu starą łódź.

Summerfield rzucił się do przodu, żeby wciągnąć łajbę wyżej na ląd.

- Co? - zawołała Phoebe. - Mam do tego wsiąść?

- W życiu nie spotkałem tak upartej kobiety - powiedział z uśmiechem. - Proszę spojrzeć - wskazał przez jezioro. - Widzi pani tę wyspę?

Podążyła za jego wzrokiem. Pośrodku jeziora znajdowało się coś, co wyglądało jak zagajnik. Wyspa liczyła nie więcej niż pół hektara, może trochę więcej.

- Lubi pani niespodzianki, prawda? - spytał, mrugnąwszy do niej okiem.

- Tak, ale... - Spojrzała na swoją suknię z pięknego niebieskiego jedwabiu.

Summerfield chyba domyślił się, o co jej chodzi, ponieważ chwycił ją w ramiona i uniósł, zanim zdążyła zaprotestować.

Phoebe zapiszczała zaskoczona, a on wszedł do wody i bez żadnego wysiłku postawił ją w łodzi.

Rozpostarła ramiona, żeby zachować równowagę, i zamarła.

- O matko. O matko - powtarzała, gdy łódź się zakołysała.

- Na pani miejscu bym usiadł - odezwał się wesoło Summerfield i przerzucił jedną nogę przez burtę łodzi, stawiając stopę na rufie.

Phoebe usiadła przy akompaniamencie szelestu jedwabnej sukni.

- Chyba powinnam pana ostrzec, *sir*, że nie najlepiej pływam.

- Proszę się nie martwić, nie zamierzam zmuszać pani do zanurzenia się. - Mocno zakołysał łodzią, po czym wgramolił się do środka i usiadł na małej ławeczce z tyłu. Chwycił za wiosła i łódź podryfowała po nieskazitelnej powierzchni jeziora.

Zaśmiał się, kiedy odzyskał kontrolę nad wiosłami.

- Zaskakuje mnie pani, Phoebe. Można pomyśleć, że nigdy wcześniej nie siedziała pani w łodzi.

- Łodzi? - zawołała. - To chyba za dużo powiedziane!

- Nie lubi pani przygód? - spytał pogodnie. - Sądziłem, że małżeństwo z Francuzem wiąże się z podróżowaniem w tę i z powrotem przez kanał, w warunkach zdecydowanie gorszych niż w czasie tego uroczego letniego wieczoru.

Lęk przed utonięciem sprawił, że zapomniała o swojej fałszywej tożsamości.

- Tak - powiedziała, może trochę za szybko. - Ale... ale to było coś innego. - Zerknęła nad jezioro najpierw przez jedną, potem przez drugą burtę. - Nie tak blisko wody.

- Jeśli pani nie wstanie i nie pochyli się w bok, raczej nie grozi pani wypadnięcie. A jeśli nawet tak by się stało, to obiecuję, że panią uratuję.

- Umie pan pływać? Roześmiał się głośno.

- Kiedyś pływałem na otwartym morzu w czasie sztormu. Na pewno poradzę sobie też na jeziorze.

- Na otwartym morzu?

- To długa i zawiła historia. Proszę tam spojrzeć - powiedział, wskazując głową na coś w oddali. -  
Widziała pani kiedyś taki zachód słońca?

Phoebe odwróciła się na tyle, na ile pozwalały jej dłonie kurczowo zaciśnięte na burtach, i spojrzała w niebo.

- Ojej. - Widok zapierał dech w piersiach. Jakby ktoś wymalował na niebie olbrzymie różowe i pomarańczowe pasy, potem gdzieś dorzucił purpurowe pierzaste obłoki. Takiego widoku nie zobaczyłaby w Londynie, gdzie gęsta zabudowa i brudne powietrze skutecznie przesłaniały letnie zachody słońca. Żałowała, że nie ma ze sobą szkicownika, aby móc uchwycić wygląd nieba i później to namalować.

- Przepiękny - powiedziała. - Najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam.

Znowu się odwróciła. Summerfield nie patrzył na niebo - patrzył na nią. Za jego plecami widziała dwór posadowiony wśród zielonych wzgórz. Piękno posiadłości zaparło jej dech w piersiach.

- O czym pani myśli? - spytał Summerfield, wiosłując.

- Że w Wentworth Hall jest cudowny krajobraz. Szczęściarz z pana.

- Naprawdę tak pani sądzi? - zapytał, uroczo przekrzywiając głowę. - Czasami wydaje mi się zbyt... osaczający.

- Nie mam pojęcia, jak można uważać taki przejaw piękna natury za osaczający.

- Jest pięknie, trzeba to przyznać - zgodził się. - Ale raczej spokojnie.

- W jakim sensie spokojnie?

- W tym sensie, że życie tutaj toczy się bardzo powoli. Całe lata spędziłem, coś odkrywając. Każdy dzień oznaczał nowe wydarzenia. Tutaj każdy dzień jest taki sam.

- I dokąd doprowadziło pana to odkrywanie? Nieznacznie wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę wszędzie. Na kontynent. Potem na greckie wyspy i do Indii. Do Afryki i Lewantu. Do Egiptu i Maroka.

- Wszędzie - rzuciła z uśmiechem.

- Tam, dokąd zaprowadziło mnie życie. Byłem szczęściarzem. - Skinął głową w kierunku czegoś, co znajdowało się ponad głową Phoebe. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Odwróciła się. Na końcu niewielkiej zalesionej wysepki ktoś zapalił pochodnię. Summerfield wiosłował prosto na tę pochodnię, po czym przy samym brzegu wyskoczył do sięgającej kostek wody i wciągnął łódź dalej na brzeg. Potem podszedł do burty i wyciągnął do Phoebe rękę.

Wstała ostrożnie sama, ale kiedy łódź przechyliła się na jedną stronę, Phoebe chwyciła jego dłoń i zeskoczyła na suchy ląd tak gwałtownie, że Summerfield musiał złapać ją w pasie. Roześmiał się i w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Proszę uważać, żeby nie przeskoczyła pani przez wyspę - powiedział. - Nie jest zbyt duża.

Nie od razu ją puścił; patrzył jej tak głęboko w oczy, że poczuła, jak miękną jej kolana.

- Obiecał mi pan niespodziankę - przypomniała mu w końcu, zanim kolana całkowicie odmówiły jej posłuszeństwa.

- Rzeczywiście - odparł i ujął jej dłoń tak, jakby byli bliskimi znajomymi. Do drugiej ręki wziął pochodnię. - Tędy.

Kiedy zaczęli iść, Phoebe uświadomiła sobie, że wyspa jest większa niż się wydawało z drugiego brzegu jeziora. Dobrze wydeptana ścieżka wiła się wśród drzew i znikwała w krzakach. Słońce szybko zachodziło i robiło się coraz ciemniej, ale kiedy szli ścieżką, Phoebe dostrzegła migające wśród drzew światła. Kiedy dotarli do zakrętu, Summerfield zrobił krok w tył i przepuścił ją przodem.

Czuła się niemal jak dziecko, które czekała wspaniała niespodzianka. Uniosła suknię i ruszyła ścieżką, która wiodła na zapierającą dech w piersiach polanę - cokolwiek sobie wyobrażała, nie wyobrażała sobie aż tak wiele.

Na polanie ujrzała ruiny. Wszystko, co pozostało z oryginalnej budowli, to marmurowa podłoga i cztery kolumny, które wznosiły się majestatycznie, a ich wierzchołki były osmalone od pożaru, który prawdopodobnie zniszczył cały budynek. Miało się wrażenie, jakby te kolumny podtrzymywały niebo o zmierzchu.

Pomiędzy nimi płonęły pochodnie, podobne do tej, którą Summerfield trzymał w ręce. Na marmurowej podłodze stało mnóstwo woskowych świec - w dużych kryształowych misach i na kawałkach drewna przyniesionych z lasu.

Pośrodku marmurowej podłogi leżały ułożone w krąg poduchy, które otaczały niski kosiak. Stał tam jeszcze niewysoki stoliczek, na którym znajdowały się trzy półmiski ze srebrnymi pokrywami i dwie karafki z winem.

Był to magiczny widok, żywcem przeniesiony z kart jakiejś baśni. Phoebe weszła po schodach, które kiedyś zapewne prowadziły do głównego wejścia, po czym zatrzymała się, żeby nacieszyć się tym niesamowitym widokiem. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Summerfieldem.

Odłożył pochodnię, skrzyżował ręce za plecami, opuścił głowę i przyglądał się Phoebe z wyraźną radością.

- Co to za miejsce? - spytała niemal bez tchu.

- Nie jestem pewien - odparł, wchodząc po schodach. - Prawdopodobnie kiedyś to był klasztor albo opactwo. Mój dziadek przerobił to na letni dom, ale, jak pani widzi, spalił się. Nigdy go nie odbudowano.

- To prawdziwy skarb. I te świece! - zawołała. - Jestem... jestem zaskoczona, że zadał pan sobie tyle trudu dla mnie.

- Cieszę się, że się pani podoba - odparł.

Phoebe ogarnęła fala radości, która przerodziła się w pełen entuzjazmu uśmiech. Uniosła suknię i przeszła ostrożnie ponad świecami w stronę poduszek.

- Cóż za interesująca aranżacja. Egzotyczna.

- Egipska - rzucił Summerfield, zapraszając ją gestem, by usiadła. - Przywiozłem je ze sobą. Uważam, że Egipt jest bardzo inspirujący, nigdy wcześniej nie czułem się tak wolny od trosk życia jak tam.

Pomyślałem, że pozwolę zakosztować pani tej wolności.

Podniecała ją sama myśl o Egipcie - ośmielało magiczne otoczenie, więc usiadła na jednej z poduch.

Mogła wyobrazić sobie siebie w egipskim namiocie, odzianą w jedwabie od stóp do głów, tak samo jak w tej książce z obrazkami, którą ona, Ava i Greer oglądały w dzieciństwie.

- Beduini mają w zwyczaju w taki właśnie sposób jadać kolację - wyjaśnił Summerfield, kucając za nią i odgarniając kosmyk włosów z jej ramienia, a zarazem muskając palcami jej odkrytą skórę. -

Jedzą rękami kawałki praśnego chleba, ale dla pani - rzekł cicho, tak delikatnie gładząc ją po szyi, że zadrżała - poszedłem na ustępstwo; są tutaj sztuczce oraz chleb na zakwasie.

- Cóż za odwaga - zażartowała z niego. Uśmiechnął się.

- Lubi pani wino? - spytał, robiąc krok ponad poduszkami, po czym nalał wina do kieliszka i podał go Phoebe. Drugi napełnił dla siebie i uśmiechnął się czarująco, kiedy stuknęli się szkłem.

Sprawiał, że trudno jej było pamiętać, iż jest służącą uwodzoną przez pracodawcę.

- Smakuje pani wino? - spytał, kiedy się napiła. Gdy skinęła twierdząco głową, dodał: - Francuskie. Prze-szmuglowane przez kanał.

- Szmugluje pan wino z Francji?

- Ja? - Zaśmiał się. - Nie. Zostało kupione od przemytnika. Zawsze uważałem, że jeśli samemu nie można szmuglować, należy przynajmniej znać porządnego szmuglera.



Phoebe roześmiała się z niedowierzaniem.

- Chce mnie pan nabrać, *sir*. Ale dlaczego ktoś miałby przemycać wino z Francji?

- Nie wie pani?

Niech to szlag, najwyraźniej nie pamiętała, kim miała być! Roześmiała się i w odpowiedzi przewróciła oczami.

- Ponieważ Francuzi bardzo cenią sobie swoje trunki

- wyjaśnił - i nakładają wysokie cła na te, które są wywożone za granicę. A Anglicy cenią sobie swoje wina i nakładają dość surowe cła za przywilej picia wina francuskiego. Tak się składa, że znam jednego takiego konesera, i on wpoił mi silne przekonanie, iż powinienem posiadać kilka butelek francuskiego wina w porządnej cenie.

- Przyjrzał jej się uważnie. - Sądziłem, że jako żona Francuza jest pani miłośniczką francuskiego wina - powiedział.

- Och. Ach... niezupełnie - odparła i się uśmiechnęła. Odpowiedział uśmiechem, napił się i skinął z uznaniem głową.

- Jest pani głodna? - spytał i odstawił kieliszek, żeby zdjąć pokrywkę z jednego z półmisek.

- Owszem - odezwała się, uświadamiając sobie, że umiera z głodu.

Pod pokrywką znajdowały się różne sery i owoce: winogrona, pomarańcze i pokrojone w kostkę jabłka. Podniósł drugi półmisek i ich oczom ukazały się plastry mięsiwa i chleb. Widelcem nałożył jej na talerz różne smakołyki, po czym na drugi - sobie.

- Angielskie pomarańcze nie umywają się do tych, które jadłem w Paryżu - powiedział od niechcienia, nie odrywając wzroku od jej ust. - Paryż to miasto wielu dekadentkich przyjemności, nieprawdaż?

Phoebe prawie w całości połknęła cząstkę pomarańczy.

- W której części Paryża pani mieszkała? - spytał.

- Mieszkałam? - powtórzyła.

- W Paryżu. Na lewym brzegu, jak się domyślam?

Na lewym brzegu czego? - zastanawiała się nerwowo.

- Mmm - odparła.

- Mogliśmy być sąsiadami, wyobraża pani sobie? Byłem w Paryżu tylko przez kilka miesięcy, ale wynająłem niewielki domek niedaleko Rue Monge. Jestem pewien, że pani wie, o czym mówię. Spanikowała nagle, że zostanie zdemaskowana. Kiedy marzyła o tej nocy, nie marzyła o długich rozmowach, na miłość boską!

- Tak, oczywiście - odparła niewyraźnie, mając nadzieję, że on nie będzie drażył tematu. - Wyborny ser. Jaki to gatunek?

Zerknął na ser na jej talerzu i wzruszył ramionami.

- Domyślam się, że najlepszy, jaki miała kucharka. - Znowu na nią spojrzął. - Nie ma nic bardziej uroczego niż Sekwana wiosną - zauważył. - Mówiła pani, że gdzie mieszkała w Paryżu?

- Ach... - Phoebe wzięła spory kęs kurczaka, jednocześnie zastanawiając się nerwowo, a chcąc odwlec odpowiedź, oblizwała usta. Summerfield przyglądał się jej z pewnym rozbawieniem, cierpliwie czekając na odpowiedź. Uśmiechnęła się, napiła wina, strzepnęła drobiny kurczaka z kolan i ponownie zerknęła na Summerfielda.

- Gdzie? - zapytał.

Lekceważąco machnęła ręką i odparła:

- Gdzie? Och, już nawet nie pamiętam. Rue... jakaś tam albo inna.

Odpowiedział uśmiechem.

- Wyjechał pan z Paryża - odezwała się, desperacko pragnąc zmienić temat. - I dokąd wtedy pan pojechał?

- Do Szwajcarii. Mogę spytać, skąd pochodził pani zmarły mąż?

Och, do licha. Phoebe odłożyła talerz i sięgnęła po swój kieliszek, po czym wzięła kolejny łyk wina i chrząknęła nerwowo.

- Pochodził z Rouen - odparła trochę niepewnie.

- Ach - rzekł od razu i skinął głową, jakby doskonale znał tę miejscowość. - Kolejne wspaniałe miasto. Tą katedrą jest *recherche*\*, nie sądzi pani?

Dobry Boże, czy istniało jakieś miejsce, którego nie widział?

- To prawda - powiedziała pewnie. - Ale muszę wyznać... po tym, jak mój mąż... - zrobiła gest dłonią - zmarł, próbuję zapomnieć...

- Dobry Boże, oczywiście - odezwał się z zatroskaną miną. - Proszę wybaczyć.

- Nie, ja... - Uśmiechnęła się niewinnie. - Wygląda na to, że zjechał pan cały świat, *sir*. Jest pan prawdziwym poszukiwaczem przygód, prawda?

Posłał jej zmysłowy uśmiech.

- Jestem poszukiwaczem przygód w każdym znaczeniu tego słowa. - Odsunął talerz i pochylił się w bok, opierając się na łokciu. - Dzięki temu żyję, szczerze mówiąc. - Westchnął, upił porządny łyk wina i spojrzał w swój kieliszek. - Dlatego Anglia i jej sielska prowincja wydają mi się takie duszne.

Obawiam się, że odwykłem i nie odpowiada mi życie arystokraty.

To wyznanie zdziwiło i zaintrygowało Phoebe.

- Co panu nie odpowiada? - spytała.

- Lepszym pytaniem byłoby, co mi odpowiada. Rola wiejskiego dżentelmena potwornie mnie nuży. Anglicy chwalą się tym, że osiągnęli taki poziom życia, iż nie muszą pracować, ale ja wolałbym pracować, niż siedzieć i rozmawiać o pogodzie czy plonach - powiedział z pewną niechęcią. - Nie ma tutaj żadnych rozrywek, niczego, co mogłoby mnie zainteresować. Czuję się jak uwięziony w klatce ptak.

Phoebe nie mogła się powstrzymać przed śmiechem. Wyglądał na zaskoczonego, co jeszcze bardziej ją rozbawiło.

**\*(franc.) wyszukany, wykwintny, rzadki (przyp. red.).**

- O co chodzi? - spytał.

- Przepraszam, *sir*, ale nie wierzę, że ktoś naprawdę chciałby pracować z własnej woli - odparła i znowu się zaśmiała. - Jeśli uważa pan, że życie wiejskiego wicehrabiego jest męczące, powinien spróbować wstawać o świcie i pracować aż do zachodu słońca.

Tym razem to Will się roześmiał.

- Widziałem, jak pracuje pani ze swoim szkicownikiem o świcie, *madame*. Nie jest to męczące zajęcie.

- Ale ja jestem zmęczona! Proszę spojrzeć na moje palce!

Wziął jej rękę w swoją i uważnie się jej przyjrzał.

- Ten maleńki odcisk to ryzyko zawodowe.

- Ale nigdy nie miałam odcisków, dopóki nie... - Zamilkła, zanim zdążyła powiedzieć coś, co mogłoby ją zdradzić.

Jednak nie była wystarczająco szybka.

- Dopóki co? - spytał, zerkając na nią z zaciekawieniem.

- Dopóki nie zmusił mnie pan, żebym pracowała tyle godzin dziennie - odparła niefrasobliwie. - Jeśli uważa pan, że pańskie życie tutaj jest nużące, dlaczego nie zamieszka pan w Londynie? Jestem pewna, że tam znalazłby pan mnóstwo atrakcji, które zaspokoilyby pańską naturę poszukiwacza przygód.

- To niemożliwe z powodu choroby mojego ojca. Dopóki nie wydam sióstr za mąż, nie dopilnuję, żeby bracia znaleźli porządny zawód, i sam się nie ożenię oraz nie spłodzę dziedzica, moim obowiązkiem jest mieszkać w Wentworth Hall.

Uśmiechnął się cierpko, i nie patrząc Phoebe w oczy, nałożył sobie jedzenie na talerz.

- A co z panią? Czy w pani życiu były jakieś przygody? Jej serce zaczęło bić trochę szybciej; nieznacznie

wzruszyła ramionami.

- Moje życie było dość nudne. Dorastałam w podobnych warunkach jak większość dziewcząt, wyszłam

za mąż, owdowiałam. A teraz jestem stylistką. Raczej mało tu przygód.

- Ale wyszła pani za mąż za Francuza - rzekł. - Nauczyła się pani zawodu we Francji, prawda? Proszę mi opowiedzieć o swoim życiu tam.

- Nie ma o czym opowiadać - stwierdziła. Prychnął.

- Bzdura. Jestem pewien, że taka urodziwa kobieta jak pani miała mnóstwo okazji do różnych doświadczeń. Czy miłość nie jest przygodą?

- Miłość?

Roześmiał się, widząc jej zaskoczenie.

- Uznałem, biorąc pod uwagę pani dość płomienną przemowę na temat zalet miłości, że uważa ją pani za wielką przygodę.

- Cóż... chyba tak - odparła enigmatycznie. Włożył do ust kawałek kurczaka i przeżuwał go, nie odrywając od niej wzroku.

- Jak zmarł, jeśli mogę spytać?

- Kto? - spytała.

- Pani mąż, *madame*.

- Z powodu gorączki - odparła natychmiast, i wyobraziła sobie, że gdyby naprawdę istniał, mógłby odczuwać podobny rodzaj gorączki, jaki ona odczuwała w tej chwili, siedząc w tym odludnym miejscu z mężczyzną, który sprawiał, że jej serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Potrząsnęła głową i spojrzała na swój talerz, jakby mówienie sprawiało jej ból.

- Proszę mi wybaczyć. Widać, że wciąż go pani opłakuje. Phoebe nie odpowiedziała, tylko odwróciła wzrok

i spojrzała w mrok, przypominając sobie wszystkie momenty, w których opowiadała zmyślane historie o zmarłym mężu.

- Dlaczego tak długo pan nie wracał? - spytała, mając nadzieję, że tym razem uda jej się zmienić temat na dobre.

- Wie pani, jak długo mnie nie było? - spytał, dotykając jej kolana, co sprawiło, że spojrzała na niego. Potaknęła.

- Pani Turner mi powiedziała.

- Więc pewnie powiedziała także, że nie było mnie zbyt długo. - Jakby nigdy nic pogłaskał ją po włosach.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Mój ojciec mnie potrzebował, a mnie przy nim zabrakło.

- Więc... dlaczego tak długo pan nie wracał? - powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc jego odpowiedzi.

- Mam pani pokazać dlaczego? - spytał, przesuwając palcami od jej dłoni przez nagie ramię.

- Tak - odparła. - Proszę.

Przyglądał jej się przez chwilę. Bez słowa podniósł się, sięgnął po coś za jej plecami i spod poduchy wyciągnął oprawioną w zniszczoną skórę książkę. Usiadł, trzymał ją przez chwilę na kolanach, przyglądając się wytartej okładce.

- Chciałem to pani pokazać, bo spodobał się pani mój tatuaż - powiedział, zerkając na swój nadgarstek. Podał jej książkę.

Phoebe nie wiedziała, czego się spodziewać. Otworzyła tom na pierwszej stronie.

*12 czerwca 1816*

*Dziś rano wyruszyłem na pokładzie klipera do Francji. Wypłynęliśmy w czasie ulewnego deszczu, ale mając pasat za plecami...*

Obok wpisu znajdował się niesamowicie szczegółowy rysunek statku wykonany tuszem. Był to jego dziennik podróży. Poczula dreszcz podniecenia i z entuzjazmem przewracała kartki, czytając wpisy wyrywkowo i przyglądając się jego rysunkom. Pisał niemal codziennie przez sześć lat, między kolejnymi wpisami zamieszczał szkice.

*...przystawiwszy mi pistolet do głowy, ten przeklęty łotr przepędził mnie z drogi i pozbawił konia...*

Obok wpisu było wyobrażenie przeklętego łotra, jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost, a oczy były tak wyraziste, że Phoebe miała wrażenie, jakby patrzył wprost na nią.

*...domy zamienione w popioły. W tym ogólnym obrazie zniszczenia w zamkniętej zagrodzie znajdowało się bydło...*

Bydło za drewnianym ogrodzeniem.

*...gościnność Raja, z której słynie w całych Indiach. ..*

Mężczyzna z zadowolonym obliczem, bezzębnym uśmiechem i bystrym wzrokiem miał na głowie duży, wysoki kapelusz.

*...tubylcy piją mieszankę koziego mleka i anyżu, po której czułem się cokolwiek odrętwiały.*

*Okazywano mi wielką uwagę i dzielono się ubogim posiłkiem. ..*

Rysunek małej, dziwnie wyglądającej chaty, przed którą stała sześćoosobowa rodzina.

Kiedy dotarła do ostatniego wpisu, odkryła, że na kolejnych stronach znajduje się całe mnóstwo rysunków. Niektóre przedstawiały krajobrazy, inne ludzi, których spotkał. Jednak najbardziej zaintrygowały ją wizerunki kobiet mniej lub bardziej odzianych, w sugestywnych pozach.

Uświadomiła sobie, że były to erotyczne rysunki niewiast, które znał.

- Ojej - odezwała się i spojrzała na niego. - To... to jest niesamowite.

- Nie uraziłem pani?

Uraził? Była pobudzona. Przesunęła dłonią po rysunku przedstawiającym piękną młodą kobietę. Pozowała Willowi nago. Przyciemnił jej skórę węglem. Leżała na boku z nogą ugiętą w kolanie. Głowę opierała na jednej ręce, podczas gdy druga spoczywała na jej piersiach.

Phoebe nie czuła się urażona, ależ skąd.

Mogła sobie wyobrazić, jak rysował tę kobietę. Mogła sobie wyobrazić, jakby rysował ją.

- Nie uraził pan - powiedziała cicho. - Jestem zauroczona.

- Nie są tak dobre, jak pani szkice - odezwał się, przyglądając się rysunkowi w książce.

- Nie, nie ma pan racji. Są lepsze - odparła i uśmiechnęła się do niego. - Te rysunki opowiadają jakąś historię.

Will uśmiechnął się krzywo i wziął jej dłoń w swoją, odwracając ją wnętrzem do góry. Pocałował ją.

- Dziękuję.

- Dziękuję mi pan? - spytała, gdy czubkiem języka dotknął jej skóry.

Każdy dotyk sprawiał, że była coraz bliższa tego, by ulec swemu pragnieniu.

- Nigdy nikomu ich nie pokazywałem. Poza Addiso-nem.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Jego oczy były ciemne i niezgłębione. Phoebe staczała się po równi pochyłej prosto w kłopoty. Zapadł zmrok. Przyglądała się, jak ogień wypełnia złocistym światłem oczy Summerfielda. Jeszcze bardziej go zapragnęła, a pożądanie wypełniło każdą cząstkę jej ciała i pozbawiło ją możliwości swobodnego oddychania.

Jakby oddychała pod wodą.

- Dziękuję, że mi je pan pokazał - powiedziała i zamknęła książkę, przyciskając ją do piersi. - Są piękne.



Nie odezwał się, tylko w milczeniu przyglądał się jej twarzy, szyi, piersiom, a światło w jego oczach nabrało ciemnego blasku.

- To niesamowite, że można wędrować po całym świecie, a to, co najpiękniejsze, znaleźć w domu - rzekł i pocałował wewnętrzną stronę jej nadgarstka. - Niesamowicie piękne - szepnął i złożył pocałunek w zgięciu łokcia. - Skarb odkryty pod moim dachem.

Oddech Phoebe stał się płytki; mocno przyciskała jego pamiętnik do piersi.

Will przysunął się i otoczył ją ramieniem w talii.

- I pomyśleć, że przemierzyłem świat wzdłuż i wszerz, a ty jesteś tutaj - powiedział, kładąc ją na plecach. Pocałował Phoebe w szyję, przesunął dłonią po jej żebrach i zatrzymał się na piersi, uciskając ją i masując.

Jej ciało zaczęło się poddawać. Zamknęła oczy, pozwalając sobie czerpać przyjemność z jego pieszczot, i przez nieuwagę upuściła pamiętnik. Znowu rozpalala ją gorączka, ale tym razem była bardziej intensywna.

- To przeznaczenie przywiodło mnie do pracy w twoim domu - wyszeptała.

Tak, to było przeznaczenie - mężczyzna, który mógł pozbawić ją dziewictwa i pokazać jej, jak kochać, jak żyć i korzystać z życia.

Jednak Summerfield nie skorzystał z okazji. Głośno przełknął ślinę i gwałtownie się podniósł do pozycji siedzącej.

## Rozdział dziewiętnasty

Żałował, że nie ma jakiegoś sznurka lub czegoś innego, co powstrzymałoby jego ręce przed dotykaniem jej. Szaleńczo pożądał Phoebe, jednak równie mocno ją szanował, a kiedy przypomniała mu, że jest jego pracownicą, dotarło do niego, że zachowuje się jak drań. Nie był lepszy od pana Hughesa. Przeczesał palcami włosy, chcąc oderwać myśli od spalającego go pragnienia. Wyciągnął zza koszuli skarabeusza, gniewnie zerwał go z szyi i rzucił na ziemię.

Phoebe wstała, podniosła talizman i uważnie mu się przyjrzała.

- Wybacz mi, Phoebe - powiedział Summerfield. - Zawiodłem cię.

-Nie, ja...

- Nie zaprzeczaj. Moje zamiary nie były uczciwe - wyznał szczerze, choć wiedział, że nawet w tej chwili oddałby cały Wentworth Hall, byle tylko móc posmakować jej ust, znaleźć się w niej. - Jesteś bardzo piękna, Phoebe i... gdybym tylko mógł, całkowicie splamiłbym twój honor.

- Całkowicie? - powtórzyła cicho, a on z zaskoczeniem wyczuł w jej głosie jednocześnie nadzieję i żal. Pochylił się nagle i ujął jej twarz w dłonie.

- Nie mogę zaprzeczyć, że walczyłem ze swoim poczuciem obowiązku i prawdziwymi uczuciami. Uważam, że jesteś... - Niech Bóg ma go w swojej opiece, ale uważał,

że była oszalamiająca - ...niesamowicie piękna. I inteligentna, i błyskotliwa, i niezmiernie utalentowana. I pomyślałem, że skoro oboje jesteśmy dorośli i nadarza się okazja - i jak mi się zdawało, wzajemnie się pragniemy

- to możemy dać sobie trochę przyjemności. Jednak nie pomyślałem o konsekwencjach. Źle się zachowałem, wybacz mi.

Phoebe zamrugła. Will zmarszczył brwi, czując się jeszcze podlej. Nie bardzo wiedział, co chciał od niej usłyszeć. Jaki diabeł skłonił go do tego, żeby zaproponować coś tak nikczemnego tej cudownej kobiecie?

Chwycił jej dłoń i przycisnął mocniej do serca, które nagle zaczęło bić jak szalone. Drugą ręką ujął jej twarz, pożerając ją wzrokiem, nagle przerażony, że mógłby ją utracić.

Nadal oboje siedzieli na poduszkach. Phoebe pochyliła się powoli i dotknęła ustami jego warg, i oboje znów upadli na poduszki. Will chwycił ją w ramiona - wydała mu się lekka jak piórko.

Od dość dawna nie całował kobiety w ten sposób

- a przynajmniej nie tak namiętnie, nie z takim żarem rozpalającym jego lędźwie. Teraz oboje leżeli na boku. Gładził ją po twarzy i włosach, całując.

Phoebe jęknęła z rozkoszy, burząc mu krew w żyłach. Miotają nim przeróżne uczucia. Uniósł głowę, spojrzał na jej twarz oświetloną miękkim blaskiem świateł. Miała promienną skórę - cała była promienna - w jej oczach malowało się bezbrzeżne pragnienie. Oddychała szybko, przez co jej piersi gwałtownie falowały.

- Dobry Boże - szepnął i pochylił głowę, żeby ucałować skórę na jej dekolcie. Wsunął palce za jej suknię, wyczuwając opuszkami nabrzmiały sutek. Phoebe wygięła się ku niemu, a jemu fala pożądania niemal rozsadziła spodnie.

- Nie mogę ci się oprzeć - wyszeptał. - Nie mogę cię nie dotykać, kiedy jesteś blisko mnie. - Szaleńczo całował jej szyję, usta, potem wrócił do piersi.

Phoebe jęknęła i zacisnęła dłonie na jego ramionach. Chwycił dół jej sukni, podciągnął do góry i objął dłonią jej kostkę.

Przesuwał palce wzdłuż jej nogi do miejsca, gdzie kończyły się pończochy, i dotknął gołej skóry.

Phoebe sapnęła podniecona; otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego. Powinien przestać, chciał przestać, ale jej ciało było zbyt kuszące, zbyt miękkie, ciepłe i delikatne.

- Sir...

- Will - odparł bez tchu, nagle pragnąc usłyszeć swoje imię w jej ustach. - Mów do mnie: Will.

Phoebe uniosła się, ujęła jego twarz w dłonie.

- Will. - Gdy jej dłonie gładziły jego skronie, ramiona, szyję, on pieścił wewnątrz jej ud, powoli przesuwając dłoń coraz wyżej. Jęczała cichutko, jakby każde muśnięcie jego palców ją parzyło.

Rozchyliła usta, zamknęła oczy i zacisnęła dłonie na jego ramionach.

Will wsunął palce pod jej majtki i musnął włoski, które skrywały jej płeć. Krzyknęła w jego usta, gdy zaczął ją tam pieścić.

Teraz to Will jęknął, odnajdując przyjemność w dawaniu jej rozkoszy. Masował ją coraz szybciej, po czym wsunął palec w jej wilgotną kobiecość. Łapczywie łapała powietrze; mocniej zacisnęła palce na jego ramionach.

- Och, Boże - wyszeptała. - Nie powinnam, powinnam... dobry Boże...

Szybko osiągnęła orgazm tak silny, że Will czuł jego pulsowanie w całym swoim ciele. Załkała z rozkoszy, wtulając się w niego.

Kiedy w końcu otworzyła oczy, spojrzała na niego z takim zachwytem i spełnieniem, że Will poczuł nieznane dotąd ukłucie w sercu. Uznał, że mógłby umrzeć jako bardzo szczęśliwy człowiek, mogąc codziennie dawać jej taką rozkosz. Jego ciało płonęło pożądaniem, serce waliło jak oszalałe, ale czuł się niesamowicie - i dziwnie - usatysfakcjonowany tym, że ona doświadczyła rozkoszy.

- Will - szepnęła zdumiona.

Przytulił ją do siebie, pocałował w czoło i opadł na poduszki, a Phoebe wtuliła się w niego.

Przez chwilę tak leżeli, wpatrując się w powoli przygasający ogień. Rozmawiali o dziwnych rzeczach, o swoich marzeniach, nadziejach i przyjemnościach. O Egipcie, Indiach i Grecji.

Jednak kiedy księżyc wzeszedł, a większość świec wypaliła się, pora była najwyższa wracać do dworu. Zgasił dwie ostatnie pochodnie i obejmując ją w pasie, poprowadził z powrotem do łodzi, mocno ściskając w dłoni swój pamiętnik.

Przeprawa przez jezioro upłynęła w ciszy; Phoebe zwróciła twarz ku rozgwieżdżonemu niebu, przy-  
mknąwszy oczy, sycąc się wilgotnym, ciepłym, wieczornym powietrzem. Słysząc było jedynie plusk i skrzypienie wiosła.

Kiedy wrócili na brzeg i dotarli do altany, Will się zatrzymał. Tutaj mieli się rozdzielić, tutaj każde z nich miało wrócić do swojej roli pana i służącej. Spojrzał na Phoebe. W świetle księżyca kryształowe spinki w jej włosach wyglądały jak małe gwiazdy. Wziął ją w ramiona, jeszcze raz pocałował.

Uśmiech Phoebe zgasł; zaczęła odsuwać się od niego, aż w końcu dotykali się już tylko koniuszkami palców.

- Dziękuję - powiedziała. - To było... - Spojrzała na niego i westchnęła z uśmiechem. - To było magiczne.

Jej słowa przepłynęły go szczęściem i satysfakcją.

Phoebe uniosła się na palcach, pocałowała go w usta i wciąż się uśmiechając, szybko ruszyła w stronę domu.

Summerfield stał bez ruchu, patrząc za nią. Za kobietą w niebieskiej sukni wyglądającą jak duch. To było magiczne.

Co się z nim stało? I jak to się stało, że w ogóle dotarł na skraj tej przepaści, z której spadł?

To pytanie go prześladowało, gdy leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Wyobrażał sobie Phoebe w drugim końcu domu, w jej małym łóżku obok pracowni. Wyobrażał ją sobie w najbardziej intymny sposób, z nim, nagą, dosiadającą go. Ten obraz, wspomnienie cudownych chwil spędzonych na wyspie i świadomość, że była jego służącą, którą miał chronić, sprawiła, że przez całą noc nie zmrużył oka.

Wciąż o niej myślał, kiedy rano Farley go poinformował, że przybyło z wizytą trzech dżentelmenów.

- Dzierżawcy?

- Nie, jasnie panie - odparł Farley. - Przyjechali z Greenhill.

Will poczuł ucisk w żołądku. Intuicja podpowiadała mu, że miało to coś wspólnego z Joshuą.

Okazało się, że intuicja go nie zawiodła. Trzej mężczyźni byli handlarzami koni i dobili targu z Joshuą co do konia, którego nie był właścicielem. Zwierzę należało do jego ojca. A jednak Joshuą pozwolił im wierzyć, że to on, i tylko on, ma prawo własności.

Jak zwykle Will obiecał, że zapłaci za nieodpowiedzialne i kłamliwe zachowanie brata. Odprowadził mężczyzn na podjazd i stojąc w pełnym słońcu, obiecał:

- Możecie być pewni, panowie, że wszystko zostanie należycie załatwione. Nie zniosę nawet najmniejszej nieuczciwości czy oszustwa. Ktoś, kto oszukuje, traci mój szacunek i poparcie na zawsze.

- Dziękuję, *sir* - odezwał się pan Broadwick, ten, który mówił w imieniu całej trójki. Wyciągnął rękę na zgodę. - Ufam, że odzyska pan pieniądze, które wyłożyliśmy w dobrej wierze, i wszystko pan naprawi.

- Może być pan tego pewny - odparł Will przez zaciśnięte zęby.

Przyszło mu do głowy, że powinien zmusić Joshuę do poniesienia konsekwencji - niechby trafił do więzie-

nia, skoro na to zasługiwał. Jednak myśl o ojcu skutecznie go powstrzymała te zamiary. Począł, aż mężczyźni wsiądą na konie i odjadą z Wentworth Hall, i dopiero wtedy odwrócił się i wszedł do domu, zamierzając najpierw spotkać się z ojcem, a potem udusić Joshuę. Nie zauważył otwartego okna powyżej ani Phoebe siedzącej na parapecie, ze skarabeuszem w zaciśniętej dłoni. Wczoraj go wyrzucił, a ona go podniosła i nosiła teraz w kieszeni.

#### Rozdział dwudziesty

Caroline Fitzherbert na popołudniową herbatę ubrała się w nową suknię, którą zamówiła u miejscowej krawcowej i którą kazała ozdobić haftem w taki sam sposób, w jaki ozdobiony był skraj i rękawy sukni madame Dupree.

Krawcowa spisała się nieźle, jednak Caroline nie była zadowolona. Wiedziała, że z niczego nie będzie do końca zadowolona, dopóki nie zostanie hrabiną Bedford i nie zacznie rozkazywać londyńskiej krawcowej, którą tak cenil lord Summerfield.

Miała pewność, że było to tylko kwestią czasu. Summerfield sprawiał wrażenie, że jest nią zainteresowany, a jej matka słyszała we wsi, iż wspominał komuś, że zamierza się ożenić jeszcze przed końcem roku.

Caroline spojrzała w lustro i uśmiechnęła się do siebie. Będzie łaskawą i hojną hrabiną. Nie poczuje się zaskoczona, jeśli Summerfield oświadczy się podczas przyjęcia, które planował na ostatnie dwa tygodnie miesiąca. Wiejskie kmiotki uwielbiają takie wydarzenia.

Później, kiedy lokaj poinformował ją, że z wizytą przybył pan Darby, pomyślała, że to dziwne: dlaczego lokaj mówi o wicehrabim, używając jego nazwiska, ale uznała, że wicehrabia pomylił dni.

Miał przyjechać jutro, i uznała jego pomyłkę za oznakę zaangażowania.

Jednak to nie William Darby ją odwiedził, lecz jego brat, Joshua.

Młodszy Darby wszedł do salonu z dłońmi splecionymi za plecami i tajemniczym uśmiechem na ustach. Był równie wysoki jak brat, ale nie tak barczysty. Jego ciemnobrązowe oczy wydawały się znacznie ciemniejsze niż oczy Summerfielda. Miał na sobie ciemny surdut i kamizelkę w paski, która go bardzo wyszczuplała. Caroline ze zdziwieniem pomyślała, że wyglądał znacznie bardziej cywilizowanie niż Will, co było dziwne, zważywszy na jego reputację.

Ta wizyta ją zaskoczyła, tym bardziej że nie wiedziała, co było jej powodem.

- Panie Darby - odezwała się niepewnie. - Jak... jak miło, że pan nas odwiedził.

Nie odezwał się słowem, tylko skinął głową, po czym wyciągnął z za pleców rękę, w której trzymał jedną różę. Caroline spojrzała na kwiat, a potem na niego.

- Nie rozumiem.

- Naprawdę? - spytał głębokim, aksamitnym głosem. - Sądzę, że są tylko dwa wytłumaczenia tego, iż mężczyzna przynosi pięknej kobiecie jedną czerwoną różę.

- Och? A jakie? - spytała podejrzliwie Caroline.

- Jeden to taki, że chce złożyć kondolencje. Caroline uniosła brew.

- Chce mi pan złożyć kondolencje, *sir*?

- Oczywiście, że nie.

- Jaki więc jest drugi powód?

- Ze ten dżentelmen bardzo podziwia tę damę.

- Proszę o wybaczenie, *sir*, ale zaszło chyba jakieś nieporozumienie. Jestem adorowana przez pańskiego brata, wicehrabiego.

Joshua Darby uśmiechnął się diabolicznie.

- Zapewniam panią, panno Fitzherbert, że nie ma żadnego nieporozumienia. Teraz może pani uznać, że adoruje panią dwóch mężczyzn z rodziny Darbów.

Jego zachowanie było szokujące, a jednak dziwnie fascynujące. Caroline przekrzywiła głowę, taksując go



wzrokiem. Był przystojny, jednak pozostawała kwestia jego reputacji. Poza tym nigdy nie zostanie hrabią, chyba że wydarzy się jakaś rodzinna tragedia.

Uśmiechnął się do niej i Caroline trochę zaskoczyła reakcją własnego ciała. Niemniej wybrała już drogę i nie zamierzała z niej zbaczać.

- Obawiam się, panie Darby, że pan się pomylił - odezwała się chłodno. - Nic schlebia mi bycie adorowaną przez dwóch braci. Nie mogę pana przyjąć, ponieważ mam porozumienie z lordem Summerfieldem.

Roześmiał się i zrobił krok do przodu, zatrzymując się tuż przed nią i dotykając różą czubka jej nosa.

- Niech pani nie będzie tego taka pewna - powiedział i znowu się uśmiechnął.

\* \* \*

Nie mając odpowiedniej liczby paciorków do sukni Alice, Phoebe musiała tego ranka udać się w towarzystwie Friedy do Greenhill. Kiedy wróciła do Wentworth Hall, założyła fartuch, po czym wsypała koraliki do jednego z pudełek na przybory krawieckie, które teraz trzymała w swojej sypialni, ponieważ suknie i druciane formy zajmowały całą przestrzeń w pracowni.

Zatrzymała się na chwilę i ponownie spojrzała na dziwny talizman z kamienia, który Will ściągnął z szyi i wyrzucił. Kamień był zielony, płaski, prostokątny i wypolerowany na wysoki połysk. Na jego powierzchni wycięto kilka małych figurek. Były dziwne, tajemnicze... tak samo jak Summerfield.

Kiedy wróciła do pracowni, uświadomiła sobie, że coś się zmieniło. Albo było nie na miejscu. Jednak kiedy spojrzała na suknie w różnym stadium przygotowania, bele materiału w rogu pomieszczenia, koszyki z igłami, nożyczkami i wstążkami porzucanymi po podłodze, nie mogła ruszyć palcem.

I wtedy to dostrzegła - manekin, na którym znajdowała się suknia balowa Jane, był pusty. Phoebe gwałtownie złapała powietrze; - suknia nie była jeszcze skończona, w kilku miejscach wciąż miała fastrygi, a w innych brakowało jej odpowiednich ozdób - po co ktoś miałby ją zabierać?

- Och, nie - jęknęła. - Och nie, nie, nie! Nie odważyłaby się!

Jednak najwyraźniej się odważyła.

Wybiegła z pracowni i skierowała się do pokoju Jane we wschodnim skrzydle, a kiedy dotarła na miejsce, głośno zapukała do drzwi.

- Lady Jane! Proszę otworzyć!

Nikt nie odpowiedział. Phoebe znowu głośno zapukała. Jedna z pokojówek wystawiła głowę z pokoju na końcu korytarza.

- W czym problem? - spytała ze złością.

- Lady Jane - odparła zasapana Phoebe. - Widziałas ją?

- W sali balowej z nauczycielem tańca.

Phoebe obróciła się na pięcie i zbiegła głównymi schodami na dół.

Nie miała pojęcia, gdzie znajdowała się sala balowa, więc zatrzymywała się i pukała do każdych drzwi, zmierzając do końca korytarza.

I wtedy usłyszała muzykę. Ruszyła w tamtą stronę. Przed drzwiami usłyszała nie tylko dźwięki pianina, ale także dziewczęcy chichot. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do pokoju.

Była tam Jane w sukni, której Phoebe jeszcze nie skończyła, i Alice, przy oknie, z zagniewaną miną.

Nauczyciel tańca, wysoki, chudy mężczyzna z kościstym nosem, spojrzał na Phoebe w taki sposób, jakby się spodziewał, że młoda kobieta za chwilę oznajmi, iż właśnie zawałiło się niebo.

Przy pianinie siedziało jakieś dziewczę.

- Co pani tutaj robi? - spytała ostro Alice, gdy Phoebe wkroczyła do pokoju. - Nie powinna pani zajmować się szyciem?

- Prawdę mówiąc, powinnam... - odparła zdyszana Phoebe, rzucając Jane groźne spojrzenie - ...szyć tę suknię. Jeszcze nie jest skończona, lady Jane. Musisz ją natychmiast zdjąć.

- Mówiłam ci, że tak nie wolno - odezwała się tryumfalnie Alice. - Oddaj suknię, nim madame Dupree dostanie apopleksji.

Jane, co nie było zaskoczeniem, odmówiła.

- Później ją oddam, ale chcę zobaczyć, jak suknia wygląda, gdy tańczę - powiedziała i wyciągnęła rękę do nauczyciela.

- Zdejmij ją, Jane - powtórzyła Phoebe.

- Nie będzie mi pani mówić, co mam robić - rzuciła ostro Jane.

- Lady Jane, proszę.

Nauczyciel tańca nerwowo zerkał to na Jane, to na Alice.

- Jeśli fastryga puści, będę miała dużo pracy, by to naprawić, a nie ma już na to czasu.

- Nic się nie stanie, jeśli ponoszę ją przez jedno popołudnie - odparła bez troski Jane, i jak rozpieszczone dziecko przerzuciła tren do przodu, a potem do tyłu.

Phoebe zmarszczyła brwi. Tren był zaledwie przyfa-strygowany.

- Jeśli jej nie zdejmiesz, powiem Willowi - zagroziła Alice.

- Nie obchodzi mnie to - odparła z rozdrażnieniem Jane. Alice natychmiast ruszyła do Jane, próbując chwycić

siostrę, ale ta bez trudu strząsnęła jej rękę.

- Lady Jane! - zawołała Phoebe. - Proszę uważać. Dziewczęta wybiegły z sali balowej, a za nimi Phoebe.

Słyszała, jak młoda kobieta przy pianinie krzyknęła ze zgrozy.

Jednak lata odpowiedniego wychowania zrobiły swoje i Phoebe nigdy nie pozwoliłaby sobie, by biegać jak chłopczyca, szła więc szybkim krokiem, patrząc, jak panny znikają w pokoju na końcu korytarza.

Gdy dotarła do drzwi, zaskoczyło ją, że w środku znajdowała się cała rodzina.

- Ojej - odezwała się pospiesznie. - Przepraszam bardzo - dodała, ze wzrokiem utkwionym w Willu.

Żar, który palił jej szyję, spowodowany był pogonią za Jane, była tego pewna.

- Madame Dupree - odezwał się spokojnie, jakby byli wyłącznie znajomymi i nigdy nie połączył ich nieprawdopodobnie intymny wieczór na magicznej wyspie.

- Ja... - Spojrzała na Jane, która rzuciła jej pełne lekceważenia spojrzenie. Roger, rozparty na krześle, uśmiechał się z wyższością. Alice stała przy drzwiach, mocno zacisnąwszy usta, a Joshua ponuro patrzył na Willa. - Przepraszam. Proszę wybaczyć moje najście - powiedziała, nie rozglądając się. - Chciałam tylko porozmawiać z Jane, zanim zaczniesz lekcję tańca.

Jane prychnęła i zaczęła bezmyślnie skubać rękaw.

- Niepotrzebne mi lekcje. Po prostu tańczyłam. To Alice jest niezgrabna.

- Will! - zawołała Alice.

- Jane, proszę - odparł ze znużeniem Summerfield.

- To jej suknia - wyjaśniła szybko Phoebe, uświadamiając sobie w tej chwili, że miała na sobie fartuch z powbijanymi w materiał szpilkami. - Jeszcze nie jest skończona, zaledwie sfastrygowana. Zabrała suknię z manekina, a ja naprawdę muszę ją skończyć.

- Na Boga, proszę nawet tak nie mówić - odezwał się Roger.

- Cicho, Roger! - zawołała Jane.

- Bo co? Poprosisz mnie do tańca?

- Dostyc tego! - odezwał się ostro Will i rzucił groźne spojrzenie najmłodszej siostrze. - Czy to prawda? Zabrałaś suknię, chociaż nie jest jeszcze gotowa?

- To moja suknia.

- Idź na górę i zdejmij ją - warknął.

- A nie mówiłam - rzuciła złośliwie Alice.

- Alice, nie potrzebuję twojej pomocy - syknął.

Nie, pomyślała Phoebe, potrzebował pomocy kuratora i szeryfa.

- Oto i potężny wicehrabia zajmujący się ważnymi sprawami dotyczącymi posiadłości, jak na przykład, kto powinien nosić suknię - odezwał się ironicznie Joshua.

Ich brak manier i sposób, w jaki się do siebie odnosili, były zaskakujące. Phoebe nie mogła się powstrzymać przed zdumieniem i zarazem zażenowaniem.

- Jane - jeszcze ostrzej odezwał się Will. - Natychmiast idź i zmień suknię. I proszę nic nie brać z pracowni, chyba że madame Dupree ci na to pozwoli.

- Mam słuchać rozkazów służącej? - Jane prychnęła i wyszła z pokoju, potrącając przy wyjściu Phoebe. Joshua zarechotał.

- Proszę, madame Dupree. Mój brat właśnie zrobił to, co dotychczas nie udało się parlamentowi. Dał pani, kobiecie pracującej, pewne prawa. Na pewno jest pani szczęśliwa.

Rzeczywiście była; zerknęła na Willa.

- Dziękuję.

- Proszę - odparł krótko. - Jeśli to wszystko, może pani odejść.

Zdawkowe odprawienie zaskoczyło ją. Dygnęła nieporadnie i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Jednak kiedy znalazła się sama w korytarzu, zatrzymała się, oparła jedną rękę o ścianę, a drugą przycisnęła do brzucha.

Bez względu na to, co wydarzyło się między nimi zeszłej nocy i co czuła, sytuacja była dość jasna - dla niego jest le-

dwie potajemną miłostką, kimś, z kim można spędzić czas do ślubu. W pewnym sensie przystała na taki układ.

Nie dawało jej to poczucia wyzwolenia.

Wydawało jej się, że rozumie znaczenie swojego postępowania - słów, których użyła w swoim liście, spojrzeń, uwodzenia. Jednak nie zdawała sobie sprawy, jak poważne były tego konsekwencje.

Miała wrażenie, że serce jej pęka.

W pracowni odzyskała suknię balową. Jane szybko się przebrała, nie odzywając się do madame Dupree, a kiedy skończyła, natychmiast wyszła.

Phoebe właśnie naciągnęła suknię na druciany manekin, gdy w otwartych drzwiach stanęła Frieda, a przeciąg wzbił w powietrze kawałki materiału leżące na stole. Phoebe i Frieda rzuciły się, żeby złapać jak najwięcej kawałków, nim spadną na podłogę.

- Och, jest tak strasznie gorąco! - poskarżyła się Frieda, odkładając materiał na stół. - Co ja bym dała za odrobinę deszczu, który choć trochę ochłodziłby powietrze.

Kolejny silny podmuch zakotłosał manekinem, ale Frieda go chwyciła, podczas gdy Phoebe pobiegła zamknąć okno. Przypomniała sobie, że tego ranka widziała przez nie, jak Will zarzekał się przed drzwiami wejściowymi, iż nie będzie tolerować nieuczciwości ani kłamstwa.

To, a także chłodne przyjęcie w jego gabinecie, sprawiło, że czuła się wyjątkowo słaba. Była zbyt naiwna na takie gierki, niewprawiona w sztuce oszukiwania czy uwodzenia. A jednak nie mogła przestać myśleć o minionej nocy. O świecach, winie i jego książce, drogocennym pamiątniku z życia za granicą, którym chciał się z nią podzielić. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak jego dłonie i usta wędrowały po jej ciele.

Pragnęła więcej. Jakkolwiek było to nierozsądne czy wręcz szalone, pragnęła więcej.

- Ma pani wypieki! - oznajmiła Frieda, zmarszczywszy brwi. - Chyba ten upał pani nie służy.

- Nie, to nie upał - odparła Phoebe z bladym uśmiechem. - Nie najlepiej się czuję.

- Chyba nie jest pani w ciąży?

Phoebe zachnęła się i z przerażeniem spojrzała na Friedę, która roześmiała się rozbawiona.

- To tylko żart! Cóż, to raczej mało prawdopodobne bez numerka czy dwóch. Tak - powiedziała, radośnie potrząsając głową - pracowała pani ciężiej i dłużej nawet od samego jaśnie pana, to wiem na pewno. Teraz to chyba ja muszę zacząć się martwić.

- C-co? - wykrzyknęła Phoebe. - Frieda, czy ty...?

- Nie, nie - odparła Frieda, od niechcienia machając ręką, i się roześmiała. - Oczywiście, że nie. Nie jestem rozpustnicą - dodała, zagadkowo marszcząc brwi. Jednak jej uśmiech przygasł i zerknęła na Phoebe. - Spóźniam się zaledwie dwa dni.

Phoebe dostrzegła zmartwienie w brązowych oczach Friedy i natychmiast odłożyła kawałki materiałów, które trzymała w dłoniach. Podeszła do dziewczyny, obejmując ją mocno.

- No już, proszę się nie martwić - powiedziała Frieda, poklepując rękę Phoebe. - Nie ma czym. Jestem tego pewna. Byłam bardzo ostrożna, naprawdę. Włożyłam do środka gąbkę nasączoną octem.

Był to powszechny sposób zapobiegania ciąży, z którego korzystało wiele kobiet. Ale Frieda nie wydawała się zbyt pewna, a prawdę mówiąc, czuła się całkowicie niepewna. Znowu poklepała Phoebe po dłoni, po czym wyprostowała się, zmuszając ją do zabrania ramienia, i pochyliła się nad kawałkiem materiału, który miała obszyć perełkami.

- Nic mi nie jest, naprawdę.

- Friedo...

- Potrzebujemy więcej nici, prawda? - powiedziała Frieda. Nagle wstała i poszła do sypialni, żeby pogrzebać w stojących tam pudełkach.

Phoebe usiadła i wzięła się do roboty, chociaż jej myśli zaprzętało coś innego. Była bliska tego, by oddać się Willowi zeszłej nocy. Jak łatwo by jej to przyszło.

Pracowała jeszcze długo po wyjściu Friedy, robiąc idealny szew przytwierdzający tren do sukni Jane, podczas gdy w jej głowie kłębiło się wiele myśli i emocji. Gdy słońce zaczęło zachodzić, przerwała, by zapalić dwie świece. Pudełko na hubkę i krzesiwo znajdowało się jednak w sypialni, i kiedy po nie poszła, usłyszała przez przewody kominowe przytłumione głosy.

Gdy zapadła noc, była tak zajęta, że nie usłyszała, iż ktoś wszedł do pracowni.

- Farley! - wykrzyknęła, gdy to zauważyła.

- Brakowało nam pani podczas kolacji, madame Du-pree.

- Dziękuję, że znowu przysłał pan tacę. Ale ponieważ przyjęcie jest już za dwa dni, muszę pracować.

Mężczyzna skinął głową i rozejrzał się dokoła zmieszany.

- Niestety doszło do niewielkiej sprzeczki między lordem Summerfieldem i jego bratem Joshua. Jego lordowa matka prosi, żeby natychmiast pani przyszła do salonu ojca.

Jej serce zaczęło gwałtownie bić.

- Do salonu ojca? - spytała, starając się nie okazywać emocji.

- Na pierwszym piętrze, *madame*, w apartamentach hrabiego.

- Teraz? Dochodzi już ósma! - powiedziała, bezwiednie dotykając włosów.

- Proszę o wybaczenie, ale dokładne słowa jego lordowskiej matki brzmiały „tak szybko, jak tylko będzie mogła”.



Phoebe zamrugała.

Farley skrzywił się nieznacznie i zrobił krok w kierunku stołu. Pochylił się i szepnął:

- Jest jakiś kłopot z Joshua.

- Och. - Skinęła głową. - Zaraz tam przyjdę. Wstała, ściągając fartuch.

Kiedy Farley wyszedł, odwróciła się do lustra. Była zmęczona i rozczochrana. Kosmyki włosów wysunęły się z koka, który upięła na karku, a jej zwykła dzienna suknia była pomięta.

Spróbowała przygładzić rozczochrane włosy, ale bezskutecznie. Poszczypała się w policzki, żeby nabrały rumieńców, najlepiej jak mogła wygładziła suknię, wzięła amulet i wsunęła go do kieszeni, po czym sięgnęła po świecznik, żeby oświecać sobie drogę do hrabiowskich apartamentów.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Serce Willa podskoczyło, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Szybko wziął od Phoebe świecznik, odstawił go i wpuścił ją do salonu.

- Nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić, madame Dupree - powiedział, świadomy, że w tym domu ściany mają uszy. Nie mógł ryzykować i traktować jej inaczej niż jak służącą. - Mój brat potrzebuje pomocy - odezwał się cicho. - Joshua upił się w pubie w Greenhill, to raz, i istniało ryzyko, że zostanie postrzelony, to dwa. Najwyraźniej Joshua mówił rzeczy, których nie powinien mówić.

- Och - powiedziała zdezorientowana, podczas gdy Will prowadził ją do pokoi znajdujących się w głębi.

- Jacob, człowiek, który na co dzień zajmuje się moim ojcem, musiał pojechać do swojej starej matki. Jane i Alice są na kolacji u pastora, a Roger... - Potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia, gdzie jest Roger. Nie chcę pani niczego narzucać, ale naprawdę muszę prosić, byś zajęła się moim ojcem - powiedział.

- S-słucham?

- Chodźmy - powiedział i wskazał na sypialnię, w której jego ojciec siedział przy kominku.

Utkwiła szeroko otwarte oczy w starcu, uświadamiając sobie, czego Will od niej żąda.

- Och nie - szepnęła. - Nie można mi ufać...

- Ależ oczywiście, że można. Musi pani z nim tylko siedzieć i czytać mu na głos.

- Z pewnością pani Turner...

- Pani Turner ma swoją rodzinę - powiedział, biorąc pelerynę i zarzucając ją sobie na ramiona. - I prawdę powiedziawszy, Phoebe, jeśli poproszę o to kogoś innego, nie będę mieć pewności, że wieści o postępkach mojego brata się nie rozniosą. - Podeszedł do ojca i pochylił się nad nim. - Ojczy, pamiętasz madame Dupree, prawda?

Phoebe przyjrzała się staremu mężczyźnie, jakby spodziewając się po nim odpowiedzi, której oczywiście nie udzielił. Ale hrabia uniósł palec wskazujący.

- Nie może mówić. Ale jest świadomy naszej obecności i otoczenia.

Zawahała się, nim podeszła i położyła małą dłoń na ramieniu hrabiego.

- Miło znów pana spotkać, jaśnie panie - odezwała się, po czym dygnęła z gracją godną damy dworu, i serce Willa przestało na chwilę bić. Ta krawcowa traktowała go jak w pełni świadomego człowieka. I hrabiego.

Jej eleganckie powitanie kontrastowało z paskudną kłótnią na temat koni, jaką prowadził z Joshuą w tym samym pokoju zaledwie godzinę temu.

- Dlaczego miałbym ich nie sprzedać? - spytał Joshua. - Te konie są tak samo moje, jak twoje. Są częścią posiadłości i mam do nich takie samo prawo jak ty.

Willa zaskoczyło jego rozumowanie.

- One nie należą do żadnego z nas. Są własnością ojca. Nigdy nie zgodziłby się, żebyś je sprzedał, aby móc uprawiać hazard.

- Czyżby? - spytał zimno Joshua, po czym spojrzał na ojca. - Pytałeś go o to?

Jaki diabeł opętał jego brata? Uświadomił sobie, że mężczyzna, który stał przed nim tego popołudnia, nie był tym samym chłopcem, który kiedyś nie odstępował Willa na krok, zameczając go pytaniami o to, jak księżyc mo-

że być widoczny na niebie, kiedy świeci słońce, albo dokąd biegną króliki, gdy uciekają.

- Jak śmiesz hańbić dobre imię naszego ojca w taki sposób? - gniewnie rzucił Will.

Joshua prychnął lekceważąco.

- Nasz ojciec nie ma pojęcia o honorze ani o hańbie! To tylko cielesna powłoka człowieka, który kiedyś żył. Naprawdę wierzysz, że pozostało coś z jego rozumu? Wierzysz, że ta... ta istota poznaje kogokolwiek z nas?

- Tak - odparł ostro Will, wstrząśnięty słowami brata. - I dobrze rozumie, co teraz mówisz. Słyszysz cię i doskonale rozumie!

Przez ułamek sekundy Will dostrzegł ból malujący się na twarzy brata.

- Nie - odezwał się cicho Joshua, zdecydowanie potrząsając głową. - Pozostało z niego tylko ciało człowieka, którym kiedyś był.

Will czuł, że ta obelga rozchodzi się po ciele ojca jak lodowaty podmuch.

Nie przedłużał już spotkania, tylko w ostrych słowach ostrzegł brata, że jeśli nie zacznie zachowywać się jak przystało na dżentelmena i lojalnego syna, będzie miał do czynienia z prawnikiem rodziny, ponieważ Will zamierzał za wszelką cenę chronić posiadłość hrabiego.

Joshua także zagroził Willowi, po czym wyszedł z pokoju.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Summerfield przykucnął przy ojcu i powiedział:

- On tak nie myślał, tato. Ma kłopoty i boi się... Jest zagubiony. Naprawdę tak nie myślał. Musisz mi uwierzyć.

Oczy ojca przepelnione były bólem. A teraz Joshua chciał dać się zabić z powodów, których Will nie był w stanie pojąć. Patrząc na Phoebe, wstydził się za swoją rodzinę.

- Dziękuję, że przyszłaś, *madame*. Nie zajmie mi to dużo czasu.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Nie, proszę poczekać! - zawołała Phoebe. - Nic więcej mi pan nie powie?

- Na stole leży kilka książek - powiedział. - Dobranoc, Phoebe. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Co mówiąc, wyszedł pośpiesznie z pokoju.

Phoebe drgnęła, gdy za Willem zatrzasnęły się drzwi. Wyszedł tak szybko, że nawet nie zdążyła się poruszyć.

Spojrzała na swojego podopiecznego. Zauważyła, że wykrzywiony palec wskazujący hrabiego poruszył się i zrozumiała, że chodziło mu o nią.

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie, zachowuję się niegrzecznie - powiedziała.

Ponownie podniósł palec.

- Ja... chce pan, żebym panu poczytała? - spytała i rozejrzała się po pokoju. Naprzeciwko kominka stały dwa krzesła. Okrągły stół znajdował się w drugim końcu pomieszczenia i leżała na nim sterta książek. Phoebe podeszła do stolika i wybrała książkę, która nie wydawała jej się tak nieciekawa jak pozostałe: *Skrzypce z Cremony* Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna.

Wróciła do hrabiego i rozejrzała się, gdzie mogłaby postawić świeczkę. W pobliżu znajdowało się tylko jedno krzesło, nieopodal kominka.

- Obawiam się, że to się nie sprawdzi - powiedziała i ponownie spojrzała na swojego podopiecznego.

- Domyślam się, że meble zostały usunięte, aby mógł się pan swobodnie poruszać, jaśnie panie, ale wydaje mi się - oczywiście proszę o wybaczenie - że przez to pokój stał się dość nieprzytulny. Jeśli wytrzyma pan ze mną, mogłabym poczynić kilka drobnych zmian, a potem panu poczytać w przyjemniejszym otoczeniu.

Czekała na jakiś znak. Minęła chwila, nieznacznie odwrócił głowę, unosząc wzrok najwyżej jak mógł

- na wysokość jej brzucha. I podniósł palec wskazujący.

Phoebe się rozpromieniła.

- Wspaniale. Będzie pan bardzo zadowolony, kiedy skończę, jestem tego pewna.

\* \* \*

Will wrócił w końcu do posiadłości z Joshua, obaj cali byli utyłani w błocie, a Will miał oprócz tego krwawiące kłykcie, ponieważ musiał walczyć z dwoma łotrami, którzy próbowali okraść jego bardzo pijanego brata.

Ale walka ocuciła Joshuę i przez kwadrans obaj walczyli ramię w ramię, podczas gdy Henry udał się po pomoc.

Kiedy Henry wrócił z dwoma znajomymi, złodzieje uciekli, Joshua znowu popadł w alkoholowy stupor i Will potrzebował pomocy Henry'ego i jego dwóch znajomych, by wsadzić chłopaka na konia. Nim Will i Farley położyli Joshuę do łóżka, było wpół do dwunastej. Klnąc pod nosem, Will wrócił do apartamentów ojca.

Kiedy otworzył pierwsze drzwi, zaskoczyło go, gdy usłyszał śmiech i zatrzymał się, żeby się lepiej temu przysłuchać.

- Och, to było podłe z ich strony! - powiedziała śpiewnie. - Może pan sobie wyobrazić? Widział ich cały Londyn! Myślałam, że moja matka zemdleje z rozpaczy, ale ona się śmiała.

Will podszedł do drzwi salonu. Nie wiedział, co zaskoczyło go bardziej - fakt, że meble zostały poprzestawiane, czy to, że Phoebe siedziała na krawędzi krzesła i z ożywieniem opowiadała coś jego ojcu.

- Cóż, jaśnie panie, mogę pana zapewnić, że tylko ona się śmiała. Szczerze wierzę, że panna Chadwick... Och! - krzyknęła, dostrzegłszy Willa w drzwiach. - Nie słyszałam, kiedy pan wszedł, *sir*.

- Proszę nie przerywać swojej opowieści, jestem pewien, że tata chciałby usłyszeć zakończenie.

- Cóż... - odparła, zerkając nerwowo na hrabiego - to była tylko taka historyjka dla zabicia czasu i ja...

- Za-

milka i zerknęła na Willa. - Przepraszam, ale... czy pan krwawi?

- Ja? - spytał i dotknął twarzy. Na palcach miał krew. - Nie wiedziałem.

Phoebe natychmiast wstała i ruszyła w jego stronę.

- Nie wiedział pan? Proszę spojrzeć na swoje ubranie i ręce! - zawołała, ujmując jedną jego dłoń w swoje.

- Ach - powiedział, krzywiąc się, gdy dotknęła jego kłykci. Poczł taki ból, jakby ręka była złamana.

Phoebe spojrzała na niego z typowo kobiecą dezaprobatą.

- Uczestniczył pan w bójce?

- Niestety tak.

- Biedny Joshua - odezwała się, znowu patrząc na jego kłykcie.

- Nie, nie, mój biedny brat śpi w swoim łóżku. To była bójka w jego obronie.

- Te rany trzeba oczyścić - powiedziała surowo. - Jest tu gdzieś miednica?

- W sypialni ojca. Pójdę...

- Nie z tak poranionymi dłońmi - odparła i jak kwatermistrz wskazała dłonią drzwi prowadzące do sypialni.

Will nie był głupcem - nie miał też nic przeciwko odrobinie troski po tym, co przeszedł dziś wieczorem.

- Dobrze - zgodził się. - Jak się miewa hrabia? - spytał.

- Chyba jest zmęczony - odpowiedziała Phoebe, a kiedy koło niego przechodzili, położyła mu opiekuńczo dłoń na ramieniu. Willowi ten gest wydał się najbardziej naturalnym objawem troski o ojca, jaki kiedykolwiek widział.

Zatrzymał się i także położył dłoń na ramieniu ojca, nieporadnie chcąc okazać mu zainteresowanie.

Kiedy wszedł do sypialni, Phoebe była już przy miednicy, mocząc chusteczkę w wodzie i wyżymając ją. Podszedł i wyciągnął prawą rękę. Phoebe ostrożnie zaczęła przemywać skaleczenia i zadrapania.

- To musiała być całkiem poważna bójka. Skrzywił się, kiedy dotknęła wyjątkowo głębokiej rany.
- Ci złodzieje chcieli ograbić Joshuę z pieniędzy... jeśli nie z życia.
- To straszne! Znali go?
- Nie wiem. Mój znajomy uważa, że chyba tak.

Willowi do głowy przychodziły różne scenariusze. Sama myśl o tym, że jego brat próbował sprzedać konia z Wentworth Hall, tak go rozzłościła, że w momencie słabości powiedział:

- Nie mam pojęcia, dlaczego robi i mówi te wszystkie rzeczy. Dobrze wie, że nie zniosę oszustwa w żadnej formie i z żadnego powodu.

Phoebe zamoczyła chustkę w wodzie z mydłem.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem moich sióstr i braci - przyznał Will i westchnął ciężko. - Jakoś nie mogę tego wszystkiego ogarnąć. Mam wrażenie, jakbyśmy byli kawałkami rozbitej porcelany.

Największe kawałki zostały posklejane rodzinnym spoiwem... ale pozostały jeszcze małe okruchy, których nie mogę nigdzie dopasować.

Phoebe uśmiechnęła się nieznacznie.

- Coś nie tak? - spytał.
- Nie - odparła. - Chyba jestem trochę zmęczona, to wszystko.
- Oczywiście, że jest pani... jesteś zmęczona. Za długo kazałem ci siedzieć. Nie wiem, jak mam cię za to przeproszać.
- Ależ nie musisz - powiedziała, podnosząc ku niemu oczy w kolorze letniego nieba. - Zaprzyjaźniłam się z twoim ojcem. I sądzę, że podoba mu się obecne umeblowanie pokoju.
- Tak - odparł Will z uśmiechem. - Zauważyłem. Roześmiała się cicho, wyciągając rękę po jego drugą dłoń. Posłusznie ją podał.



- Dobry Boże - odezwał się, gdy w jego głowie pojawiła się pewna myśl. - Pierwsi goście pojawią się we wtorek. Chyba będę wprowadzał moje rodzeństwo do towarzystwa! - Ta myśl go przytłaczała. - Czy mogę przyjąć, że dziewczęta będą miały odpowiednie kreacje?

- Oczywiście - powiedziała. - Razem z Friedą dopieszczamy suknie balowe i sądzę, że uporamy się z tym do końca tygodnia. Przygotowałyśmy już wersjeienne i poranne.

Nic nie odpowiedział - obserwował, jak światło świecy połyskuje w jej jasnych włosach. Skończyła przemywanie jego ran. Teraz stali i patrzyli na siebie. Uśmiechnęła się; dla niego była niewyobrażalnie piękna, a jej uśmiech nappełniał jego serce ciepłem.

- Cóż - odezwała się cicho. Will przełknął ślinę.

- Muszę położyć ojca do łóżka. Skinęła głową.

- Jeszcze jedna rzecz. - Sięgnęła do kieszeni sukni i wyciągnęła z niej skarabeusza, którego mu podała.

- Zostawiłeś to. Co to jest?

Uśmiechnął się.

- Skarabeusz. Amulet. Przeklęty kupiec, który wziął za niego dwa funty, obiecał, że posiada moc powstrzymywania cielesnych pragnień. - Uśmiechnął się cierpko, omiatając ją wzrokiem. -

Najwyraźniej jest niewiele wart.

- Ale jest śliczny. Zupełnie niespotykany.

- Musisz więc go zatrzymać - powiedział i zacisnął jej palce na amulecie. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale potrząsnął głową. - Chcę, żebyś go wzięła - odezwał się. - To postanowione.

- Dziękuję.

- Dziękuję, że zajęłaś się moimi ranami. - Ale nie zabrał ręki.

Uśmiechnęła się.

- Twój ojciec - przypomniała mu.

- Tak. - Musiał znowu wziąć ją w ramiona, całować jej usta, które teraz uśmiechały się do niego tak kusząco.

Podniósł do ust jej dłoń i złożył na niej pocałunek. A potem wrócił do ojca.

- Jestem niezmiernie wdzięczny madame Dupree

- powiedział do hrabiego. - To miłe z jej strony, że zgodziła się posiedzieć z tobą dziś wieczorem.

Ojciec uniósł palec.

Phoebe podeszła z drugiej strony fotela i uklękła.

- Dobrej nocy, jaśnie panie. Obiecuję, że podczas następnej wizyty dokończę czytać *Skrzypce z Cremony*.

- Wstała i ponad głową hrabiego spojrzała na Willa. Jej oczy świeciły w blasku świec, i Will dostrzegł w nich tęsknotę, równie bezbrzeżną jak jego.

- Dobrej nocy, jaśnie panie.

- Dobranoc, madame Dupree. I jeszcze raz dziękuję. Posyłając mu kolejny łagodny uśmiech, wyszła z pokoju.

Will stał przez chwilę, słuchając jej kroków. Potem spojrzał ojcu w oczy. Widział w nich zmęczenie i troskę o Joshuę.

- Nic mu nie jest, papo - powiedział. - Śpi. W oczach starca pojawił się wyraz ulgi.

- Chodźmy - powiedział Will. - Położę cię. O wszystkim opowiem ci jutro rano.

## Rozdział dwudziesty drugi

Następnego ranka Will pokłócił się z Alice, która zdecydowała się pojechać do Greenhill, chociaż nie było nikogo, kto mógłby ją tam zabrać. Will spodziewał się fachowców, którzy mieli zająć się niezbędnymi naprawami w domu, Joshua nie był w stanie jej zabrać, a chociaż Roger się zaoferował, że ją zawiezie, Will ani trochę mu nie ufał.

Alice była wściekła na brata, że nie pozwalał jej jechać do miasteczka, ale on zauważył, w jaki sposób w niedzielę patrzyła w kościele na pomocnika kowala.

- To nic nie da - powiedział jej. - Wiem, co masz do załatwienia w Greenhill.

Właśnie wtedy Alice zaczęła szlochać i oskarżyła go, że niszczy jej życie. Will nie miał aż tak twardego serca - szczerze mówiąc, nie mógł patrzeć, jak jego siostra cierpi. Ale wiedział także, co się mówi o młodym pomocniku kowala, wziął więc Alice w ramiona i rzekł:

- Cokolwiek on ci powiedział, kochanie, tak naprawdę chodzi mu tylko o twój majątek. To nie jest człowiek honoru.

Alice odepchnęła brata, krzycząc:

- Powiedziałbyś wszystko, byle tylko trzymać mnie od niego z daleka!

I uciekła z pokoju.

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami, a potem odgłos jej kroków na marmurowej posadzce w holu, gdy biegła do swojego pokoju. Opadł na krzesło. Czuł się idiotycznie w roli zarazem ojca, brata i matki. Nie bardzo się do tego nadawał - kilka ostatnich lat spędził na spełnianiu swoich zachcianek, kochaniu kogo zapragnął, zadawaniu się z kimkolwiek miał ochotę. Był wolny.

Teraz czuł się jak więzień we własnym domu. Było tak, jak powiedział Phoebe zeszłej nocy - nie nadawał się na przewodnika po życiu dla swojego rodzeństwa. Ale mieli tylko jego. Ileż by dał za matkę, ojca - kogokolwiek - kto zrozumiałby ich lepiej niż on.

Ostatnie dni były dość męczące; nie miał nastroju, by siedzieć bezczynnie i rozprawiać o pogodzie, ale obiecał, że odwiedzi Fitzherbertów. Nigdy nie uda mu się nakłonić rodzeństwa, by zachowywało się stosownie, jeśli on sam nie będzie się tak zachowywał.

Przybył krótko po czwartej, zdecydowany wypełnić obietnicę, bez względu na zmęczenie. Caroline Fitzherbert przywitała go jak zwykle skromnym uśmiechem i prośbą, by usiadł. Obecna była także jej matka, cała w skowronkach - opowiadała mu, jak wszyscy domownicy usiłowali złapać węża, którego zauważono w przykuchennym ogródku. Lecz ta historyjka Willa niemal uspiła. Jego myśli krążyły wokół Phoebe i wyrazu oczu ojca, gdy mu wyjaśnił, że po kolejnej libacji Joshua usiłował sprzedać konia.

Jednak gdy herbatka powoli dobiegała końca - albo raczej gdy się tam dowlokła - Summerfield zaczął zauważać, że panna Fitzherbert nie zachowywała się z właściwą sobie powściągliwością. Wydawała się rozkojarzona i zerknęła na różę w wazonie, który stał na stole nieopodal jej krzesła.

Kiedy zaprosił ją na przechadzkę po ogrodzie, miał wrażenie, jakby ociągała się z pójściem.

- Dziękuję za wizytę, *sir* - powiedziała, gdy przechodzili obok żółtych żonkili i niebieskich niezapominajek.

- Pańska obecność jest dla nas zawsze bardzo miła.

- Znowu się uśmiechnęła i odwróciła wzrok.

- Mnie jest tym bardziej miło - odparł.

Bardzo się starał wzbudzić w sobie to samo uczucie niecierpliwego oczekiwania i ciepła, które towarzyszyło mu, gdy był z Phoebe, ale jakoś nie mógł go w sobie odnaleźć. To sprawiało, że cała sytuacja stawała się niedorzeczna, ponieważ Caroline Fitzherbert była idealną kandydatką na żonę. A Phoebe nie.

Być może nie dość zabiegał o pannę Fitzherbert - nie pocałował jej, nie próbował nawet czerpać z jej obecności takiej przyjemności, jaką czerpał z obecności madame Dupree. Gdy więc weszli do altany, Will odruchowo położył jej rękę na ramieniu.

- Tak? - spytała słodko.

Nic nie powiedział, po prostu ujął w palce jej podbródek, uniósł jej twarz i pocałował ją.

Zamarła, jej ciało zeszywniało, wargi nawet nie drgnęły.

To nie miało sensu. Will nie odczuwał niczego poza delikatnym mrowieniem - nic nie przypominało tej namiętności, która przetoczyła się przez niego, gdy po raz pierwszy pocałował Phoebe. Podniósł głowę i uśmiechnął się.

Caroline miała zarumienione policzki. -Ja...

- Proszę mi wybaczyć moją śmiałość - powiedział Summerfield uprzejmie, oczyma wyobraźni widząc Phoebe.

- Nie mam czego wybaczać - odparła i wbiła wzrok w ziemię, nieśmiało dotykając jego dłoni.

Will chwycił jej rękę i przycisnął do ust.

- Powinienem już iść - powiedział cicho. - Mam wiele spraw do załatwienia.

- Tak, oczywiście.

Kiedy dotarli do podjazdu, a chłopak stajenny został posłany po jego konia, Will uśmiechnął się i powiedział:

- Dziękuję za przemiły wieczór, panno Fitzherbert.
- Och, jest pan zbyt uprzejmy - odparta i zerknęła na drzwi domu. - Wiem, że nie byłam dzisiaj najmilszą towarzyszką - dodała nieśmiało. - Muszę przyznać, że dokucza mi ból głowy.
- Powinna pani odpocząć - odezwał się natychmiast.
- Nie powinienem pani zatrzymywać.
- Och, nie - powiedziała szybko. - Gdyby nie pańska wizyta, dzień byłby beznadziejny.

Uklonił się ponownie i zrobił krok w tył.

- Życzę więc wszystkiego dobrego, panno Fitzherbert. Miłego wieczoru.

Dygnęła, po czym mocno objęła się ramionami, a Will wskoczył na grzbiet Fergususa. Odjeżdżając, podniósł dłoń w geście pożegnania, jednak gdy tylko się odwrócił, natychmiast zapomniał o Caroline. Rozmyślał o Phoebe, wspominał, jak trzymał ją w ramionach, jak całował jej usta i szyję. Zastanawiał się, jak uda mu się pogodzić pragnienie, by być z kimś takim jak ona, z obowiązkiem poślubienia kogoś takiego jak panna Fitzherbert.

Wydawało mu się to niemożliwe.

\* \* \*

Dzień był tak ciepły, że wszystkie okna zostały otwarte, przez co Phoebe i Frieda mogły słyszeć dźwięki pianina towarzyszące lekcji tańca Jane i Alice.

Phoebe usłyszała także odgłos końskich kopyt na podjeździe i nie mogła się powstrzymać, by nie wyrzeć przez okno. To był Will, w eleganckim stroju i z włosami zaczesanymi do tyłu. Czyż nie był przystojny? Nic dziwnego, że tak wielu ludzi przyjeżdżało do posiadłości na dwa tygodnie - pani Turner powiedziała, że wszyscy mają niezamężne córki i wszystko by oddali, żeby wydać je za Willa.

Phoebe rozumiała dlaczego. Gdyby nie znajdowała się w tak nietypowym położeniu...

- Trzy dni spóźnienia - odezwała się Frieda. - To chyba nic nadzwyczajnego, prawda?

Phoebe z ociąganiem odwróciła się od okna.

- Nie - odparła z uśmiechem. - Moja siostra nigdy nie jest w stanie przewidzieć, kiedy będzie niedysponowana, podczas gdy ja mogłabym według tego ustawiać zegarek.

- Ja też mogłabym ustawiać zegarek. - W oczach Friedy malował się niepokój.

Zanim Phoebe zdążyła odpowiedzieć, drzwi pracowni otworzyły się i do środka wpadła Jane, kręcąc piruety i dygając nieznacznie. Za nią weszła Alice, przyglądając się siostrze.

- Nigdy nie powinnaś dygać, póki nie zostaniesz oficjalnie przedstawiona, Jane. Prawda, Phoebe?

- Ach... nie - odparła Phoebe i uśmiechnęła się do dziewcząt. - Czy mam ci zaprezentować odpowiedni dworski ukłon?

- Umie pani? - spytała uszczęśliwiona Jane.

- Umiem.

- Tak, tak! Proszę nam pokazać! - zawołała Jane, klaszcząc w dłonie.

- Dobrze. - Phoebe zaśmiała się i stanęła pośrodku pokoju, przesuwając krzesło i manekina. Szeroko rozłożyła ramiona i powiedziała: - Musicie bardzo daleko wysunąć jedną nogę, o tak. Wyprostowane zniżacie się, jakby opuszczano was na sznurku z sufitu. Witam, jaśnie panie - dodała, nieznacznie przechylając głowę. - Widzicie?

- Teraz ja! - zawołała Jane.

Zaśmiały się, widząc jej nieporadne ruchy, ale po kilku próbach Jane odniosła sukces.

Alice potrzebowała zdecydowanie mniej pomocy; idealnie dygnęła już za pierwszym razem, czym zyskała aplauz Friedy i Phoebe.

- Widzicie? - powiedziała Jane, obracając się dokoła i opierając obie dłonie na stole. - Alice uważa, że bar-

dziej się nadaje do wiejskich tańców z kowalami i farmerami niż do uczestnictwa w balach, ale całkiem dobrze jej wychodzą dworskie umizg

Phoebe i Frieda spojrzały na siebie.

- Niestety - kontynuowała dziewczyna - podejrzewam, że z kowalem też nie będzie tańczyć, bo kiedy dziś rano spacerowałam z panną Abernathy po łąkach, widziałam go w towarzystwie dziewczyny, która prowadzi sklep pana Reynoldsa.

Alice poczerwieniała.

- Nie bądź niemądra, Jane - odezwała się, od niechcienia przyglądając włosy. - Zrobiłam to, o co prosił Will. Nie mam kontaktu z panem Hughesem.

- Nie? - spytała Jane, najwyraźniej podekscytowana tą informacją.

Alice odwróciła się i spojrzała jej prosto w oczy.

- Nie - odparła.

- Wszystko jedno. - Jane wzruszyła ramionami, przesuwając się ku manekinowi, na którym wisiała jej suknia balowa, i rozpostarła spódnicę. - Jest już skończona?

- Prawie - odparła Phoebe, spokojnie odsuwając dłonie Jane. - Dzisiaj skończymy naszywanie perełek. Ich uwagę zwróciło pukanie do drzwi.

- Zobaczę, kto to! - powiedziała Jane wesoło i szybko poszła otworzyć drzwi, po czym głęboko dygnęła.

- Proszę, proszę, lady Jane! - pochwalił ją stojący w otwartych drzwiach Will. - Pozwól, że pomogę ci wstać - dodał i wyciągnął do niej rękę.

Jane wsunęła palce w jego dłoń i z przechyloną głową wyprostowała się z gracją, po czym uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie do brata.

- Co myślisz?

- Myślę, że był to najbardziej królewski ukłon, jaki kiedykolwiek widziałem - odparł.

Ucieszona Jane ponownie okręciła się dokoła. Will szybko spojrział na Phoebe.



- Proszę wybaczyć mi moje najście, madame Dupree, ale chciałbym na chwilę porwać siostrę. - Spojrzał na Jane. - Chodzi o książkę, która należy do Rogera.

- Boże drogi - odezwała się Jane, wzdychając zniecierpliwiona. - Przecież i tak nie zamierzał jej czytać.

- Chodźmy, Jane. Alice, jeśli pozwolisz. Jestem pewien, że madame Dupree i Frieda mają sporo pracy.

- Spojrzał na Phoebe. - Prosimy o wybaczenie - powiedział Will. Ale się nie poruszył. Spojrzał na suknię, która wisiała na jednym z wielu haków w pracowni.

- Dla kogo to? - spytał.

- Dla lady Jane, jaśnie panie.

Znowu przyjrzał się sukni, potem potrząsnął głową.

- Jest nieodpowiednia.

Frieda odwróciła się i zdumiona spojrzała na Phoebe

- Słucham? - spytała Phoebe, patrząc na dzienną kreację w kolorze róży. Była piękna, cudownie skrojona i ozdobiona maleńkimi wstążeczkami. Uważała, że jest to jedno z jej najlepszych dzieł.

- Nie - odezwał się i spojrzał przez ramię na Phoebe.

- Dekolt, *madame*, jest zbyt głęboki. Mówiłem już pani o tym. Nie zastosowała się pani do moich instrukcji? Jego instrukcji?

- Ależ nie jest zbyt głęboki - odparła kategorycznie Phoebe. - Pasuje do lady Jane, *sir*. Jest zgodny z obecną modą i...

- Jest zbyt głęboki - powtórzył Will i odwrócił się do niej. - Sprzeciwia mi się pani?

Phoebe zamrugła. Spojrzała na Friedę. Potem na Willa.

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie - zaczęła. Skinął głową i się odwrócił, aby ponownie przyjrzeć się sukni. - Ale szczerze mówiąc, nie mogę się z tym zgodzić.

Jej reakcja najwyraźniej go nie zaskoczyła. Jego oczy miały dziwny wyraz, jakby wręcz chciał ją zachęcić do sprzeczki. Rzucił spojrzenie Friedzie.

- Friedo, będziesz tak dobra i pozwolisz mi zamienić słowo z madame Dupree?

Frieda szeroko otworzyła oczy, spojrzała z przestachem na Phoebe, ale szybko wstała i dygnęła, po czym wyszła.

Will poczekał, aż ucichną jej kroki na schodach.

- Nie - powiedziała Phoebe, potrząsając głową. - Nie mogę, nie przerobię tej sukni, żeby dostosować się do jakichś purytańskich poglądów na temat mody, *siń* Zatrudnił mnie pan, abym uszyła pańskim siostrom kreacje zgodne z najnowszą modą, i nikt mnie nie przekona, że najnowsza moda idzie w parze z jakimiś prowincjonalnymi poglądami na temat przyzwoitości. - Wyzywająco skrzyżowała ramiona. - Jestem o tym przekonana - dodała, już mniej pewnie.

- Suknia - powiedział niskim głosem - jest piękna. Chciałem tylko mieć jakiś pretekst, żeby porozmawiać z tobą sam na sam.

- Och - odparła, opuszczając ramiona. - Och... Podszedł bliżej.

- Musiałem cię zobaczyć - odezwał się cicho. - Jutro jest niedziela, pozostali służący będą ją spędzać ze swoimi rodzinami.

- Will!

To Jane wchodziła po schodach.

- Cholera - burknął pod nosem. - Jutro o pierwszej za oranżerią. Możesz się tam ze mną spotkać?

- Will! Ile mam na ciebie czekać? - zawołała Jane.

- Chwileczkę, Jane! - odkrzyknął i spojrzał na Phoebe.

Skinęła głową. Obrócił się gwałtownie i wyszedł z pracowni, nim Jane zdążyła wejść na górę.

Phoebe nie zdawała sobie sprawy, jak mocno bije jej serce, dopóki nie została sama.

Nadal tak biło, kiedy wróciła Frieda.

- Co cię napadło? - zawołała. - Chcesz stracić pracę?

- Nie! - odparła zdecydowanie Phoebe. - Ale... ta suknia naprawdę mi się podoba.

Frieda potrząsnęła głową.

- Może zacznie ci się podobać dach nad głową, nim znowu przyjdzie ci do głowy, żeby odzywać się w ten sposób, Phoebe. Widziałam, jak zwalniano ludzi za mniejsze przewinienia. Szczerze mówiąc, właśnie tego się spodziewałam.

- Tak - odezwała się Phoebe. - To było nierozsądne z mojej strony.

- Bardzo nierozsądne - przyznała zdecydowanie Frieda i wróciła do naszywania koralików.

Phoebe zerknęła dyskretnie na Friedę.

- Gdzie położyłaś złotą nić? - spytała od niechcienia i przeszła do sąsiedniego pokoju pod pretekstem jej poszukania, bo potrzebowała chwili, by dać sercu odpocząć.

Jutro, za oranżerią, o pierwszej. Na jej usta wypłynął powolny uśmiech. Poczła w sobie lekkość, której doświadczyła tamtej nocy na wyspie; nieopisaną wolność ducha.

### Rozdział dwudziesty trzeci

Z trudem udało mu się uwolnić od swojego rodzeństwa. Alice i Jane pokłóciły się o parę rękawiczek z koźlej skóry, Roger odmówił wstania z łóżka, a Joshua wyjechał o świcie nie wiadomo dokąd. Will spóźnił się do stajni i sam osiodłał Fergusa, żeby nikt się nie dopytywał, dokąd jedzie.

A teraz, siedząc na jego grzbiecie, Will czekał za oranżerią.

Wyciągnął z kieszeni zegarek i ponownie sprawdził godzinę - kwadrans po pierwszej. Nie przychodziła.

Nie mógł ukryć rozczarowania - wczoraj i dzisiaj nie myślał o niczym innym, a w nocy oczekiwanie na spotkanie z nią wypełniło jego sny.

Może zatrzymała ją pani Turner. Will wiedział, że gospodyni pracowała w czasie weekendu, aby przygotować dom na przybycie pierwszych gości we wtorek. Ale pani Turner nigdy nie nałożyłaby na Phoebe jakichś obowiązków, uprzednio nie zapytawszy Willa o zgodę.

Gdzie ona się podziewała? Czyżby zmieniła zdanie? Zadrzał na samą myśl o tym. Nie mógł sobie wyobrazić, że będzie widywał ją w swoim domu, a nie będzie mógł być blisko niej.

Znowu zerknął na kieszonkowy zegarek. Siedemnaście po pierwszej.

Nie przyjdzie.

Westchnąwszy, spał Fergusa, zawrócił i powoli ruszył przed siebie. Koń zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, po czym zastrzygł uszami i uniósł łeb. Will dostrzegł wyłaniającą się zza rogu oranżerii Phoebe, która na widok jeźdźca gwałtownie się zatrzymała.

Dyszała, jakby biegła. Policzki miała zaróżowione, a spód jej bladożółtej sukni nosił ślady kurzu i trawy. Jednak jej oczy - jej oczy były rozświetlone, błyszczały oczekiwaniem. Przez chwilę milczeli, tylko wpatrując się w siebie.

Will wyciągnął ku niej dłoń.

- Postaw stopę na mojej.

Nie zwlekała; doskonale go rozumiała, obeszła więc niespokojnego Fergusa, chwyciła rękę Willa i odepchnąwszy się od jego stopy jak od stopnia schodka, uniosła się, by usiąść na grzbiecie konia. Will bez trudu pociągnął ją do góry, sadowiąc przed sobą w siodle. Objąwszy ją mocno ramionami, skierował Fergusa w stronę drzew.

Kiedy już znaleźli się głęboko w lesie, wypuścił powietrze z płuc, wcześniej nawet nie zdając sobie sprawy, że je wstrzymywał, i pochylił ku niej głowę.

- Myślałem, że nie przyjdiesz.

- Bałam się, że się miniemy - odparła, wciąż nie mogąc złapać tchu. - Frieda przyszła rano, zamiast iść w odwiedzin do matki, jak to miała w zwyczaju, a kiedy wreszcie udało mi się ją przegonić, uświadomiłam sobie, że nie wiem, gdzie znajduje się oranżeria! Bałam się kogokolwiek spytać, żeby nie prowokować niepotrzebnych domysłów.

Nienawidził tych podstępów, do których musieli się uciekać, ale nie mieli innego wyjścia. W innym razie oboje naraziliby się na poważny skandal.

- Dokąd jedziemy?

- Mam dla ciebie kolejną niespodziankę.

Obróciła się, żeby móc się do niego uśmiechnąć; jej oczy rozświetlało zadowolenie.

- Kolejną niespodziankę? Zupełnie mnie rozpuścisz. Będę zła, jeśli nie przygotujesz niespodzianki na każde nasze spotkanie.

Skęcili w wydeptaną przez jelenie ścieżkę i zanurzyli się głębiej między drzewa.

Phoebe pochyliła się, wpatrując w ocienioną dróżkę przed nimi.

- Wygląda na nieużywaną.

- Zaufaj mi - powiedział.

Odchyliła się do tyłu, opierając się o niego. Obdarzając go zaufaniem. Po kilku chwilach powiedziała:

- Ktoś mógłby pomyśleć, że opuszczamy cywilizację, bo wygląda na to, że las ciągnie się w nieskończoność. Ale naprawdę mi to nie przeszkadza, ponieważ zawsze można znaleźć coś nowego i ekscytującego, wychodząc poza salon.

- Och? - spyta! od niechcienia, oplatając ją ramieniem w talii i przyciągając mocniej do siebie. - A co nowego i ekscytującego ty znalazłaś?

Roześmiała się.

- Potwornie mało. Podejrzewam, że bardziej marzyłam o czymś nowym i ekscytującym, niż tego doświadczyłam.

- Naprawdę? Wdowa taka jak ty cieszy się wolnością, której większość kobiet w twoim wieku nie ma. Sądziłbym, że wyjedziesz za granicę albo zaczniesz udzielać się towarzysko.

- I co bym tam robiła? - spytała nonszalancko. - Może

i jestem wolna, ale niewiele jest radości z takich przygód, jeśli przeżywa się je w pojedynkę.

W jego głowie zakiełkowała zakazana myśl - że on to zmieni. Zabierze ją w różne miejsca, pokaże jej wszystkie ekscytujące rzeczy i przygody, które świat ma do zaoferowania.

Być może nie była to znowu tak bardzo nierealna myśl. Może udałoby mu się znaleźć jej tutaj, w Wentworth Hall, pracę na stałe.

- Och, spójrz! - zawołała, gdy wspięli się na wzgórze. Chwyliła go za nadgarstek, by zwrócić na coś jego uwagę. Fergus zaczął parskać.

U podnóża zbocza, gdzie strumień stawał się szerszy, znajdowała się niewielka łąka i ruiny zamku. Były tam też konie spokojnie skubiące trawę. Dostrzegli tylko cztery; nie było źrebaka i jego matki; kłusownicy zebrali swoje żniwo.

- Oto odrobina nieoczekiwanej przygody - powiedział Will i skierował Fergusa na łąkę. Gdy znaleźli się na polanie, Apollo uniósł łeb, spojrział od niechcienia w ich stronę, po czym wrócił do skubania trawy. Był już oswojony z obecnością Willa, który zupełnie mu nie przeszkadzał, nawet jeśli siedział na jego grzbiecie. Ale Apollo był zbyt inteligentny, aby całkowicie się poddać.

Will zsiadł z Fergusa, po czym pomógł zsiść Phoebe. Zdjął sakwę przytroczoną do siodła, odpiął popręg i ściągnął siodło.

- Co chcesz zrobić? - szepnęła Phoebe.

- Zobaczysz. - Mrugnawszy, przerzucił sobie sakwy przez jedno ramię, derkę i siodło wziął w rękę i ruszył po trawie i stokrotkach, jeszcze niewyskubanych przez dzikie konie.

Apollo przyjrzał mu się z leniwym zaciekawieniem, witając go parsknięciem i poruszeniem łba.

- Jak się masz, stary przyjacielu - powiedział Will i pogłaskał go po chrapach. Koń natychmiast zaczął obwąchiwać jego kieszenie w poszukiwaniu jabłek albo marchewek, które spodziewał się dostać. Will go nie zawiódł. Z jednej części sakwy wyciągnął jabłko. Pozostałe konie szybko znalazły się u jego boku - one także przyzwyczyły się do częstych wizyt i jabłek. Ale tylko

Apollo zgodził się, by go dosiadać; pozostałe tolerowały po prostu obecność Willa w zamian za smakołyki.

Sięgnął do sakwy i zaczął wyciągać kolejne jabłka, karmiąc nimi konie. Przez ramię zerknął na Phoebe. Fergus skubał trawę, a Phoebe stała pośrodku łąki, zastygła z podziwu. Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

Nie zawahała się - zebrała suknię i szybko ruszyła poprzez stokrotki w jego stronę. Podał jej dwa jabłka, po jednym do każdej ręki; jeden z koni spróbował ukraść owoc z jej ręki, nim jeszcze zdążyła zacisnąć palce. Roześmiała się, a Will poczuł dreszcz zadowolenia.

Radość malująca się na jej twarzy każdemu mężczyźnie wystarczyłaby do tego, by zapragnął przенosić góry albo przynajmniej oswajać konie.

- To niesamowite, Will - zawołała bez tchu.

- To nie wszystko - odparł i podał jej prawie pustą sakwę. - Karm je nadal - poradził, po czym szybko położył derkę na grzbiecie Apolla.

Phoebe obserwowała go z dziwnym wyrazem twarzy, który sugerował, że uważa go za szaleńca, ale Summerfield pogłaskał ogiera po szyi i wsunął wędzidło między jego zęby. W kilka chwil przywiązał uzdę. Przez jakiś czas masował końską szyję i kłęb, po czym podniósł siodło i ostrożnie umieścił je na grzbiecie gniadosza. Ostatnim razem, gdy dosiadł Apolla, nie spodobało mu się siodło, chociaż wcześniej już trzykrotnie miał je na grzbiecie.

Jednak Apollo chyba wyczuł, że to ważne dla Willa, bo dzisiaj był całkiem spokojny, nawet gdy pozostałe konie zaczęły odchodzić. Jediną zewnętrzną oznaką tego, że zauważył „tę rzecz” na swoim grzbiecie, było nagłe machnięcie ogonem. Will schylił się, sięgnął pod końskim brzuchem po popręg, podniósł go i zapiął.

Apollo wciąż stał spokojnie, machając ogonem.

Phoebe przyglądała mu się uważnie, w obu rękach trzymając sakwę.



- Dobry chłopiec - Will powiedział uspokajająco do Apolla. - Tak jak robiliśmy już wcześniej, powoli i bez nerwów.

Apollo nieznacznie przekręcił łeb, utkwivszy wzrok w mężczyźnie.

- Powoli i spokojnie - powtórzył Will i na chwilę zawisł na strzemieniu, przyzwyczajając konia do ciężaru, po czym usiadł w siodle.

Phoebe sapnęła cicho i przycisnęła dłoń do ust, a Will delikatnie zmusił Apolla, by ruszył. W odpowiedzi koń parsknął i rzucił masywnym łbem, ale pozwolił się poprowadzić wokół Phoebe.

Obracała się powoli wokół własnej osi, śledząc go rozpromienionymi oczami.

Gdy zrobił pełne koło, Will go zatrzymał.

- Umiesz jeździć konno? - spytał. Spojrzała na Apolla i z powagą skinęła głową.

- Pozwól mi więc oferować sobie odrobinę przygody poza ścianami twojej pracowni.

Phoebe uniosła ku niemu wzrok i rozpromieniła się.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się i gestem dłoni wskazał konia.

- Dziękuję.

Począwszy od czubków jej eleganckich butów, poprzez rząd maleńkich guziczków z boku sukni, aż do małego krzyżyka na szyi, była idealna. Była piękna.

- Rozpuść włosy.

- Dlaczego?

Ponieważ on też chciał spełnić swoją fantazję.

- Proszę - powiedział.

Spojrzała na niego z tajemniczym uśmiechem, ale wyciągnęła spinkę z koka. Na jej plecy opadł gęsty pukiel. Wyciągnęła jeszcze dwie spinki i reszta włosów także spłynęła swobodnie.

Will zatrzymał Apolla i zsiadł.

- Jedź okrakiem - powiedział i pomógł jej usiąść w siodle. Chwilę jej to zajęło, ze względu na suknię, ale w końcu się udało. Nogi od kolan w dół miała odkryte, a jej buty raczej nie nadawały się do konnej jazdy.

- Boisz się?

Phoebe pochyliła się, żeby pogłaskać szyję Apolla.

- Nie - odparła. - Jestem niesamowicie szczęśliwa. Czuję się jak królowa albo wojowniczką.

Słyszając to, uśmiechnął się - doskonale ją rozumiał.

- Mam cię poprowadzić?

- Nie - powiedziała natychmiast i wzięła wodze w dłonie. Will nadal trzymał uzdę. Uśmiechnęła się do niego

- nie miał pojęcia, że uśmiech może być tak promienny albo że oczy mogą tak błyszczeć ze szczęścia.

- Nie ufasz moim umiejętnościom - powiedziała, marszcząc brwi.

- Nie ufam jemu - odparł i spojrzał na konia, który sprawiał wrażenie pogodzonego ze swoim losem.

- Apollo! Wspaniałe imię - powiedziała z aprobatą i ponownie pogładziła szyję ogiera. - Will... nigdy bym nie uwierzyła, że tak wspaniałego konia można poskromić.

- Naprawdę nie tak trudno to zrobić, konie są stworzone do tego, by na nich jeździć. To leży w ich naturze. Po prostu trzeba to z nich wydobyć.

- Ach - odrzekła, pieszcząc szyję Apolla. - Skoro konie są stworzone, by na nich jeździć... to może mi na to pozwolisz?

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Proszę - powiedziała z uśmiechem.

Miała w oczach tak szczery zapał, że Will nie był w stanie jej odmówić.

Zakrzyknawszy z radości, Phoebe wzięła uzdę i dźgnęła bok Apolla obcasem. Koń ruszył, ale potem zaczął biec truchtem.

- Po kole, Phoebe - zawołał do niej Will. - Dopiero co go okiełznałem.

- Tak, oczywiście - odkrzyknęła.

Zauważył, że jeździła wybornie, poruszając się w rytm kroku Apolla. Jej włosy błyszczały jak srebrny proporzec.

Pozostałe konie, jak spostrzegł Will, zaczęły oddalać się tam, gdzie była gęściejsza trawa.

Phoebe roześmiała się i spięła Apolla, żeby biegł szybciej.

- No dobrze - powiedział Will z uśmiechem, wyciągnąwszy do niej rękę. - Natychmiast zsiadaj.

Najwyraźniej nie zamierzała tego zrobić. Apollo zaczął galopować po okręgu.

- Pokonałaś mnie - zawołał Summerfield, kłaniając się jej nisko. - Ale naprawdę powinnaś już zsiąść.

- To wspaniale! - zawołała. - Czuję się taka wolna! Wydaje mi się, że mogłabym pojechać do Londynu i z powrotem, nim on by w ogóle...

Nie zdążyła dokończyć, ponieważ Apollo znudził się tą zabawą i nagle ruszył za stadem. Straciła równowagę i z piskiem spadła z końskiego grzbietu, a Apollo popędził na skraj łąki.

Wylądowała na plecach w chmurze żółtego muślinu.

- Phoebe! - krzyknął Will, pędząc do niej.

Zamrugła gwałtownie, wpatrując się w czyste błękitne niebo. Na jej nodze znajdowało się paskudne rozcięcie, które zapewne powstało, gdy zawadziła o popręg.

- Dobry Boże - powiedział Summerfield, ostrożnie przesuwając ręce po jej ramionach i nogach, sprawdzając, czy nie ma żadnych złamań. - Boli cię coś? Mów!

Nie odpowiedziała; wpatrywała się w niebo z szeroko otwartymi ustami.

Uświadomił sobie, że Phoebe zatchnęła się, więc natychmiast pochylił się nad nią, przywarł ustami do jej ust i wdmuchnął powietrze do jej płuc. Chwilę później Phoebe wzięła gwałtowny oddech.

- Boli cię coś? Wydaje ci się, że coś sobie złamałaś? - naciskał na nią.

- Nic - odparła ochryple - poza moją dumą. - Uniosła się. - Co się stało?

Objął ją ramieniem i pomógł wstać.

- Nie jest do końca ujarzmiony - powiedział. - To moja wina, nigdy nie powinienem był na to pozwolić.

- Nie bądź niemądry. To moja wina. Nie zsiadłam, kiedy mi kazałeś. Och, Boże - powiedziała, sycząc z bólu, gdy podniosła prawą stopę. - Chyba skręciłam nogę w kostce.

- Pewnie uwięzła w strzemieniu - uznał Will i uświadomił sobie, jakie mieli szczęście, że koń jej nie pociągnął ani że nie wpadła pod kopyta.

- Obawiam się, że nie dam rady na niej stanąć - powiedziała, chwytając go za ramię.

Szybko wziął ją na ręce i przeniósł przez łąkę, do starych ruin i muru porośniętego mchem. Zdjął płaszcz i rozłożył go na ziemi, by na nim usiadła.

- Tak mi przykro - odezwała się Phoebe, przykładając dłoń do kostki i krzywiąc się. - Jestem taka niemądra.

- Pozwól. - Ściągnął jej but i dotknął kostki. - Mogę nią poruszyć? - Kiedy skinęła głową, skierował jej stopę w jedną stronę, potem w drugą. Przy tym drugim ruchu Phoebe jęknęła z bólu.

- Nie obawiaj się. Jestem całkiem biegły w udzielaniu pomocy. - Wstał i rozwiązał szalik. - Nie ruszaj się i żadnej jazdy konnej.

Posłała mu smutny uśmiech.

Will przeszedł przez łąkę do strumienia. Zanurzył w nim szalik - woda była lodowata - i wrócił do Phoebe. Przykucnął, położył jej bosą stopę na swoim udzie i oczyścił ranę. Gdy skończył, wyciągnął z buta nóż, pociął szalik na kawałki i ostrożnie obwiązał nim ranę i kostkę.

- Ale to jest takie zimne! - poskarżyła się, kiedy skończył.

- Zimno zmniejszy obrzęk - powiedział. - Teraz pójdę po siodło. Wrócę najszybciej, jak się da.

Skinęła głową, przyglądając się swojej stopie.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Czekając na powrót Willa, Phoebe wpadła w panikę i nawet próbowała chodzić. Mogła ukryć rozcięcie, ale nie mogła wrócić do dworu ze skrzywą nogą! Jak, na Boga, miałyby to wytłumaczyć? Co wszyscy by sobie pomyśleli?

W końcu Will nadjechał od strony strumienia. Na zadzie Fergususa zwisało drugie siodło. Will zatrzymał się pośrodku łąki, żeby podnieść sakwę.

Phoebe trzymała się omszałego muru. Mocny powiew wiatru uniósł włosy wokół jej twarzy, ale nie złagodził dokuczliwości popołudniowego upału. Summerfield podjechał do niej, zsiadł z konia, oparł dłonie na biodrze i popatrzył na jej kostkę.

- Wiem, że szczycisz się tym, iż jesteś nieustraszona, Phoebe... ale nie wiedziałem, że jesteś również niemądra.
- Muszę na niej chodzić - odparła poirytowana. - Jak mam wrócić do Wentworth Hall w takim stanie?
- Na koniu - powiedział spokojnie.
- Co absolutnie nie wzbudzi żadnych spekulacji. Słyszac sarkazm w jej głosie, uśmiechnął się cierpko.
- Nic mnie to nie obchodzi; obchodzi mnie wyłącznie to, żebyś nie zrobiła sobie większej krzywdy, próbując stać albo chodzić na tej nodze.
- Wybacz, ale mnie akurat bardzo obchodzi, co się mówi w Wentworth Hall.

- Phoebe... - Uśmiechnął się tak ciepło, że poczuła, iż jej serce zaczyna topnieć - ..nie musisz się niczego obawiać, kochanie. Nie byłbym dżentelmenem, gdybym pozwolił powiedzieć chociaż jedno złe słowo na twój temat.

- Jak zamierzasz temu zapobiec? - spytała, zaskoczona własnym gniewem. - Nawet ty nie jesteś w stanie powstrzymać plotki!

Will dotknął jej twarzy opuszkami palców i spojrzał głęboko w oczy.

- Nie zmusiłem cię do przyjścia tutaj wbrew twojej woli - powiedział spokojnie. - Sądzę, że zrozumieliśmy się w tej sprawie... czyż nie?

- Tak, ale... - Spojrzała na swoją stopę, nagle zdezorientowana. - Ale nie spodziewałam się, że... że... -  
Że co? Krzyknęła w myślach. Że będę wszystko tak głęboko odczuwać? - Że skręcę sobie kostkę - odezwała się słabo.

Westchnął.

- Dobrze, przyznaję, że to stanowi dla nas pewien problem.

- Bez wątpienia.

Przykucnął, żeby przyjrzeć się jej stopie.

- Może uda nam się zmniejszyć ból. Znam stare indyjskie lekarstwo - powiedział w zamyśleniu, dotykając jej palców u nóg.

- Nie wydaje mi się, aby błyszczący kamień uleczył moją kostkę - odezwała się z rozdrażnieniem.

Uniósł brew.

- Musisz uwierzyć, Phoebe - powiedział, ujął jej dłoń w swoją i odwrócił ją wnętrzem do góry. Palcem narysował linię od nasady wskazującego palca do krawędzi dłoni, po czym ją w tę rękę pocałował.

Ten delikatny, czuły pocałunek wywołał w niej dreszcz.

- Czy to jest to lekarstwo?

Potrząsnął głową, i nie puszczać jej dłoni, zbliżył się, aby móc ją objąć. Przesunął powoli palcami wzdłuż jej pleców, prowokując miliony drobnych dreszczy w całym jej ciele.

- Czujesz swoją kostkę? Phoebe potrząsnęła głową.

Schylił głowę i pocałował Phoebe w szyję, muskając jej skórę gorącym oddechem.

Poczuła... gwałtowną falę pożądania. Ogarnęła ją słabość nie do przewyciężenia.

Uniósł głowę.

- A teraz?

- A ja mam jakąś kostkę? - szepnęła.

Zaśmiał się cicho, ujął jej twarz w dłonie i pocałował mocno w usta.

Już zapomniała o swojej nodze - nie liczyło się nic poza jego gorącym uściskiem, namiętym pocałunkiem. Wsunął palce w jej włosy. Jedną ręką chwyciła go za nadgarstek, a drugą za klapę surduta i przyciągnęła go do siebie.

Objął ją w pasie, jej ciało przywarło do jego ciała. Przycisnął ją do muru i zaczął wędrować ustami od jej warg, do szyi i niżej, do dekoltu. Ocierał się o nią gorączkowo, gładząc każdą jej krągłość, szukając choć kawałka nagiej skóry. Phoebe zamknęła oczy i odchyliła głowę. Jej skóra płonęła wszędzie tam, gdzie zetknęły się z nią wargi Willa.

Zaczęła szarpać guziki jego kamizelki, potem odchyliła materiał na boki. Przez batystową koszulę czuła jego twarde, umięśnione ciało. Wyciągnęła mu poły koszuli ze spodni.

Nagle zrobił krok w tył, zrzucił z siebie kamizelkę i ściągnął koszulę przez głowę.

Phoebe z trudem zdusiła okrzyk entuzjazmu na widok jego nagiego torsu, ale musiała przyznać, że był zjawiskowy. Wyglądał jak greckie posągi, które zdobiły taras

w Middleton House w Londynie. Nigdy nie widziała z bliska nagiego męskiego torsu. Przesunęła palcami wzdłuż niewielkiego wgłębienia między mięśniami, które biegło od mostka i ginęło za paskiem spodni. Musnęła jego stwardniałe sutki, pogładziła umięśnione ramię.

Will oddychał płytko, mocno zaciskając szczęki, jakby z trudem zachowując spokój. Jednak gdy dotknęła jego podbródka, chwycił ją za rękę, pocałował jej dłoń i odezwał się ochryple:

- Szaleję, gdy jesteś blisko. Gdy widzę cię w twoich pokojach albo w jadalni z Farleyem i innymi, albo gdy przechadzasz się niedaleko altany, nie umiem... nie umiem trzymać się z dala. - Jego oczy płonęły.

- Nie umiem - powtórzył przez zaciśnięte zęby. Nagle chwycił ją w ramiona i wraz z nią opadł na kolana, pociągając ją na płaszcz rozłożony na miękkiej, pokrytej mchem ziemi.

Nie mógłby bardziej jej rozpałić. Dłonie Phoebe wędrowały po całym jego ciele, badając każdy mięsień, gładząc go i pieszcząc.

Willowi zaparło dech w piersiach, kiedy językiem musnęła jego sutek, a palcami usiłowała nieporadnie rozpaść rozporek i uwolnić jego nabrzmiałą męskość. Trwali w zmysłowym uścisku, a Willa ogarnęła szaleńcza fala pożądania. Gorączkowo szukał zapięcia jej sukni i w końcu uwolnił jędrne piersi. Pieścił je, całował, ssał stwardniałe sutki.

Phoebe objęła palcami jego twardą męskość, poruszając nimi tak delikatnie, że doprowadzała go do szaleństwa. Ogarniający go płomień zaczynał wymykać się spod kontroli. Całowała jego głowę, wbijała palce w ramię. Pokryła pocałunkami jego twarz, oczy, nos, usta, po czym jej usta powędrowały do jego torsu. I jeszcze niżej, dobry Boże, jeszcze niżej.

Każda cząsteczka jego ciała płonęła. Zbyt długo nie miał kobiety; ba, czuł się, jakby nigdy nie miał kobiety. Zaskoczyło go to, podnieciło i przeraziło.



Gdy dotknęła jego penisa ustami, Will gwałtownie drgnął. Cofnęła się, ale on położył dłoń na jej włosach i delikatnie naprowadził ją z powrotem.

Jej dotyk był tak boleśnie zmysłowy, że jego samokontrola wisiała na włosku. Ta kobieta, ta młoda wdowa popychała go poza granice wytrzymałości.

Nie był w stanie wytrzymać tego dłużej. Musiał znaleźć się w niej. Sięgnął po nią po omacku, unosząc jak szmacianą lalką i mocno obejmując ją ramionami, obrócił się, by położyć ją na plecach.

Zadzierając jej spódnicę powyżej bioder, wsunął rękę między jej uda. Była gorąca i wilgotna, a jej słodki jęk niemal doprowadził go do zguby. Jego palce wsunęły się w jej rozpaloną kobiecość; pieścił ją kciukiem, dopóki nie krzyknęła i nie zamarła na moment w ekstazie.

Nie, to przekraczało jego wytrzymałość. Jednym ruchem ściągnął z niej reformy. Przykrywając jej usta swoimi, położył się między jej udami, rozsuwając je szerzej kolanem.

- Doprowadziłaś mnie na skraj wytrzymałości. Pragnę cię - powiedział ochryple i wsunął się w nią, powodowany nieokiełznaną potrzebą.

Była taka ciasna. Krzyknęła cicho.

Zamarł zdezorientowany i spojrzał na nią. Phoebe miała mocno zaciśnięte powieki, a brwi ściągnięte w grymasie bólu.

- Dobry Boże - szepnął.

Spróbował się wysunąć, ale gwałtownie otworzyła oczy, uniosła się ku niemu i pocałowała go, po czym wsunęła palce w jego włosy.

- Zostań - szepnęła. - Kochaj się ze mną. Nic mi nie jest.

Will nie umiał pojąć, co się stało, ale jego ciało wrzało pożądaniem. Zaczął się poruszać. Ukrył twarz w jej włosach. Wchodził w nią głęboko. Z każdym pchnięciem

był coraz bliższy tego, by całkowicie ją osiąść, więc wsunął dłoń między ich ciała, żeby pieszczotą sprawić, aby doszła razem z nim. Jęknęła z rozkoszy, wbijając palce w jego ramię.

Jej szczytowanie dało mu podwójną siłę - ze zduszonym krzykiem spełnienia wytrysnął w nią nasieniem. Chrapliwie łapał powietrze, zachwycony tym, co między nimi zaszło, choć zarazem przerażony.

Przytulił Phoebe i położył się na boku. Wtuliła twarz w jego szyję. Ich skóra błyszczała od potu, więc leżeli bez ruchu, czekając, aż ochłoną.

Phoebe usiadła. Obserwował ją w milczeniu. Jej oczy przepelnione były niepokojem.

Nie mógł na nią patrzeć, nie pragnąc przy tym jej pocałować i przytulić, jednak niepokoiło go, że te uczucia tak bardzo nim zawładnęły.

Z zamyślenia wyrwał go brzęk uzdy Fergususa, i Will uświadomił sobie, że zrobiło się późno. Pogłaskał Phoebe po włosach.

- Musimy iść. Potaknęła.

Wstał i zajął się doprowadzeniem swojej garderoby do ładu. Phoebe patrzyła na niego z niejakim zakłopotaniem malującym się na twarzy.

- Jak twoja kostka?

- Nie wiem.

- Spróbujmy. - Will pomógł Phoebe wstać i poprawić garderobę. Ostrożnie przeniosła ciężar ciała na zranioną nogę i stwierdziła, że jest lepiej niż godzinę temu.

- Chyba mogę iść.

Skinał głową i zrobił krok w tył.

- Przyprowadzę Fergususa - powiedział i ruszył po konia. Jednak nagle zatrzymał się w pół kroku.

- Nic ci nie jest? - spytał. Wyglądała na zmieszana.

- Już jest lepiej.

- Nie chodzi o kostkę. Jej twarz pobleadła.
- Nic mi nie jest.
- Tak, ale wydawało mi się... - Nie miał odwagi zapytać. Nie wiedział, o co ma zapytać.
- Will... - Jej głos był tak cichy, że ledwie ją słyszał. - Minęło... minęło dużo czasu od... od...
- Ach - powiedział i uniósł dłoń, powstrzymując ją przed mówieniem.

Podszedł do niej, objął ją i przytulił. Chciał spytać, jak długo nie miała mężczyzny, czy kochała męża, czy ich stosunki były równie namiętne, jak ten przed chwilą. Jednak gdy poczuł, że westchnęła, uświadomił sobie, że bez względu na jej przeszłość między nimi wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

- Chodźmy więc - odezwał się delikatnie. - Musimy wrócić do dworu, nim zrobi się całkiem późno. Pocałował czubek jej głowy i zaprowadził do Fergususa.

\* \* \*

Addison akurat stał w holu i rozmawiał z Farleyem, kiedy pan Darby i madame Dupree nadjechali konno; ona siedziała w siodle przed nim, z rozpuszczonymi włosami, i na ten widok Addisonowi zaparło na chwilę dech w piersiach.

Lord Summerfield obejmował ją mocno i poufale. Addison zerknął na Farleya, którego twarz przybrała ponury wyraz.

- Proszę, proszę - mruknął lokaj i zwrócił się do służącego, który właśnie przechodził obok. - Billy, pomóż jaśnie panu - powiedział.

Billy natychmiast spojrział na podjazd. Ze zdumieniem szeroko otworzył oczy.

- A niech mnie!
- Billy! - warknął Farley.

- Tak, *sir*.

- Billy! - Addison usłyszał głos jaśnie pana. - Zjawiłeś się w samą porę. Madame Dupree miała wypadek.

- To nie był wypadek, o to mogę się założyć - bąknął Farley, wychodząc na zewnątrz.

Addison westchnął, patrząc, jak Billy pomaga krawcowej zsiąść z konia. Nawet lubił madame Dupree i przykro mu było, że coś jej się stało.

Oczywiście, że coś jej się stało - zawsze tak było. Jak tylko jaśnie pan oświadczy się panie Fitzherbert - co bez wątpienia nastąpi - biedna madame Dupree pójdzie w odstawkę.

Rozdział dwudziesty piaty

Powinno być to coś cudownego, chwila, która na zawsze pozostanie w pamięci - ale Phoebe była jednocześnie zdziwiona i zasmucona.

Na Boga, nie miała zamiaru posunąć się tak daleko, zatracić się z nim tak zupełnie. Ale dała się uwieść czarowi chwili, pożądaniu i... i miłości? Czy to była miłość? Przepelniały ją te odczucia tak, że była bezsilna.

Nienawidziła się za to, że go oszukiwała. Usiłowała myśleć, rozważała wyznanie mu prawdy, ale tak łatwo przyjął jej wytłumaczenie, a ona nie znalazła w sobie odwagi, żeby to sprostować. A teraz była rozdarta między szacunkiem do samej siebie, którego nie zostało jej zbyt wiele, a tym, co chyba było miłością do niego.

Dlaczego uważała, że może przywłaszczyć sobie cudzą tożsamość? Gdyby Ava i Greer były tutaj, skrytykowałyby jej niemądre zachowanie i głupie mrzonki. Przypomniała sobie dzień, w którym wyruszyła z Londynu w tę absurdalną i nieprzemyślaną podróż, i to, co wtedy powiedziała jej Ava: „Nie możesz być taką marzycielką, Phoebe. Wiesz, jaka potrafisz być niemądra, gdy bujasz w obłokach.”

Ileż by dała, żeby teraz zobaczyć twarz siostry! Jak bardzo chciała, aby Ava objęła ją ramieniem. A wtedy Phoebe wyznałaby jej, jaką straszną, okropną, cudowną rzecz zrobiła!

Prawie wcale nie spała - nie pozwalała jej na to gonitwa myśli. Mocno przycisnęła twarz do poduszki, mając nadzieję, że spłynie na nią oświecenie, coś, co pokaże jej właściwą drogę.

Zegar na kominku właśnie wybił drugą, gdy usłyszała skrzypnięcie podłogi. Usiadła, przestraszona, a jej wzrok skupił się na ciemnej postaci w nogach łóżka. Will.

Podszedł i usiadł na brzegu pościeli. Nie odezwał się. W słabym świetle księżycy widziała jego przystojną twarz.

- Gdybym wiedział - odezwał się ochryple - gdybym zrozumiał, zachowałbym się zupełnie inaczej.

Phoebe odruchowo przycisnęła palce do jego warg, żeby już nic więcej nie mówił. Ale Will odsunął je i przytulił ją do siebie, jakby robił to wcześniej tysiące razy.

- Gdybym zrozumiał, Phoebe, kochałbym się z tobą ostrożnie - szepnął i pocałował ją w skroń. - O tak

- powiedział cicho i pocałował jej drugą skroń. - I tak - mruknął, całując grzbiet jej nosa. - I tak... -

Przywarł ustami do jej ust, całując ją czule, podczas gdy jego dłoń odnalazła jej pierś. I delikatnie ją popchnął, by się położyła.

Tym razem kochał się z nią niezwykle uważnie, dotykając każdej części jej ciała rękoma i ustami, z delikatnością letniego deszczu. Gdy ją głaskał, czuła mrowienie. Kiedy smakował jej skórę, znów spalał ją wewnętrzny żar. A kiedy położył się między jej nogami, pieszcząc ją tam i całując, miała wrażenie, że nieskrępowana szybuje nad ziemią.

Kiedy wydawało się jej, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, podniósł się i ostrożnie w nią wszedł, poruszając się w niej z czułością. Płynnie, delikatnie drażnił ją swoim rytmem, zatrzymując się, gdy już była bliska ekstazy, po czym zaczynał wszystko od nowa, przez cały czas nie przestając jej dotykać w najbardziej intymny sposób.

Kiedy w końcu zaczęła błagać go o litość, zabrał ją na szczyt spełnienia, nieustannie szepcząc jej imię, aż ca-

łe napięcie z niej uleciało, a on z jękiem w końcu także poddał się tej oślepiającej wszystkie zmysły ekstazie.

\* \* \*

Nie pamiętała, kiedy zasnęła, ale gdy obudziła się następnego ranka, Willa nie było, a w jej pokoju krzątała się Frieda.

Przez moment Phoebe wydawało się, że śniła. Jednak wgniecenie na poduszce w miejscu, w którym trzymał głowę, świadczyło o tym, że to wcale nie był sen.

No tak - pomyślała, gdy wstała i poczuła ból między nogami.

Tak, to była miłość.

\* # \*

Kolejny dzień upłynął błyskawicznie - wszyscy byli w gorączce ostatnich przygotowań przed przyjazdem gości. Pokoje należało przewietrzyć i odkurzyć, bieliznę stołową i pościelową wyprasować, podłogi zamieść, a dywany wyczyścić.

Odbyła się także ostatnia przymiarka sukni balowych i dziennych.

Phoebe uświadomiła sobie, mierząc po raz kolejny ramiona kreacji Jane przy akompaniamencie jej narzekań, których jednak nie słuchała, że gdy skończy szyc te suknie, jej praca tutaj dobiegnie końca.

Nie mogła o tym myśleć. Nie zamierzała o tym myśleć.

Cały czas pracowała. Kiedy nie szyła, ćwiczyła odpowiednie ukłony z Alice i Jane, przypominając im o etykiecie obowiązującej podczas picia herbaty, a w nielicznych wolnych chwilach wymykała się na spotkania z Willem.

Widzieli się po obiedzie w altanie. Przyniósł jej bukiet kwiatów, które zerwał w ogrodzie, i wyszeptał kilka mi-

łych słów, nim poszedł do stajni po konia (wybierał się do wsi na spotkanie z sekretarzem ojca). Phoebe zobaczyła go ponownie przed kolacją, gdy udało jej się wyjść na chwilę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Dobrze wiedziała, że w tym samym czasie wyprowadzi ojca na spacer.

Kolejny raz zobaczyła go po kolacji; zebrał całą służbę i domowników, żeby jeszcze raz omówić plany na następne dwa tygodnie. Phoebe stała w cieniu z tyłu, świadoma, że wyraz twarzy mógłby zdradzić jej prawdziwe uczucia.

I tej nocy znowu do niej przyszedł, wślizgując się do jej łóżka, gdy zegar wybił drugą. I zabrał ją na wyżyny szczęścia, o których istnieniu nawet nie śniła.

Jednak następnego ranka obudziła się w łóżku sama.

Gdy Frieda przysłała do pracy, Phoebe była już ubrana i stała w otwartym oknie, mając nadzieję, że go zobaczy. Z radosnym uśmiechem odwróciła się ku drzwiom, ale natychmiast zgasł, bo zobaczyła, że Frieda płacze.

- Co cię tak zdenerwowało? - zawołała przerażona.

- To już prawie tydzień - zaszlochała kobieta. - Nie mogę już dłużej się oszukiwać, jestem w ciąży.

- Och, nie - wyszeptała Phoebe i ją objęła.

Nie wiedziała, co jej powiedzieć ani co zrobić ponadto, a Frieda płakała i rozpaczała, że zostanie zwolniona z pracy i przez wszystkich potępiona.

- Nie mogę nawet zwrócić się do własnej matki - zatkała, co jakiś czas robiąc przerwę na wydmuchanie nosa. - Nie przyjmie mnie, bo w domu wciąż jest moja młodsza siostra. Nie mam dokąd pójść.

- Summerfield cię nie wyrzuci - powiedziała z przekonaniem Phoebe. - Nie wierzę, że mógłby coś takiego zrobić. To dobry człowiek.

- Tak, ale to robi! Powiedział nam, gdy wrócił, że nie będzie tolerować pod swoim dachem żadnych nieobyczajności.

- A co z Charlesem? Z pewnością zostanie potraktowany w ten sam sposób. Na pewno zachowa się wobec ciebie odpowiednio, Friedo.
- Tak, powinien, prawda? Ale oskarżył mnie o oszustwo i twierdzi, że to może być dziecko innego mężczyzny - dodała poważnie, wycierając oczy brzegiem fartucha. - Nie chce stracić stanowiska ani nie zechce, żeby dzieciak pałętał mu się pod nogami. Ale mnie się nie uda tego ukryć, prawda? - Spojrzała na siebie w wysokim lustrze i jej dolna warga zaczęła drżeć. - Nikt nie da mi pracy, gdy będę miała brzuch wielkości arbuza i żadnego męża przy sobie!
- Nie możesz tak myśleć...
- Ty nic nie rozumiesz! - krzyknęła Frieda i odepchnęła Phoebe. - Bo niby dlaczego miałybyś rozumieć? Jesteś do bólu porządna. Gdybyś to ty zaszła w ciążę z Charlesem, na pewno natychmiast by ci się oświadczył. A ja jestem rozpustnicą, z którą może zaspokoić swoje paskudne żądze. Phoebe zadrżała.
- Friedo! - zawołała.
- Usiłowała za wszelką cenę znaleźć jakiś argument, pocieszenie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Frieda miała rację. Biedne dziewczyny, które zostawały służącymi i niczego nie miały, nawet urody, czekało o wiele cięższe życie niż innych.
- Po raz pierwszy, odkąd zaczęła się ta maskarada, Phoebe pomyślała, że dobrze by było, gdyby jej szwagrowi udało się przeforsować w parlamencie te reformy dla kobiet.
- Zawstydzona, że nie jest w stanie wymyślić niczego, co mogłoby pocieszyć Friedę, odezwała się nieśmiało:
- Co zamierzasz zrobić?
- Młoda kobieta wzruszyła ramionami, głośno wytarła nos i powiedziała ponuro:
- Nie mam pojęcia.



Usiadła przy stole, niewiele odzywając się przez resztę dnia, z głową pochyloną nad robotą i zaciśniętymi szczękami.

Pracowały obie przez całe popołudnie, dopóki nie wystraszyło ich nagłe i głośnie przybycie Alice i Jane, ubranych wienne suknie, które uszyła dla nich Phoebe.

Na twarzach miały nietypowe dla siebie promienne uśmiechy.

- Przyjechali! - zawołała Jane, podbiegając do okna.

- Kto przyjechał? - spytała Phoebe.

- Pierwsi goście: lord i lady Fremont i ich synowie - odparła zdyszana Alice, dołączając do Jane.

Obie wychyliły się tak mocno, że Phoebe widziała rąbki ich halek. Alice odwróciła się do niej i machnęła na nią zniecierpliwiona. - Proszę spojrzeć! Szybko!

Phoebe uśmiechnęła się, widząc ich ożywienie i przypominając sobie chwile, kiedy sama bywała tak podekscytowana przybyciem gości, i przyłączyła się do dziewcząt.

Wcisnęła się pomiędzy Alice i Jane, a następnie wychyliła na zewnątrz, żeby popatrzeć. Właśnie nadjechała ciągnięta przez cztery siwki lśniąca czarna dwukółka z ozdobnymi złotymi kwiatonami i z herbem wytłoczonym na lakierowanych drzwiach. Trzech służących Summerfielda, odzianych w odświętne liberie, pomagało kobiecie wysiąść z powozu. Tuż za służącymi stał Will z Farleyem i jeszcze jednym służącym u boku.

Podczas gdy Alice i Jane chichotały na widok jednego z synów Fremontów, Phoebe patrzyła na Willa. Jego ciemnozłote włosy były uczesane i podcięte, kołnierzyk miał w nienagannym stanie, a pasujący do kamizelki fular w złoto-brązowe pasy zawiązany został w sposób idealny. Darby ciepło przywitał się z kobietą, pochylając się nisko nad jej ręką, i uśmiechając się do niej tak pięknie, iż Phoebe zdrżała.

- Och, jest! - szepnęła Jane gorączkowo, szturchając Alice tak mocno, że ta wpadła na Phoebe.

- To on? - rzuciła Alice, marszcząc brwi. - Myślałam, że jest... większy.

- Kto to? - spytała Phoebe, patrząc na młodego, tyczkowatego mężczyznę, który wysiadł za kobietą. W płaszczu wydawał się naprawdę niewielki, a kołnierzyk sprawiał, że jego szyja wyglądała na chudsza niż w rzeczywistości.

- Lord Canham - powiedziała Jane z tęsknym westchnieniem. - Owszem, jest jeszcze młody, ale pewnego dnia zostanie hrabią Fremont i odziedziczy olbrzymią posiadłość, i będzie miał pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

- Aha - odparła Phoebe. - Teraz widzę jego zalety. Dziewczęta zachichotały.

Will uklonił się przed młodym lordem Canhamem, który odwzajemnił ukłon, nieporadnie kiwając przy tym głową i nagle spojrzął do góry. Trzy kobiety głośno wciągnęły powietrze i natychmiast cofnęły się do pokoju.

- Dobry Boże, widział nas? - spytała rozgorączkowana Jane.

- Spójrz, Phoebe - syknęła Alice, popychając ją do przodu.

Phoebe ostrożnie pochyliła się do przodu. Kolejny młody mężczyzna - właściwie jeszcze chłopiec - wysiadł z powozu, i wszyscy pograżyli się w rozmowie.

- Nie - powiedziała, potrząsając głową. - Jestem pewna, że nas nie widzieli.

To zachęciło Alice i Jane, żeby ponownie wyrzeć przez okno.

- To jego młodszy brat, panicz Paul - powiedziała Jane. - Szkoda, że nie jest trochę starszy, Alice, może by ci się oświadczył.

- Nie bądź niemądra - odezwała się Alice. Ale się przy tym uśmiechała.

Wszystkie trzy przyglądały się, dopóki całe towarzystwo - łącznie z lordem Fremontem, który wysiadł z powozu jako ostatni - nie weszło do domu, po czym jak na komendę odwróciły się od okna.

- Już się nie mogę doczekać, kiedy będę oficjalnie przedstawiona - powiedziała wesoło Jane i wykonała głęboki ukłon.
- Bardzo dobrze! - pochwaliła ją Phoebe. - A kiedy masz zostać przedstawiona?
- Na pewno nie przed kolacją - odparła Alice. - Mamy się do tego czasu nie pokazywać, jak jakieś ubogie krewne.
- Nie zniosę tego czekania - poskarżyła się Jane.
- Zapewniam cię, że chociaż teraz nie możesz się doczekać, za dwa tygodnie z radością ich wszystkich pożegnasz - powiedziała Alice z prychnięciem, podnosząc torebkę, którą zrobiła Phoebe. - Mogę ją dostać? - spytała.
- Na pewno nie! - krzyknęła Jane, podczas gdy Phoebe twierdząco skinęła głową do Alice. Jane tanecznym krokiem podeszła do drzwi. - Uwielbiam przyjęcia, a zwłaszcza takie, które kończą się wielkim balem, i na pewno nie będę się cieszyć, kiedy zaczną wyjeżdżać.
- Będziesz! - odparła Alice, idąc za Jane z torebką w ręku. - Zapamiętaj moje słowa, będziesz! Dopiero kiedy wyszły, Phoebe uświadomiła sobie, że Frieda zniknęła.

## Rozdział dwudziesty szósty

Dwutygodniowe przyjęcie, polowania, zabawy, kolacje i tańce do bladego świtu miesiąc wcześniej wydawały się wspaniałym pomysłem. Teraz Will ledwie mógł to wytrzymać.

Pomysł, żeby odpowiednio wprowadzić rodzeństwo do towarzystwa, a siebie przedstawić wszystkim pannom w Bedfordshire, nie mógł pojawić się w gorszym momencie. Umysł Willa był całkowicie pochłonięty Phoebe. Mógł myśleć wyłącznie o tym, kiedy znowu ją zobaczy, ale niestety przyjechali Fremontowie i Daughtry'owie z dziećmi, więc był całkowicie pochłonięty rolą gospodarza.

Nie wspominając o tym, że córka lorda Daughtry'ego, lady Candance, bardzo chciała wciągnąć go w rozmowę.

Pierwszego wieczoru wszystkie trzy rodziny zjadły razem kolację. Nadal było upalnie, a w jadalni w związku z tym - duszno. zaproponował, aby po posiłku przenieśli się na taras, co wszyscy przyjęli z wyraźną ulgą.

Na tarasie Will z przyjemnością zauważył, że Alice i Jane zachowywały się nienagannie, i nawet Roger i Joshua - pochłonięci grą w bilard - przebrnęli przez wieczór, nie obrażając nikogo.

Cieszył się, bo po raz pierwszy był zadowolony ze swojego rodzeństwa. Wtedy lord Daughtry zaproponował, aby Will pokazał jego córce ogród, z którego sływał Wentworth Hall.

Dzień przechodził w noc, rzucając ostatnie blade promienie światła na ziemię.

Prowadząc lady Candance między bogatą roślinnością, Will dostrzegł nagle Phoebe. Szal ześliznął się z jej ramienia i zwisał luźno. Włosy, które w tym świetle wydawały się białe, miała od niechcenia upięte jedną długą szpilką. Pojedyncze kosmyki swobodnie opadały na plecy. Trzymała w obu rękach swój szkicownik i najwyraźniej dokąś zmierzała.

Podczas gdy lady Candance opowiadała o jakiejś podróży swojej rodziny, Will obserwował, jak Phoebe odchodzi. Kiedy lady Candance napomknęła o braku opadów w ciągu ostatnich tygodni, w ogrodzie zjawili się dwaj służący i zaczęli zapalać pochodnie. Phoebe pojawiła się między nimi, i z promiennym uśmiechem zatrzymała się, żeby z nimi porozmawiać. Zauważył, jak obaj mężczyźni na nią chętnie patrzyli, i poczuł, że krew zaczyna mu wrzeć w żyłach.

Oczywiście, że tak na nią patrzyli - była piękną kobietą, a oni byli mężczyznami. Nie miał prawa czuć się zazdrosny.

- Był pan ostatnio w Londynie? - spytała lady Candance, odrywając jego myśli od Phoebe.

- Nie - odparł z uśmiechem i podał jej ramię, gotów odprowadzić lady Candance do jej rodziny. - A pani?

- W czasie sezonu, oczywiście.

- Oczywiście.

- Chętnie wrócę tam podczas kolejnego sezonu. To już wkrótce.

- Rzeczywiście - powiedział i zaczął prowadzić ją do reszty towarzystwa. Obejrzał się przez ramię - służący zapalali pochodnie, ale Phoebe zniknęła.

\* \* \*

Następny dzień był gorący i suchy. W powietrzu unosił się kurz wzniesiony przez kilkanaście powozów,

w których przybyli pozostali goście. Jednak większość z nich nic sobie nie robiła z upału.

I również tego dnia rodzeństwo Willa zachowywało się nienagannie. Pomyślał - miał nadzieję - że po czterech miesiącach pod jego kuratelą przekroczyli wreszcie jakąś niewidzialną barierę i stali się dobrymi, prawymi obywatelami, godnymi nazwiska, które nosili.

Cieszył się tak bardzo, że po południu odwiedził ojca i z dumą opowiadał o zachowaniu braci i sióstr. Była tylko jedna rzecz, która psuła mu ten idealny dzień - Farley powiedział, że Frieda, młoda kobieta, która pomagała Phoebe uszyć te przepiękne stroje dla jego sióstr, uciekła.

- Uciekła? - spytał zdezorientowany. Wydawało mu się, że warunki pracy, które oferował, były bardzo dobre.

- Wygląda na to, że znalazła się w kłopotliwej sytuacji, jaśnie panie - odparł Farley.

Widząc pytające spojrzenie Willa, Farley pochylił się i wyszeptał:

- W ciąży.

- Kto? - spytał natychmiast Will.

- Nie wiemy na pewno, jaśnie panie. Wygląda na to, że Frieda dość hojnie obdarzała swoimi wdziękami.

- Jesteś pewien? Nie ma żadnego mężczyzny, którego można za to obwiniać?

- Nie mogę tego ustalić, jaśnie panie.

- Więc krzyżyk na drogę - powiedział szorstko Will. Zastanawiał się, dokąd Frieda mogła pójść, i uznał, że wróciła do rodziny. Wszystko jedno, bo i tak musiałby ją zwolnić. Nie mógłby pozwolić na to, by pracowała w jego domu.

I tylko przemknęła mu przez głowę myśl, że sytuacja Friedy była dość podobna do sytuacji Phoebe.

\* \* \*

Phoebe dowiedziała się o zniknięciu Friedy od pani Turner.

- Będzie miała dziecko - powiedziała pani Turner, nie kryjąc odrazy. - Ostrzegałam ją, żeby się pilnowała, ale mnie nie słuchała.

- Dokąd mogła pójść? - spytała Phoebe przerażona myślą o rozpaczy, której musiała gdzieś tam doświadczać Frieda.

- Kto to wie? Pewnie wyjechała z Bedfordshire do Londynu, jeśli ma trochę oleju w głowie. Tam przynajmniej może uda się jej znaleźć pracę, nim jej stan będzie widoczny. - Pani Turner pokręciła głową.

- Dobrze jej tak, skoro nie szanowała swojej cnoty.

Phoebe poczuła ucisk w żołądku; spojrzała na maleńkie serpentynki, które wyszywała na gorsecie dziennej sukni. Zastanawiała się, czy pani Turner miała jakieś podejrzenia względem jej nagannego zachowania. Zerknęła na gospodynię.

Nawet jeśli pani Turner coś podejrzewała, nie dała tego po sobie poznać. Przyglądała się dwóm sukniom, które wisiały na haczykach na ścianie.

- Śliczna robota - powiedziała z podziwem. - Mam nadzieję, że uda się je pani skończyć bez pomocy Friedy.

- Tak - odparła Phoebe. - Już prawie skończyliśmy.

- Dobrze. - Pani Turner podeszła do drzwi. - Mam wiele roboty przy tylu gościach.

- Będzie mi jej brakować - rzuciła Phoebe. - Była moją przyjaciółką.

Pani Turner zatrzymała się i spojrzała na Phoebe.

- A więc cieszę się, że odeszła, madame Dupree. Nie byłoby dobrze, gdyby taka szacowna dama jak pani zadawała się z taką rozpustnicą.

I wyszła.

Phoebe opadła na krzesło, serce waliło jej jak oszalałe. Frieda. Kochana, biedna Frieda. Była wściekła, że mężczyzna, który zrobił jej dziecko, w przeciwieństwie do Friedy nie poniesie żadnych konsekwencji. Phoebe naprawdę doceniała to, co próbowali zdziałać jej szwagrowie. Jakże ważny byłby ich sukces dla kobiet takich jak Frieda, które popełniły błąd i zakochały się w draniu. Oczywiście Phoebe знаła też inne kobiety, które się zakochały - ale wszystkie chronione były przez rodowe nazwiska i majątek. Ich pomyłki ukrywano przed światem i na pewno nie musiały szukać schronienia, zatrudniając się w jakimś paskudnym miejscu.

Friedzie jednak nigdy nie uda się ukryć.

Chociaż Phoebe martwiła się o nią, to jednak udało jej się dokończyć poranną suknię Alice, ponieważ dwie szalone siostry tym razem jej nie przeszkadzały. Pracowała do wieczora, aż rozboleły ją palce. Przerwała pracę, żeby pootwierać wszystkie okna - późnym popołudniem w pokoju zrobiło się duszno. Gdy je otwierała, domyśliła się, że pozostałe okna w domu muszą być pootwierane, bo słyszała śmiechy dochodzące z pokoju piętro niżej. Przypomniał jej się pierwszy dzień, gdy tu przyjechała, i wtedy słyszała jedynie kłótnie.

Jak radosny wydawał się ten dom, gdy rozbrzmiewał w nim śmiech. Jak szczęśliwy musi być teraz Will.

Will. Strasznie za nim tęskniła. Gdyby była w Londynie, gdyby tam spotkała lorda Summerfielda, siedziałaby naprzeciwko niego podczas jakiejś prozowanej kolacji. Wszystko byłoby zupełnie inaczej - on mógłby nawet zabiegać o jej względy, a ona...

Phoebe zrzuciła fartuch.

- Jest zdecydowanie za gorąco - mruknęła do siebie. Skoro wszyscy będą zajęci kolacją, może to dobry moment, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Przejdzie się w kierunku wschodniej części domu, obok stajni, żeby nikomu nie przeszkadzać.



Kiedy wyszła na zewnątrz i znalazła się na podjeździe, zatrzymała się na chwilę i odrzuciła głowę do tyłu; zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Nawet przy takim upale powietrze tutaj było znacznie bardziej orzeźwiające niż w Londynie - to podziało na nią ożywczo.

Phoebe ruszyła przed siebie. Tak szybko maszerowała ścieżką prowadzącą do stajni, że w pierwszej chwili nie usłyszała dziewczęcego śmiechu. Zatrzymała się i przekrzywiła głowę - znowu dobiegł ją śmiech. Phoebe odwróciła się w kierunku krzewów, które rosły wzdłuż ścieżki wiodącej do stajni, próbując ustalić, skąd dobiegał kobiecy głos. Kiedy ponownie go usłyszała, towarzyszył mu także niski głos męski.

Najwyraźniej zaczęły się już wyglupy typowe dla takich przyjęć. Miała zamiar po cichu się wycofać i znaleźć inną drogę. Ale wtedy rozpoznała ten pierwszy głos.

- Musisz już iść - powiedziała Alice. - Mój brat nie będzie przecież wiecznie jadł kolacji.

- Wystarczy, żeby zająć go na jakiś czas - odparł młody mężczyzna. - No, Alice... chodź ze mną. Znam jedno miejsce na Wzgórzu Tannera.

- Nie - powiedziała. Po jej odmowie zapadła cisza, po czym rozległ się szelest poruszanych krzewów. Zaskoczona Phoebe odwróciła się, nerwowo szukając jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Schowała się za krzakiem w chwili, gdy Alice i pan Hughes pojawili się z drugiej strony. Szeptali coś do siebie, a ze swojej kryjówki Phoebe widziała promienny uśmiech Alice. Kochankowie zatrzymali się na chwilę, aby się przytulić; Hughes pocałował ją namiętnie, aż Alice odsunęła się od niego ze śmiechem. Następnie wzięli się za ręce i poszli w stronę stajni.

Phoebe była tak zszokowana, że nie mogła się ruszyć i z trudem łapała oddech. Alice zaklinała się, że już się z nim nie spotyka. Oszukiwała ich wszystkich.

Ironia tej sytuacji była oczywista - Phoebe nie mogła winić Alice, skoro sama była oszustką. Cała jej egzystencja była kłamstwem!

Wygramoliła się zza krzaka i ruszyła z powrotem, w przeciwną stronę niż para. Wszystko, co dotychczas o sobie myślała, nagle stanęło pod znakiem zapytania. Była tak pogrążona w rozmyślaniach, że bez zastanowienia poszła znajomą ścieżką prowadzącą do ogrodu. Nie miało to większego znaczenia - wróci przez wejście dla służby i uniknie spotkania z gośćmi.

Wkrótce zauważyła przed sobą dwóch służących zapalających pochodnie które miały rozświetlić ogród. Jeszcze jej nie zauważyli i jeden z nich ze śmiechem rzucił dość ordynarną uwagę na temat stogu siana i pary pończoch. Phoebe wiedziała, że mówią o Friedzie.

Drugi roześmiał się ze sprośnego dowcipu i zerknął w stronę domu.

- Prawda jest taka, że mógłbym ją mieć, gdybym chciał.

- Co? - zadrwił drugi. - Ale nie chciałeś, tak? Pierwszy służący powiedział coś, czego Phoebe nie usłyszała, ale obaj zarechotali.

- Przepraszam - powiedziała chłodno, zaskakując ich obu.

- Madame Dupree - odezwał się drugi służący, o imieniu Edward. - Nie zauważyliśmy pani.

Beck wyglądał na wyjątkowo zażenowanego.

- Nie powinna pani tego słyszeć - powiedział z zakłopotaniem.

- Ale słyszałam. I zastanawiam się, czy któryś z was pomyślał o młodej kobiecie, która teraz jest zagubiona gdzieś tam w świecie, podczas gdy jej przyjaciel może nadal spokojnie pracować? - spytała ostro, zaskoczona własnym temperamentem.

- E tam - zadrwił Edward. - Może i oddał celny strzał, ale Frieda nie powinna była zadzierać spódnicę, prawda?

Phoebe poczerwieniała na twarzy.

- Lecz nie jest to sprawiedliwe. W tę tragedię zamieszanych jest dwoje ludzi, nie tylko ona.

Edward prychnął.

- Dlaczego taka porządna dama jej broni? - spytał wyzywającym tonem. - Może więc plotki są prawdziwe, co, Beck? Może nie tylko Frieda zadziera spódnicę.

Zszokowana Phoebe głośno wciągnęła powietrze. Widząc jej reakcję, Edward się roześmiał, ale Beck wyglądał na równie zszokowanego jak ona.

Phoebe odeszła odprowadzana śmiechem Edwarda, który dźwięczał jej w uszach.

Zawstydzona wbiegła po schodach na taras, a skręciwszy za róg, niemal zderzyła się z gośćmi.

Dopiero wtedy zauważyła, że wszyscy zebrali się na tarasie, a Will, jej Will, stał przy balustradzie z panną Fitzherbert uwieszoną zaborczo u jego ramienia.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Lord Duckworth był mężczyzną, któremu sprawiały przyjemność własne słabości - cygara, whisky i kobiety. Powszechnie było wiadomo, że żona i pastor często straszili go piekłem, ale to ani trochę nie powstrzymało lorda Duckwortha przed grzechem.

Kiedy zobaczył Phoebe, jego oczy rozbłysły, jakby znalazł diament w wozie pełnym węgla.

Will obserwował go, jak obraca się na pięcie i chwytając Phoebe za ramię swoją potężną dłoń. Niemal w tym samym momencie Caroline zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Hola, kogóż my tu mamy? - spytał Duckworth radośnie, przyglądając się Phoebe i ani na moment nie przestając rzuć końcówki cygara.

- Przepraszam - powiedziała Phoebe, grzecznie uwalniając ramię z jego uścisku. - Nie wiedziałam, że ktoś będzie...

- Madame Dupree? - zawołał Will. - Jak miło, że pani do nas dołączyła. - Spojrzała na niego skonsternowana. - Dobrze się pani czuje, *madame*?

- Tak, oczywiście - powiedziała, przywołując na usta niewyraźny uśmiech. - Przepraszam, jaśnie panie, nie wiedziałam... ja... myślałam, że właśnie spożywacie kolację - wykrztusiła.

- Jest za gorąco, żeby już siadać do stołu. I dobrze, bo inaczej byśmy pani nie spotkali - powiedział Duckworth,

utkwivszy wzrok w dekolcie Phoebe i mocno chwycivszy jej dłoń. - Pozwoli pani, że ją odprowadzę do domu.

- Nie, naprawdę, proszę sobie nie robić kłopotu...

- Nalegam - odparł, patrząc na jej wargi. Nawet wyciągnął z ust przeżute cygaro i wyrzucił je do doniczki, nim zwrócił się do Willa z uśmiechem. - Kogóż to przed nami ukrywasz, Summerfield? - zawołał. - Nie przypominam sobie, abym został przedstawiony tej wyjątkowo uroczej młodej damie.

- Oczywiście, że nie został pan przedstawiony, ponieważ nie potrzebuje pan sukni - powiedziała Caroline przesłodzonym tonem.

Will prawie zapomniiał, że stała obok niego.

- Ręka, którą tak mocno pan ściska, należy do krawcowej - dodała.

- Ach, krawcowa - powiedział Duckworth, jakby ta wiadomość go ucieszyła. Uśmiechnął się szeroko do biustu Phoebe. - Jest pani prawdziwym skarbem.

- Na Boga, Duckworth, jeśli zamierzasz ją zaprowadzić, po prostu to zrób - odezwał się poważnie Will.

- Och nie, naprawdę nie powinnam - spróbowała wtrącić się Phoebe.

- Słyszała pani naszego gospodarza - odparł pogodnie Duckworth i zaczął prowadzić ją po schodach. Posłała Willowi smętny uśmiech, kiedy znaleźli się na tarasie - miał wrażenie, że w tym momencie wolałaby być gdziekolwiek indziej.

- No, Summerfield, dlaczego ukrywałaś swoją krawcową? - spytał jowialnie Duckworth. - Gdybym wiedział, że masz jedną pod swoim dachem, na pewno zamówiłbym jakąś garderobę dla lady Duckworth.

- Pozwól, że dokonam właściwej prezentacji - powiedział chłodno Will, patrząc znacząco na jego dłoń położoną na dłoni Phoebe. - Madame Dupree, przedstawiam lorda Duckwortha.

- Miło mi pana poznać.

Duckworth puścił rękę Phoebe, ale nie mógł oderwać od młodej kobiety wzroku. Oczywiście, że nie mógł - była piękna, a wieczorne światło tylko podkreślało jej urodę.

- Skąd pani pochodzi, madame Dupree? - spytał Duckworth, krzyżując dłonie za plecami. - Chciałbym zamówić nową garderobę dla żony.

- Niestety - wtrącił się Will - madame Dupree jest obecnie niezmiernie zajęta.

- Och? - rzucił Duckworth, wyraźnie zawiedziony.

- Rzeczywiście, jaśnie panie. Gdy skończę pracę tutaj, czeka na mnie zlecenie gdzie indziej. - Nie spojrzawszy na Willa, nie widziała więc, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa.

- Mówiła pani, że w Londynie, prawda? - spytała chłodno Caroline.

- Tak, w Londynie - potwierdziła Phoebe, zerkając na „usłużną” kobietę.

Will nie chciał, aby mu o tym przypominano.

- Madame Dupree, nie chcemy pani zatrzymywać.

- Dziękuję - odezwała się cicho. - Zostawię państwa.

- Wycofała się, z wdziękiem się kłaniając.

Ale Duckworth nie zamierzał pozwolić jej odejść.

- Bzdura, madame Dupree - wtrącił się natychmiast.

- Musi pani zostać. - Podniósł wzrok na Willa. - Będzie idealną towarzyszką dla panny Dumbarton, naszej guwernantki.

Phoebe sprawiała wrażenie, że chce uciec jak najdalej.

- Jaśnie panie, nie mogę się narzucać.

- Nie narzuca się pani - zapewnił ją Will.

- Tak, prosimy, madame Dupree. Pani obecność niezmiernie ucieszy lorda Duckwortha i pannę Dumbarton - odezwała się cierpko Caroline. Tylko Duckworth roześmiał się z tego.

- Gdzie jest panna Dumbarton? - Caroline spytała Duckwortha. - Może od razu je sobie przedstawimy.

- W zielonym salonie - odparł Duckworth.

Phoebe szeroko otworzyła oczy.

- Jaśnie panie, nie powinnam...

- Bzdura - powiedział Will i wskazał na drzwi. - Duckworth ma rację. Panna Dumbarton ucieszy się z pani towarzystwa, jak my wszyscy - dodał z werwą i uwolnił ramię z uścisku Caroline. - Duckworth, dotrzyмай towarzystwa pannie Fitzherbert, a ja dokonam prezentacji.

- Z przyjemnością - powiedział Duckworth, ale Will widział po minie Caroline, że nie była zadowolona z nowego towarzysza.

Później to załatwi. W tej chwili wziął Phoebe za łokieć i poprowadził ją do środka budynku. Znaleźli się w pustym korytarzu.

- Uważaj, żebyś się nie pośliznęła i nie skrzyła kostki, gdy będziesz pędzić do swojego pokoju - odezwał się Will.

- Mogę spytać, co ty robisz? - szepnęła Phoebe rozgorączkowanym tonem. - Nie mogę się do was przyłączyć!

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - powtórzyła, zatrzymując się w pół kroku, żeby spojrzeć mu w twarz. Czuła, że rozpiera ją złość. - Dlaczego nie? To bardzo niestosowne! Wielu zacznie snuć domysły, dlaczego zostałam zaproszona, a zważywszy na wydarzenia dzisiejszego dnia, sądzę, że dojdą do najbardziej podłych wniosków, jeśli już nie doszli!

- Dlaczego ktoś miałby sądzić, że to jest coś więcej niż jest? Przecież nie dołączysz do nas przy kolacji, tylko przyłączysz się do panny Dumbarton. Prośba, abyś dotrzymała towarzystwa guwernantce, nie wydaje mi się nieprzyzwoita - powiedział z równym rozgorączkowaniem. - Taka jesteś wybredna? - spytał, i chwycił ją za łokieć, popychając do przodu.

- Tak! Tak! Taka jestem wybredna! Sprawily to ostatnie wydarzenia w Wentworth Hall! - zawołała i spojrzała na niego, jakby w ogóle go nie znała. - Frieda odeszła,

*Sir!* Uciekła z powodu swojego wstydu, o którym wszyscy mówią! Jak sądzisz, co pomyślą sobie twoi goście, jeśli twoja krawcowa nagle zostaje dopuszczona do twojego salonu.

- Pomyślą, że jesteś szlachetnie urodzona, Phoebe

- powiedział, otwierając drzwi do małego gabinetu. - Pomyślą, że dotrzymujesz towarzystwa młodej kobiecie, która ma podobną pozycję. Zapewniam cię, że nie pomyślą sobie niczego złego. - Szybko wpuścił ją do środka, zostawiając lekko uchylone drzwi, żeby do pokoju wpadło trochę światła z kinkietów na korytarzu.

- Co powie Farley? Albo pani Turner? - kontynuowała i zaczęła przechadzać się po maleńkim gabinecie. - Zaczną coś podejrzewać i porównywać mnie do Friedy.

- Wątpię, aby ktokolwiek porównywał cię do Friedy.

- Och, ale będą - odparła. - A poza tym nie jestem stosownie ubrana - dodała, patrząc na swoją suknię, po czym zrobiła dwa kroki w prawo, a następnie dwa kroki w lewo. - Nic mnie nie łączy z tymi ludźmi, nie zależy mi na towarzystwie i... i...

Will uspokoił ją, chwytając wpół i całując gorąco i namiętnie.

Początkowo Phoebe chciała go odepchnąć, ale Will jej nie puszczał - nie był w stanie. Gdy tylko jego usta dotknęły jej warg, był zgubiony. Chwilę później Phoebe przywarła do niego i odwzajemniła pocałunek. Przycisnął ją do ściany i przesunął dłonią po jej ciele.

- Tęskniłem za tobą - wyszeptał. - Myślałem tylko o tobie.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - odezwała się słabo.

- Kiedy nie jesteśmy razem, wydaje mi się, że nigdy się tobą nie nasycę, a kiedy jesteśmy razem, mam wrażenie, że tego nie zniosę.

Znowu pocałował ją namiętnie, rozpalony tym samym dzikim pożądaniem, które przy niej zawsze się w nim odzywało.



- Przyłącz się do nas dziś wieczorem - powiedział niskim głosem i przycisnął czoło do jej czoła. -  
Spraw mi tę małą przyjemność.

Westchnęła tęsknie, gdy wędrował ustami do jej piersi.

- Dobrze - wyszeptała w końcu. - Dobrze.

Will pocałował ją w usta. Pogładził dłonią jej policzek, po czym wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nikogo nie było w pobliżu. Kiedy się upewnił, że nikogo nie ma, skinął na Phoebe, aby do niego dołączyła. Razem przeszli do zielonego salonu, Phoebe z opuszczoną głową, a Will z szaleńczo bijącym sercem.

\* \* \*

Panna Dumbarton, która w przeciwieństwie do Phoebe była brunetką, bardzo się ucieszyła, że przedstawiono ją madame Dupree. Była bardzo miłą osobą i kiedy Will zostawił je same, niemal upadła na kanapę.

- Nie wyobraża sobie pani, jak niewychowane są dzieci Duckworthów - powiedziała wesoło.

Phoebe dowiedziała się, że panna Dumbarton opiekowała się dwójką małych dzieci, które w końcu zostały położone do łóżka. Panna Dumbarton - Susan, bo tak miała mówić do niej Phoebe - siedziała w salonie i czekała, aż zostanie podana kolacja, by mogła dołączyć do pozostałych gości. Wciągnęła Phoebe w radosną rozmowę i ta szybko uświadomiła sobie, że bardzo polubiła Susan Dumbarton z Manchesteru. Dziewczyna była najmłodszą córką prawnika, która pragnęła mieszkać w Londynie. Kiedy później Farley przyszedł po nie, żeby dołączyły do pozostałych, Susan wzięła Phoebe pod ramię i razem ruszyły na spotkanie ze śmietanką towarzyską.

Ku swojemu zaskoczeniu Phoebe nie dostrzegła żadnych pogardliwych, zazdrosnych ani pożądlivych spojrzeń. Z wyjątkiem Duckwortha i panny Fitzherbert, ludzie, których tego wieczoru spotkała, byli przeuroczy.

Nie dało się odczuć atmosfery fałszu, która zazwyczaj towarzyszyła tego typu spotkaniom w Mayfair. Nie było żadnych pokątnych szeptów ani uśmieszków znad kieliszków. Ci ludzie sprawiali wrażenie, że cieszą się swoim towarzystwem - i najwyraźniej nic ich nie obchodziło, kto był kim.

Nawet rodzeństwo Willa wydawało się zrelaksowane. Alice była uroczo grzeczna, nawet kiedy zauważyła obecność Phoebe, a Jane jak zwykle roztrzepana, lecz starała się kontrolować. Zapewne dzięki obecności dwóch przystojnych dżentelmenów u jej boku. Joshua rozmawiał z panną Fitzherbert na drugim końcu pokoju, a Roger grał w wista.

Phoebe odkryła, że Susan była całkiem zabawna. Stwierdziła, iż lord Duckworth miał bardzo trafione nazwisko, zważywszy na to, że jego usta przypominały kaczę dziób. Narzekała też, że była fatalną tancerką, ponieważ miała nogi jak z drewna. Phoebe zaśmiała się głośno. Gdyby była w Londynie, zachowywałaby się bardziej powściągliwie, dbając o to, by z żadnym dżentelmenem nie rozmawiać zbyt długo, i zachowując ostrożność w rozmowach z kobietami.

Zauważyła także, że Will był rozchwytywany. Ale wyglądał na rozluźnionego i dbał o rodzinę. Patrząc na nich, nikt nie domyśliłby się, z jakimi problemami boryka się rodzina Darbych. Phoebe zdała sobie sprawę, że Will był szanowanym członkiem społeczności. Był lordem w tym hrabstwie i pomimo rodzinnych problemów, cieszył się szacunkiem.

Niejedna panna, która miała nadzieję pewnego dnia wprowadzić się do Wentworth Hall jako pani domu, patrzyła na Willa błyszczącymi oczami, rumieniąc się i chichocząc, gdy się tylko odezwał. A Will... Will uśmiechał się do nich wszystkich.

Ale jego spojrzenie wciąż wędrowało ku Phoebe, zaś serce Phoebe rosło. Tak samo jak inne panny w tym po-

koju niejednokrotnie wyobrażała sobie, że u jego boku przyjmuje gości na tym uroczym przyjęciu.

- O czym tak rozmyślasz? - spytała Susan, dając jej kuksańca w bok.

- Dobrze będzie położyć się dziś do łóżka. Jest już późno, a ja mam dużo pracy. Lepiej już pójść.

Susan była wyraźnie rozczarowana.

- Ale przyjdiesz jutro? - spytała i pochyliwszy się, wyszeptała: - Muszę mieć kogoś, z kim mogłabym poszeptać, oglądając tę paradę panien przed lordem Summerfieldem.

Phoebe się roześmiała.

- Myślisz, że żartuję - powiedziała, ponownie dając Phoebe kuksańca. - Zapewniam cię, że tak nie jest. Summerfield powiedział lordowi Duckworthowi, że się oświadczy, nim miną dwa tygodnie. Chociaż trudno sobie wyobrazić, że mógłby którąś wybrać. Tyle ich jest.

Uśmiech Phoebe zbladł.

- Chyba nie uda mu się w ciągu dwóch tygodni zdecydować, z kim chce spędzić resztę życia - powiedziała, zmuszając się do śmiechu.

- Ależ może - odparła z prychnięciem Susan. - Nie trzeba dwóch tygodni, żeby połączyć jedną fortunę z drugą. Przyjdiesz jutro, prawda?

- Jeśli będę mogła.

- Oczywiście! - zawołała uszczęśliwiona Susan. - Dopilnuję tego.

- Do jutra więc.

- Dobranoc - powiedziała Susan.

- Dobranoc - odparła Phoebe i wyszła z pokoju, zauważając spojrzenie, które rzucił jej Will.

\* \* \*

Caroline patrzyła, jak madame Dupree wychodzi z pokoju i jak Summerfield na nią zerka. Nie uszło jej

uwagi, jak na siebie patrzyli. Nie miała wątpliwości, co znaczyło to spojrzenie.

W jej głowie pojawiło się mnóstwo myśli. Powtarzała sobie, że nie ma czym się niepokoić - nie powinna dopatrywać się czegoś, czego w nim nie było. Był panem tej posiadłości. Szanowano go w hrabstwie, co było dość dziwne, zważywszy na to, jaką reputację zdobyło sobie jego rodzeństwo podczas jego nieobecności.

Był zdecydowany się ożenić. Wszyscy to wiedzieli. Wszyscy o tym mówili.

A madame Dupree, jak każda inna kobieta obecna w Wentworth Hall, zakochała się w przystojnym lordzie Summerfieldzie. Jednak Caroline niepokoiło, że Summerfield odwzajemni! spojrzenie - a może wyobraziła to sobie?

Zamyślona odwróciła się od drzwi. Jednak gdy uniosła wzrok, zobaczyła przed sobą Joshuę Darby'ego. Uniósł brew i uśmiechnął się wymownie.

Caroline natychmiast się odwróciła, ale było za późno. Ten uśmiech wywołał u niej dreszcz.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Kiedy pierwszy tydzień dwutygodniowego przyjęcia zbliżał się do końca, Will powiedział ojcu, że był to wielki sukces.

- Moi bracia i siostry zachowywali się bez zarzutu
- powiedział, stojąc przy oknie w apartamencie ojca i przyglądając się toczącej się na trawniku grze w kręgle.
- Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony. Uśmiechnął się do ojca przez ramię.
- Oczywiście Joshua bardzo dbał o kobiety. Alice jest bardziej nieśmiała, niż myślałem, i często nie towarzyszy nam wieczorem. Roger i Jane - powiedział, patrząc, jak dziewczyna rzuca kulą - byli pełni energii i z przyjemnością muszę stwierdzić, że zachowywali się nienagannie.
- Zaśmiał się.

Ojciec nieznacznie zmrużył oczy, co oznaczało uśmiech. Następnie obrócił lekko głowę i utkwił wzrok w synu.

- Aha - powiedział Will, kiwając głową. - Dowiesz się o swoim najstarszym synu. - Zerknął na grupkę grającą w kręgle na trawniku i westchnął. - Niemal cały tydzień spędziłem, jeżdżąc konno ze wszystkimi pannami w Bedfordshire, towarzyszyłem każdej z nich w przechadzkach po ogrodzie, nawet łaskawie zgodziłem się zagrać w krykieta - powiedział, mrugając. - Jadałem kolacje, gawędziłem, uśmiechałem się, słuchałem i...

I był wykończony. Przytłoczyło go zainteresowanie ośmiu panien. Było to zbyt wiele jak na mężczyznę, który zaledwie rok temu mieszkał w beduińskim namiocie na egipskiej pustyni. Próbował - bardzo próbował w każdej z tych młodych kobiet odnaleźć pociągające go cechy charakteru. Ale mógł myśleć wyłącznie o Phoebe. Obserwował ją przez ten tydzień, podziwiał jej elegancję i urodę, jej zdolność dopasowania się do ludzi wyżej urodzonych. Uwielbiał jej śmiech, gdy przebywała w wesołym towarzystwie panny Dumbarton, i sposób, w jaki się rumieniła, gdy któryś z dżentelmenów prawił jej komplementy.

- Poświęcałem im wiele uwagi.

Przypomniawszy sobie pewną noc, gdy jego goście położyli się wcześniej; zakradł się do pokoju Phoebe. Dotknął jej ramienia. Obudziła się i zapiszczała z radości. Uciszył ją - okna były pootwierane - ale szybko uległ jej gorączkowemu powitaniu, ciepłu jej ciała i słodkiemu smakowi jej skóry.

Następnego ranka, gdy przemknął się do swoich apartamentów, zastał tam Addisona, który przygotowywał dla niego garderobę. Czubki uszu miał czerwone. Niezręczność sytuacji nie była dla nich niczym nowym, jednak tego ranka Will był niezadowolony ze swojego wiernego towarzysza.

Wyczuwał w nim przyganę, chociaż dotychczas ów służący miał dla niego zawsze pogodne oblicze. Addison szanował Phoebe. Różniła się od innych.

Will przełknął ślinę i spojrzał na ojca.

- Wygląda na to - odezwał się z ociąganiem - że panna Caroline Fitzherbert jest dla mnie najbardziej odpowiednia, jeśli chodzi o osobowość i pozycję.

Skóra wokół oczu ojca pomarszczyła się nieznacznie. Podniósł palec wskazujący, wyrażając zadowolenie z takiego wyboru.

- Sądzę, że oświadczę się przed upływem dwóch tygodni - powiedział Will.

Jednak gdy te słowa wyszły z jego ust, poczuł bolesny ucisk w żołądku. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby oświadczyć się Caroline Fitzherbert, skoro jego serce należało do Phoebe.

Gdy wyszedł od ojca, ruszył długim korytarzem, rozważając swoje zamiary i zastanawiając się, czy powinien podążyć za prawdziwym pożądanym. I nie wyobrażał sobie, że mógłby to zrobić. Istniały wobec niego, jako dziedzica, pewne oczekiwania. Spoczywał na nim poważny obowiązek.

Ale co z jego szczęściem? Czy oczekiwano, iż całkowicie podporządkuje je racjom rodziny? Czy taka była cena, którą musiał zapłacić za utrzymanie pozycji Darbych w Bedfordshire i Londynie? Nie znał odpowiedzi na te pytania, ale coś sobie uświadomił: kochał Phoebe. Kochał ją tak, jak nikogo wcześniej. Nie wierzył, że uda mu się łatwo z tego zrezygnować, nawet dla celów wyższych niż osobiste szczęście.

Musiał coś wymyślić.

Ale w tej chwili należało zająć się gośćmi. Wchodząc do głównego salonu, gdzie zbierali się każdego wieczoru przed kolacją, odnalazł wzrokiem Phoebe, która z drugiego końca pokoju uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że poczuł w całym ciele żar.

Wtedy zagadnęła go pani Fitzherbert z Caroline u boku.

- Lordzie Summerfield, muszę panu podziękować za dzisiejszą uroczą przejażdżkę po okolicy.

Uważam, że świeże powietrze jest niezmiernie ważne dla zdrowia - powiedziała starsza dama.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Will i ponad ramieniem pani Fitzherbert znowu spojrzął na Phoebe. Teraz rozmawiała z panną Dumbarton.

- Świeże powietrze dobrze zrobiło Caroline. Wygląda na wypoczętą, nieprawdaż?

Will spojrzął na Caroline. Uśmiechnęła się uroczo. Ponownie postarał się przywołać uczucia, jakie winny

być udziałem mężczyzny wobec kobiety, której kandydaturę na towarzyszkę życia właśnie rozważał. Ale nie czuł nic.

Z jakiegoś powodu myślał o sobie jak o chłopcu. Nigdy nie bał się świata ani ludzi. Odkąd pamiętał, przepelniała go żądza przygód. Chciał wszystko zobaczyć i wszystko zrobić. W dzieciństwie posiadał atlas i robił w nim skrupulatne notatki o miejscach, które zamierzał zobaczyć na własne oczy. Nawet wtedy obawiał się nudy i zastoju. Patrząc teraz na Caroline, miał wrażenie, że właśnie utknął w głębinach zimnego morza nudy. Dryfował dokładnie do miejsca, w którym nigdy nie chciał się znaleźć.

- Rzeczywiście wygląda bardzo dobrze - odparł uprzejmie.

Caroline zarumieniła się i spojrzała na niego wymownie.

- Dziękuję, *sir* - powiedziała, dygając.

- Ale z drugiej strony - rozległ się inny męski głos - panna Fitzherbert zawsze wygląda bardzo dobrze, bez względu na to, czy zaczerpnęła świeżego powietrza, czy nie.

Will odwrócił się zaskoczony i zobaczył Joshuę, który uśmiechał się uprzejmie do Caroline.

- Dobrze powiedziane, Joshua - rzekł Will. Joshua nawet nie spojrzał na brata.

- Może panna Fitzherbert miałaby ochotę na przechadzkę po tarasie? Zachód słońca jest dzisiaj przepiękny.

Podał jej ramię.

Była to szokująca zniewaga dla Willa. I do tego poczyniona z premedytacją. Caroline mocno się zaczerwieniła. Spojrzała na Willa, jakby oczekując od niego, że ją zatrzyma, ale on nie mógł tego zrobić, nie lekceważąc przy tym brata, więc tylko odsunął się na bok.

- Ależ oczywiście - powiedział. - Nie można pozwolić, aby pannę Fitzherbert ominęła ta przyjemność.



Młoda dama otworzyła szerzej oczy. Zerknęła na Jo-shuę, potem na matkę i z ociąganiem położyła rękę na przedramieniu młodszego z braci. Zważywszy na jego reputację, być może obawiała się o swoją cnotę. Ale Joshua bez względu na wszystko był bratem Willa, i Caroline najwyraźniej pamiętała o tym, pozwalając w końcu, by poprowadził ją na taras.

- Cóż! - westchnęła pani Fitzherbert, gdy tych dwoje wyszło na taras. - Cóż!

- Czy przynieść pani wino, pani Fitzherbert? - spytał Will.

- Dziękuję, nie. Niestety wino źle działa na mój organizm. - Przeprosiła, po czym się oddaliła.

Westchnąwszy, Summerfield rozejrzał się po pokoju. Phoebe i panna Dumbarton dokądś wyszły.

Roger był w towarzystwie synów Remingtona, tak samo jak Jane. Will poszukał wzrokiem Alice i zauważył, że znowu jej nie było.

Gdzie się podziewała?

\* \* \*

Na tarasie Susan i Phoebe przyglądały się przechadzce panny Fitzherbert z młodszym bratem Willa, który pożerał ją wzrokiem.

- Interesujące - powiedziała Susan. - To jest z góry przesądzone, że Summerfield jej się oświadczy.

Można by sądzić, że jego brat da sobie spokój.

Słowo „przesądzone” sprawiło, że słowa ugrzęzły Phoebe w gardle.

- Czy... czy naprawdę to już przesądzone? - spytała, starając się, by brzmiało to jak najbardziej obojętnie.

Susan spojrzała na nią zaskoczona.

- Co? Żadnych plotek wśród służby? - zażartowała. - Żadnych spekulacji? Ależ wy tutaj jesteście dobrze wychowani. W Merryton wszyscy by o tym plotkowali. Cóż,

kochanki jego lordowskiej mości są zawsze tematem plotek.

Phoebe zarumieniała się; Susan się roześmiała.

- Jesteś naprawdę bardzo słodka - powiedziała do Phoebe. - W Londynie musisz wieść bardzo spokojne życie.

- Chyba tak - odparła Phoebe.

Susan znowu spojrzała na Joshuę i pannę Fitzherbert, którzy zatrzymali się na końcu tarasu, żeby popatrzeć na ogród.

- Powiem ci więc wszystko, Phoebe Dupree. Tak, kochanie, to jest przesądzone, że on się oświadczy, i sędzę, że stanie się to raczej wcześniej niż później. - Uśmiechnęła się. - Nie ma sensu trzymać dłużej w niepewności tych wszystkich panien, prawda, kochanie?

Phoebe poczuła, że krew odpływa jej z twarzy i członków.

- Ale... ale tutaj jest tyle debiutantek. Co z panną Williams?

- Jej ojciec ma długi - odparła od razu Susan i potrząsnęła głową, jakby mierzyla ją sama myśl o poślubieniu kogoś zadłużonego.

- Lady Elizabeth Frederick?

- Jej rodzina jest oczywiście bardzo odpowiednia. Ale ona sama jest nieśmiała jak myszka. Mężczyzna tak przystojny i... - Susan urwała, żeby zaczerpnąć powietrza

- .. pełen wigoru jak Summerfield potrzebuje odważnej kobiety, nie sądzisz?

- Tak - odparła ponuro Phoebe.

- Jest też panna Pratt - dodała w zamyśleniu Susan.

- Osobiście bardzo ją lubię. Jednak jej majątek nie jest zbyt imponujący.

- A co z panną Fitzherbert?

- O, jej majątek z pewnością jest imponujący. Ale ona raczej nie jest specjalnie wyjątkowa, prawda?

Ach, obawiam się, że to bez znaczenia przy aranżowanych małżeństwach.

Phoebe miała wrażenie, jakby uchodziła z niej krew - oparła się ręką o mur, żeby się nie przewrócić. Susan spojrzała na nią z zaciekawieniem. I na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Objęła Phoebe ramieniem.

- On jest całkiem przystojny - powiedziała pocieszająco. - Dobry wygląd i pociąg do przygód zawsze rozpalają wyobraźnię kobiet. A jakie ty masz marzenia, Phoebe? Jesteś młodą wdową, na pewno masz nadzieję wyjść jeszcze za mąż?

Phoebe zamrugała.

- Tak, mam taką nadzieję - powiedziała. - Chciałabym mieć dzieci. Całą gromadkę.

Susan zaśmiała się.

- Dzieci Duckworthów nie odwiodły cię od tego pomysłu?

Phoebe z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Cóż... - Susan dotknęła dłonią jej ramienia. - Masz na to jakieś nadzieje?

Znowu pomyślała o Willu, i to pytanie sprawiło, że źle się poczuła. Odwróciła wzrok.

- Cóż... w zasadzie nie - powiedziała. Z całych sił próbowała się nie rozplakać. - A ty?

Susan prychnęła.

- Lord Duckworth ma dla mnie swojego dobrego znajomego, pana Winstona, nudnego starego kawalera, który czyta nudne książki i ma tyle lat, że mógłby być moim ojcem.

Phoebe się roześmiała.

- Mówię bardzo poważnie, Phoebe! Będę musiała poszukać innej pracy, jeśli się nie zgodzę, bo jego lordow-ska mość wbił sobie do głowy ten pomysł.

Phoebe nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na Joshuę i pannę Fitzherbert.

- Muszę ci powiedzieć - rzekła Susan, uprzejmie zmieniając temat - że wczorajsza suknia lady Jane była

najpiękniejszą kreacją, jaką kiedykolwiek widziałam na kobiecie.

Chociaż Phoebe była w stanie prowadzić niezobowiązującą rozmowę, straciła na to całą ochotę. Jej marzenia, jej przygoda właśnie się kończyły. Dziś po południu uszyła ostatnią z zamówionych sukien. Nie miała powodu, aby tu dłużej pozostawać.

Will wkrótce oświadczy się Caroline Fitzherbert, a madame Dupree wróci do Londynu, gdzie zostanie pogrzebana wraz ze wspomnieniami Phoebe o niesamowitym lecie.

Inne zakończenie nie było możliwe.

Chyba że przyznałaby się do oszustwa.

\* # \*

Następnego ranka Phoebe obudziła się skoro świt i właśnie pakowała swoje przybory do szycia, gdy pojawił się Addison.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem. - Wcześniej dziś wstałeś.

- Rzeczywiście - odparł i sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął złożoną kartkę.

Phoebe spojrzała na służącego, a potem na liścik.

- Mam odpowiedzieć? - spytała szybko, biorąc od niego papier.

- Nie, *madame*. - Ukłonił się i wyszedł.

Phoebe pospiesznie podeszła do okna i przeczytała treść listu:

*W niedzielę o świcie za stajnią.*

I to było wszystko. Wpatrywała się w poszczególne wyrazy. Niedziela. Musiała jedynie wytrzymać dwa dni, żeby znaleźć się w jego ramionach.

Głosy na korytarzu przywołały ją do rzeczywistości; szybko schowała liścik do kieszeni.

- Zapewniam pana, panie Farley, dobrze wiem, który to pokój.

Phoebe wciągnęła powietrze, gdy pani Ramsey weszła do jej pracowni przed Farleyem.

- Madame Dupree! - powiedziała. - Jak miło panią widzieć! Domyślam się, że skoro nie jest pani zajęta szyciem, to kończy już pani zlecenie. Nie mogę się doczekać, by to obejrzeć.

- Pani Ramsey! Co pani tutaj robi? - zawołała Phoebe.

- A jak pani sądzi? Przyjechałam, aby sprawdzić, czy jego lordowska mość jest zadowolony z pani pracy.

Farley zarumienił się za jej plecami i wyszedł z pokoju, pozostawiając Phoebe sam na sam z jej koszmarem.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Will był zaskoczony, kiedy Farley mu powiedział, że pani Ramsey przyjechała bez zapowiedzi i z jednym dużym kufrem podróżnym. Poprosiła o spotkanie i Will bardzo niechętnie zrezygnował po obiedzie z polowania na kuropatwy.

Kiedy wszedł do biblioteki, pani Ramsey i Phoebe już tam czekały. Pani Ramsey wykonała tak głęboki ukłon, że Summerfield musiał pomóc jej wstać.

- Witam panią. Proszę wybaczyć, że musiała pani czekać, ale nie spodziewałem się tej wizyty - powiedział i spojrzał na Phoebe.

Niemal niezauważalnie uniosła ramiona, jakby dając mu do zrozumienia, że jest tak samo zaskoczona jak on.

- Muszę przyznać, że nie miałam zamiaru przyjeżdżać, jaśnie panie! Jednak z powodu upału nic się w mieście nie dzieje i pomyślałam, że to dobry moment, aby sprawdzić, jak sprawuje się moja podopieczna i jak poradziła sobie z pracą - odparła kobieta i uśmiechnęła się chłodno do Phoebe.

Powinna paść na kolana i całować kraj sukni madame Dupree, pomyślał Will.

- I co pani sądzi o swojej podopiecznej i jej pracy? - spytał spokojnie.

- Och, jestem pod wrażeniem! - Pani Ramsey westchnęła z zadowolenia. - Cóż, pańska najmłodsza siostra

wygląda olśniewająco, jaśnie panie. Jakby ubrania dodały jej pewności siebie, której wcześniej nie miała.

Stojąca za nią Phoebe patrzyła z przerażeniem, po czym uniosła do góry wzrok i potrząsnęła głową. Will również był zaskoczony tym stwierdzeniem, ale pani Ramsey nawet nie zauważyła, że popełniła gafę.

- Wydaje mi się, że lady Alice także to pomogło - mówiła beztróska. - Ale nie widziałam jej dziś rano. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony?

Spojrzał na Phoebe.

- Niezmiernie.

- Wybornie! - zawołała radośnie pani Ramsey. A więc... Policzyłam części garderoby, które wykonała madame Dupree, i sędzę, że pańskie zamówienie zostało wykonane.

To była nowość dla Summerfielda. Spojrzał na Phoebe, ale ona odwróciła wzrok. Nie wspomniała mu, że już skończyła. Nie mieli nawet chwili, aby o tym porozmawiać.

- Jednak madame Dupree poinformowała mnie, że zamówił pan jeszcze kostium do konnej jazdy dla młodej damy, która wkrótce ma zostać pańską narzeczoną - powiedziała radośnie pani Ramsey.

Phoebe odwróciła się do okna.

- To prawda - odparł Will, kątem oka obserwując młodszą z kobiet.

- Oczywiście może pan liczyć na moją całkowitą dyskrecję - dodała pani Ramsey.

- Oczywiście.

- Co więcej, z radością oferuję te same warunki na uszycie kostiumu do jazdy konnej, co przy pierwotnym zamówieniu.

- To bardzo miłe z pani strony.

-A jeśli potrzebuje pan ślubnej wyprawy, to może pan mieć pewność, że zaoferuję niskie ceny.

- Dziękuję.

To zwróciło uwagę Phoebe - spojrzała na niego przez ramię.

Pani Ramsey z fałszywą skromnością wygładziła dół sukni.

- Zamierzałam jutro zabrać madame Dupree ze sobą do Londynu - powiedziała - ale skoro dodał pan jeszcze ten kostium do konnej jazdy, to może zostanę do poniedziałku lub wtorku, aby madame Dupree miała wystarczająco dużo czasu na wykonanie pracy.

Ta kobieta była sprytna. Nie tylko naciągnęła go na dodatkowe zlecenie do jego i tak dużego zamówienia, to jeszcze załatwiła sobie wakacje w wiejskiej posiadłości, a wszystko pod przykrywką oferowanych usług.

Co więcej, udało jej się odebrać mu Phoebe. Ogarnęła go złość.

Lecz zamiast poprosić o pokój, czego się po niej spodziewał, pani Ramsey westchnęła i powiedziała:

- Niestety, nie wiedziałam, że poprosił pan także madame Dupree o maski. To zajmie sporo czasu.

Will zamrugął. Na twarzy Phoebe pojawił się lekki uśmiech. Odwróciła się w stronę biblioteczki, udając, że przegląda tytuły.

- Słucham?

- Pańskie maski - odparła pani Ramsey i zrobiła ręką gest wokół głowy. - Będzie ich pan potrzebował na maskaradę.

Will znowu zamrugął. Phoebe chrząknęła. Skrzyżowawszy dłonie za plecami, to unosiła się na palcach, to opadała na pięty.

Pani Ramsey patrzyła z zainteresowaniem na Summerfielda.

- Zamówił pan maski, prawda?

- Tak, oczywiście - odparł natychmiast.

Sama wzmianka o maskaradzie przyprawi Farleya o palpitację - ale nie mógł pozwolić, by tak kobieta domyśliła się, że nie wszystko było zaplanowane.



- Wspaniały pomysł, jaśnie panie. Maski są ostatnim krzykiem mody w Londynie. Teraz wszystkie najlepsze sklepy mają je w swojej ofercie. To się chwali, że postanowił pan zapoznać towarzystwo z prowincji z tą nowością - powiedziała pani Ramsey z szerokim uśmiechem.

- Zważywszy na to dodatkowe zlecenie, sędzę, że madame Dupree będzie potrzebowała jeszcze tygodnia, by dokończyć pracę. Niestety nie mogę tak długo przebywać poza Londynem.

Dzięki Bogu!

- Oczywiście, byłaby pani wtedy zbyt długo poza swoim sklepem - zauważył Will.

- Tak, rzeczywiście. Spodziewam się, że za dwa tygodnie zacznie się duży ruch w związku z sezonem. Dlatego w poniedziałek wrócę do Londynu publicznym dyliżansem. A do tego czasu będę dzielić z madame Dupree jej przestronny pokój. To znaczy, jeśli się pan zgodzi.

Cholera!

Will spróbował się uśmiechać.

- Musi pani zjeść z nami kolację, pani Ramsey - odezwał się niechętnie.

- Och - powiedziała, a na jej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. - Z przyjemnością! Dziękuję! Zerknął na Phoebe; znowu na niego patrzyła z wyrazem bezradności twarzy.

- Jeśli to wszystko, to panie pozwolą, że je przeproszę

- powiedział Summerfield.

- Jest... - odezwała się szybko pani Ramsey. - Jest jeszcze jedna mała kwestia. Pozwoliłam sobie przygotować rachunek za suknie i wszystko inne. Pomyślałam, że skoro już tu jestem... - Z torebki wyciągnęła złożoną na pół kartkę i podała ją Willowi.

- Tak, dziękuję. - Will wziął od niej papier i rozłożył go, tylko nieznacznie unosząc brwi, gdy zobaczył horrendalną kwotę, jaką doliczyła za maski i kostium do konnej jazdy. Włożył dokument do kieszeni surduta, uśmiech-

nał się do pani Ramsey i powiedział: - Jeśli to wszystko...

- Nie śmiałabym trzymać pana dłużej z dala od gości

- powiedziała i podała mu rękę. - Płatność może zostać dokonana przelewem.

- Bardzo dobrze - odparł Will i uścisnął jej dłoń.

- Do widzenia. - Spojrzał na Phoebe i wyszedł. Wzburzony, postanowił wkrótce napisać do lorda Middletona, iż są pewne kobiety, takie jak szanowna pani Ramsey, które nie potrzebują ochrony ze strony parlamentu.

\* \* \*

Niechciana współlokatorka Phoebe chrapała głośno jak niedźwiedź, dlatego w sobotę Phoebe wstała wcześniej rano.

Prawdę powiedziawszy, nie spałaby dużo dłużej, gdyby pani Ramsey była w Londynie. Miała wiele na głowie

- głównie list, który otrzymała od Avy, dzięki uprzejmości pani Ramsey.

Ava ponaglała Phoebe, aby jak najszybciej wracała do domu, bo wydarzyło się coś niesamowitego: lady Purnam najwyraźniej wybierała się do Wentworth Hall na bal Summerfielda w towarzystwie lady Holland.

Lady Purnam była najlepszą przyjaciółką ich matki, a po jej śmierci wzięła sobie za punkt honoru, by Avie, Greer i Phoebe udzielać matczynych porad. Nie miało przy tym znaczenia, że trzy młode kobiety nie prosiły jej o pomoc w żadnej kwestii.

Po śmierci matki dowiedziały się jeszcze czegoś o lady Purnam - nie była dyskretna. Jeśli zastałaby tutaj Phoebe, nie wiadomo, co by zrobiła, ale z pewnością nie byłoby to nic dyskretnego.

Dlatego list Avy napisany był w ponagląjącym, zdecydowanym tonie:

*Natychmiast wyjedź z Wentworth Hall! Jeśli lady P. Cię tam zastanie, trudno przewidzieć szaleństwo, które po tym nastąpi! Dlatego byłam tak stanowczo przeciwna, byś wprowadzała swój szaleńczy plan w życie. Musisz wyjechać!*

*Natychmiast musisz zakończyć to szaleństwo!*

Phoebe była tak samo przerażona informacją, że lady Purnam przyjeżdża, jak Ava, ale nie wiedziała, co zrobić, zwłaszcza że pani Ramsey miała ją na oku. Wyglądało na to, że wszystko zaczynało wymykać się spod kontroli. Jeśli wyjechałaby teraz razem z panią Ramsey, nie miałyby szansy porozmawiać z Summerfieldem.

Nie była w stanie zmusić się do opuszczenia Willa

- nie w ten sposób, nie tak szybko!

Musi powiedzieć mu prawdę, nim przybędzie lady Purnam. Ale jak?

Nawet jeśli te myśli nie zakłóciłyby jej snu, z pewnością obudziłyby ją odgłosy kłótni dobiegające w nocy przez przewód kominowy.

Musiła napić się herbaty, więc poszła do kuchni. Była zaskoczona, że zastała tam panią Turner.

- Pani też nie może spać? - odezwała się pani Turner, krojąc chleb. - Dziwne, jak ktoś w ogóle może spać przy tych wrzaskach - powiedziała, a kiedy Phoebe przyznała, że nie wie, co się stało, pani Turner wyjaśniła jej ściszym głosem, że Alice została późnym popołudniem przyłapana w altanie z tym młodym kowalem, i Will niemal wyrzucił ją z domu.

- Nie wiem, co sobie myślała ta dziewczyna - powiedziała pani Turner z rozpaczą, potrząsając głową, przez co ciemny kosmyk włosów wysunął jej się spod czepka.

- Najwyraźniej już od jakiegoś czasu spotykali się potajemnie, chociaż ona przysięgała, że się z nim nie widuje.

Phoebe nic nie odpowiedziała, ale poczuła narastające w niej poczucie winy.

- Jaśnie pan zamknął ją w jej pokojach i myśli, co z tym zrobić - ciągnęła pani Turner pogodnie, przeżuwając kawałek chleba. - Wyobraża pani sobie? I co się stanie z tymi wszystkimi gośćmi płaczącymi się po domu?

- rzekła, wskazując na sufit.

- Co on im powie? - spytała Phoebe.

- Ze Alice zachorowała i przez jakiś czas będzie niedysponowana. Wszyscy mamy tak mówić.

- Biedna Alice - westchnęła Phoebe.

- Biedna Alice! - odezwała się ironicznie pani Turner.

- Przecież on robi tylko to, co jest dla niej dobre, naprawdę. Cóż, nie dalej jak w zeszłym tygodniu widziałam tego przekłętą chłopaka w Greenhill, jak ucinał sobie pogawędkę z Molly Fabian.

- Z kim?

- Dziewczyną, która obsługuje gości w zajeździe. Wszyscy wiedzą, że ona i pan Hughes ze sobą sypiają. Och, niezły z niego kogut! Nie przepuści żadnej kurze, a potem się tym przechwala.

Phoebe głośno przełknęła ślinę, słysząc ten niezbyt przyjemny opis.

- Naprawdę wierzyłam... sądziłam, że pan Hughes kocha Alice - odezwała się zamyślona.

- Kocha? - Pani Turner prychnęła. - Ma pani dziwaczne pojęcie o miłości, madame Dupree.

To było łagodnie powiedziane. To pojęcie wypełniało ostatnio wszystkie jej myśli i marzenia.

Jednak nadal współczuła Alice - rozumiała, co to znaczy kochać mężczyznę, którego nie można mieć.

Tak bardzo jej współczuła, że wieczorem, kiedy pani Ramsey zeszła na kolację, Phoebe poszła do panny Darby.

Delikatnie zapukała do drzwi pokoju i usłyszała:

- Proszę.

Alice siedziała przy biurku i pisała coś zawzięcie. Nawet nie spojrzała na Phoebe.

- Ach, sama wielka londyńska krawcowa przyszła, żeby pogapić się na więźniarkę - odezwała się cierpko.

- Nie przyszłam się gapić - odparła Phoebe. - Przyszłam, żeby wyrazić moje... moje...

Kiedy właściwe słowo nie przychodziło jej do głowy, Alice spojrzała na nią z kpiącym wyrazem twarzy.

- Kondolencje? Coś mi poradzić? Cóż mogłabyś mi powiedzieć?

- ...współczucie - powiedziała Phoebe, ignorując jej rozgoryczenie. - Moje głębokie współczucie.

- Po co mi pani współczucie?

- Ponieważ rozumiem, co czujesz do pana Hughesa. Ponieważ wiem, co to znaczy kochać kogoś, kogo nie można mieć.

- Och, czyżby? - prychnęła Alice i wróciła do pisania.

- A kogóż to pokochałaś, kogo nie możesz mieć? Mojego brata?

Phoebe wciągnęła powietrze. Alice prychnęła.

- Możesz sobie darować to zaskoczenie. Wszyscy to wiedzą.

- Lady Alice, zapewniam cię...

- Och, nie próbuj mnie przekonywać, że jest inaczej

- odezwała się, machając dłonią. - Mało mnie to obchodzi.

Przez chwilę Phoebe nie mogła oddychać; opadła na brzeg łóżka.

- Naprawdę, lady Dupree - odezwała się Alice chłodno - musisz być bardzo naiwna, jeśli wierzysz, że możesz zadawać się z moim bratem i nikt się o tym nie dowie. Musisz wiedzieć, że każdy jego krok jest obserwowany.

Tak, najwyraźniej była bardziej naiwna, niż jej się wydawało. Ava i Greer miały rację - wystarczająco często

ją przed tym ostrzegały. Byłyby bardzo zagniewane, gdyby wiedziały, jak całkowicie się skompromitowała.

- Nie bądź taka ponura, lady Dupree - powiedziała Alice, zanurzając pióro w kałamarzu. - Ty przynajmniej wkrótce wyjedziesz.

- Tak - odparła Phoebe, zaskoczona, że jej głos brzmi tak słabo.

- Ja natomiast jestem skazana na to przekłete miejsce do końca życia.

- To okrutne, że w wyższych sferach takie rzeczy jak rodowód i fortuna mają większe znaczenie przy zawieraniu małżeństw niż uczucia. Wiem, jak bardzo jesteś zakochana w panu Hughesie, Alice.

Chciałam tylko oferować ci swoją przyjaźń.

- No to zaoferowałaś - odparowała Alice, pochylając się nad listem. - Więc teraz możesz już podreptać do swoich igieł i nici, bo muszę napisać kilka listów.

-Alice...

- Nie - powiedziała dziewczyna, rzucając Phoebe gniewne spojrzenie. - Od ciebie nie przyjmę żadnej rady.

Phoebe przełknęła irytację i żal. Zmusiła się, żeby wstać.

- Pewnego dnia pożałujesz swojego zachowania - odezwała się cicho. - Pewnego dnia będzie ci potrzebna prawdziwa przyjaciółka.

- Jeśli kiedykolwiek będę potrzebować przyjaciółki, na pewno nie będziesz nią ty - mruknęła obojętnie Alice.

Phoebe dostrzegła rumieniec na jej policzkach i szyi, a także podpuchnięte oczy, które wskazywały na to, że płakała. Zamiast wyjść, jak powinna zrobić, podeszła do Alice i położyła jej dłoń na ramieniu.

Alice jej nie straciła, więc Phoebe współczująco ścisnęła jej ramię i wyszła, zostawiając dziewczynę sam na sam z jej demonami.

## Rozdział trzydziesty

O świcie w niedzielny poranek Will niecierpliwie czekał na Phoebe w stajni. Osiodłał Fergusa i drugiego konia, chcąc wyjechać, nim w pojawi się służba. Był boleśnie świadomy, że jakikolwiek skandal może nieodwracalnie zniszczyć dobre imię rodziny Darbych.

Nie mógł uwierzyć w to, co zrobiła Alice - na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Zamknął oczy i oparł głowę o szyję Fergusa. Co ją opętało? Jaka wypaczona logika czy pokręcone rozumowanie pozwoliło jej wierzyć, że może go tak jawnie oszukiwać i wierzyć, że to się nie wyda?

Dać się nakryć w altanie z pomocnikiem kowala, podczas gdy w domu przebywało ponad dwudziestu gości, to wprost niewyobrażalne. Chyba powinien być wdzięczny, że nie została przyłapana *in flagranti*, a jedynie na niewinnym pocałunku. Albo tak przynajmniej słyszał od Rogera - ominęło go całe zamieszanie, ponieważ kilku gości wybrało się po południu nad jezioro, by urządzić wyścig łodzi. Oprowadzał pannę Franklin po galerii portretów, potakując i uśmiechając się, gdy ona delikatnie i usilnie starała się mu zaprezentować z jak najlepszej strony. Pomyślał, że bez względu na to, jak się stara, nie była w stanie wygrać z Caroline Fitzherbert. I wtedy zjawił się Henry, prosząc go na słówko.

Will bardzo się ucieszył na widok Henry'ego. Dzień wcześniej wrócił z podróży w interesach do Londynu - co było eufemizmem oznaczającym romans z mężatką. Po przyjeździe szybko rozejrzał się wśród niezamężnych panien i rzekł:

- Pozwól mi przetrzebić stado.

Po czym ruszył niespiesznie w kierunku Phoebe i panny Dumbarton.

Will zatrzymał go i wskazał mu drogę w przeciwną stronę.

- Ależ uważam, że jest całkiem ładna - zaprotestował Henry, wskazując na pannę Dumbarton.

- To guwernantka. Twoja matka nigdy jej nie zaakceptuje.

- Cholera - mruknął, kierując się w stronę, którą wskazał mu Will, gdzie jego uwagę przykuły inne atrakcyjne kobiety.

Jednak radość Summerfielda, że Henry uwolnił go od towarzystwa panny Franklin, była krótkotrwała.

- Dziękuję - powiedział. - Znowu mnie uratowałeś.

- Niestety nie - odparł Henry. - Mam przykre wieści. - I opowiedział Willowi o Alice.

Will pobladał. Kiedy Henry skończył, położył mu dłoń na ramieniu.

- Przykro mi - powiedział szczerze. - Chciałbym ci pomóc.

Jednak nic nie mogło pomóc Willowi - to oznaczało towarzyski upadek jego siostry.

Teraz Summerfield podniósł głowę, ponieważ usłyszał Phoebe. Wyszła zza rogu stajni. Nigdy nie widział równie przyjemnego widoku.

To dziwne, że Phoebe była jedyną osobą, którą w tej chwili rozumiał. Jedyną osobą, której mógł całkowicie zaufać.

- Martwiłem się, że nie uda ci się przyjść - powiedział, gdy przed nim stanęła. - Cieszę się, że jesteś, bo ostatnie



dni były bardzo męczące - dodał, unosząc jej podbródek, by ją pocałować.

- Tak - odparła cicho - słyszałam.

Oczywiście, że słyszała - słyszało o tym już zapewne całe hrabstwo. Will wskazał ze zniecierpliwieniem na konie.

- Musimy jechać, nim ktoś nas zobaczy - powiedział i ujął ją w tali, po czym posadził na grzbiecie niewysokiej klaczy, którą dla niej osiodłał. Wskoczył na grzbiet Fergusa i zanim ruszył, jeszcze raz spojrzął na Phoebe.

To, co zaczęło się jako zaspokojenie palącego pożądanego, przerodziło się w coś większego, głębszego, a traktowanie tego jak czegoś nieistotnego było podłością.

Jednak niedyskrecja Alice sprawiła, że spotkanie z Phoebe stało się niemal niemożliwe. Skandal z udziałem jego niemądrej siostry rzucił się cieniem na całą rodzinę. Nie mógł iść tym śladem.

Dopiero kiedy dotarli na łąkę, na której zazwyczaj pasły się konie, Will trochę się odprężył. Tutaj byli z dala od wszystkich. Tutaj byli tylko mężczyzną i kobietą. Nie istniały tytuły, rodziny, społeczne normy, zakazy i nakazy.

Zatrzymał Fergusa i zeskoczył na ziemię, po czym pomógł zsiąść Phoebe i natychmiast mocno ją objął. Całował jej twarz, usta. Głaskał ją po głowie i uśmiechał się do niej.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak za tobą tęskniłem.

- Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie, *sir*. Doskonale sobie wyobrażam.

Pocałował ją ze śmiechem raz jeszcze, potem się cofnął o krok.

- Bał maskowy? - spytał.

- Ach, tak... to - odparła. - Nie wiedziałam, co zrobić. Pani Ramsey wsadziłaby mnie do pierwszego powozu jadącego do Londynu, gdybym czegoś nie wymyśliła.

- Będę więc wdzięczny Bogu za bal maskowy - powiedział, ponownie biorąc ją w ramiona. - Nie zniósłbym, gdybyś tak szybko wyjechała.

Odwróciła się, żeby popatrzeć na łąkę.

- Gdzie są konie? - spytała, przysłaniając oczy dłonią.

- Podejrzewam, że przeniosły się wyżej, gdzie są lepsze pastwiska. Możemy ich poszukać, jeśli chcesz.

Lekko wzruszyła ramionami, potem spojrzała na niego przez ramię.

- Wyglądasz na przygnębionego. Uśmiechnął się cierpko.

- Chyba jestem. Bardzo chciałem, żeby wszystko dobrze się potoczyło dla moich braci i sióstr.

Uśmiechnęła się do niego współczująco i wbiła wzrok w ziemię.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, żeby temu zapobiec. Nie mogę nakłonić Alice do powściągliwości i ostrożności. Nie mogę się też na nią nie gniewać - powiedział, uderzając szpicrutą w otwartą dłoń. - Okryła hańbą naszą rodzinę, a my tak ciężko pracujemy, by odzyskać nasze dobre imię. I pomyśleć, że jej zabroniłem, zagroziłem jej, a ona i tak mnie oszukała.

- Miłość sprawia, że robimy rzeczy, o których wcześniej byśmy nie pomyśleli - szepnęła Phoebe.

Zmarszczył brwi na te słowa.

- Chcesz powiedzieć, że miłość usprawiedliwia oszustwo? - spytał i potrząsnął głową. - Nie.

Zrozumiałbym ją i szanował, gdyby powiedziała, że nie może zastosować się do moich życzeń. Ale Alice wie, że jedyną rzeczą, której nie toleruję i nie będę tolerować, jest oszustwo.

- Naprawdę? - spytała Phoebe chłodno. Zrozumiał, co miała na myśli.

- Nasza sytuacja jest zupełnie inna, Phoebe. Alice jest młodą, niezamężną kobietą, która musi chronić swoją reputację. Dobrze wiesz, co chcę przez to powiedzieć - doda! szorstko i poklepał Fergusa szpicrutą po zadzie, co spowodowało, że koń odbiegł kilka metrów. Klacz podążyła za nim. - Sprawy w naszym przypadku wyglądają

zupełnie inaczej. Alice już na zawsze zostanie splamiona swoim nieostrożnym zachowaniem.

- Tak samo jak Frieda.

- Frieda! - odezwał się poirytowany. - Nieostrożność Friedy była znacznie większa.

- Czyżby? - odparła chłodno Phoebe. - Nie wiedziałam, że istnieją stopnie rozwiązłości.

- Oczywiście, że istnieją! O ile mi wiadomo, Alice nie zadarła jeszcze spódnicy przed mężczyzną, który nie jest jej mężem.

Phoebe pobladła; Will natychmiast zdał sobie sprawę, co powiedział.

- Dobry Boże, Phoebe. Z tobą jest inaczej. Ty jesteś wdową. Nie jesteś już dziewczicą, nie ma nad czym dywagować.

Ta uwaga sprawiła, że Phoebe szeroko otworzyła usta.

- Do diabła - odezwał się poirytowany, uderzając szpicrutą o nogę. - Nie chciałem...

- Dobrze wiem, co miałeś na myśli, Will - odezwała się z niesmakiem. - Bardzo jasno się wyraziłeś.

Poczuł się sfrustrowany - swoją rodziną, życiem, miłością.

- Nie chcę się o to z tobą kłócić. Wybacz mi mój zły humor. Oszustwo Alice stworzyło mur między mną i moją siostrą, którego nie da się pokonać. Nie mogę pozwolić na takie kłamstwa. Sądzę, że zniósłbym wszystko... wszystko, ale nie to - powiedział, ponownie uderzając szpicrutą o nogę.

Phoebe opuściła ramiona i odwróciła się w jego stronę. Na jej twarzy malowały się żal i złość.

- Jesteś taki bezwzględny? - spytała. Zmrużył oczy.

- Bronisz Alice? - spytał z niedowierzaniem. - Jak sądzisz, co się stanie, jeśli straci cnotę? Jakie inne cnoty posiada, skoro nie jest uczciwa?

- Nie rozumiesz, że miłość do tego mężczyzny ją zaślepia?

- Nie - odparł, potrząsając głową. - Nie zwiedzisz mnie tymi romantycznymi opowieściami o miłości, Phoebe.

- W takim razie co z nami?

- A co ma być? - spytał gniewnie, bo został schwyty w sidła poczucia obowiązku. - Naprawdę wierzysz, że stalibyśmy na przeklętej łące wiele mil od dworu, żeby nikt nas nie zobaczył, gdybym miał jakikolwiek wybór? A gdybym jednak przez jeden szaleńczy moment wierzył, że mam jakiś wybór... Nie widzisz, że Alice skutecznie zniszczyła tę szansę? Jak mógłbym pójść za swoimi uczuciami i przynieść rodzinie jeszcze większą hańbę?

Nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedział - w co najwyraźniej wierzył - dopóki nie było za późno. Śliczna twarz Phoebe pobladła.

-Phoebe...

- Nie! - powiedziała, wyciągając rękę, by go powstrzymać, jednocześnie się cofając. - Proszę, nie mów nic więcej!

Odwróciła się do niego bokiem i przycisnęła dłonie do brzucha. Jej reakcja zaniepokoiła Willa.

- Phoebe! - krzyknął. - Wiedziałaś tak samo dobrze jak ja, że to wszystko, na co możemy liczyć.

- Łąka? Kilka godzin tu i ówdzie? A co będzie, gdy poślubisz Caroline Fitzherbert? Co będzie nas łączyć, kiedy już zaczniesz sypiać z żoną? Podejrzewam, że uważasz, iż wszystko będzie w porządku i że nadal możesz przychodzić do mojego łóżka, bo przecież nie ma już nad czym dywagować.

- Czy kiedykolwiek dałem ci powód, byś mogła oczekiwać więcej? - zapytał gniewnie.

W gardle ugrzązł jej szloch.

- Nie - odparła cicho. - Nigdy. Wygląda na to, że miłość zaślepiła nie tylko Alice.

Will westchnął znużony. Przeczesał palcami włosy.

- Chcę się z tobą kochać, Phoebe. Nie kłócić. Nigdy... Nigdy się nie spodziewałem, że cię pokocham -  
powie-

dział. - Nigdy nawet nie rozważałem takiej możliwości, gdy zaproponowałem nam ten układ. Nie spodziewałem, że jestem zdolny tak mocno, tak głęboko... ale teraz tak się stało, i jestem zmuszony stawić temu czoło.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. W jej oczach błyszczały łzy. Sprawiała wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko przełknęła ślinę i pochyliła głowę.

- Phoebe - rzekł i w milczeniu podszedł do niej, obejmując ją ramionami.

Zesztywniała, jej ciało drżało, ale odwróciła się i wtuliła twarz w jego ramię.

Ujął w dłonie jej głowę. Nie był w stanie jasno myśleć, nie po tym, co się stało z Alice. Jej oczy powiedziały mu wszystko - wyczytał w nich smutek i niepewność.

- Muszę wracać - szepnęła. - Muszę iść.

Skinał głową, po czym pomógł jej wsiąść na konia.

\* \* \*

Caroline Fitzherbert wstała w niedzielę wczesnym rankiem. Za radą ojca przyjęła zaproszenie Summerfielda, żeby na dwa tygodnie zamieszkać w Wentworth Hall, zamiast jeździć codziennie siedem mil w tę i z powrotem.

- Jest tam zbyt wielu ludzi i zbyt wiele okazji do plotek - powiedziała.

- Ale ty właśnie potrzebujesz plotek, kochanie - odparła jej matka, mieszając herbatę. - Chcesz, aby wszyscy obecni szeptali do ucha Summerfielda, że tylko jeden związek jest dla niego odpowiedni, związek z Caroline Fitzherbert.

Została więc umieszczona wraz z matką w uroczym apartamencie, z widokiem na jezioro i altanę.

Niestety wczoraj Caroline nie siedziała w oknie i ominął ją skandal, który wywołała Alice i kowal. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się do siebie. Alice. Ależ była beznadziejna! Całkowicie brakowało jej urody i towarzyszy-

skiej oglądy, więc trudno byłoby tej biedaczce liczyć na jakąkolwiek propozycję małżeństwa.

Wydawało się to wręcz niemożliwe.

Ale Caroline od tamtej pory nie rozmyślała o Alice. Trudno było jej myśleć o czymkolwiek innym poza własną sytuacją i ubolewała nad tym, że w Wentworth Hall nie było miejsca, w którym mogłaby spokojnie rozważyć wszystko w samotności. Wydarzyło się tak wiele rzeczy, że Caroline czuła się jak sito, przez które przepływa ciągły strumień emocji. Niczego nie pragnęła bardziej, niż przejść się samotnie po ogrodzie i pomyśleć.

Wreszcie taka sposobność nadarzyła się w niedzielny poranek. Caroline była sama w ogrodzie, podczas gdy inni goście odsypiali noc. Szła niespiesznie, ciesząc się porannym słońcem, nim zrobi się zbyt gorąco. Zatrzymała się, żeby odetchnąć głęboko, i obróciła twarz do słońca. Wtedy usłyszała, że ktoś biegnie.

Dobry Boże! Nie była w nastroju do rozmowy, więc szybko schowała się za drzewo, mając nadzieję, że ktokolwiek to był, szybko przejdzie obok.

Ale kiedy madame Dupree przemknęła obok, Caroline była bardzo zaintrygowana. Madame Dupree szła szybko, z opuszczoną głową, najwyraźniej pogrążona w myślach. Miała na sobie prostą poranną suknię, a włosy zaplecione w warkocz. W niczym nie przypominała tej uroczej, całkowicie opanowanej kobiety, którą była każdego wieczoru. Tego ranka przypominała służącą, która zdecydowanym krokiem biegła po ścieżce.

Skąd wracała?

Kilka chwil później otrzymała odpowiedź na swoje pytanie. Wyraźne kroki mężczyzny zaskoczyły ją. Natychmiast wiedziała, kim był. Otuliła szalem ramiona i śmiało wyszła na ścieżkę. Summerfield zatrzymał się gwałtownie na jej widok.

Był wyraźnie zaskoczony; na ułamek sekundy jego oczy skierowały się w stronę tarasu, nim spojrzął na Caroline.

- Panno Fitzherbert, miło panią widzieć. Mam nadzieję, że dobrze pani spała.

Caroline się uśmiechnęła. Jeszcze nie była w stanie się odezwać.

Wydawał się trochę zakłopotany jej powściągliwością.

- Piękny dzień na spacer - zauważył.

- To prawda - odparła i zerknęła na jego buty. Były zakurzone. - Wygląda na to, że pan odbył dość długi spacer, jaśnie panie.

Uśmiechając się, zacisnął pięści.

- Szczerze mówiąc, skorzystałem z okazji, żeby wybrać się na konną przejażdżkę w poszukiwaniu dzikich koni.

- Znalazł je pan? - spytała Caroline, przyglądając mu się uważnie.

- Nie. Sądzę, że przeniosły się wyżej, gdzie trawa jest wciąż zielona.

Caroline podeszła bliżej.

- To dość długa przejażdżka, *sir*. Zapewne potrzebował pan towarzystwa.

Summerfield wytrzymał jej wzrok, ale nie odpowiedział.

Caroline znowu się uśmiechnęła.

- Kiedyś obiecał mi pan pokazać dzikie konie. Spojrzał na jej wargi.

- Rzeczywiście. To okropne zaniedbanie z mojej strony. Musimy pojechać dzisiaj i spróbować je znaleźć. - Spojrzał jej w oczy. - Jeśli pani chce.

- Nie będzie to dla pana zbyt wielkim kłopotem, jeśli wybierze się pan dwukrotnie w ciągu dnia na taką przejażdżkę? - zapytała słodko.

- Ani trochę. Możemy pojechać po obiedzie?

- Tak, dziękuję. - Uśmiechnęła się. - To byłoby miłe.

- Ma pani ochotę na śniadanie? - spytał, podając jej ramię, a Caroline z równie słodkim uśmiechem zdecydowanie położyła na nim dłoń.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

dlaczego jest pani taka posępna, lady Phoebe? - spytała pani Ramsey. Phoebe wciągnęła powietrze i szybko spojrzała przez ramię - pani Ramsey nalegała, aby Phoebe wybrała się z nią na spacer po wspaniałej posiadłości. Najwyraźniej kilku innych gości także uznało, że to jest dobry moment na spacer, a głos pani Ramsey był dość donośny.

- Proszę ciszej, pani Ramsey - poprosiła dziewczyna.

- Niech pani nie będzie taka zasadnicza - odparła jej towarzyszka. - Nikogo nie ma w pobliżu. -

Otworzyła furtkę prowadzącą z ogrodu na trawnik.

Phoebe z ociąganiem podążyła za nią. Kłamstwo wisiało nad jej głową jak topór. Sama już nie wiedziała, kim jest - tak naprawdę nie była madame Dupree, ale już nie Phoebe. Tylko jedna rzecz wydawała się prawdziwa: gdyby od początku zdobyła się na szczerłość, teraz miałyby szansę na szczęśliwą przyszłość z Willem. Jednak jej oszustwo i kłamstwa napędzały tylko kolejne kłamstwa. Gdy szły w kierunku jeziora, a pani Ramsey cały czas opowiadała o innym wspaniałym domu, który odwiedziła ostatnio, zauważyły nagle parę jeźdźców.

- Och! To chyba Summerfield! - powiedziała pani Ramsey.



To rzeczywiście był Summerfield. Jechał z panną Fitzherbert, a jej widok - radośnie się śmiejącej - i Willa

- równie wesołego - boleśnie Phoebe zranił. Will nie widział Phoebe.

Ale pani Ramsey tak.

- Na pani miejscu zamknęłabym usta - odezwała się złośliwie. Kobieta obserwowała, jak jeźdźcy znikają za wzgórzem. - Śmiem twierdzić, że straciła pani swoją szansę.

Phoebe spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Nie musi pani przy mnie udawać takiej wyniosłej.

- Pani Ramsey prychnęła. - Ma pani szczęście, że to szaleństwo nie naraziło pani na większe cierpienie.

- A cóż to za szaleństwo, pani Ramsey? Że uszyłam kilka sukien, które pani mogła sprzedać?

Jej nonszalancja zaskoczyła i rozzłościła panią Ramsey. Nagle odwróciła się, wbijając w Phoebe lodowaty wzrok.

- Sądzi pani, że nie mogłabym zrujnować pani reputacji, lady Phoebe?

- Słucham?

- Najwyraźniej zapomniała pani, że zdecydowała się na oszustwo, które może zniszczyć reputację pani i pani rodziny. Sądzi pani, że nawet taki prowincjonalny lord jak Summerfield zechciałby panią, gdyby wiedział, że zniżyła się pani do pracy i oszustwa?

Phoebe drgnęła.

- Mówi pani tak, jakbym była złodziejką. Pani Ramsey uśmiechnęła się do niej gorzko.

- Pani zbrodnia jest znacznie gorsza - odparła ostro.

- Lepiej by było, gdyby ukradła pani jakąś błyskotkę. Ale pani ukradła zaufanie i dobrą opinię swoich bliskich, a to, *madame*, niełatwo zastąpić.

Te słowa zaciążyły jej jak ołów. Gwałtownie zawróciła. Podeszła do brzegu jeziora i zapatrzyła się na kaczki, byle nie patrzeć na panią Ramsey.

\*\*\*

Kolacja dłużyła się Willowi w nieskończoność. Panowie byli bardzo podekscytowani jutrzejszym polowaniem, a kilka dam zdecydowało się na wyprawę do Greenhill w poszukiwaniu masek na czwartkowy bal kończący dwutygodniowe przyjęcie.

Bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności było, że rodzice Willa trzymali w pomieszczeniu dla służby kostiumy i maski dla gości na takie niespodziewane okazje. Kiedy oceniono zasoby własne i to, co goście spodziewali się znaleźć w wiosce, wyglądało na to, że wszyscy będą stosownie przebrani, poza rodziną i Henrym. I to dla nich Phoebe miała wykonać maski.

Wieczorem gościom Willa dopisywał doskonały nastrój, tak samo jak jego rodzeństwu.

Jane przeobraziła się w pełną życia młodą kobietę. Will spodziewał się prośby o jej rękę - może nie aż tak szybko, jakby chciał, zważywszy na skandal wywołany przez Alice - ale wkrótce na pewno.

Wyglądało na to, że Roger także nawiązał nowe znajomości. Tuż przed kolacją lord Montgomery napomknął, że chętnie gościłby go u siebie w Szkocji, by mogli razem postrzelać, że był doskonałym strzelcem i przemiłym kompanem przy stoliku karcianym.

Will cieszył się, iż dwójka jego młodszego rodzeństwa tak dobrze zaadaptowała się w towarzystwie. Jednak zupełnie inaczej miały się sprawy z Alice i Joshua. Alice siedziała w swoim pokoju, a jej opór narastał. Nie tęskniono za nią podczas kolacji.

Joshua rzadko rozmawiał z kimś innym niż Caroline. Pozostawał na uboczu, obserwując wszystkich przez szklanekę whisky albo porto. Will wyczuwał, że coś go dręczyło, i to bardzo. Próbował rozmawiać o tym z bratem, ale Joshua zbył go, upierając się, że to nic wielkiego.

- Oczywiście - zgodził się Henry. - W końcu ktoś poprosi o rękę Jane - powiedział, potwierdzając przemyślenia Willa. - Ale wszyscy chcą wiedzieć... co z Summerfieldem? - Puścił do Willa oko. Will uśmiechnął się do niego zagadkowo.

- Sądzę, że odpowiedź jest oczywista, czyż nie?

Tak jak się spodziewał, Henry zrozumiał go opacznie. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i stuknął kieliszkiem w kieliszek Willa.

- Fitzherbertowie nie będą posiadać się z radości. Jednak z ojcem Will był szczery. Kiedy opowiadał mu,

co wydarzyło się tego dnia. Hrabia podniósł palec, po czym przekrzywił głowę pod dziwnym kątem i spojrzał na Willa.

- Zastanawiasz się, czy się oświadczę - odezwał się Will i popatrzył na swoje dłonie. Wyobrażał je sobie na ciele Phoebe. - Szczerze mówiąc, ojcze, chcę oświadczyć się pannie Fitzherbert, żeby zadowolić ciebie - przyznał Will. - Ale prawdą również jest, że nie wiem, czy będę w stanie to zrobić, ponieważ miejsce w moim sercu, które powinno być przeznaczone dla żony, zajęte jest myślami o kimś innym.

Spojrzał na ojca i nie zaskoczyło go, że ojciec wyglądał na zdezorientowanego.

- Madame Dupree - powiedział - całkowicie mnie oczarowała. - Wstał, podszedł do okna i oparł rękę o ścianę, patrząc w ciemność za szybą. - Chyba wiesz, jak do tego doszło - odezwał się, pamiętając, że po śmierci matki ojciec miał dość gorący romans z młodą pokojówką. - I nigdy nie planowałem, że przerodzi się to w coś więcej. Ale tak się stało, ojcze. Mogę myśleć wyłącznie o niej, tylko ją widzę, a kiedy wyobrażam sobie swój ślub i życie rodzinne, to wyobrażam to sobie z Phoebe Dupree.

Mógł tylko przypuszczać, jak ojciec przyjął tę wiadomość - skoro nie był w stanie mówić, krzyknąć, czy w ja-

kikolwiek inny sposób wyrazić frustracji. Will nerwowo przeczesał palcami włosy i przykucnął przy ojcu.

- Wybacz mi - poprosił go cicho. - Wolałbym umrzeć, niż cię zawieść czy okryć hańbą. Ale obawiam się, że nie będę w stanie uszczęśliwić panny Fitzherbert, jeśli jej się oświadczę.

Will spuścił głowę, szukając odpowiednich słów.

- Może z czasem uda mi się zapomnieć o tym pragnieniu - powiedział. - Madame Dupree za kilka dni wyjedzie z Wentworth Hall. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Spróbował wyczytać coś w wilgotnych oczach ojca.

Jednak nie umiał stwierdzić, czy hrabia go rozumiał, czy się zgadzał, czy może był przerażony. A Will nigdy bardziej nie potrzebował jego rady. Uśmiechnął się smutno i położył dłoń na kościstym kolanie ojca.

- Musisz być zmęczony po tak długim dniu. Zostawię cię z Jacobsem. - Wstał, pochylił się i pocałował ojca w czubek głowy, po czym wyszedł z pokoju.

\* \* \*

Phoebe wydawało się, że pani Ramsey nigdy nie wyjedzie. Gorączkowała się, że zgubiła rękawiczkę. Phoebe szybko ją odnalazła - w jej torebce. W końcu wsadziła uciążliwą damę do powozu.

Właśnie zdążyły się pożegnać, gdy znalazł ją Addison i poinformował, że ma towarzyszyć kilku damom w wyprawie do Greenhill, gdzie chciały kupić maski.

- Jest pani potrzebna. -Ja?

- Chcą, żeby pani im pomogła.

- Wspaniale - mruknęła z irytacją.

- Jeszcze jedna rzecz - odezwał się Addison. - Jego lordowska mość prosił, aby dotrzymała pani dzisiaj to-

warzystwa lady Alice, ponieważ poproszono ją, by także poszła do wsi.

- Addison, proszę, nie! - zawołała Phoebe. - Nie zdołam jej powstrzymać, jeśli będzie chciała spotkać się z panem Hughesem!

- Ależ proszę się tym nie przejmować - odparł szybko Addison. - Jego lordowska mość wysyła dwóch służących, żeby tego dopilnowali.

Mogła sobie tylko wyobrazić, jakie to będzie przedstawienie.

- O Boże - westchnęła.

- Jego lordowska mość sugeruje także, aby skorzystała pani z jednej z masek dostępnych w Wentworth Hall albo kupiła sobie maskę we wsi - powiedział, a jego uszy poczerwieniały. - On kupi wszystko, czego pani potrzebuje, aby odpowiednio się przygotować na bal.

Phoebe zmrużyła oczy.

- Proszę przekazać lordowskiej mości, że nie mogę być obecna na balu.

- Sądzę, że pani musi - odparł uprzejmie Addison. - Lady Duckworth zagroziła, że zrobi scenę, jeśli pani, cytuję, nie zostanie wypuszczona ze swojego więzienia, by dotrzymać towarzystwa pannie Dumbarton.

- Czy cały dom może decydować, jak ma wyglądać mój plan dnia?

- Najwyraźniej - odparł Addison, a jego pociągła twarz zrobiła się równie czerwona jak uszy.

\* \* \*

Damy dotarły do Greenhill w kawalkadzie powozów o drugiej po południu. W chwili gdy koła zadudniły o bruk High Street, drzwi co lepszych domostw otworzyły się na oścież.

Kobiety - w sumie dwanaście - oraz dwoje nieposłusznych dzieci, maszerowały po ulicy w poszukiwaniu masek.

Zadawano Phoebe tak wiele pytań, że nie miała szansy zająć się Alice. Ale panienkę, która w milczeniu krążyła po każdym sklepie, miało na oku dwóch służących.

Na szczęście dla Phoebe w jednym ze sklepów było kilka ślicznych masek, które właśnie dotarły z Londynu. Właściciel, widząc tak wiele bogatych dam w jednym miejscu, targował się na całego. Jane z entuzjazmem je oprowadzała. Susan skorzystała z okazji, żeby odciągnąć Phoebe na bok.

- Strasznie mi Ciebie brakowało! - zawołała. - Pani Ramsey nie chciała dzielić się twoim towarzystwem.

- Obróciła Phoebe dokoła, jednocześnie zręcznie wyciągając dłoń panicza Davida z pary damskich pantofelków.

- To wszystko tylko potwierdza, że Summerfield oświadczy się pannie Fitzherbert. Wszyscy się spodziewają, że to nastąpi podczas balu maskowego.

- Naprawdę? Panna Fitzherbert musi być bardzo szczęśliwa.

- Kto to wie? - powiedziała Susan i pochyliła się w prawo, żeby spojrzeć, co się dzieje za plecami Phoebe. - Paniczu Davidzie, proszę nie dotykać obrusów. - Znowu spojrzała na Phoebe. - Jest dość flegmatyczna, nie uważasz?

Phoebe zerknęła na pannę Fitzherbert, która wraz z matką przyglądała się masce z piór.

- Można by sądzić, że Summerfield będzie wolał kogoś z większą werwą.

Można by sądzić, pomyślała ponuro Phoebe.

- A lady Jane! - szepnęła podekscytowana Susan.

- Tak samo uważa się, że lord Tankersly poprosi o jej rękę, choć jej siostra zachowała się tak nierozważnie, a lady Jane ma dopiero siedemnaście lat! Jest w niej tyle radości życia. W przeciwieństwie do siostry, prawda?

- No tak- zgodziła się ze znużeniem Phoebe.

- Gdybyś tam była, gdy lady Alice została przyłapana w altanie z tym okropnym kowalem! - wyszeptała

Susan, jednocześnie chwytając małą dłoń swojej podopiecznej, lady Elizabeth. - Gdyby towarzystwo nie nadeszło w momencie, w którym nadeszło, a później mogłoby zastać tych dwoje w znacznie bardziej kompromitujących okolicznościach.

Phoebe znała okoliczności i wiedziała, jak łatwo można było dać się ponieść uczuciom. Zerknęła na Alice stojącą na drugim końcu sklepu i przyglądającą się parze rękawiczek.

Serce Phoebe wyrywało się do niej.

Kiedy damy w końcu wybrały dla siebie maski, wyszły ze sklepu i szerokim strumieniem popłynęły do kolejnego. Alice ruszyła w dalszy obchód jako ostatnia; Phoebe poszła za nią i niemal wpadły na siebie na zewnątrz. Alice zatrzymała się gwałtownie. Służący, zauważyła Phoebe, obserwowali damy. Phoebe znowu zerknęła na Alice i spostrzegła, że dziewczyna patrzy na coś po drugiej stronie ulicy, więc stanęła obok niej i podążyła wzrokiem w tę samą stronę. Wtedy zobaczyła pana Hughesa na wiejskich łąkach. Pochylał się nad kobietą, która plecami opierała się o drzewo. Uśmiechała się do niego, a on do niej. Ich spojrzenia mówiły wszystko - dla postronnego obserwatora wyglądali jak zakochana para.

Phoebe nie odezwała się. Nawet nie spojrzała na Alice. Ale wzięła ją za rękę.

Dziewczyna także nie powiedziała ani słowa. Ale mocno zacisnęła palce wokół dłoni Phoebe.

## Rozdział trzydziesty drugi

Dwutygodniowe przyjęcie powoli dobiegało końca, Will całe dni spędzał na polowaniach, grach na trawie, a wieczorne spotkania z powodu upału odbywały się na zewnątrz domu.

W tym czasie widział Phoebe tylko dwa razy. Raz, kiedy panna Dumbarton wyciągnęła ją z pracowni. Zaniepokoiło go, że Phoebe wyglądała na bardzo zmęczoną. Will znalazł chwilę, aby z nią porozmawiać, podczas gdy reszta grupy biegła po trawie za kulą do kręgli.

- Nic ci nie jest? - spytał, gdy otarła dłonią czoło.

- Wyglądasz nie najlepiej.

- Och, to nic takiego - odparła. - Mam problem z wykonaniem masek - dodała, uśmiechając się do niego ze znużeniem i odwracając wzrok w kierunku grających.

- Nigdy takich nie robiłam, ale się uczę.

- Bardzo mi przykro z powodu naszej ostatniej rozmowy - powiedział cicho.

Westchnęła i uniosła lekko ramiona. Zerknęła na niego z ukosa i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Wszystko bardzo skomplikowaliśmy, prawda?

- odezwała się smutno. - Gdybym mogła cofnąć czas...

- Proszę - odezwał się szybko, obawiając się, że Phoebe powie, iż nigdy nie przyszłaby tamtej nocy do niego do altany, i uświadamiając sobie, że takie słowa bardzo by go zabolęły. - Nie mów tego.



Zdezorientowana zmarszczyła brwi. Will poczuł, że serce podskoczyło mu w piersi. Nigdy tego nie chciał, nigdy nie chciał jej zranić - prędzej by umarł.

- Phoebe - powiedział, trochę zdesperowany - muszę ci coś powiedzieć.

- Summerfield!

Głos Fremonta zaskoczył ich oboje; odwrócili się do niego, gdy stanął obok Willa.

- Chodź, musisz zobaczyć, co pan Ellison znalazł na końcu ogrodu! - zawołał żywo.

- Słucham? - spytał Will, starając się wziąć w garść.

- Waż, Summerfield! Ellison znalazł wyjątkowy okaz i uratował pannę Waters! - zawołał radośnie Fremont.

- Na pewno - bąknął Will i zerknął na Phoebe, a ona pośpiesznie się oddaliła.

Nie widział jej aż do środowego popołudnia, kiedy to była w towarzystwie panny Dumbarton i dwójga jej podopiecznych. Panna Dumbarton tak paplała, że Will myślał, iż oszaleje. Chciał porozmawiać z Phoebe, a nie wysłuchiwać opowieści o dwóch niewychowanych dzieci.

- Wolno im być na balu przez godzinę - panna Dumbarton poinformowała Willa, gdy dzieci kopały piłkę wzdłuż krawędzi tarasu. - Wygląda na to, że będą tam wszyscy poza madame Dupree. Może pan to sobie wyobrazić, *sir*? Ze po całym tym trudzie związanym z wykonaniem masek dla rodziny, dopasowaniem i ozdobieniem ich - ona nie weźmie udziału w balu?

Will spojrzał na Phoebe. Uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem.

- Nie mam odpowiedniego stroju, panno Dumbarton. Jestem tutaj tylko gościem.

- Uczyni nam pani zaszczyt swoją obecnością na balu, madame Dupree - powiedział Will. - Będę pani towarzyszył.

- *Sir*, będzie pan miał wystarczająco dużo zajęć
- wtrąciła i spojrzała na dzieci. - Będę z panem i panią Turner. Zaprosili mnie na kolację.
- Jest pani pewna? - spytał, czując przykrą bezradność. - Panna Dumbarton i ja będziemy niepocieszeni, jeśli pani nie przyjdzie.
- Tak, to prawda! - odezwała się panna Dumbarton.
- Zaprzyjaźniłam się z nią. Phoebe się roześmiała.
- Na pewno nie będziecie niepocieszeni! Czeka was mnóstwo rozrywek!
- Paniczku Davidzie! Proszę nie sypać piachu we włosy siostry! - zawołała panna Dumbarton. -

Przepraszam

- dodała i pobiegła do dzieci.

Will spojrzał na Phoebe. Czuł zamęt w głowie - pragnął chwili sam na sam, tylko chwili.

- Och, madame Dupree, pomoże mi pani? - zawołała panna Dumbarton. Dzieci miały ubłocone ręce.
- Tak, oczywiście - powiedziała Phoebe i zostawiła Willa samego.

\* \* \*

Chociaż Susan bardzo ją prosiła, Phoebe konsekwentnie odmawiała pójścia na bal. Nie mogła powiedzieć Susan, że boi się spotkania z lady Purnam - a jeszcze bardziej tego, że Will oświadczy się pani Fitzherbert, co złamie jej serce. Nie mogła pójść na bal. Była o tym przekonana.

W wieczór balu usłyszała pukanie do drzwi swojego pokoju. Była przekonana, że to Susan. Przerwała pakowanie rzeczy - powoli i systematycznie zajmowała się tym od dwóch dni - i otworzyła.

- Wyglądasz na zaskoczoną - burknęła Alice, wchodząc do środka. Miała na sobie złotą suknię balową, którą uszyła dla niej Phoebe. Wyglądała olśniewająco.

- Przyjdź na bal - powiedziała Alice bez ogródek.
  - Słucham? - odparła Phoebe, przekonana, że źle usłyszała.
- Alice dotknęła czoła obleczonej w rękawiczkę dłonią.
- Proszę - powiedziała cicho. - Sama nie dam rady stanąć z nimi twarzą w twarz. Byłam taka głupia.
  - Nie będziesz sama...
  - Ależ będę. Will będzie u mojego boku? Jane? Moi bracia? - Zaśmiała się sardonicznie. - Proszę ja... potrzebuję przyjaciółki.
- Phoebe westchnęła. Wyraźnie przekroczyły jakąś linię.
- Ale nie mam się w co przebrać - powiedziała. Alice uśmiechnęła się i pokazała jedwabną niebieską maskę, którą miała schowaną w fałdach sukni.
  - Znalazłam ją między innymi maskami w pokoju na dole. Jest jeszcze do niej kaptur. Będą pasować do twoich oczu... i tej srebrnej sukni.
  - Srebrnej sukni? - spytała podejrzliwie Phoebe. Srebrną suknię miała na sobie, kiedy była przedstawiona na dworze. - Skąd o niej wiesz?
- Lady Alice zachichotała.
- Naprawdę, madame Dupree, sądzisz, że Jane i ja nie przejrzałyśmy twojej garderoby? Szara suknia ze ślicznym haftem, obszyta perełkami jest piękna i będzie pasować do maski - powiedziała, robiąc krok do przodu.
- Phoebe spojrzała na maskę i uśmiechnęła się nieznacznie.
- Rzeczywiście.

\* \* \*

Will stał w drzwiach, żeby witać gości przybywających do Wentworth Hall, i czuł się cokolwiek idiotycznie w swojej masce. Był co najmniej o pół głowy wyższy od pozostałych mężczyzn, więc zasłona na twarzy nie była w jego przypadku żadnym przebraniem.

Słyszał wystarczająco dużo plotek, by wiedzieć, że całe Bedfordshire czekało na to wydarzenie. Kiedy był chłopcem, jego rodzice znani byli z tego, że wyprawiali piękne bale, które wciąż wspominano z rozrzewnieniem. Domyślał się, że wiele osób w hrabstwie miało nadzieję, iż te idylliczne dni powrócą do Wentworth Hall, gdy on się ożeni.

Goście byli w wyśmienitych humorach. Ktoś włożył mu w dłoń szklaneczkę whisky, a Jane, przyozdobiona piórami, drżała z ekscytacji, gdy udał, iż jej nie poznaje.

Summerfield szedł przez tłum, bawiąc się w tę maskaradę, ale cały czas czekał na to, kiedy wreszcie będzie mógł wyrwać się do Phoebe. W ciągu ostatnich dwóch dni zdał sobie sprawę, jak przeraźliwie pusty był ten tydzień spędzony bez niej. Nie chciał być gospodarzem dla ponad dwustu gości bez niej. Nie chciał jadać przy swoim stole, jeśli ona przy nim nie zasiadała. Nie mógł już dłużej zaprzeczać uczuciom, które targały jego sercem

- Phoebe była jedyną kobietą, którą będzie kochał przez całe życie. Teraz, kiedy zaznał takiej miłości, bał się ją utracić.

Rano goście zaczną wyjeżdżać. Musi tylko wytrzymać dzień, góra dwa, i będzie mógł z Phoebe wszystko ustalić. Pozostaje mu tylko wytrwać na tym balu.

Will starał się jak najlepiej bawić. W życiu był na dwóch balach maskowych - w Paryżu i w Barcelonie

- i oba skończyły się nieprzyzwoitym zachowaniem niemal wszystkich obecnych gości. Zwyczajna maska zdawała się wyzwalać w ludziach najbardziej prymitywne instynkty.

Henry, w wyśmienitym humorze, obtańcowywał wszystkie młode kobiety. Will rozejrzał się za Caroline, ale nie widział jej w tłumie młodych kobiet w piórach i maskach, i ubranych w różne odcienie bieli. Zatańczył z kobietą w czerni, która wymownie przesunęła palcami po jego udzie i powiedziała:

- Może moglibyśmy zatańczyć w bardziej intymnej atmosferze, *sir*.

W innych okolicznościach i w czasach, gdy był innym człowiekiem, zapewne skorzystałby z jej propozycji. Ale teraz, gdy muzyka ucichła, odprowadził ją na miejsce i wypił szklaneczkę whisky. Zaskoczony zauważył Alice stojącą przy ścianie. Nie widział, kiedy weszła do sali balowej. Pomyślał, że wygląda uroczo. Jej prosta złota maska pasowała do sukni. Na ustach miała promienny uśmiech. Pomyślał, że to niesamowite, jak jej oblicze zmieniało się pod wpływem uśmiechu.

Czy Alice naprawdę była taka nieszczęśliwa? Czy słusznie zabraniał jej spotkań z Hughesem?

Hughes nie tylko był z nieodpowiedniej klasy, był także łotrem i kanalią. Jego siostra zasługiwała na kogoś znacznie lepszego.

Odwrócił się i niechcący wpadł na kobietę, której ozdobiona klejnotami maska nie mogła pochodzić z Bedfordshire. Była tak przepiękna i droga, że musiała być rodem z Londynu.

- Lord Summerfield - odezwała się miękko dama. - Jak miło, że wydał pan takie urocze przyjęcie tak daleko od stolicy.

Will pochylił się i zajrzał w skrywające się za maską błyszczące brązowe oczy.

- Lady Holland?

- Zdemaskował mnie pan - odparła, dygając.

- Miło, że przyjechała pani z tak daleka - powiedział, ujmując jej dłoń i kłaniając się. - Żałuję, że nie mogłem pani powitać.

- Był pan zajęty, *sir*. Ale to oczywiste, że musiałam przybyć! Możliwość uczestniczenia w balu na wsi była zbyt kusząca. Moja dobra przyjaciółka z Londynu, lady Purnam, nigdy wcześniej nie uczestniczyła w balu maskowym, może pan to sobie wyobrazić? Zapewniałam ją,

że będzie się świetnie bawić. Ta biedna kobieta nie przestaje tańczyć, i ani razu nie narzekała na ból w kostkach! Nawet pan nie wie, jakie to niesamowite!

- Nie wiem - odparł z uśmiechem. - Musi pani mi ją wskazać, abym mógł się przedstawić - powiedział.

- Jest tam! - rzekła lady Holland i pokazała wachlarzem na drugą stronę sali. Spojrzał w tamtym kierunku i dostrzegł pulchną kobietę w wytwornej masce, tańczącą kadryla. A kilka metrów od niej stała Alice i rozmawiała z kobietą ukrytą w cieniu. Kobieta przyłożyła rękę do szyi i Will zamarł. Phoebe.

Zalała go fala gorąca. Z ożywieniem rozmawiała z Alice.

Jej twarz była zasłonięta maską. Miała na sobie srebrną suknię ozdobioną haftem i obszytą maleńkimi kryształami oraz jasnoblękitny kaptur, który skrywał jej lśniące jasne włosy.

Z trudem konwersował z lady Holland. Miał wrażenie, że całe jego ciało drży w rytm bicia serca.

Jakimś cudem udawało mu się uśmiechać i potakiwać, aż w końcu uwolnił się od rozmówczyni.

Ruszył prosto do Phoebe, przeciskając się przez tłum i ignorując wszelkie powitania po drodze, gdy kadryl dobiegł końca, a tancerze zaczęli przemieszczać się po sali, jeszcze bardziej utrudniając mu poruszanie się.

Gdy w końcu do nich dotarł, najpierw odezwał się do siostry.

- Alice - powiedział, pochylając się i całując ją w policzek. - Ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję - odparła zaskoczona.

W niebieskich oczach stojącej obok Phoebe pojawił się jakiś błysk.

Will zwrócił się do niej i skinął głową.

- *Madame.*

Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- *Sir*, wydaje mi się, że pana znam.

- Ja panią znam na pewno, a jeśli moja siostra pozwoli, chciałbym poprosić panią do tańca.

Alice spojrzała na niego, potem na Phoebe, i grzecznie skinęła głową. Will podał Phoebe ramię; rozejrzała się po sali, jakby kogoś szukając, i z ociąganiem położyła mu dłoń na ramieniu.

Poprowadził ją na parkiet.

- Przyszłaś - powiedział, czując się nieskończenie szczęśliwy.

- Jak mnie rozpoznałeś? Mam schowane włosy. - Była wyraźnie niezadowolona.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Trudno wytłumaczyć, skąd serce czerpie wiedzę. Poznałbym cię nawet, gdybyś cała była pokryta błotem. Roześmiała się cicho.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał mnie oglądać w takim stanie.

- Jestem zaskoczony, że przyszłaś. Wydawało mi się, że za wszelką cenę wolałabyś uniknąć tej maskarady.

Znowu się uśmiechnęła i rozejrzała nerwowo po sali.

- Przyszłam dla Alice - odparła i spojrzała na niego.

Muzycy zaczęli grać; Will ujął jej dłoń i ruszył do tańca. Oczy Phoebe błyszczały skryte za maską, i Will uważał że to niesamowicie podniecający widok.

- Alice... nie czuje się pewnie - dodała.

- To miłe z twojej strony. Phoebe... muszę z tobą porozmawiać na osobności. Nim skończy się ta noc.

- Nie - odparła natychmiast. - Jest za dużo ludzi.

- Nie obchodzi mnie, czy ktoś zauważy. - Will...

- Spotkajmy się na bocznym tarasie.

- To, co proponujesz, to nieostrożność - odezwała się i mocno ścisnęła jego dłoń.

- Prawie cię nie widywałem w tym tygodniu - powiedział poważnie. - Muszę się z tobą zobaczyć.

Muszę z tobą porozmawiać na osobności.

Phoebe zamrugnęła. Przypomniała mu się inna chwila, w której patrzył w te jasnoniebieskie oczy, kiedy kochał się z nią. Zdał sobie sprawę, że jego oddech stał się płytki. Jakby w oczekiwaniu na odpowiedź szedł pod wodę.

- Dobrze - wyszeptała, ratując go przed uduszeniem.

- Ale tylko na chwilę

- Boczny taras, na wysokości pokoju śniadaniowego

- powiedział, nim zdążyła zmienić zdanie. - Wiesz, gdzie to jest?

Potaknęła.

- Nikt cię nie zauważy.

- Jesteś pewien? Jest tak ciepło, że mnóstwo ludzi spaceruje na zewnątrz.

- Pochodnie oświetlają ścieżkę prowadzącą nad jezioro. Większość gości idzie właśnie tam.

Skinęła głową i ponownie się rozejrzała.

- Kiedy? - szepnęła.

- Za godzinę. O północy. Wtedy większość uda się na kolację.

Will pomyślał, że w spojrzeniu Phoebe dostrzegł tęsknotę, i jeszcze inne uczucie, którego nie mógł określić.

- O północy - szepnęła Phoebe.



### Rozdział trzydziesty trzeci

Minuty do północy wydawały się Phoebe najdłuższymi minutami w jej życiu. Goście wychodzili na zewnątrz w grupach i wracali z przekrzywionymi maskami. Kobiety bezwstydnie flirtowały z mężczyznami, a mężczyźni uganiali się za kobietami, które nie były ich żonami.

Tej nocy jedynym światełkiem w tunelu było przekonanie, że lady Purnam nie przyjechała. Nie zauważyła jej znajomej pulchnej sylwetki wśród ponad dwustu gości.

Kiedy zegar wybił północ, wyszła przez drzwi balkonowe na taras i kilka razy głęboko odetchnęła. Noc była wyjątkowo ciepła, co zapowiadało nadchodzące zmiany. Najwyraźniej wszyscy to czuli - wszędzie byli ludzie w różnych stadiach pozbywania się masek, rozbawieni, mniej lub bardziej na rauszu. Za ogrodem, w świetle księżyca było ich jeszcze więcej. Nie wybierali się na kolację, jak sugerował Will.

Phoebe podeszła do krawędzi tarasu, oglądając się przez ramię, nim zrobiła krok między żardynierami, które oddzielały główny taras od jego węższej części biegnącej wzdłuż wschodniego skrzydła domu.

Jednak zanim przemknęła dalej, w świetle księżyca zauważyła coś, co przykuło jej uwagę. Nieopodal ogrodowej altany stał Apollo. Wszędzie rozpoznalaby to królewskie zwierzę.

Przez moment miała wrażenie, że to sobie wyobraziła, ponieważ koń skrył się w mroku. Podbiegła na koniec tarasu i wychyliła się, usiłując coś dostrzec. Wtedy koń wyłonił się z ciemności. Wyglądało na to, że jest sam. Zaczęła się zastanawiać, czy jego stado nie zostało zdziesiątkowane przez kłusowników. Miała wrażenie, że tylko ona go widzi - nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie nad jeziorem byli zajęci czymś innym.

Phoebe zdjęła maskę i patrzyła, jak Apollo grzebie kopytem ziemię. Wydawał się niespokojny.

I nagle, tak samo szybko jak się pojawił, odwrócił się i wszedł między drzewa.

- Lady Phoebe? A niech mnie! To ty!

Phoebe poczuła, że serce podskakuje jej do gardła. Lady Purnam uniosła maskę i spojrzała uważnie spod przymrużonych powiek.

- Co ty tutaj, na Boga, robisz? - spytała, wyraźnie zdezorientowana.

- Ach... - Było za późno na jakąkolwiek wymówkę, ponieważ właśnie w tym momencie na tarasie pojawił się Will. Od razu ją zobaczył i ruszył w jej stronę, co wywołało u Phoebe palpitację serca.

- Wydawało mi się, że Ava powiedziała, iż jesteś w Broderick Abbey - powiedziała lady Purnam, gdy Will do nich podszedł. - Kiedy wróciłaś z Broderick Abbey? Nie poinformowano mnie o tym.

Will zerknął na lady Purnam, która jeszcze go nie zauważyła.

- Ja, ach... cóż, nie, prawdę mówiąc, nie byłam w Broderick Abbey. Nigdy tam nie byłam.

Zatrzymałam się... tutaj.

- Zatrzymałaś się? - lady Purnam niemal krzyknęła. - Co to znaczy, że się zatrzymałaś? Lady Phoebe, czy markiza w ogóle wie, że tutaj jesteś?

- Markiza? - powtórzył Will, wpatrując się w gościa.

- Słucham? - spytała lady Purnam, odchylając głowę, żeby spojrzeć na mężczyznę.

- Przepraszam - powiedział, ściągnając maskę. - Jestem lord Summerfield. Chyba nie mieliśmy przyjemności się poznać.

- Och! - zakrzyknęła kobieta, dygając. - Jaśnie panie, lady Agatha Purnam, do usług. - Podniosła się i szeroko uśmiechnęła. - Właśnie pytałam lady Phoebe, co tutaj robi, zamiast być w Broderick Abbey.

- Broderick Abbey... - powiedział, spoglądając z zaciekawieniem na Phoebe. - Ma pani tam zlecenie?

- Zlecenie? - powtórzyła lady Purnam. - Nie wyobrażam sobie, jaki rodzaj zlecenia mogłaby zaaranżować jej siostra markiza.

Will zamrugął. Phoebe czuła, jak ucieka z niej życie.

- Markiza - powtórzył.

- Lady Purnam, proszę, niech mi będzie wolno wyjaśnić.

- Markiza Middleton, jaśnie panie - odezwała się z dumą lady Purnam. - Siostra lady Phoebe. Och, one dwie i ich kuzynka, lady Radnor, znają się jak łyse konie. Nie dalej jak dwa dni temu markiza zapewniła mnie, że Phoebe spędza lato w Broderick Abbey, ale wróci do miasta, nim zacznie się sezon.

Phoebe jęknęła; teraz we wzroku Willa pojawiło się zdezorientowanie. Wpatrywała się w gościa jak w osobę niespełna rozumu.

- Przepraszam... czy mam rozumieć, że ta... ta kobieta jest...

- Lady Phoebe Firlchild - dokończyła z dumą lady Purnam. - Córka zmarłego hrabiego Bingleya i lady Downey, niech spoczywa w pokoju.

Will spojrział na Phoebe. Omiótł ją wzrokiem tak zimnym, że niemal czuła, jak przecina jej skórę.

Przez chwilę nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Mogę wszystko wyjaśnić, jeśli mi pan pozwoli...

- Nie zna pan lady Phoebe? - wtrąciła się lady Purnam i nieoczekiwanie zachichotała. - Och, nie wiedziałam! Lady Phoebe bardzo lubi salonowe gry, może pan

spytać każdego w Mayfair. Nie wiedziałam, że bierze udział w maskaradzie.

Phoebe nigdy wcześniej nie widziała takiego wyrazu oczu jak u Willa, kiedy zrozumiał, że go okłamała. Miała wrażenie, że dostał cios prosto w serce i uszła z niego cała krew.

- Mogę wyjaśnić...

Ale znowu jej przerwano, tym razem byli to dwaj mężczyźni, którzy podbiegli do Willa. Jeden z nich chwycił go za ramię.

- Jaśnie panie, proszę nam wybaczyć - powiedział.

- Musi pan tam przyjść!

- Nie teraz - odezwał się szorstko Will, po czym chwycił Phoebe za łokieć.

- Jaśnie panie! - zawołał mężczyzna z przerażeniem w głosie.

- Nie teraz! - warknął. - Chciałbym zamienić z panią słówko, lady Phoebe - syknął i poprowadził ją wzdłuż krótszego boku tarasu. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku i słuchu pozostałych gości, odepchnął ją od siebie z obrzydzeniem.

- Lady Phoebe? - wycedził. - Jaką okrutną grę prowadzisz?

- To nie gra! Wyjaśnię, jeśli zechcesz mnie wysłuchać

- odparła zdesperowana. - Ja nie... nigdy nie chciałam cię oszukać.

- Czyżby? Więc przedstawiając się jako krawcowa i podając inne nazwisko nie chciałaś oszukiwać, tylko chciałaś... czego chciałaś, Phoebe? Co zamierzałaś zrobić? - Był wściekły; zaciskał i rozluźniał pięści.

- Ja nie... - Na chwilę zamknęła oczy, usiłując złapać oddech. - To skomplikowane, Will - powiedziała.

- Zostałam do tego zmuszona. Pani Ramsey mnie zaszantażowała, żebym przyjęła tę pracę.

- Zaszantażowała! - zakpił.

- Tak! Szantażowała mnie i groziła skandalem, i powiedziała, że spowoduje zahamowanie reform, które

mój szwagier chce przeforsować w parlamencie, i pomyślałam... pomyślałam, że nie stanie się nic złego, jeśli zrobię to, czego ona chce, ponieważ nie znałam nikogo w Bedfordshire.

- Chcesz, abym uwierzył, że przez przypadek jesteś utalentowaną krawcową? - powiedział z niedowierzaniem.

Nawet jej wydawało się to absurdalne.

- To skomplikowane - odparła. - Były jeszcze inne osoby, które musiałam brać pod uwagę, i gdybyś... zechciał spróbować mnie zrozumieć...

- Ile kłamstw mi opowiedziałaś? - spytał beznamiętnie.

- Ja... ile? Nie wiem. - Czowała, że żołądek podchodzi jej do gardła. - O moim życiu, owszem. Ale nie o nas. Nigdy nie kłamałam o nas! - zawołała, widząc niedowierzanie w jego wzroku. - Will, musisz mi uwierzyć, że nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Miałam ci o wszystkim powiedzieć! Dziś wieczorem!

- Cóż, wydaje mi się, że to nie wystarczy i jest zdecydowanie za późno na to, *madame*. Musisz uważać mnie za przekłętą głupca.

Powiedział te słowa z obrzydzeniem. Patrzył na nią, jakby była jakąś łotrzyką, jakby uknuła misterny plan tylko po to, by go oszukać. Strach nagle zmieszał się w niej z gniewem.

- W ogóle bym cię nie oszukała, nawet bym z tobą nie rozmawiała, gdybyś nie próbował tak zawzięcie mnie uwieść! - odezwała się ostro.

Will szeroko otworzył oczy.

- Słucham?

- Nie możesz zaprzeczyć! - powiedziała z ożywieniem. - Naciskałeś na mnie i naciskałeś, chociaż w tym samym czasie planowałeś ślub z inną!

- Ironią jest to, co musiałem ci dziś wieczorem powiedzieć, z czym nie chciałem zwlekać ani chwili dłużej, a mianowicie, że nie zamierzam żenić się z nikim innym,

bo kocham ciebie, Phoebe. Ja... - Szybko zaczerpnął powietrza, jakby właśnie został uderzony. - Kocham cię!

- Dobry Boże, Will... musisz wiedzieć, że ja także cię kocham.

- Nie jestem pewien, co wiem, Phoebe. Poza tym różnica między nami polega na tym, że nigdy nie będę pewien, czy mnie kochasz, ponieważ już nigdy nie będę pewien ciebie. Ale ty zawsze będziesz mogła być pewna moich uczuć, bo zawsze byłem wobec ciebie całkowicie szczery!

- Czego ode mnie oczekujesz? - zawołała. - Co mam ci powiedzieć? Przykro mi, że kłamałam. Nie było to moim zamiarem! Ale raz wypowiedziane kłamstwo rozrosło się i wymknęło spod kontroli, a ja desperacko się staram ci to wyjaśnić! Co nie zmienia faktu, że cię kocham!

- Czyżby? - odezwał się z sarkazmem. - A może to jedno z twoich oszustw?

W tym samym momencie zza krzaka wyłonił się jakiś dżentelmen i położył Summerfieldowi rękę na ramieniu. - Will - powiedział stanowczo.

- Henry, proszę. Ja...

- Joshua został wyzwany.

Will upuścił maskę. Phoebe wciągnęła powietrze i położyła dłoń na sercu; miała wrażenie, że wszystko wokół niej zamarło.

- Przez kogo?

- Przez pana Fitzherberta. Will zamrugał.

- Gdzie?

Dżentelmen wskazał ręką na jezioro i Will, nie patrząc już na Phoebe, szybko się w tamtym kierunku oddalił. Powietrze wydawało się gęste; Phoebe drżała. Czuła nagłe zimno w środku i na skórze, i objęła się mocno ramionami, usiłując powstrzymać dygot.

Ruszyła za mężczyznami.

Lady Purnam wciąż tam była; stojąc na palcach, usiłowała zobaczyć coś ponad tłumem, który zebrał się na tarasie.

- Słyszałaś? Nie umiem wyobrazić sobie tak niestosownego zachowania! - oznajmiła lady Purnam, kiedy Phoebe dotknęła jej ramienia. - Ale słyszałam przygnębiające opowieści o tej rodzinie. Dobrze zrobisz, jeśli zachowasz dystans. - Spojrzała na Phoebe i zmarszczyła brwi. - Co ty z nim, na Boga, robiłaś?

- Muszę natychmiast wrócić do Londynu - wydusiła Phoebe. - O świcie.

- Co? Chyba nie mówisz poważnie, kochana. Mamy tutaj zostać do niedzieli. A poza tym przyjechałam w towarzystwie lady Holland...

- Nie. - Phoebe nagle chwyciła lady Purnam za ramię. - Muszę wyjechać najszybciej, jak to możliwe, a pani musi mi pomóc! Proszę kazać przyprowadzić o świcie powóz, błagam!

- Na miłość boską, dziecko, jesteś chora?

- Tak - odparła Phoebe, a jej oczy wypełniły się łzami. - Bliska śmierci. Muszę stąd wyjechać.

- Ojej, może gdybyś trochę odpoczęła...

- *Madame*, czy chociaż raz może pani zrobić to, o co jest proszona, i nie dyskutować?

- No dobrze. Porozmawiam z lady Holland i sprawdzę, czy mogłybyśmy pożyczyć jej powóz.

- Dziękuję - powiedziała Phoebe. Spojrzała na brzeg jeziora, gdzie zebrało się kilkadziesiąt osób.

Ponad nimi widziała głowę Willa. Odwróciła się gwałtownie i pobiegła do sali balowej, zostawiając swoje poranione, krwawiące serce na tarasie.

\* \* \*

W domu zapanował chaos, kiedy pan Fitzherbert, który miał wielkie nadzieje na to, by wydać swoją najstarszą córkę za wicehrabiego Summerfielda, zastał ją w niedwuznacznej sytuacji. Nie z wicehrabią, niestety, lecz z bratem wicehrabiego, panem Joshua Darbym.

To nie było szczęśliwe zakończenie dla żadnej z rodzin.

Jeszcze przez wiele miesięcy w Greenhill toczyły się dyskusje, czy panna Fitzherbert była przychylna jego awansom, i rzeczywiście go kochała, czy też została zaskoczona, myląc Joshuę z Willem z powodu maski i ciemnej nocy.

Cokolwiek się wydarzyło, następnego dnia mówiło o tym całe hrabstwo. Pan Fitzherbert wyzwał młodszego Darby'ego na pojedynek, chcąc ratować honor córki. To był olbrzymi skandal, który wstrząsnął całą służbą i poruszył wielu gości. Na szczęście do pojedynku nie doszło, dzięki szybkiej reakcji Summerfielda. Wymusił od brata

i Caroline przyrzeczenie, że natychmiast się pobiorą; pan Fitzherbert nie mógł ryzykować, że zabije w pojedynku przyszłego zięcia. Umowa między rodzinami została okraszona korzystnymi dla Fitzherbertów ustaleniami dotyczącymi posagu.

Kryzys został zażegnany, jednak wszyscy zauważyli zaskakujące kłamstwo, które pojawiło się między braćmi.

W trakcie tego całego poruszenia Phoebe wymknęła się do Londynu.

Najwyraźniej nikt nie zauważył jej zniknięcia - poza Billym, który pomógł jej zapakować bagaż do powozu. I Addisona, którego Phoebe ubłagała, żeby dostarczył list, który pisała przez całą noc. List był adresowany do Willa. Próbowała w nim - trzeba przyznać, że niezbyt umiejętnie - wszystko wyjaśnić.

Tylko ona zdawała sobie sprawę z rozmiaru oszustwa, którego Will ostatnio doświadczył: jego siostra, brat, kochanka i niedoszła narzeczona oszukali go w ciągu zaledwie jednego tygodnia.



Rozdział trzydziesty czwarty

***Londyn, miesiąc później***

W Middleton House, w którym skryła się Phoebe po ucieczce z Wentworth Hall, Ava codziennie bezskutecznie próbowała przywrócić ją na łono towarzystwa, zwłaszcza że zbliżał się sezon. Ale Phoebe nie chciała na to przystać. Nie była w stanie znosić adoracji lorda Stanhope'a ani wszelkich prób swatania.

Ava była nieustępliwa. Wszyscy wracali ze wsi i w końcu udało jej się wymusić na Phoebe obietnicę, że pojawi się na jednym wieczorku. Miał być zorganizowany w domu szanownego lorda Murdocha, ale gości przewidziano niewiele - debutantki nie zostały jeszcze przedstawione na dworze, a dżentelmeni jeszcze nie przeczesywali sal balowych Mayfair w poszukiwaniu dobrych partii. Ale o ile Phoebe było w najlepszym razie wszystko jedno, Ava z własnej woli zajęła się przeszukaniem kufra Phoebe i wybraniem tej sukni, w której jej siostra będzie prezentować się najlepiej.

- Zapomniałam ci powiedzieć, jaką wiadomość przekazała mi lady Purnam!

- Nie mogę się doczekać - wycodziła przez zęby Phoebe. Trzymała na rękach swojego siostrzeńca, Jonathana,

i próbowała zapanować nad niesfornymi kosmykami włosów, które wysunęły się podczas noszenia chłopca.

- Lady Purnam powiedział, że damy z wyższych sfer są wściekłe na tę paskudną panią Ramsey, bo przez nią straciły madame Dupree - roześmiała się Ava, wyciąga-

jąc z kufra suknię z bladozielonego jedwabiu i szyfonu. Przyłożyła ją do siebie, przeglądając się w lustrze. - Wygląda na to, że nie ma nikogo, kto godnie by ją zastąpił, i panie z Mayfair wycofują swoje zamówienia od tej wiedźmy. A wiele innych zagroziło, że to uczyni, jeśli nie uda jej się znaleźć odpowiedniej krawcowej przed rozpoczęciem sezonu w przyszłym roku.

- Ach, tak? - zaciekawiona Phoebe postawiła Jonathana na ziemi.

Nigdy nie miała dość słuchania o tym, jak bardzo podobają się damom jej suknie. Albo jak nisko może upaść pani Ramsey.

- Jestem zaskoczona, że ta ordynarna kobieta nie przyszła tu, aby cię nakłonić do powrotu - powiedziała Ava.

- Ava! - zawołała ze śmiechem Phoebe. - Nie powinnaś tak mówić w obecności mojego siostrzeńca! Kobieta machnęła na to ręką i podała Phoebe suknię.

- To idealna suknia dla ciebie!

- Myślę, że ona nawet nie ma odwagi, żeby ze mną porozmawiać - powiedziała lady Fairchild, przeglądając się w lustrze. - A poza tym - dodała - tego dnia, kiedy poszłam do jej sklepu, żeby zażądać, by nigdy więcej nie wspominała o madame Dupree, miała pieniądze od lorda Summerfielda i najwyraźniej zapomniała już o całym podstępie.

- Ciekawe, czy ty kiedykolwiek będziesz o tym mówić - mruknęła Ava.

Phoebe westchnęła.

- Co miałabym powiedzieć, Avo? Wyznałam ci już wszystko. Kochałam go, a on nigdy więcej się do mnie nie odezwie.

- Tak, powiedziałaś mi wszystko. Ale czy powiedziałaś jemu?

- Wiesz, że tak. Napisałam o tym w liście, który mu zostawiłam. Opowiedziałam o szantażu i planowanych reformach, i o tym, że myślałam, iż nie mam wyboru, jak

tylko zrobić to, co zrobiłam. Powiedziałam mu wszystko. Jak bardzo go kochałam, jak było mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Jeśli on nie umie się z tym pogodzić, to nie można zrobić nic więcej. Myślę tylko... - Ava zawiesiła głos.

Phoebe spojrzała na siostrę.

- Co? Co myślisz?

Ava nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Ze jeśli cię kocha, to ci wybaczy. Phoebe myślała tak samo.

- Przestań, Avo, przestań natychmiast. Takie rozważania nie mają sensu. Nie odezwał się, ponieważ nie może mi wybaczyć.

Ava wzruszyła ramionami.

- On też nie był bez winy, prawda? - spytała cicho.

- Avo, proszę - odezwała się Phoebe, połykając łzy.

- Wiesz, co jeszcze myślę? - spytała jej siostra, przyglądając się Phoebe w lustrze. - Że to jest ta suknia, którą musisz włożyć, kochanie. Zobacz, jak podkreśla kolor twoich oczu. Jesteś taka piękna. Phoebe nie czuła się piękna. Czuła się brzydka. A kiedy patrzyła w lustro, widziała bardzo smutną, rozżaloną kobietę.

\* \* \*

Wieczorek u Murdochów nie był pierwszym wydarzeniem towarzyskim w Londynie, w którym Summerfield brał udział, ale był na pewno najbardziej uroczysty. Zaskoczyła go liczba zaproszeń, które dostawał, zważywszy na to, jaką reputacją cieszyła się jego rodzina i na to, co było znane jako „skandal Summerfielda” w Bedfordshire i jego okolicach.

Ale wyglądało na to, że fakt, iż Will nie był żonaty, miał tytuł i fortunę, wystarczał wielu matkom i ojcom z towarzystwa, żeby o wszystkim zapomnieć.

Zaczynał wierzyć, że jest ostatnim kawalerem w całej Anglii.

Równie dobrze mogła być to prawda, bo teraz nie mógł znieść myśli o adorowaniu kogokolwiek.

Poczucie samotności, jakie w sobie nosił, było jeszcze bardziej dojmujące, odkąd zaczęła się ta czarna noc. Zdrada brata wystarczyłaby, żeby doprowadzić człowieka do obłędu, ale kłamstwo Phoebe było miażdżące.

Lady Phoebe Fairchild, szwagierka markiza Middletona i hrabiego Radnora. Nie krawcowa. Nie służąca. Kobieta z najwyższych kręgów arystokracji, bawiąca się w jakąś grę i używająca jego serca jak pionka.

Kiedy zdał sobie sprawę z jej kręactw, nagle uświadomił sobie, że były tego sygnały, które uszły jego uwagi. Nie pamiętała, gdzie mieszkała w Paryżu, ponieważ nigdy tam nie była. Niechętnie mówiła o mężu, którego nigdy nie miała. Twierdziła, że pochodzi z wrzosowisk, ale potem wymieniła wioskę Berwick-upon-Twe-ed jako miejsce, w którym dorastała. Uważał, że była zbyt elegancka jak na krawcową, a co gorsza, uświadomił sobie, że tamtego popołudnia w ruinach odebrał jej dziewictwo. Ależ był głupcem! Cholernym, naiwnym głupcem.

Co gorsza, odkrył, jak bardzo bolesna może być miłość. Nigdy nie wyobrażał sobie takiego bólu, który obudził go w środku nocy i od tamtej pory nie pozwalał spać.

Ponieważ kochał Phoebe. Kochał ją.

Jeszcze nie doszedł do siebie. Ale już jej wybaczył.

Przeczytał list, który dla niego zostawiła, gdy zatuszował skandal wywołany przez Joshuę i wszyscy goście wyjechali. Rozumiał słowa, które wyjaśniały, dlaczego zrobiła coś tak dziwnego - śmierć matki, próba pomocy siostrze i kuzynce. Jak została uwikłana w kłamstwo, które rozrastało się coraz bardziej. I Will nie mógł nie przyznać, że w pewnym stopniu odczuwał ulgę, iż Phoebe nie jest krawcową, i nie jest dla niego nieosiągalna. Była

kimś, kogo mógł kochać otwarcie i poślubić bez narażania się na towarzyskie potępienie. Jednak w tym samym stopniu cierpiał z powodu jej zdrady. Przypominał sobie wszystkie wspólnie spędzone chwile i zastanawiał się, dlaczego nie powiedziała mu prawdy. Rozmyślał, co w niej było kłamstwem, a co prawdą, i popadał w szaleństwo, próbując to odgadnąć. Nie odpowiedział na jej list. Nie był w stanie. Wciąż jeszcze próbował się otrząsnąć z wydarzeń tamtej nocy, ze zdrady, której wobec niego dopuścili się Joshua, Alice i Phoebe. Przez dwa tygodnie był pochłonięty roztrząsaniem tego, sprzątaniami bałaganu, który narobił Joshua, i marzył o tym, by znaleźć się na pustyni albo w górach - byle dalej od Anglii. A jednak nie wychodził ze swojej roli - w odrętwieniu - w trakcie uroczystych kolacji i wieczorków, cały czas zdecydowany wypełnić swój obowiązek. Dziś wieczorem zamierzał zmusić się do tańca z debutantkami, do konwersacji o pogodzie i kuchni, i do tego, by jeszcze raz spróbować znaleźć kobietę, z którą mógłby spędzić resztę życia. Ale robiło mu się od tego niedobrze. Być może była to z jego strony krótkowzroczność, lecz zupełnie się nie spodziewał, że na wieczorku spotka lady Phoebe Fairchild.

\* \*\*

Prawdę powiedziawszy wieczorek u Murdochów nie był aż tak zły, jak obawiała się Phoebe. Zatańczyła raz z lordem Harrisonem, kolejnym wolnym przyjacielem Middle-tona, i ucieszyła z możliwości rozmowy z dawno niewidzianą przyjaciółką, Emily Rothschild, która opowiedziała jej o skandalu wywołanym przez Grace Holcomb, gdy sprzeciwiła się woli ojca i wyszła za mąż za handlarza owiec. Jednak była to dość romantyczna historia i Emily

zapewniała Phoebe, że mąż Grace, pan Barrett Adlaine, był bardzo przystojnym i zamożnym mężczyzną.

- Chciałabym, żeby ktoś taki mnie poślubił - powiedziała tęsknie Emily.

- Na pewno ktoś taki się znajdzie! - odparła ze śmiechem Phoebe. - Już za kilka miesięcy kolejny sezon pełen szykownych dżentelmenów.

- Ale oni wszyscy są już zajęci! - nadąsała się Emily. - Wszyscy poza nim, a kolejka jest długa.

- Kim? - spytała Phoebe, i obróciła się, żeby spojrzeć w stronę, w którą patrzyła dziewczyna.

I popatrzyła prosto w orzechowe oczy Willa. Ręce skrzyżował za plecami; jego twarz miała zimny wyraz.

Zamarła - całe jej ciało po prostu zeszywniało. Nie była w stanie się poruszyć.

Ale serce szalało z emocji.

- Znasz go? - spytała podekscytowana Emily, szturchając Phoebe ramieniem. - Dopiero co przyjechał ze wsi. Mój ojciec odwiedził go wczoraj. Strasznie jest przystojny, prawda? - westchnęła Emily.

- Ja... tak, on... jest przystojny - wydukała Phoebe. Nie była w stanie prawidłowo się wysłowić. Miała wrażenie, że jej nogi i ręce są z ołowiu, a stopy zapadają się w ruchome piaski.

- Bardzo przystojny - powiedziała znowu Emily tęsknie. Kiedy Phoebe nie odpowiedziała, dziewczyna spojrzała na nią z ukosa. - Na miłość boską, nie wpatruj się tak w niego - szepnęła, odwracając się.

Ale Phoebe nie mogła się powstrzymać. Serce jej waliło jak oszalałe, dłonie zaczęły się pocić. Tak często o nim śniła, i oto był.

- Phoebe! - syknęła Emily.

Lady Fairchild wciąż się nie poruszyła. Na jej ustach pojawił się uśmiech. Przelotny, drżący, ale uśmiech. W tym samym momencie rozdzielili ich jacyś ludzie. Kiedy przeszli, Will stał już odwrócony do niej plecami.

Phoebe nie wiedziała, jak udało jej się przetrwać resztę wieczoru - Will był wszędzie, gdzie się odwróciła, śmiał się z przyjaciółmi, tańczył z damami i wyglądał tak nieziemsko przystojnie, że miała ochotę się rozplakać. Ale za każdym razem, gdy ich oczy się spotykały, jego spojrzenie stawało się lodowate, i odwracał się. Piętnował ją. Nienawidził jej. Phoebe miała wrażenie, że zabije ją wstyd, ból i taka tęsknota, jakiej jeszcze w życiu nie doświadczyła.

Chciała po prostu zniknąć, schować się i poczekać, aż ta straszna noc wreszcie się skończy.

Tak była pochłonięta Willem, że nie zauważyła, iż u jej boku stanęła Alice.

- Alice! - zawołała zaskoczona.

- Dobry wieczór, Phoebe - powiedziała gładko dziewczyna. Miała na sobie jedną z kreacji uszytych przez Phoebe i wyglądała bardzo korzystnie. - Jak się masz? - Jej zachowanie było równie zaskakujące, jak jej nagłe pojawienie się.

-Ja... dobrze, dziękuję.

- Jestem zaskoczona, że cię tu widzę. Ale miałam nadzieję, że cię spotkam.

Phoebe skinęła głową i z trudem przełknęła ślinę. Cokolwiek chciała powiedzieć jej Alice, zasłużyła sobie na to.

- Bardzo ładnie wyglądasz - zauważyła.

- Dziękuję - odparła Alice, skinąwszy przy tym głową. - Wychodzę za mąż.

Phoebe zamrugała.

- Zaskoczona, co? Przyjęłam oświadczenia pana Samuela Remingtona. Pamiętasz go, prawda? Był jedynym dżentelmenem, którego nie zraził skandal z moim udziałem - powiedziała z lekkim uśmiechem panna Darby.

Ta wiadomość była nieoczekiwana.

- Jesteś... szczęśliwa?

- Na tyle, na ile można być szczęśliwym w tych kwestiach. - Wzruszyła ramionami. - Może zainteresuje cię,

że Joshua i Caroline Fitzherbert pobrali się dwa tygodnie po twoim wyjeździe. Oczywiście, to bardzo rozsądnie, że od razu wzięli ślub, zważywszy na skandal.

Kolejna zaskakująca wiadomość. Phoebe bardzo chciała zapytać o Willa, ale nie śmiała wypowiedzieć jego imienia na głos.

- Jane i ja zostaniemy wprowadzone do londyńskiego towarzystwa z nadzieją, że Jane znajdzie odpowiednią partię. Niestety po moim skandalu jej szanse zmalowały... A wszyscy byli tak pewni, że to ona wyjdzie z tego bez szwanku, nie ja. Zaklina się, że mi wybaczyła... ale jeszcze nie widziała Londynu. - Alice uśmiechnęła się nieznacznie. - Roger kupił sobie stopień oficerski w Marynarce Królewskiej. Wyjeżdża po Bożym Narodzeniu.

Phoebe miała burzę myśli - była zbyt wytrącona z równowagi, żeby odpowiedzieć.

- Co sądzisz o tych wieściach, Phoebe? - spytała Alice.

- Sądzę, że to wspaniale - odrzekła Phoebe. Zaszło jej w ustach; miała wrażenie, że jej gardło się zaciska. - Jak... jak się miewa...?

- Will?

Phoebe potrząsnęła przecząco głową i chrząknęła.

- Twój ojciec.

- Bez zmian - odparła spokojnie Alice. - Lekarze mówią, że może być w takim stanie jeszcze przez wiele lat.

Phoebe skinęła głową. Zapadło między nimi niezręczne milczenie.

- Nie spytasz o niego? - spytała cicho Alice. Nawet nie wiedziała, jak bardzo by chciała.

- Jest po prostu spokojny - oznajmiła panna Darby, nie czekając, aż Phoebe zbierze się na odwagę, by zapytać. - Ale myślę, że rozmowa z tobą ucieszyłaby go.

- Słucham? - zawołała Phoebe i szybko potrząsnęła głową. - Nie, Alice. Nie mogę. Nie mam śmiałości; na pewno wiesz, że wszystko zniszczyłam.



- Wiem - odparła rzeczowo Alice. - Ale okazałaś mi przyjaźń, gdy tego potrzebowałam. Teraz mam możliwość się odwdzięczyć.
- On mnie nienawidzi.
- Kto może wiedzieć, co on sobie myśli? Z pewnością nic takiego nie powiedział. Może wcale cię nie nienawidzi.
- Nie zdajesz sobie sprawy, o co mnie prosisz!
- Och, ależ zdaję sobie sprawę - odparła cicho Alice. - Bardzo dobrze. Być może rozumiem to lepiej niż ktokolwiek inny.

Kiedy wzięła Phoebe pod ramię i delikatnie ją za sobą pociągnęła, Phoebe się nie opierała. Poczowała, że jej stopy się poruszają. Szła wsparta na ramieniu Alice.

Miała wrażenie, że zemdleje z niepokoju.

Summerfield stał odwrócony do nich plecami. Rozmawiał z jakimiś ludźmi, ale Phoebe nie widziała, czy to byli mężczyźni, czy kobiety - wzrok miała utkwiony w jego plecach. Alice poklepała Willa po ramieniu. Natychmiast się odwrócił, uśmiechając się do niej ciepło i przyjaźnie. I wtedy zobaczył Phoebe.

W tej samej chwili jego uśmiech zniknął, a w spojrzeniu pojawił się lód. Powiedział coś do osób, z którymi rozmawiał, po czym powoli odwrócił się do obu kobiet.

- Pamiętasz lady Phoebe, prawda? - spytała nieśmiało Alice.
- Spojrzał jej w oczy, a potem na usta.
- Oczywiście. - Grzecznie skinął głową. - Jak się pani miewa?
  - *Sir* - wydusiła z siebie Phoebe i dygnęła.
  - Phoebe, nie przedstawiś mnie?

Na szczęście u boku siostry pojawiła się nagle Ava. Objęła Phoebe w talii i uśmiechnęła się do Summerfielda.

- Nie wydaje mi się, żebym miała przyjemność pana poznać.

- Przedstawiam panu lady Middleton - powiedziała Phoebe. - Moja siostra. Ava, to jest... - To jest on, który jest dla mnie wszystkim. - .. lord Summerfield z Bedfordshire, i jego siostra, lady Alice.

- Miło mi państwa poznać - powiedziała pogodnie Ava i uśmiechnęła się do Alice, a potem do Willa. - Jesteście państwo z Bedfordshire, tak? Od dawna gościecie w Londynie?

Nie, Avo, nie. Phoebe dobrze ją znała i wiedziała, że jest w stanie wyciągnąć z ludzi każdą informację.

- Zaledwie miesiąc - odparł Will. - Chcemy wrócić na wieś, zanim zrobi się zimno.

- Do Wentworth Hall, jak się domyślam? Słyszałam, że jest tam pięknie.

Alice prychnęła nieznacznie, a Will znowu spojrzął na Phoebe. Nie była w stanie niczego wyczytać w jego oczach - były całkowicie pozbawione wyrazu.

- Chyba tak - powiedział i mocno zacisnął szczęki. Uniosła rękę do szyi. Zapomniała... Założyła wisiołek ze skarabeuszem, jak każdego dnia.

- Odnowiliśmy hol i teraz wygląda zdecydowanie lepiej - odezwał się, przenosząc wzrok na jej dekolt.

- Och, musi być tam cudownie. Jak sądzisz, Phoebe?

- spytała Ava, dyskretnie szczypiąc ją w bok.

- Sądzę... wiem, że jest cudownie. Jestem tego pewna - odparła cicho.

- Lady Alice, mogę skomplementować pani suknię

- mówiła beztrąsko Ava. - Jest piękna.

- Dziękuję - powiedziała Alice, rzucając Phoebe zaniepokojone spojrzenie. Miała na sobie suknię autorstwa madame Dupree.

- Rzadko widuję tak starannie wykonane ściegi - rzekła Ava, kładąc dłoń na plecach Alice i zmuszając ją, by odwróciła się od Phoebe i Willa. - Jest bardzo elegancka. W Londynie nie można już znaleźć tak eleganckich kreacji. Trzeba po nie posyłać do Paryża - powiedziała,

odciągając Alice od Phoebe i Willa. - Ale znam krawcową, którą można od czasu do czasu namówić na uszycie tak eleganckiej sukni.

Will i Phoebe stali kilkadziesiąt centymetrów od siebie. Milczenie między nimi wisiało jak gradowa chmura. W głowie Phoebe kłębiły się tysiące słów, które mogłaby powiedzieć, ale odrzucała je jako zbyt banalne, nonszalanckie lub bez znaczenia. Spojrzała mu w oczy, przypominając sobie ich wyraz w chwilach namiętności. Spojrzała na jego usta, przypominając sobie, jak były czułe. Pamiętała każdą chwilę spędzoną z nim, każdy jego dotyk, uśmiech, pieszczotę.

- Wyglądasz... bardzo dobrze - odezwała się cicho. Skinął uprzejmie głową. Zastanawiała się, co widział,

patrząc na nią. Twarz, która kiedyś była mu droga, a teraz jest odrażająca?

- Will, ja... tak się cieszę, że cię widzę - powiedziała.

- Miło znowu panią spotkać, lady Phoebe - odparł, jakby rozmawiał ze znajomą. Spojrzał jej w oczy, po czym nagle odwrócił wzrok. Phoebe pomyślała, że na jego twarzy maluje się bezsilność.

Wtedy uświadomiła sobie, że nienawidził jej tak bardzo, a jednocześnie nie mógł od niej uciec.

Jakby na potwierdzenie tego, wskazał ręką tłum.

- Proszę mi wybaczyć, ale obiecałem lady Chalmers...

- Tak, tak, oczywiście - powiedziała, powstrzymując się, by nie zacząć płakać. - Proszę iść i...

I zostawić mnie, żebym rozpadła się na kawałki.

Nie była w stanie ponownie na niego spojrzeć. Nie mogła znieść wyrazu bezsilności na jego twarzy.

Utkwiła wzrok w ziemi i dygnęła.

- Dobrej nocy - powiedział i uprzejmie skinął głową, odszedł.

A więc to wszystko. Patrzyła, jak odchodzi. On nigdy jej nie wybaczy. Nadzieja znikła.

## Rozdział trzydziesty piąty

Przez dwa dni Phoebe pozostała w swoich apartamentach, nie mogąc zmusić się do niczego poza siedzeniem przy kominku.

Trzeciego dnia, gdy odmówiła wyjścia, Ava zaczęła ją strofować.

- Nie możesz tak się zamartwiać! - warknęła siostra. Phoebe opadła na kanapę, przyciskając dłonie do płonących policzków.

- Wiedziałam, że w końcu przyjedzie do Londynu

- powiedziała ponuro. - Ale nie wiedziałam, że to będzie tak bardzo boleć, Avo.

- Phoebe! Nie mogę pozwolić ci siedzieć beczynnym w tym pokoju i marnieć! Nie możesz trzymać się z dala od towarzystwa!

- Jestem zadowolona, że mogę malować - odparła Phoebe.

Na te słowa Ava zmarszczyła brwi i wymownie spojrzała na mnóstwo płócien porzucanych po salonie, na obrazy w różnym stadium zaawansowania, przedstawiające dzikie konie, pola pełne kwiatów i wielki stary dom z kamienną altaną. Phoebe namalowała je na podstawie wielu szkiców, które wykonała podczas swojego pobytu w Wentworth Hall.

Jeden obraz był szczególny - wetknięty między inne

- przedstawiał mężczyznę karmiącego jabłkiem wspaniałego gniadego konia.

- Ile obrazów potrzeba, byś była gotowa zmierzyć się ze światem? - zapytała z rozdrażnieniem Ava.

- Nie wiem. Może kiedy... - Może kiedy będzie mogła spojrzeć na siebie w lustrze i nie dostrzeże dojmującego żalu, który był tak głęboki, że przepelniał ją do szpiku kości.

Gdy Phoebe nie dokończyła zdania, Ava westchnęła ciężko i usiadła na krawędzi krzesła, naprzeciwko siostry.

- Jesteś niemożliwa - powiedziała miękko. Phoebe zamrugnęła, by powstrzymać łzy.

- Naprawdę go kochałam, Avo.

- Wiem.

- Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy uświadomił sobie, jak go oszukałam. Na samą myśl o tym chce mi się płakać. Gdybyś zobaczyła, jak na mnie patrzył na wieczorku u Murdochów. Avo, on mnie nienawidzi.

Na chwilę między siostrami zapadło milczenie, Phoebe pogрузyła się w niewesołych myślach, a Ava nie umiała znaleźć słów, którymi mogłaby ją pocieszyć.

W końcu udało jej się wyciągnąć Phoebe z jej pokoi, ale nie do towarzystwa - nie, dopóki istniało nawet najmniejsze niebezpieczeństwo, że mogłaby spotkać Willa.

Wkrótce Ava odpuściła Phoebe, gdy po Mayfair zaczęły rozprzestrzeniać się plotki, które łączyły ją z madame Dupree.

Ava bardzo się niepokoiła, że te plotki wpłyną na pracę jej męża w związku z reformami - batalia w parlamencie stawała się coraz bardziej zacięta. Tak zacięta, że Greer i jej mąż, Rhodrick, wrócili z Walii wcześniej, niż planowali.

Niebawem wszyscy unikali bywania w towarzystwie, a pogłoski o tym, że Phoebe pracowała, w końcu trafiły do plotkarskiej rubryki porannego „Timesa”.

*Wygląda na to, że reformy, które niektórzy członkowie Izby Lordów chcieliby wprowadzić, by poprawić sytuację pracujących kobiet, miałyby także objąć damy z wyższych sfer. Jedna z nich, dość mocno powiązana z tymi reformami, podobno podjęła pracę, która przyniosła jej całkiem pokaźne zyski. Jeśli teraz kobiety zaczną podejmować pracę, czy oznacza to, że wkrótce dostaną także inne przywileje? Czy zabawa w wykonywanie męskich zajęć będzie prowadzić do uzyskania praw wyborczych? Czy pewnego dnia to głosy kobiet zdecydują o wyborze mężczyzny, który stanie na czele kraju? Kobiety zostały stworzone, by rodzić dzieci i dbać o swoich mężów, a nie decydować o losach narodu.*

Był to bolesny atak wymierzony w reformy i w samą Phoebe.

- Nie rozumiem tego! - narzekała Greer pewnego popołudnia, trzymając na kolanach Jonathana. -

Dlaczego ktoś chciałby odmawiać tym biednym kobietom podstawowych przywilejów?

- Ponieważ kobiety posiadające prawa są niebezpieczne - odparła drwiąco Ava. - Mogą spróbować samodzielnie zdobyć jedzenie, zamiast czekać na łaskę pana i władcy.

- To absurdalne - powiedziała Greer. - Czasami miałabym ochotę zaprowadzić takich mężczyzn z zakutymi łbami na szafot, wyjaśnić im, że się mylą, a następnie wielu z nich dla przykładu ściąć.

Ava się roześmiała. Greer nie.

- Co? Co cię tak bawi? - zapytała ostro. - W parlamencie jest wiele zakutych łbów!

Gdy Ava i Greer dyskutowały na temat parlamentu, Phoebe rozmyślała o Friedzie i malowała. Jej myśli pobiegły setki kilometrów od Londynu.

\* \* \*

Pewnego deszczowego popołudnia pokojówka poinformowała je, że Lucille Pennebacker, samotna siostra ich ojczyma, lorda Downeya, przyszła z wizytą do Phoebe. Ava i Greer jęknęły, ale Phoebe ucieszyła się z tej odmiany.

- Zajmę się nią - powiedziała.

Szła niespiesznie do salonu w głównym holu, uśmiechając się do służącego, który otworzył jej drzwi do małego żółtego saloniku.

- Jak się masz, Lucy?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła Lucy.

Gdy przyjechała zająć się nimi po śmierci matki, była dość surową osobą, ale odkąd zakochała się w panu Morrisie, lokaju Downeyów, zaszła w niej jakaś zmiana. Czasami bywała całkiem miła.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, iż przyprowadziłam ze sobą lorda Summerfielda, ponieważ miał błędne informacje co do twojego miejsca zamieszkania.

Phoebe nagle sobie uświadomiła, że w pokoju był ktoś jeszcze; odwróciła się i zobaczyła Willa stojącego przy frontowym oknie.

- Przybył w poszukiwaniu ciebie do domu Downeyów, a ponieważ właśnie wychodziłam, pomyślałam, że go zaprowadzę, by się nie zgubił po drodze. Ulice skręcają w tak dziwnych miejscach.

- Och. Tak. Dziękuję, Lucy - bąknęła Phoebe.

- Cóż, wykonałam swoje zadanie - odezwała się wesoło kobieta. - Muszę iść, ponieważ jestem spóźniona na spotkanie w Kobięcym Towarzystwie Dobroczynnym. Chcemy wystosować petycję popierającą reformy Middletona.

- To miło z twojej strony - odezwała się głucho Phoebe. Jej usta poruszały się szybciej niż działał umysł; nie mogła oderwać oczu od Willa.

- Powinnaś odwiedzić ojczyma, jeśli wolno mi coś zasugerować, kochanie. Jest dość samotny, odkąd Violet wróciła do Francji. Cóż, do następnego spotkania. Pozdrów siostrę i kuzynkę - powiedziała pogodnie Lucy i skinąwszy głową Summerfieldowi, wyszła z pokoju.

Ani Phoebe, ani Will nie odezwali się słowem, ale napięcie między nimi było niemal fizycznie wyczuwalne i wypełniało cały pokój. Och, Will wyglądał wspaniale. Pragnęła go dotknąć, położyć dłoń na jego torsie i poczuć bicie jego serca.

Will zerknął na drzwi i przez chwilę Phoebe myślała, że chce uciec.

Sprawiał wrażenie, że zastanawia się, co zrobić, po czym powoli - boleśnie powoli - znowu na nią spojrzał.

- Ty... - Jego głos był ochrypliwy z emocji. Zaciśnął usta i nerwowo przeczesał palcami włosy.

Phoebe zdusiła szloch rozpacz. Will spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

Czuła ciężar tej chwili i wiedziała, że to jej ostatnia i jedyna szansa, by zasypać przepaść, jaka między rumi powstała.

- Ty... - Wpatrywał się w nią intensywnie. - .. .wyglądasz pięknie - wydusił z siebie z trudem.

Phoebe głośno wciągnęła powietrze i zakryła dłonią usta. Spodziewała się, że Summerfield powie coś okropnego, coś, co będzie ją prześladować w snach.

- To... to było karygodne - powiedział niepewnym głosem, wpatrując się w swoją dłoń - że nie odpowiedziałem na twój list. Nie wiedziałem, co napisać.

- Will... proszę, wybac mi. To, co zrobiłam było... było...

- Naganne? - dokończył za nią.

Phoebe poczuła, że ma miękkie kolana i przytrzymała się oparcia krzesła.

- Chyba nie ma znaczenia, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, ale... ale nigdy nie zamierzałam się w tobie zakochać, i nigdy nie zamierzałam cię zranić.



Zerknął na nią z ukosa, nieznacznie marszcząc brwi.

- Phoebe...

- Źle cię potraktowałam - odezwała się szybko.

- Okropnie cię oszukałam. - Na samo wspomnienie łzy napłynęły jej do oczu. - Nigdy się nie spodziewałam, że cię poznam, a tym bardziej, że cię pokocham. Ale pokochałam, głęboko. Boże, tak bardzo chciałam ci powiedzieć, ale to kłamstwo... zaczęło się, nim cię poznałam, a potem urosło do takich rozmiarów, że nie wiedziałam, jak wyznać prawdę. A kiedy stało się jasne, że oświadczysz się panie Fitzherbert, uznałam, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli nie wyznam wszystkiego.

Nagle podniósł dłoń.

- Nie. Nie, Phoebe, błagam cię - powiedział ochryplym głosem - już wystarczająco przeprosiłaś.

Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła, nie wiedząc, czy zniesie to, co chciał jej powiedzieć.

- Phoebe... dobry Boże, ty nie rozumiesz. To ja nie przeprosiłem wystarczająco.

To ją zaskoczyło.

- Tamtej nocy podczas balu maskowego chciałem ci powiedzieć, że nie oświadczę się panie Fitzherbert. Chciałem ci powiedzieć, że cię kocham i nie obchodzi mnie twoja pozycja. - Wpatrywał się w nią intensywnie.

- Miałem powiedzieć, że dla ciebie porzuciłbym wszystko, Phoebe. Wszystko, byle tylko móc z tobą być.

- O Boże - szepnęła. - O Boże. - Jej serce waliło jak oszalałe.

- Przyznaję, że odkrycie, iż nie jesteś tą, za którą się podajesz, było poważnym zaskoczeniem. Byłem wściekły i chyba moja reakcja spowodowana została szokiem i konwenansami, które mi wpajano od dziecka, nie wiem. Ale masz rację, Phoebe, uwiodłem cię, wymusiłem na tobie ten romans. Nie chciałaś moich awansów, a ja ci się narzucałem.

Bała się odezwać, bała się, że przytłoczą ją własne uczucia.

- Kiedy przeczytałem twój list, zrozumiałem, co zrobiłaś, ale nadal uważałem, że było to coś niewybaczalnego. Ale teraz rozumiem, jak trudna musiała ci się wydawać twoja sytuacja. Nie mogę cię winić za to, co zrobiłaś.

Cicho wciągnęła powietrze.

- Jest jedna rzecz, którą muszę ci wyznać - rzekł.

- Podczas najbardziej samotnych nocy w moim życiu uświadomiłem sobie, że kiedy człowiek zastanawia się, z kim chce spędzić resztę życia, miłość ma znaczenie.

- Westchnął znużony i rozpostarł szeroko ramiona.

- Phoebe, próbuję powiedzieć, że... nadal cię kocham. Nie wiedziałem, jak bardzo, dopóki nie zobaczyłem cię na przyjęciu u Murdochów. Wyglądałaś jak anioł, nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa. Nie mogłem złapać tchu.

Phoebe nie zdawała sobie sprawy, że łzy spływają jej po policzkach, dopóki nie poczuła ich smaku na wargach. Jego słowa i świadomość, że jednak go nie utraciła, przytłoczyły ją.

- Dobry Boże - wyszeptała. - Myślałam, że mnie nienawidzisz.

Zamknęła oczy. Nie mogła oddychać; szlochając, rozpaczliwie łapała powietrze.

Zamarła, czując jego dłoń na swoich plecach. Była tak ciepła i silna, jak ją zapamiętała. Najbardziej na świecie pragnęła zarzucić mu ramiona na szyję, ale z jakiegoś powodu nie była w stanie oderwać dłoni od krzesła. Nie była w stanie się poruszyć.

- To niesamowite - powiedział miękko Will, odrywając jedną jej dłoń od oparcia - jak człowiek może gotować się w środku, a jednocześnie nie dać nic po sobie poznać na zewnątrz. - Uwolnił drugą jej rękę i chwycił Phoebe w talii. Oparła się o niego całym ciężarem.

Wyciągnął chusteczkę z kieszeni surduta i wytarł łzy z jej policzków.

- Kiedy zobaczyłem cię u Murdochów, wszystko co do ciebie czułem, odezwało się we mnie i nie mogłem wydusić z siebie słowa. Jakbym oddychał pod wodą.

Serce Phoebe poszybowało ku górze. Z jego oczu zniknął gdzieś lodowaty wyraz i zastąpił go błysk rozgorączkowania, który poznała jeszcze w Wentworth Hall.

- Nie udało mi się - powiedział, ocierając chusteczką jej nos - dotrzeć na powierzchnię, dopóki nie zobaczyłem cię w tym salonie. - Zatrzymał się i położył dłoń na jej policzku. - Kocham cię, Phoebe, nigdy nie przestałem cię kochać. I nigdy nie przestanę.

Usiłowała mu powiedzieć, że także go kocha, ale z jej gardła wydobył się jedynie niepohamowany szloch.

- Wyjdź za mnie, Phoebe. Wróć do Wentworth Hall. Podróżuj ze mną, maluj ze mną, miej ze mną dzieci. Tylko już nigdy więcej mnie nie opuszczaj.

- Tak - powiedziała, chwytając go za klapy surduta. - Tak, tak, tak...

Uciszył ją namiętym, gwałtownym pocałunkiem, przepelnionym tęsknotą i straconymi szansami.

Nie protestowała, kiedy się pochylił, wziął ją w ramiona i wraz z nią osunął się na dywan. Szarpała się z guzikami jego kamizelki, pragnąc dotknąć jego ciała i poczuć bicie jego serca. Zatrzymał się nad nią i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Tęskniłem za tobą - odezwał się. - Boże, jak ja za tobą tęskniłem.

- Pokaż mi - powiedziała i westchnęła ze szczęścia, kiedy położył na jej kostce dłoń, którą powoli zaczął przesuwać wzdłuż jej nogi.

\* \* \*

Pół godziny później Will czuł się trochę winny, gdy wraz z Phoebe wyszli z salonu, w którym chwilę wcześniej oddawali się dzikim i absolutnie rozkosznym igraszkom. Nigdy nie poznał Middletona - z pewnością nie było szczytem uprzejmości to, że posiadał jego szwagierkę na jego dywanie. Ale jakież to było oszałamiające.

Na ułamek sekundy ogarnęła go panika, gdy trzymając się z Phoebe za rękę, szli korytarzem i natknęli się na lady Middleton. Lady Middleton wciągnęła powietrze na ten widok. Zauważyła, że ubranie mężczyzny jest w nieładzie i spojrzała na Phoebe. I nagle rzuciła się na nią z otwartymi ramionami, mocno do siebie przytulając.

- Tak się cieszę! - zawołała.

- Avo, muszę ci coś powiedzieć - usiłowała odezwać się Phoebe, ale w korytarzu pojawiła się kolejna kobieta - z dzieckiem na rękach.

- Co się stało? - spytała ostro.

- Greer! Nie widzisz? - zawołała Ava.

- Nie! - krzyknęła i podbiegła, by uściskać lady Fairchild, podczas gdy lady Middleton objęła Willa, całkowicie tym zaskoczonego. Wszystkie trzy zaczęły mówić jedna przez drugą.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Miał wrażenie, że właśnie rozpoczyna się największa przygoda jego życia.

## Epilog

Bal charytatywny na rzecz Kobiecego Towarzystwa Dobroczyńności stał się imprezą otwierającą sezon w 1823 roku. Przez kilka następnych lat organizowały go trzy pary - markiz i markiza Middleton, hrabia i hrabina Radnor oraz wicehrabia i wicehrabina Summerfield. Osobiście witali trzystu gości z najwyższych sfer i z wdzięcznością przyjmowali datki, które miały wspomóc biedne dzieci.

Bal miał być pocieszeniem dla dwóch dżentelmenów, którzy z taką pasją walczyli o przeprowadzenie w parlamencie reform korzystnych dla ubogich kobiet. Niestety, ich wysiłki spełzły na niczym i żadnych zmian nie wprowadzono - ochrona pracujących kobiet miała znaleźć szeroką akceptację w parlamencie dopiero w połowie wieku.

Choć nie wszyscy popierali ich poglądy, datki dla Towarzystwa były wysokie i dzięki nim można było pomóc wielu kobietom w znalezieniu porządnej, dobrze płatnej pracy.

I chociaż Phoebe miała się nigdy o tym nie dowiedzieć, poszczyściło się nawet Friedzie. Gdy urodziła swoje pierwsze dziecko, ulitował się nad nią pewien młody duchowny bez probostwa; pobrali się, a następnie wyjechali do Indii, by zająć się pracą misyjną.

Towarzyska burza, która wybuchła po tym, gdy Summerfield oświadczył się lady Phoebe Fairchild, ucichła w zimie, i większość osób najwyraźniej zapomniało o całej aferze z początkiem kolejnego wiosennego sezonu.

Okazało się również, że lady Summerfield z przyjemnością zajmuje się projektowaniem i szyciem sukien. Choć już nie przyjmowała zleceń i była w ciąży ze swoim pierwszym dzieckiem, powszechnie uważano, że kobiety w jej rodzinie są najlepiej ubranymi damami w Londynie.

Lato 1824 roku przeszło do historii jako lato dzieci, ponieważ szczęśliwego rozwiązania doczekały się Ava, Greer, Phoebe i Alice. Jane, która dopiero co wyszła za mąż za lorda Richfielda z Essex, podróżowała wciąż po Europie. Niestety, wraz z narodzinami przyszła też śmierć - jesienią 1824 roku Will stracił ojca. Ale hrabia, nim odszedł, zdążył wziąć na ręce swojego pierwszego wnuka.

Joshua i Caroline Darby odziedziczyli niewielką posiadłość na północy Bedfordshire i, wbrew przewidywaniom, żyli całkiem szczęśliwie. Naturalny urok Rogera wkrótce zaowocował nominacją na stopień kapitana. Rzadko bywał w Wentworth Hall, ale przysyłał długie listy, w których opisywał swoje przygody, tak samo jak kiedyś Will.

Wiosną 1825 William Darby był szczęśliwszy niż kiedykolwiek wcześniej. Wraz z Phoebe spędzili miesiąc miodowy w Paryżu, ale wydawało się, że Summerfield stracił zamiłowanie do podróży. Teraz inne rzeczy były dla niego znacznie ważniejsze: jego córka, Cassandra, która odziedziczyła imię po matce Phoebe, i oczywiście jego ukochana żona, Phoebe, która dawała mu szczęście każdego dnia. Pewnego popołudnia, jadąc z Greenhill na grzbiecie Apolla - jedynego konia, którego udało mu się ocalić z dzikiego stada - uświadomił sobie, że wie gdzie jest życie, jakiego pragnął dla niego jego ojciec. Był szczęśliwy.

- Phoebe! - zawołał, wchodząc do domu. Przywitał go Farley, który ukłonił się nisko, nim Will rzucił mu kapelusz i rękawiczki.

- Jest w pokoju dziecinnym, jaśnie panie, i błaga, aby pan pamiętał, iż teraz jest czas drzemki lady Cassandry.

Jakby mógł o tym zapomnieć. Uśmiechnął się do Farleya i ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie. Kiedy otworzył drzwi do pokoju, przywitało go ostre „ciiii...”.

- Śpi - szepnęła. Pocałowała męża, następnie wzięła go za rękę i poprowadziła do kołyski. Stali razem pochyleni nad córeczką i wpatrywali się w jej anielską buzię.

Phoebe zerkając na mamkę, która siedziała i czytała coś nieopodal, poprowadziła Willa do sąsiednich apartamentów. Gdy zamknęła drzwi, chwycił ją wpół i obsypał pocałunkami.

- Twoja córka jest piękna - powiedziała Phoebe.

- Tak samo jak jej matka.

- Potrzebuje brata, a ty dziedzica.

Will cofnął się i spojrzał w jasnoniebieskie oczy żony.

- Phoebe, kochane, nie martw się o to teraz - odezwał się ze śmiechem.

- Dlaczego nie? - spytała, przesuwając ręce w dół jego brzucha. - Cassandra ma dziesięć miesięcy - powiedziała, ściskając go przez spodnie.

Will ze świstem wciągnął powietrze.

- Co ty zamierzasz, kokietko?

- Chcę więcej - powiedziała z uśmiechem. - Chcę, aby nasz dom pełen był takich cherubinków jak Cassandra. Chcę mnóstwa dzieci - dodała i wsunęła mu rękę za spodnie. - Daj mi dzieci, Will - rzekła z pożądlwym błyskiem w oczach. - Daj mi je natychmiast.

Uśmiechnął się.

- Phoebe, miłości mojego życia, dałbym ci wszystko. Wszystko, czego zapragniesz. - I na potwierdzenie swych słów, zaniósł żonę do łóżka i spełnił jej pragnienie.